

Patricia Simpson

Wieczna lilia

Przełożyła Magdalena Rakowska

Prolog

Październik. Rezydencja Cbauberea. Współcześnie

A więc, du Berry, albo odzyskam śmiertelność, albo umrę!

Aleksander Chaubere podniósł do ust kielich napełniony bursztynowym płynem, a za oknami jego rezydencji w Charleston rozległ się grzmot.

— Aleksandrze, *non*. Nie bądź głupcem! — Gilbert du Berry rzucił się, aby wyrwać kielich z rąk przyjaciela, lecz ten zwinnie usunął się z drogi. Gilbert westchnął i wznosił w górę swe wypielęgnowane dłonie.

— To już postanowione - powiedział Aleksander, wiedząc, że przyjaciel nie zdoła mu już w niczym przeszkodzić.

Z ogrodu dochodził szum liści karłowatych palm, o które uderzał wiatr, a światła w laboratorium migotały, rzucając białe i srebrne blaski na elegancki wieczorowy strój Gilberta. Aleksander ściągnął go do siebie z balu przebierańców. Było to w wigilię Wszystkich Świętych. Du Berry uwielbiał ten dzień, gdyż mógł się wystroić w jakiś swój ulubiony historyczny strój. Aleksander nie wątpił, że popsuł przyjacielowi wieczór, ale wiedział, że czeka go jeszcze wiele takich imprez, więc nie miał wyrzutów sumienia.

Na ten niezwykły wieczór, wieczór magii i czarów, Aleksander przygotował niezwykłą ceremonię. Postanowił oddać swe życie z powrotem w ręce losu.

- Aleksandrze! — Przejęty głos Gilberta wyrwał go z zamyślenia. - Odstaw ten kielich, błagam cię!

Aleksander odsunął wprawdzie nieco kielich, ale tylko po to, żeby przemówić.

- Pragnę, abyś był moim świadkiem, du Berry - wyjaśnił -a również zanotował szczegóły eksperymentu, w miarę jego przebiegu. W tym notatniku. — Wskazał głową na leżący na stole laboratoryjnym dziennik.

Du Berry spojrzał niecierpliwie na czarny zeszyt ze śladami niewyraźnego pisma Aleksandra, a następnie znów na przyjaciela, ze złością i niedowierzaniem.

- Czy chcesz, żebym opisywał twe ostatnie chwile, jak gdybyś był jakimś królikiem doświadczalnym? Zaniechaj tych eksperymentów, *mon ami!* Igrasz ze śmiercią.

- Czy można nazwać igraniem ze śmiercią to, co chcę zrobić dziś wieczorem?

- W każdym razie, grozi ci śmierć, jeśli nie dziś wieczorem, to może jutro. Będziesz żałował swojej decyzji.

- Czy śmierć jest naprawdę taka straszna? - Aleksander uniósł czarną brew.

- Śmierć, śmierć! - Gilbert załamał ręce w

dramatycznym geście i przemierzał nerwowym krokiem laboratorium. Przez szpary w okiennicach dostawało się chwilami światło błyskawic. — Jesteśmy bogaci, nie mamy żadnych kłopotów, możemy jechać, dokąd chcemy... Aleksandrze...

- I urywać przyjaźnie, nim się ludzie zorientują, że nigdy się nie starzejemy, nie przyznawać się do owoców swojej pracy, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Zmęczyło mnie to, du Berry! Nawet na moment nie możemy przestać być ostrożni, bo nawet takie głupstwo jak prawo jazdy może nas zdradzić. Coraz trudniej jest o nową osobowość, gdy komputery i bazy danych mogą śledzić nasz każdy krok.

- To są tylko kłopotliwe drobiazgi, Aleksandrze.

- Nie, całe to nasze życie jest jednym wielkim kłopotem...

Oszustwo, czujność, samotność...

—Samotność? Nasze życie może być jednym wielkim festynem, Aleksandrze, pełnym muzyki, sztuki, fascynujących ludzi!

Jak możesz mówić, że jesteś samotny, skoro wokół jest tyle przyjemności?

Aleksander zaczął się zastanawiać, czy w ciągu trzystu lat, jakie Gilbert du Berry przeżył na ziemi, choć przez moment pomyślał o swoim życiu. Prawdopodobnie obce mu były chwile wewnętrznego skupienia i rozmowy z samym sobą, gdyż zawsze wolał salonowe pogawarki od poważnych dyskusji i przedkładał subtelne przyjemności nad mrozące krew w żyłach przygody, jakie były udziałem Aleksandra. Może zbyt się różnili, aby mieć takie samo podejście do życia.

Aleksander uśmiechnął się. Zastanawiał się, jakim cudem wciąż się przyjaźnił z du Berry. Stanowiło to dla niego wciąż nie zgłębną tajemnicę. Byli jednak przyjaciółmi od zawsze i pozostaną nimi prawdopodobnie wiecznie.

- Dlaczego tak się uśmiechasz, Aleksandrze? - Du Berry zatrzymał się na środku pokoju. - Myślałem, że jesteś nieszczęśliwy i samotny, gotów na śmierć. A teraz te uśmiechy. *Mon Dieu!* Czyś ty kompletnie oszalał?

—Możliwe.

— Tracę już cierpliwość, *mon ami*. Wyciągnąłeś mnie z cudownego przyjęcia, przejechałem przez miasto podczas tego okropnego huraganu tylko po to, żeby patrzeć, jak umierasz, i jeszcze robić notatki? Nie będę brał udziału w twoim samobójstwie, Aleksandrze, nie licz na to.

- Ale może będzie to powrót do normalnego życia, przyjacielu. Weź i tę możliwość pod uwagę. — Poruszył zawartością kielicha. - Jeśli mój eksperyment się uda, osiągnę swój cel: moje życie kiedyś się skończy.

Popatrzył na przyjaciela, wysokiego i smukłego, ubranego w atłasy i koronki, jakie noszono dwieście lat temu, w epoce, którą obaj lubili najbardziej, choć z różnych względów.

Du Berry uwielbiał stroje i sztukę końca siedemnastego wieku, Aleksander szalał jako korsarz przechwytyjący na morzach statki dla Republiki Francuskiej. W wyprawach wzdłuż południowo-wschodnich wybrzeży Ameryki zdobył olbrzymi majątek i sławę, a nawet kilka tytułów szlacheckich. Te czasy należały jednak do przeszłości i poszukiwanie szczęścia poprzez przygody nie stanowiło już dla niego recepty na życie. Dom miał zapuszczony, wymagający remontu, ogród zaniedbany, a on sam odgradzał się od życia i ludzi gęstym, zarośniętym żywopłotem, zaniedbując swą duszę, podobnie jak wszystko, co go otaczało.

Nadszedł czas, aby „znikł” i pojawił się na nowo jako ktoś inny, ale nie miał zupełnie chęci do kolejnego powtarzania całej operacji. Od trzystu lat on i du Berry pomagali sobie w „modernizowaniu” swoich postaci. Jeden z nich wyjeżdżał gdzieś daleko na kilka lat, by powrócić pod zmienionym nazwiskiem, innym stylem ubrania, zmodyfikowanym życiorysem i kontem otwartym na nowe nazwisko, by rozpocząć inne życie, nawiązując nowe znajomości. W tym czasie drugi zajmował się jego majątkiem i innymi sprawami. Aleksander był już tym wszystkim znużony. Śmiertelnie znużony. Zaśmiał się z przypadkowego dowcipu. Nie mógł nic zrobić „śmiertelnie”. Mógł przeżyć wszelkie rany i choroby. Jego ciało fizyczne nie przyjmowało ingerencji sił zewnętrznych i rzadko miało typowo cielesne potrzeby, jak jedzenie i spanie. Dzięki spożytemu już dawno eliksirowi jego ciało, podobnie jak ciało du Berry'ego, regenerowało się po mistrzowsku.

Trzysta lat temu, gdy mieszkał w Paryżu, Aleksander sporządził napój z soku egzotycznej rośliny. Przeprowadził eksperyment na sobie przekonany, że osiągnięcie nieśmiertelności będzie największym triumfem alchemika i przez wiele lat upajał się swym zwycięstwem. Jego przyjaciel, Gilbert du Berry, którego obchodziła tylko najbliższa przyszłość, gdy dowiedział się o eliksirze, włamał się do paryskiego laboratorium Aleksandra, spożył napój i nigdy tego nie żałował. Jednak Aleksander w miarę upływu lat znenawidził swe nie kończące się życie i rozpoczął usilne prace nad wynalezieniem antidotum. Był prawie pewien, że w kieliszku, który trzymał w ręku, znajdował się sekret śmiertelności.

Aleksander otrząsnął się ze wspomnień i podszedł bliżej do Gilberta.

— Kiedy to wypiję, mogę mieć straszne bóle. Jednak cokolwiek się wydarzy, obserwuj to i notuj.

— Aleksandrze, przemyśl to! Przecież możesz się zabić!

— Jestem tego w pełni świadomy, Gilberte - odpowiedział, spoglądając na ozdobny kielich trzymany w rękę, i westchnął. - Jeśli mnie to zabije, będzie mi znacznie lepiej.

— Będzie ci lepiej? W ogóle cię nie będzie, *mon ami!* Będziesz martwy jak pień.

— Martwy jak kłoda, du Berry.

— Te idiomy! — Wzruszył lekko ramionami. - Ten angielski! Skomplikowany, nieregularny! Nigdy go nie opanuję, choćbym żył tysiąc lat.

Aleksander pokiwał głową z żalu nad językiem, który jego przyjaciel wciąż kaleczył. Nie był pewien, czy du Berry nie ma zupełnie zdolności językowych, czy jego pogarda dla wszystkiego, co brytyjskie, trwająca trzysta lat, była świętą wymówką, żeby nie doskonalić angielskiego.

— Może ty lepiej ode mnie nadajesz się do tego przeklętego życia.

— Przeklętego? Ależ to jest cudowny dar, *mon ami*, czy nie widzisz tego?

— To zależy od patrzącego, du Berry. — Odgarnął ciemne kosmyki ze skroni. - Myślałem o tym wiele razy i sądzę, że może różnica wieku ma wpływ na nasze opinie w tej sprawie.

Spojrzał na du Berry'ego w wytwornym stroju i upudrowanej peruce, skrywającej przerzedzające się włosy, i doskonały makijaż, który ożywiał rysy człowieka nie pierwszej już młodości.

— Wszedłeś w to nasze nowe życie jako mężczyzna sześćdziesięcioczeroletni, niemalże u progu śmierci.

— Śmierci? Też coś. - Du Berry ze śmiechem odganiał go ręką.

- W każdym razie nie trapią cię pragnienia młodego mężczyzny.

- Czyżbyś powątpiewał w moją męskość, Aleksandrze?

- Męskość? - Aleksander zaśmiał się gorzko. - Obaj znamy cenę, jaką przyszło nam zapłacić za przedłużenie naturalnego życia.

- To prawda. A przecież my, Francuzi, mamy być romantyczni i namiętni, *Bon?* Cóż za okrutny żart. - Zamilkł i przez chwilę nawet on, zawsze wesoły, zdawał się przygnębiony. Patrzył na Aleksandra ze współczuciem. - A ty, *mon ami*, wszedłeś w takie życie jako młody trzydziestojednoletni mężczyzna o gorącej krwi, *non?*

- Tak.

- I mający ochotę na panienki, a tu nic z tego.

- *Exactement.*

Aleksander poznał doskonale frustrację mężczyzny, który odczuwał w stosunku do kobiety wszystko to, co czuł normalny mężczyzna, lecz nie mógł tego dowieść fizycznie. Systemy hibernacyjne w jego ciele objęły również organy rozrodcze, które choćby nie wiem jak chciał się kochać z kobietą, ani drgnęły. Dłużej tego nie mógł znieść.

- Aleksandrze, jesteś przygnębiony, dziwnie się zachowujesz. Jestem pewien, że do jutra ci przejdzie. Chodź, wracaj ze mną na bal. Śmieję się, tańcz i flirtuj z panienkami. Nie rób tej strasznej rzeczy dzisiaj.

- To nie chwilowy nastrój, du Berry. Podjąłem ostateczną decyzję.

Szybkim ruchem ręki Aleksander przybliżył kielich do ust i jednym haustem wypił bursztynowy płyn. Poczul pieczenie w ustach i przetyku i palący ból w żołądku. Rzucił kieliszek i zwijał się z bólu. Zamglonym wzrokiem dojrzał nachylającego się nad nim przyjaciela.

Aleksander Chaubere opadł na kolana, chwytając się za brzuch. Czy wywar przepalał mu żołądek? Ledwo słyszał szalejącą za oknami burzę, wiatr i deszcz walący o okiennice. Odpowiedni wieczór, żeby umrzeć. Zupełnie jakby przyroda dostosowała się do jego nastroju, wynikłego z męki i rozpacz, które trapiły go przez ostatnie pięćdziesiąt lat.

—Aleksandrze! - krzyknął du Berry, pochylając się nad nim. - Aleksandrze, powiedz coś!

Nagle ból, równie szybko jak przyszedł, opuścił go. Znikło uczucie pieczenia.

—Co się dzieje? Odezwij się!

Aleksander odgarnął wilgotne włosy z czoła i wstał. Wyjął z kieszeni scyzoryk i lekko naciął palec. Pojawiło się lekkie zaczerwienienie, ale rana nie krwawiła, a po chwili zagoiła się pozostawiając tylko równą, prostą kreseczkę.

—Cholera - zaklął.

Du Berry podszedł bliżej, wpatrując się w rękę Aleksandra.

—Cholera?

—Nic się nie stało. - Aleksander westchnął. - Nie podziałało.

Rozdział 1

Charleston, luty

Masz przy sobie to ogłoszenie? - spytała Sherry, zdejmując krzeselko ze stolika i stawiając je na drewnianej podłodze klubu jazzowego Harry'ego, popularnego lokalu w sercu historycznej dzielnicy Charleston, odwiedzanego przez miejscowych i przez turystów.

—Tak. Chcesz je zobaczyć? — spytała Oliwia Travanelle, która zdejmowała krzeselka z sąsiedniego stolika. O dziwo, ktoś wczoraj wieczorem pozamiatał, chociaż pozostało jeszcze kilka niedopałków i wykałaczek pod stolikami i przed barem.

— Chcę zobaczyć adres.

Sherry podeszła bliżej, wciąż żując gumę. Podrapała się w głowę w miejscu, gdzie jej farbowane jaskraworude włosy związane były w niedbały węzeł. Była trzy lata młodsza od Oliwii, miała dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na więcej. Sporo piła i wiodła burzliwe życie z kolejnymi narzeczonymi, o których zdążyła już opowiedzieć Oliwii, chociaż znały się zaledwie od tygodnia. W ciągu pięciu dni, jakie minęły od przyjazdu do miasta i znalezienia tymczasowej pracy w barze, Oliwia poznała już dokładnie potrzeby Sherry i cieszyła się, że nie ma podobnych problemów. Nauczyła się już dawno, żeby nie polegać na mężczyznach i nie wierzyć w to, co mówią. Ta wiedza bardzo jej się przydawała i oszczędzała kłopotów.

Oliwia wyjęła z kieszeni dzinsowej spódniczki ogłoszenie, które dziś rano wycięła z gazety. Podała je Sherry i patrzyła z niepokojem na czytającą koleżankę.

„Poszukuję architekta krajobrazu do pracy w ogrodzie w historycznej posiadłości w Charleston. Wiadomość: Myrtle Street 17 po godz. 19”.

- Fiuu! - Sherry postukała polakierowanymi paznokciami w wycinek. - Znam ten adres.

- No i...?

- Myrtle Street 17. To jest rezydencja Chaubere'ów — oznajmiła oddając ogłoszenie Oliwii.

- I co z tego? - Oliwia schowała je z powrotem do kieszeni. — Powinnam coś o niej wiedzieć?

Sherry wzniosła oczy do nieba.

- Jesteś w tym mieście od pięciu dni i jeszcze nikt ci nie powiedział?

- Nie. - Oliwia zdjęła następne krzesło ze stolika. - O co chodzi?

- To najdziwniejsze miejsce w Charleston. Nawet turyści je omijają. Wszyscy je omijają.

- Dlaczego?
- Ludzie twierdzą, że tam straszy. Rezydencja jest opuszczona i zaniedbana. Rzadko kto widuje faceta, który tam mieszka.
- A kto tam mieszka?
- Facet nazwiskiem Aleksander Chaubere. - Sherry obejrzała się, jakby się bała, że ktoś usłyszy. - Podobno przychodzi tu posłuchać jazzu, jeśli jest jakiś dobry zespół, ale ja go nigdy nie widziałam.
Teraz Oliwia wzniosła oczy do nieba.
- Słowo daję, Sherry, mówisz to tak, jakby to był jakiś potwór.
- Z tego, co słyszałam, jest stuknięty. A ta jego posiadłość to ruina.

- Może właśnie dlatego szuka projektanta.
- Ale dlaczego właśnie teraz? Po tylu latach, kiedy to wszystko się rozsypuje.
- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. — Oliwia poprawiała kosmyk rudych włosów i wyprostowała się. - Potrzebuję tej roboty.
- Zajmujesz się ogrodami?
- Tak. Moim głównym przedmiotem była architektura ogrodowa.
- Racja. Zapomniałam. — Podeszła do baru i naląła dwie szklanki coli. - Masz. - Oparła rękę pełną bransoletek o kontuar. — Jesteś cholernie ambitna, co?
- Mam po prostu swoje marzenia. Potrzebna mi forsa, żeby zacząć na jesieni studia. Dlatego muszę mieć dwie prace.
- A co z małym?
- Poszukam kogoś, kto będzie pilnował Richiego, jak wróci ze szkoły.
- Z tym nie powinno być problemów. To fajny dzieciak. Pani Denning uważa, że jest wspaniały.

Pani Denning, starsza już pani, mieszkała w tej samej klatce schodowej co Sherry i miała oko na Richiego, gdy Oliwia była w pracy. Zarówno pani Denning, jak i Sherry okazały się osobami o złotym sercu. Starsza pani pilnowała Richiego, a Sherry zaoferowała Oliwii nie tylko przyjaźń, ale i mieszkanie, póki nie znajdzie lepszego lokum. Oliwia była jej bardzo wdzięczna, ale chciała jak najprędzej wyrwać swego dziesięcioletniego synka z ciasnego mieszkanka i nieciekawego towarzystwa, w jakim obracała się ich gospodyni.

- Miło mi to słyszeć. — Oliwia piła powoli colę. — Mam nadzieję, że nie ma z nim kłopotu.
- A skąd. - Sherry zaśmiała się. - Tylko jeszcze nie widziałam, żeby dzieciak tyle czytał.
- Nic innego nie może teraz robić, wszystkie jego modele i inne rzeczy są spakowane. Jak już znajdziemy

mieszkanie, zaprzyjaźni się z jakimiś dziećmi i wszystko się ułoży.

Usłyszała echo swych słów i zaczęła zastanawiać się, czy Sherry zauważyła ich smutny ton. Richie nigdy nie miał wielu kolegów i pomyślała, że może źle go wychowuje i chłopiec stanie się takim samotnikiem jak ona.

— Na razie muszę coś wymyślić, by móc zgłosić się do tej pracy - powiedziała po chwili.

— A co za problem?

— W ogłoszeniu podano, żeby przyjść po siódmej.

— Po siódmej wieczorem?

Oliwia chciała uśmiechnąć się potakując, lecz zauważyła ponury wyraz twarzy koleżanki.

— No tak! — Sherry postawiła szklankę na ladzie. — Nie pójdziesz do rezydencji Chaubere House i koniec!

— Ale muszę podjąć dodatkową pracę.

— Ta praca jest ci potrzebna jak dziura w moście. Jak myślisz, dlaczego każe ludziom przychodzić o tak późnej porze?

— Może śpi w dzień.

— A może chce zwabić swe ofiary, żeby je później zabić w ciemności!

— Słyszałaś, żeby tam kogoś zamordowano?

— No nie, ale ktoś musi być pierwszy.

Oliwia dokończyła swoją colę i posunęła szklankę na drugi koniec podziurawionego niedopałkami baru.

— Może pracuje w ciągu dnia, Sherry. Może nie chce, żeby mu przeszkadzano podczas obiadu. Zapewne z wielu powodów woli rozmawiać z ludźmi wieczorem. A ja naprawdę tej pracy bardzo potrzebuję. Problem tylko w tym, w jakich godzinach musiałabym tam pracować, a poza tym nie podał swego numeru telefonu.

— O cholera! - Sherry zacisnęła usta. — Jeżeli ci tak bardzo na tym zależy, to spróbuję jakoś cię kryć, byle niezbyt długo to trwało.

— Zrobiłabyś to dla mnie?

— Nie będzie dużego ruchu, póki nie zaczną grać. Pospiesz się i pędź teraz.

— A co powiesz panu Thomasowi?

Jeżeli przyjdzie, to coś wymyślę, że Richie coś sobie zrobił albo coś w tym rodzaju. Ale on na ogół nie pokazuje się przed dziesiątą.

- Och, Sherry. - Oliwia objęła ją. - Nieba mi cię zesłały.

Dzięki.

Sherry odsunęła ją od siebie, zawstydzona objawami czułości.

- Tylko nie bądź za długo i zadzwoń do mnie, gdybyś miała jakieś kłopoty z tym typkiem. Poślemy Eda, on sobie z nim poradzi.

Oliwia wyobraziła sobie bramkarza Eda, z brzuchem piewosza i tatuowanymi łapskami, przybywającego na ratunek. Nie bardzo pasował do wizerunku bohatera, ale gdyby była w potrzebie, dałaby mu szansę. Zdjęła fartuszek, położyła go za barem i znów pomyślała, że miała szczęście, spotykając tak miłych ludzi.

Jednak, pomimo że jej koledzy byli dla niej mili, harowanie nocami w barze nie dawało jej satysfakcji. Nie paliła, piła rzadko, więc po skończonej pracy z obrzydzeniem zrzucała z siebie ubranie, które cuchnęło papierosami i piwem. Wierzyła, że jest to zajęcie tymczasowe, które zakończy ciąg mało płatnych prac, jakich się podejmowała. Kiedy skończy studia, noga jej więcej nie postanie w barze, a w każdym razie nie w charakterze pracownika.

—Uważaj na siebie! — zawołała Sherry, gdy Oliwia zbliżała się do wyjścia.

—Będę ostrożna! — obiecała Oliwia i zatrzymała się na progu uświadomiwszy sobie, że nie ma pojęcia, jak trafić pod wskazany w ogłoszeniu adres.

- Sherry?

—O co chodzi?

- Narysujesz mi plan?

—Och, dziewczyno! — Sherry pokiwała głową i poczłapała przez salę.

Nim Oliwia dotarła do skrzyżowania ulic Tradd i Myrtle, zabłysnęły już latarnie uliczne, rzucając plamy światła na brukowane ulice. Z początku, mimo zapadającego zmroku, czuła się bezpiecznie, gdyż w historycznej dzielnicy przechadzało się wiele par, a wycieczki zaglądały do ogrodów i salonów zabytkowych domostw. Słyszała rozmowy, czasami śmiech dźwięczący w wieczornej ciszy. Panował tu odświętny nastrój. Jednak wkrótce Myrtle Street zaczęła się zwężać, aż stała się pojedynczą jezdnią z jednym nierównym chodnikiem, popękany od korzeni starych drzew, których liście dotykały jej włosów, gdy przemykała pod nimi. Nie widziała wokół żywej duszy i im dalej szła, ogarniał ją coraz większy niepokój. Na ogół nie przejmowała się różnymi dziwnymi opowieściami i nie bała się chodzić sama nocą. Zresztą nie było jeszcze zupełnie ciemno. Jednak te ciche, stare domy stojące w mroku sprawiły, że poczuła dreszcz na plecach.

Przypomnił się jej głos Sherry:

„To najdziwniejsze miejsce w Charleston. Nawet turyści je omijają. Wszyscy je omijają”.

Zwolniła kroku. Nagle zatłoczone mieszkanko Sherry w nowszej dzielnicy wydało jej się przytulne i sympatyczne. Zerwał się lekki wiatr od zatoki, rozwiewając jej włosy i szumiąc gałęziami, których cienie układały się w najrozmaitsze wzory na ulicy. Gdzieś przed sobą usłyszała

skrzypnięcie żelaznej furtki zwisającej smętnie na starych zawiasach.

Weź się w garść, mruknęła do siebie. Wyobraźnia zaczęła płatać figle jej zwykle zdrowemu rozsądkowi. Nagle zobaczyła duży dwupiętrowy dom z cegieł, z zamkniętymi okiennicami i podwójnymi kolumnami, ukrytymi za gęstwiną kwitnących dębów. Ponad drżącą zasłoną z liści zauważyła biały fronton drugiego piętra z okrągłym okienkiem, jakby wpatrzonym z rezygnacją w stronę rzeki Cooper. Szła wolno wzdłuż wysokiego żelaznego płotu okrytego winoroślą. Na środku płotu znajdowała się furta, której skrzypienie słyszała, ozdobiona żelaznym łukiem, zwieńczonym metalowymi prętami. Bluszcze i dzikie róże okręcały się wokół gazowych lamp po obu stronach bramy. Żadna z lamp nie była zapalona, a przez okiennice nie sączyło się światło. Mało zachęcający widok.

Skoro jednak już się tu znalazła, nie miała zamiaru zawracać, nie upewniwszy się, że ma przed sobą rezydencję Chaubere'ów. Nie zauważyła żadnej, nawet wyblakłej tabliczki jak na innych, zabytkowych budynkach. A może, skoro turyści unikali tego miejsca, ojcowie miasta uznali, że nie warto przybijać na bramie numeru domu? Musi się przyjrzeć dokładniej.

Ostrożnie odsunęła gałąź dzikiej róży i weszła przez furtkę. Zadrasnęła się kolcem w palec issała go, idąc przez podwórze, na którym krzaki azalii walczyły o promień słońca z rozrastającymi się kępami oleandra. W oddali, na końcu zwirowej ścieżki, widniał dom, z bliźniaczymi schodami prowadzącymi od ganku do wysokiego parteru. Ostrożnie weszła po schodach. Po lewej stronie nad drzwiami zobaczyła wreszcie wyblakły metalowy numer: 17. A więc jest w rezydencji Chaubere'ów. Ale czy ktoś był w domu? Uniosła mosiężną kołatkę i puściła. Rozległo się stuknięcie, niezwykle głośne, mimo szumiących na wietrze drzew. Gdy nikt nie odpowiadał, spróbowała jeszcze raz. Rozejrzała się znów dookoła. Jeśli cała rezydencja była w takim stanie jak podwórze, to rzeczywiście strach było wchodzić do środka, niezależnie od tego, kim jest właściciel.

Odczekała kilka minut i zeszła po schodach na ścieżkę. Ledwo zrobiła krok w stronę bramy, usłyszała jakiś hałas dochodzący z tyłu domu. Serce zabiło jej mocniej. Co się z nią dzieje! Nigdy nie była taka strachliwa! Próbowwała uporządkować myśli. Może pan Chaubere pracuje gdzieś na tyłach domu i nie słyszał jej pukania? Nie chciała zrezygnować i odejść. Chociaż serce wciąż jej waliło, ruszyła pokrytą liśćmi ścieżką prowadzącą za dom.

- Halo! - zawołała. - Jest tam ktoś?

Nie dochodziły jej jednak żadne odgłosy. Szła wzdłuż jednej ze ścian domu z sześcioma białymi oknami. Z prawej strony widziała nikły ślad żwirowego podjazdu i jakieś zabudowania, ale wszystko zasłaniała nieokiełznana i bujna roślinność. Z tyłu domu ze zdumieniem ujrzała dość duży ogród z labiryntem ścieżek. Na samym środku małego placu stał naturalnej wielkości posąg nagiej kobiety. Statuetka była pełna wdzięku, ale zdominowała plac, odciągając uwagę od drzew i kwiatów. Wyglądałaby znacznie lepiej, gdyby została umieszczona w jakimś zacisznym miejscu, gdzie zaskakiwałaby swym pięknem i delikatną formą. Poza tym, z czysto kobiecego punktu widzenia, wołałaby tę Wenus czymś otulić dookoła, umieścić w cieniu wistarii czy filodendronów, osłaniających ją przed nadmiernym światłem słońca czy księżyca.

Odwróciła wzrok od marmurowej postaci i popatrzyła na dom. Najniższy poziom zbudowany był z kamiennych łuków, między którymi znajdowały się pięknie kute kraty. W łukowatych niszach przy schodach zobaczyła wreszcie światło. Podeszła odważnie bliżej, zgniatając w dłoni ogłoszenie z gazety.

—Halo! - zawołała.

— Proszę podać hasło — wystraszył ją mechaniczny głos. Słyszała już takie polecenie z komputerów w szkole, ale dochodzące z piwnicy starej rezydencji sprawiało niesamowite wrażenie. Rozległ się jakiś szczeł i usłyszała głęboki, męski głos, przeklinający po francusku:

—*Sacrebleu!*

Przestraszona, lecz zdecydowana na rozmowę z Aleksandrem Chaubere, znalazła wąskie kamienne schodki prowadzące do piwnicy. Na twarzy i rękach poczuła powiew zimnego, wilgotnego powietrza. Poczula się nieswojo i zaczęła rozważać, czy nie lepiej uciec stąd jak najprędzej, ale nie zwykła tak załatwiać spraw.

Zeszła więc powoli po zimnych schodach.

—Panie Chaubere! — zawołała, aby go uprzedzić.

Dostrzegła z prawej strony prostokąt światła i wsunęła głowę w uchylone drzwi. Ujrzała duże pomieszczenie, pełne komputerów i wyposażenia laboratoryjnego. Prawie wszystkie półki i stoły zavalone były papierami, książkami i butelkami z chemikaliami. Na podłodze wały się drewniane skrzynki, część ich stała pod ścianą. Padające z góry ostre światło oświetlało półki zastawione szkłem najróżniejszych rozmiarów i w najrozmaitszych kształtach, od delikatnych flakoników do olbrzymich dwudziestolitrowych butli. Na środku pokoju znajdował się stół laboratoryjny z palnikami bunsenowskimi, wagami, menzurka-

mi i kolbami destylacyjnymi. Za stołem majaczył jej kształt człowieka o ciemnych włosach, w białej koszuli. Widziała go jednak poprzez wielką butlę wypełnioną jasnozielonym płynem, wydawał się więc albo smukłą figurką, albo olbrzymem o nienaturalnie szerokich barach. Przemknęło jej przez myśl, że może pan Chaubere jest jakoś zdeformowany i dlatego unika ludzkich spojrzeń.

- Proszę pana! - Głos jej się załamał i zła na swoje tchórzostwo odchrząknęła, próbując jeszcze raz: - Przepraszam, czy pan Chaubere?

Mężczyzna odwrócił się. Zobaczyła przez szkło jasny owal twarzy, długie do ramion włosy i szeroką białą koszulę. Przez moment patrzył na nią, jakby zgadując, skąd się wzięła w jego laboratorium.

- Co pani tu robi? — zapytał opryskliwie. — To prywatny teren.

Miał dziwny akcent, mieszaninę wymowy Amerykanina z Południa zabarwioną akcentem francuskim.

- Przyszłam w sprawie ogłoszenia.

- Ogłoszenia?

- Tak, o pracy przy projektowaniu ogrodu.

Przybliżył się do niej i nareszcie zobaczyła go nie poprzez butelkę. Patrzyła na niego jak porażona gromem. Aleksander Chaubere nie był widmem ani potworem, ale wysokim przystojnym mężczyzną o szerokich barach i wąskich biodrach. Prawdę mówiąc, był najlepiej zbudowanym mężczyzną, jakiego spotkała. Opadające do ramion ciemnobrązowe włosy pobłyskiwały złotem. Miał szerokie czoło, dość duży nos, mocno zarysowane szczęki. Jako mężczyzna kwalifikował się wyraźnie powyżej przeciętnej, można by go umieścić obok marmurowego posągu w ogrodzie. Jednak w odróżnieniu od niego kipiał życiem, czuło się bijącą zeń energię, począwszy od opalonej skóry aż po ciemny blask w oczach. Przypominał jej irysa, jakiego wyhodowała wiele lat temu: nie takiego postrzępionego i okazałego jak inne, ale ciemnoszkarłatnego, jakby aksamitnego, piękniejszego niż wszystkie pozostałe.

— Nie chciałam panu przeszkadzać - wykrztusiła z siebie — ale w ogłoszeniu podano, żeby zgłosić się o siódmej, więc przyszłam.

— Więc przyszła pani. - Przypatrywał się jej z uśmiechem, leciutko unosząc kąciki bardzo wąskich ust. Wydawało się, że nie zamierza podtrzymywać rozmowy.

— Czy pan jest Aleksandrem Chaubere? - spytała.

— Tak. A pani?

— Nazywam się Oliwia Travanelle. — Po rozwodzie przyjęła panieńskie nazwisko swojej babki, żeby były mąż nie natrafił na jej ślad.

— To francuskie nazwisko.

— Moja babka była Francuzką.

Przechylił lekko głowę i wzrok jego powędrował od jej włosów i twarzy poprzez szyję i ramiona aż do dłoni i obrączki na palcu, którą nosiła, by trzymać mężczyznę z daleka.

— A jeśli idzie o ogrodnictwo, madame?

— Wiem bardzo dużo. Uczylałam się architektury krajobrazu przez trzy lata i znam...

— Nowoczesne metody?

— Oczywiście. Nauka poczyniła olbrzymie postępy w tej dziedzinie.

— Trucizn. Chemikaliów.

— No, niektóre...

— Nowoczesne metody niekoniecznie są lepsze, madame. — Patrzył gdzieś poza nią, jakby już ją odprowadził.

Oliwia wpatrywała się w niego. Jaki dziwny człowiek. Nie podał jej nawet ręki, a rozmowa przebiegła w błyskawicznym tempie. Popatrzyła na zarys jego szczęki, zwłaszcza w miejscu połączenia z uchem, i stwierdziła, że musi być co najmniej tak samo uparty jak ona. Sięgnął ręką po skrzynkę, jakby chcąc powrócić do swych codziennych wieczornych zajęć. Patrzyła na ten ruch i gniew w niej coraz bardziej narastał. Czy ten Chaubere wyobraża sobie, że w ciągu tak krótkiej rozmowy zdołał sobie wyrobić zdanie na jej temat? Ledwo pogrzebał z wierzchu. Myli się, jeśli uważa, że ona, w urządzanych przez siebie ogrodach, używa dużo chemikaliów. Wręcz przeciwnie, stosuje ich mniej niż inni ogrodnicy. Nie miała zamiaru zostawić pana Chaubere'a z mylnym wrażeniem na swój temat. Gdy odwrócił się, zastąpiła mu drogę.

- Nie dał mi pan nawet szansy, żebym się wykazała swoimi kwalifikacjami.

- Już sobie wyrobiłem zdanie.

- Jak mam to rozumieć?

- Madame, żarty sobie pani stroi.

Popatrzył na nią tak, że miała ochotę go uderzyć. Wydawał się czytać w jej myślach, ale nie zszedł jej z drogi, tylko postawił skrzynkę obok swej prawej nogi.

- Niech pani na siebie popatrzy. Przecież to jasne, że fizycznie nie podoba pani tak ciężkiemu zadaniu.

Poczuła, że się czerwieni.

- A jakich, mianowicie, cech mi brakuje?

- Kobiety tak delikatnej i drobnej budowy nadają się do salonów czy galerii, a nie do oczyszczania mojego zarośniętego stawu.

- Nie nadają się, tak? - Oliwia starała się powstrzymać rosnącą wściekłość. — A w jakim wieku pan szanowny się urodził? Kobiety mogą zrobić wszystko, jeśli tylko zechcą.

- Naprawdę? — Uniósł brew ze zdziwieniem. — Nawet siusiać na stojąco?

- Jeśli uznałyby to za konieczne - odpowiedziała wiedząc, że stara się ją zaszokować i zbić z tropu. - Myślałam o bardziej istotnych sprawach.

- Na przykład jakich?
- Za taką uważam na przykład właściwe umieszczenie tego posągu. Szkoda takiej dobrej rzeźby, jakby się kto pytał.

- A gdybym się zapytał, madame — podparł się ręką o biodro nonszalanckim gestem, co ją jeszcze bardziej rozwścieczyło - to co by mi pani powiedziała?

Że nie jest dobrze wyeksponowana, co jest główną wadą pańskiego ogrodu. — Zauważyła, że zadrżał mu kącik ust, ale nie przerywała swego wywodu. — Dziwi mnie to, bo w projekcie widzę rękę Dezalliera, mimo że wszystko jest zarośnięte. Niepojęte, że zaplanował taką niezręczną lokalizację dla tego pięknego pomniczka.

— Muszę panią poinformować, że lokalizacja wybrana była przeze mnie.

— Więc był jakiś powód po temu?

— Tak. Bardzo mi się podoba ta figura kobieca. Lubię na nią patrzeć.

— Ale czy pan ją jeszcze zauważa, skoro cały czas jest na widoku?

Zastanawiał się. Nie była pewna, czy jest rozbawiony, czy zły. Nagle roześmiał się, a głęboki głos odbijał się echem w kamiennych ścianach. Oliwia zaczerwieniła się. Czy uważał, że jest taka zabawna, a jej słowa absurdalne? Odwróciła się na pięcie i skierowała ku drzwiom. Pomaszerowała do drzwi. Dostyc już miała tego dziwaka. Niech się sam martwi o swój niszczący dom i zaniedbany ogród. Nie będzie pracować dla takiego nieznośnego człowieka, nawet za duże pieniądze. Wiedziała, że jej zdolności i pracowitość mogłyby z tej dziczy zrobić rajski zakątek, ale on nie potraktował jej poważnie ze względu na jej płeć, co ją jeszcze bardziej rozzłościło.

— Ma pani rację, madame — zawołał za nią, a w głosie jego wciąż było słychać śmiech. — Ma pani absolutną rację!

Oliwia pędziła po schodach i przez ogród. Spojrzała na wiecznie spokojną twarz posągu.

— Biedne stworzenie! - mruknęła pod nosem, współczując każdej istocie rodzaju żeńskiego, którą obraziły ciasne poglądy Aleksandra Chaubere'a. Wybiegła z posesji, zatrzasnęła za sobą żelazną furtę i pobiegła ulicą. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że nie panuje nad sytuacją. Starła się opanować, ale była coraz bardziej zdenerwowana. Jak mogła pozwolić, żeby mężczyzna tak ją potraktował?

Pospieszyła do klubu, potykając się na wyszczerbionym chodniku i klnąc pod nosem.

Rozdział 2

Uff! — powiedziała Sherry z uśmiechem, gdy nareszcie późnym wieczorem znalazła się obok Oliwii. - Czekają, aż barman przygotuje trunki dla klientów. — Co za wieczór!

—Faktycznie!

—To chyba przez ten zespół. Lenny Hanfield i Ambasadorowie. Zawsze na nich tak tłoczono.

—Oni są stąd?

—Nie, z Atlanty. Chyba oszaleję dla tego ich basisty.

Oliwia przyjrzała mu się. Ciemne okulary, zbyt obszerny

czarny garnitur. Jak Sherry mogła zobaczyć go na tyle, żeby stwierdzić, że jest atrakcyjny?

— Jest ekstra - ciągnęła Sherry. - Popatrz na ręce. Wiesz, co to znaczy, jak facet ma duże ręce?

Uniosła pytająco brwi, ale Oliwia potrząsnęła głową i spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza i zbliżał się czas zamknięcia baru. Była zmęczona i załamana po nieudanej rozmowie z Aleksandrem Chaubere'em. Jak zarobi na studia? Póki nie będzie miała dodatkowej pracy, nie ma co szukać mieszkania. Powinna lada dzień zapisać Richiego do szkoły, ale nie wiedziała, w jakiej części miasta będą mieszkać.

—Słuchaj. - Sherry przysunęła się bliżej. - Zauważyłaś tego faceta w rogu?

—Którego?

—Tego z ciemnymi włosami, co pije koniak. Przyjrzyj się. Kiedy Sherry odeszła ze swoją tacą, Oliwia rozejrzała się i zauważyła mężczyznę, który siedział niedaleko zespołu, trzymając w ręku kieliszek koniak. Wprawdzie w tym kącie było dość ciemno, ale kiedy pochylił się, światło padające z góry oświeciło jego lewą rękę i część twarzy. Profil wydał jej się znajomy.

Rozniosła gościom piwo i koktajle i wróciła po następne do baru, w chwili kiedy Sherry warknęła do barmana, przyjmującego od niej zamówienie.

—To napewno jest Aleksander Chaubere. — Sherry położyła pustą tacę na ladzie.

Oliwia przyjrzała się mężczyźnie dokładniej. Włosy może i jego, chociaż wielu mężczyzn nosiło teraz taką długość, szczupła sylwetka też była podobna. Ubrany był w ciemną koszulę i czarne dzinsy. Wyczuł chyba spojrzenie dziewczyny, bo zwrócił się w jej stronę. Uniknęła jego wzroku i sięgnęła po tacę.

—Tak, to chyba Chaubere.

—Tak myślałam, jak mi go opisałaś. Chociaż niezbyt dobrze go widzę, bo siedzi w ciemnym kącie.

—Mówiłaś, że przychodzi tu czasem posłuchać muzyki.

—Tak, tylko bardzo mało pije. Może tym razem zostawi przyzwoity napiwek - mruknęła i zabrała tacę z kieliszkiem.

Oliwia wzięła swoją tacę i zaczęła przepychać się przez tłum. Jej stoliki stały po drugiej stronie sali, gdzie był wielki ruch, tak że nie miała czasu zerkać w kierunku nieznanego siedzącego w kącie. Ku jej utrapieniu jeden z gości, wyraźnie pijany, miał ochotę na pogawędkę i ciągnął ją, by usiadła mu na kolanach, co jej zepsuło humor na resztę wieczoru.

Gdy bar zamknięto, Oliwia i Sherry wyszły razem na ulicę. Doszły do chodnika, a wtedy potężny, otyły mężczyzna zapuścił motor Harleya, żeby zwrócić na siebie uwagę. Sherry zaśmiała się i przerzuciła torebkę przez ramię.

—To Lany! - krzyknęła. — Do zobaczenia, Liw!

- Cześć! - Oliwia pomachała ręką i starała się nie myśleć o tym, jaka noc czeka koleżankę w objęciach wytatuowanego brodacza.

Zobaczyła, jak Sherry wskoczyła na siodelko i objęła ramionami duży brzuch Larry'ego. Poszła dalej pieszo do domu oddalonego o niecały kilometr.

- Hej, laleczko! - usłyszała głos za sobą.

Obejrzała się przez ramię i z przerażeniem zauważyła, że to jej pijany wielbiciel. Był wysoki, a chociaż niewiele starszy od niej, miał już brzuch piwosza. Tłuste blond włosy zaczynały się przerzedzać na czubku głowy. Nie chcąc się wdawać w rozmowę, nie odpowiedziała, tylko przyspieszyła kroku.

- Co się tak spieszysz, mała? - mamrotał niewyraźnie.

Oliwia słyszała za sobą jego niepewne kroki. Oblała się potem i skręciła w kierunku przeciwnym od domu. Może uda jej się ukryć w ogródku któregoś z mijanych domków, przeczekać, a później pobiec do domu. Starła się iść jak najszybciej.

Nim się zorientowała, była na Myrtle Street, w zupełnych ciemnościach.

- Cholera! - zaklęła cicho.

Rozejrzała się. Na żadnym z okolicznych domów nie świeciła się lampa. Pomyślała, że nikt by jej nie przyszedł z pomocą, gdyby pijak stał się zbyt natarczywy.

- Zaczekaj, laluniu! - zawołał.

Nie widziała ani nie słyszała nikogo w pobliżu. Biegła brukowaną ulicą, starając się nie skręcić nogi. Pijak podążał

za nią, a kiedy dotarła dwie przecznice dalej, słyszała jego oddech tuż za sobą.

Już po chwili schwycił ją za ramię. Serce jej o mało nie wyskoczyło z piersi, kiedy ją obrócił i przycisnął do potężnego cielska.

- Nie jesteś zbyt miła. - Jego oddech cuchnął piwem. - Co z tobą?

Starła się wyrwać, ale trzymał ją w stalowym uchwycie.

- Cholerna Jankeska z Pólmocy, co? Skąd jesteś?

Nie odpowiadała.

- No, jesteś zimna jak diabli, ale wiem, jak cię rozgrzać, ty seksowna laleczko.

Schwycił ręką jej piersi i nachylił się do jej szyi, kiedy zza zakrętu wyjechał samochód i oświetlił ich reflektorami. Oliwia szamotała się w ramionach pijaka, starając się uwolnić, a w każdym razie pokazać kierowcy, że jest napastowana. Samochód zatrzymał się z piskiem opon i ku jej uldze wyskoczył z niego jakiś mężczyzna.

- Co się tu dzieje, Jimmy Dan? - rozległ się głęboki głos.

Oliwia zauważyła, że napastnik zamarł.

- Proszę pana! - zawołała zrozpaczona. — Niech pan mi pomoże!

Jimmy Dan próbował znów ją wciągnąć w ciemność, ale ona zapierała się nogami, mając nadzieję, że kierowca zorientuje się, że wszystko dzieje się wbrew jej woli.

- Nie twoja sprawa! — wrzasnął pijak.

Ręką zakrył jej usta i odciągał ją na bok. Miał słoną, potłuszczoną łapę i czuła, że zaraz zacznie się dusić.

Kierowca samochodu, którego długie nogi i szerokie bary oświecały reflektory samochodu, szedł w ich kierunku. Choć nie widziała jego twarzy, głos wydał jej się znajomy.

- Puść ją, Petersen — powiedział cicho.

- Za cholerę nie puszcę.

- Słyszałeś? Puść ją.

- Cały wieczór mnie podpuszczała - oświadczył

Jimmy Dan. - Wierciła tą swoją dupką, cycki mi pchała pod nos, to czego się pan spodziewa?

- Że ją puścisz.

Zesztywniała ze strachu i wściekłości, wpatrując się w kierowcę. Oliwia modliła się, żeby starczyło mu odwagi, by rozprawić się z napastnikiem. Poczowała, że uścisk pijaka staje się silniejszy.

- Zostaw nas - warknął. - Nie twój interes.

- Właśnie uznałem, że mój.

Kierowca przybliżył się tak, że Oliwia mogła rozpoznać jego

twarz i nie zdziwiła się specjalnie, gdy zobaczyła Aleksandra Chaubere'a.

Czując niebezpieczeństwo, Jimmy Dan odepchnął Oliwię na bok. Przez chwilę balansowała na jednej nodze, starając się utrzymać równowagę, a potem opadła na kępę ostrokrzewu. Ostro zakończone liście zadrapały jej dłonie i ręce. Powstrzymała łzy i zaczęła podnosić się w momencie, gdy pijak zamachnął się na Chaubere'a.

Ten odpowiedział kopniakiem w podbrzusze, a zanim Jimmy Dan doszedł do siebie, Aleksander okręcił się i kopnął go znów w bok. Było jasne, że dobrze opanował sztukę walki, ale co to było? Karate? Oliwia nie była pewna.

Jimmy Dan rzucił się na Aleksandra, żeby go złapać za tułów i powalić na ziemię, ale ten usunął się w bok i wyrzucił go w splot słoneczny. Pijak opadł na kolana, trzymając się za klatkę piersiową i usiłując złapać oddech. Aleksander stał nad nim, gotów do walki, gdyby leżący zaraz wstał.

- Dostyc? - spytał szybko.

- Idź w cholerę - odpowiedział pijak przytłumionym głosem. Nie spojrzął w górę.

—Czy nic pani nie jest, madame Travanelle? — Aleksander popatrzył na Oliwię. Potrząsnęła głową, odsuwając się od pijaka i kierując się w stronę samochodu z pracującym wciąż silnikiem.

Aleksander stał między nią a sapiącym człowiekiem, wymiotującym na chodnik.

Chaubere znów zwrócił się do niego:

- Wynoś się stąd. Zanieczyszczasz okolicę.

Pijak uniósł się, otarł usta ręką i powoli wstał. W tym momencie Oliwia zauważyła błysk metalu w jego ręku. Był to nóż!

—Uwaga! — krzyknęła.

Aleksander popatrzył na nią zdumiony i to wystarczyło, aby pijak rzucił się na niego. Wpakował nóż w brzuch przeciwnika, uniósł go i wyciągnął. Aleksander upadał z rozłożonymi rękami, jakby zdziwiony, co zaszło.

— Zabiłeś go! — wrzasnęła Oliwia, podbiegając do rannego, aby go schwycić, nim uderzy głową o chodnik. Trzymała go pod rękę, dziwiąc się, że jeszcze stoi po takim ciosie.

Pijak gapił się na Aleksandra, jakby też zdumiony, co zrobił. Później, blady i drżący tchórzliwie uciekł.

- Panie Chaubere!

Oliwia starała się go utrzymać, bo chwiało się na nogach. Popatrzyła na jego brzuch, na porwaną, zakrwawioną koszulę, ale w ciemności nie widziała rany. Opadł na kolana.

- Zaraz będę... - zaczął, ale nie mógł skończyć.

- O Boże! - zawołała, nie mogąc go utrzymać. Siedział na krawężniku. — Zaraz zadzwonię pod 911!

- Nie! — Złapał ją za rękę. — Proszę mi dać chwilę.

- Przecież jest pan ranny!

- Tylko draśnięty.

Oddychał nierówno. Myślała, że zemdleje. Pewnie będąc w szoku nie zdawał sobie z tego sprawy, jak poważna jest rana.

- Przecież prawie pana wypatroszył. - Olivia nachyliła się, żeby ocenić sytuację, ale przytrzymał jej rękę ze zdumiewającą siłą.

- Nie!

- Ależ, panie Chaubere!

- Powiedziałem już, że nic mi nie będzie. — Odgarnął włosy z oczu i po raz pierwszy popatrzył na nią. - Po prostu mnie zaskoczył, to wszystko.

- Ale ta krew.

Aleksander spojrzał na swój brzuch.

- To od zadraśnięcia. - Przeciągnął dłonią po przeponie, żeby jej udowodnić, że to nic poważnego. — Widzi pani? Nie jest tak źle, jak by się wydawało.

Stała nad nim, przyglądając mu się z niedowierzaniem. Widziała, jak nóż został wbity w ciało Aleksandra, jak pijak rozcinał ciało, ciągnąc nóż w górę. Czy mogło to być tylko zadraśnięcie? Ku jej zdumieniu Chaubere podniósł się i odechnął głęboko, jakby właśnie wstał z łóżka.

- Widzi pani? Nie ma się czym martwić. Tylko koszula pocięta.

- Ale widziałam nóż.

- Pomyliła się pani. Jest ciemno, trudno zauważyć.

- Ale...

Może rzeczywiście było to jakieś złudzenie, bo przecież stoi teraz przed nią, jak gdyby nigdy nic. Patrzyła na niego ze zdumieniem. Lekki wietrzyk unosił jego włosy i z całego ciała emanowała żywotność i energia. Wydawał jej się wyższy niż przedtem, ale może widziała go przez pryzmat bohaterskiej walki. O nie, po tym, jak ją potraktował, nie będzie go uważała za bohatera.

- Dobrze, że przynajmniej pani nic się nie stało - zauważył.

- Tylko zadraśnięcie — użyła jego słów, żeby zbagatelizować swoje zranienie.

Spojrzał na nią przenikliwie i wiedziała, że zrozumiał jej czarny humor.

- Zaraz zobaczę. - Chwycił jej prawą rękę i unióśł dłonią do góry. Nie pozwalała mężczyznom tak się dotykać bez pytania, ale biorąc pod uwagę okoliczności, nie cofnęła ręki. - Jak to się stało? - spytał, patrząc na krwawe pręgi.

- Upadłam na ten ostrokrzew.

Rzucił okiem na krzew i dalej patrzył zatroskany na jej zadrapania.

- Nieźle się pani poturbowała.

- Nic mi nie będzie - powiedziała, wysuwając rękę. Jego dotyk i bliskość wzbudziły w niej niepokój. Odsunęła się i uśmiechnęła niepewnie. - Dziękuję, że mnie pan

uratował.

- Cieszę się, że mogłem pani wyświadczyć przysługę -odparł z ukłonem.

Wyobrazila sobie niemalże, że trzyma w ręku kapelusz ze strusim piórem, którym zamiótł podłogę. Odsunęła od siebie ten obraz i odeszła parę kroków, zatrzymując się na krawężniku.

- Na pewno dobrze się pan czuje?

- Czuję się doskonale.

- Więc jeszcze raz dziękuję. Dobranoc. - Odwróciła się, żeby pójść, ale on schwycił ją lekko za łokieć.

- Madame Travanelle, przecież nie może pani wracać bez żadnej eskorty.

- Taki mam zamiar.

- Ale jeśli Petersen znów panią będzie napastował? Albo ktoś inny zobaczy, że pani idzie sama?

- Zawsze chodzę sama.

- Ale, jak pani widzi, nie jest to bezpieczne.

- Pijak był wyjątkiem, nie regułą.

- Mimo to proszę mi pozwolić odwieźć się do domu.

Zdziwiona tą ofertą, Oliwia weszła na chodnik. Choć Aleksander Chaubere wybawił ją z opresji, nie miała ochoty znaleźć się w jego samochodzie.

— Naprawdę, nie jest to konieczne. Dziękuję.

- Więc będę pani towarzyszył jadąc za panią. Chcę mieć pewność, że dotarła pani bezpiecznie do domu. Nie mógłbym zasnąć, gdybym tego nie wiedział.

- Będzie pan za mną jechał samochodem?

- Tak. - Skrzyżował ramiona. Mimo ciemności widziała po wyrazie jego oczu, że bawi go ta sytuacja. Oliwii bardzo się nie podobało, że jest powodem jego rozbawienia. Czyżby uważał ją za nieodpowiedzialne dziecko? Co za wstyd, żeby całą drogę włókł się za nią samochód! - W dodatku była zła na wspomnienie ich spotkania w laboratorium.

- Nie jest pan za mnie odpowiedzialny - oświadczyła stanowczym głosem.— Dziś w nocy jestem.

— Chcę pana poinformować, panie Chaubere, że byłam odpowiedzialna za siebie przez dwadzieścia osiem lat i, dzięki Bogu, nie miałam żadnych kłopotów.

— A Jimmy Dan Petersen nie był dla pani kłopotliwy? - odpalił, wskazując głową w stronę, w którą uciekł napastnik.

- Po prostu był pijany.

— Jest pijany prawie w każdy weekend, madame. — Odrzucił swe wspaniałe ciemne włosy. - Zrobi wszystko, żeby panią zdobyć. Słyszałem, jak chwalił się koleżkom swoimi podbojami.

Oliwia starała się nie spuszczać wzroku rozmawiając z Aleksandrem, ale jego ostatnie stwierdzenie tak ją spłoszyło, że odwróciła się.

— Jeśli panią to interesuje — ciągnął za jej plecami — wyprodukowałem substancję, która go może unieszkodliwić, i będzie pani miała dość czasu, żeby uciec, gdyby znów zaczął panią napastować.

— Nie lubię robić ludziom krzywdy.

—

Obawiam się, że Petersen nie podziela pani filozofii, madame. Poza tym, mój rozpylacz nie zrobi mu krzywdy, tylko i będzie po nim kichał tak długo, że zdąży pan uciec.

Spojrzała na niego przez ramię.

—Dlaczego pan to dla mnie robi?

Wzruszył ramionami.

—Mam satysfakcję, jeśli moje wynalazki mogą się komuś przydać.

Oliwia raz jeszcze spojrzała na jego szczupłą sylwetkę i pomyślała, że jest coś niepokojąco dwoistego w tej postaci: dominująca męskość połączona z układnością dworzanina. Zwykle dzieliła mężczyzn na dwie kategorie: typ sportowca, który zdobywa wszystko przebojem, oraz człowieka wrażliwego, który pozwala, by życie toczyło się wokół niego, zbyt nieśmiałego, żeby wpływać na cokolwiek i podejmować decyzje, zwłaszcza wbrew obowiązującym konwenansom. Większość mężczyzn dawała się zaklasyfikować do jednej z tych kategorii. Jednak Aleksander Chaubere nie mieścił się w tych podziałach. Należał do obu tych grup, nie należąc zarazem do żadnej. I tu Oliwia wymiękła, jakby powiedziała Sherry.

Ponieważ milczała, Aleksander podszedł do samochodu i otworzył drzwiczki od strony pasażera.

—Proszę, madame, jeśli pani pozwoli się odwieźć, szybciej będziemy w domu.

Oliwia wzięła głęboki oddech, zastanawiając się, dlaczego mu ulega, czuła jednak, że można mieć do niego zaufanie. Obejrzała jego mały, sportowy, czarny samochód. Nie знаła tego modelu nawet z plakatów swego syna. Pewnie jakiś zagraniczny. Choć dość stary, był w doskonałym stanie. Westchnęła, mając nadzieję, że nie popełnia największego błędu w życiu, i odpowiedziała niepewnie:

- No, dobrze. Dziękuję.

Stał z boku czekając, aż usadowi się, a następnie delikatnie zatrzaskał drzwiczki. Wdychała woń skórzanej tapicerki, będąc pod wrażeniem manier Aleksandra, który obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Nie jechała nigdy sportowym samochodem, więc kiedy wypełnił go swoimi szerokimi barkami i długimi nogami, zauważyła ze zdziwieniem, jaką intymną i odizolowaną przestrzeń stanowić może samochód. Wyciągnął rękę przed nią, więc cofnęła się, żeby jej nie dotknął. Zauważyła jego smukły

nadgarstek i wąską dłoń, co uznała za oznakę inteligencji i siły, lecz nie brutalności. Otworzył schowek, w którym znajdował się odtwarzacz kompaktowy. Dotknął kilku przycisków, usiadł prosto w swoim fotelu i wrzucił pierwszy bieg. Rozległy się delikatne dźwięki jazzu na fortepianie, a jej udało się zrelaksować na tyle, by wygodnie wyciągnąć się na swoim siedzeniu.

Aleksander ruszył wolniutko.

- Dokąd jedziemy, szefowo? - spytał z uśmiechem, naśladując nowojorskiego taksówkarza.

Chciała się też uśmiechnąć w odpowiedzi, ale stwierdziła, że nawet jeśli jest uroczy, to niech sobie nie myśli, że na nią to działa.

- Anson and Elm — odpowiedziała.

Niezrażony jej poważną odpowiedzią, kontynuował tę zabawę.

- Trasą widokową czy się spieszymy?

- Najkrótszą drogą - zdecydowała i żeby nie wyjść na idiotkę, która nie chwyciła dowcipu, dodała: - Ale sprawdzę licznik, koleś.

Zachichotał i wrzucił dwójkę. Prowadził pewnie i spokojnie i ani razu nie przyszło jej do głowy, żeby w panice łapać za klamkę. Nie spodziewała się takiego zachowania po mężczyźnie, który jest posiadaczem sportowego wozu i walczy z pijakami na ulicy.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, słuchając muzyki. Siedząc wygodnie i podziwiając piękne, stare domy, które mijali, Oliwia niemalże zapomniała, że siedem godzin temu wypadła z domu tego człowieka, kipiąc złością, jak już jej się dawno nie zdarzyło. Pogрузzyła się w myślach i zdumiało ją oświadczenie Aleksandra, że są na miejscu.

- Anson and Elm, pszę pani, który dom?

- Ten żółty po prawej.

Spojrząwszy na niego, zdała sobie sprawę, że ta jazda z Aleksandrem Chaubere'em była znacznie przyjemniejsza, niżby chciała się do tego przyznać.

Zatrzymał się za zaparkowanym przed domem samochodem. Oliwia spojrzała na okna pierwszego piętra, gdzie znajdowało się mieszkanie Sherry, i stwierdziła, że jeszcze się świeci. Albo Sherry przyprowdziła swego harlejewca do domu, albo Richie jeszcze nie spał. Wolałaby, żeby było ciemno.

Otworzyła drzwiczki.

- Dziękuję panu. Za wszystko - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wysiadł z samochodu, gdy ona wyskoczyła. Miała nadzieję, że nie ma zamiaru odprowadzać jej do drzwi. Jak na jedną noc, miała już dosyć tego niepokojącego uczucia, jakie w niej wywoływał, dosyć jego elegancji i humoru, i cichego, spokojnego jazzu. Fakt, że stała się mniej czujna, czynił go szczególnie niebezpiecznym.

Aleksander obszedł samochód z przodu. Do uszu Oliwii wciąż dochodziła uwodzicielska muzyka. Zatrzymała się przy furtce i odwróciła.

- Czy mam panią odprowadzić do drzwi? - spytał.
- Nie, poradzę sobie. — Wyjęła klucze z torebki. —

Dobranoc. - Popchnęła furtkę.

- Madame Travanelle...

Odwróciła się.

- Chciałbym z panią przedyskutować kilka spraw, związanych z moim domem.

- Tak?

- Ale jest późno. Porozmawiamy jutro.

Jego założenie, że skłonna jest do dalszych kontaktów, było nieco irytujące.

- A jeśli jutro jestem zbyt zajęta?

- A jest pani? - odparował, unosząc jedną czarną brew.

Chciała powiedzieć coś złośliwego, że ma ważniejsze sprawy

niż rozmowy z nim, jak na przykład mycie włosów czy pójście do biblioteki, ale rozmyśliła się.

- A o której godzinie...

- O dziewiątej?

- Panie Chaubere, ja wieczorami pracuję. To nie jest odpowiednia pora.

- Dobrze, niech pani przyjdzie wcześniej. Może o piątej?

- Jeśli będę mogła. - Nie chciała od razu na wszystko się zgadzać.

- Będę w laboratorium, tam gdzie mnie pani znalazła poprzednio.

- Dobrze. Może.

- Do zobaczenia. - Skinął jej głową i wrócił do samochodu.

Oliwia podeszła do drzwi frontowych, otworzyła je i wchodząc na górę po schodach, rozmyślała o propozycji Aleksandra. Rozważała, czy chodziło o coś jeszcze prócz architektury krajobrazu. Gdy stanęła na podeście, klucze w jej ręku zadzwoniły i weszła wyżej, niezupełnie pewna, czy byłoby rozsądne pracować dla takiego człowieka. Nie mogła go rozgryźć.

Rozpamiętując ten niezwykle dzień, otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Richie popędził na jej powitanie.

- Richie - powiedziała z wyrzutem, zadowolona, że Sherry nie pojawiła się ze swoim motocyklistą. — Dlaczego jeszcze nie śpisz?

Zignorował jej pytanie.

- Co to był za facet?! - wykrzyknął.

- Pan Chaubere. Podwiózł mnie z klubu do domu.

- Rany! - Richie podbiegł znów do okna i wyjrzał. - Ale ma ekstra wóz! Fiat Spider rocznik 73!

- Może tak, ale nie powinieneś oceniać ludzi po ich samochodach.

Zwykle nie zwracała uwagi na samochody i nie imponowało jej ostentacyjne bogactwo, ale było jej znacznie przyjemniej w samochodzie Aleksandra Chaubere'a, niż skłonna była przed sobą przyznać. A jego mały, cichy Spider był zupełnie inny niż Trans Am o podwyższonej mocy silnika, jakim jeździł jej były mąż. Podeszła do syna i położyła mu rękę na ramieniu.

—Nigdy nie pomył bogactwa z charakterem, Richie.

- Tak, ale mam... Spider 73! To już prawie zabytek!

—Zabytek nie zabytek, czas spać!

Położyła torebkę na stoliku i zagoniła go do śpiwora, ułożonego obok telewizora. Śpiwór był postrzępiony, a ocieplenie pozbijane w grudy. Koszulka Richiego była wytarta przy szyi i spłowiła. Westchnęła. Tyle chciałaby dać swojemu synowi. Wielu rzeczy potrzebował, a jednak nigdy o nic nie prosił. Wyczuwał, że nie było jej na to stać, i tylko prosił, by się tym nie zamartwiała. Podziękowała swej szczęśliwej gwiazdzie, że ma takiego syna, i obiecała sobie, iż niedługo będzie miała odpowiednie środki na zapewnienie mu przyzwoitego życia.

Richie usiadł na zniszczonym śpiworze i spojrzał na matkę.

—Myślisz, że będę mógł kiedyś obejrzeć ten samochód, mam?

- Nie wiem.

Czy chciała, żeby jej syn poznał kiedyś Aleksandra Chaubere'a? Chyba nie. Od czasu rozwodu nie pozwalała sobie na luksus zamieszkania z przyjacielem, aby Richie nie przywiązał się do niego i nie cierpiał, gdy związek się rozpadnie. Dlatego właśnie nosiła obrączkę. Mogła utrzymywać mężczyznę na odległość.

- Słyszałam, że pan Chaubere jest bardzo nieprzystępny.

Pewnie nie chciałby, żeby jakiś chłopak kręcił mu się koło samochodu.

Richie opuścił ramiona.

—Ale jak go zobaczę, zapytam się, dobrze?

Rozpromienił się, gdy wyraziła zgodę, i wśliznął do swego śpiwora.

—Dzięki, mamusiu.

Pochyliła się nad nim, pogładziła kasztanową główkę i pocałowała go leciutko.

—Dobranoc.

—Dobranoc.

Wstała i rozejrzała się po mieszkaniu. Posprząta teraz porozrzucane rzeczy Sherry, weźmie prysznic i padnie. Rano będzie musiała przygotować się do rozmowy z Aleksandrem Chaubere'em i odnaleźć swoją najlepszą jedwabną bluzkę na to spotkanie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, może do jutrzejszego wieczora będzie miała zapewnioną jeszcze jedną pracę.

Rozdział 3

Więc naprawdę zwijasz laboratorium - nie mógł się nadziwić du Berry, patrząc na ustawione na podłodze skrzynie. - Nigdy się nie spodziewałem, że kiedykolwiek nadejdzie dzień, kiedy rzucisz alchemię.

- Teraz jest to nauka - wtrącił Aleksander, zezując na podłogę, gdyż męczyło go uporczywe zamglenie wzroku. Po chwili znów widział wyraźniej. - A raczej badania i rozwój nauki.

- Wszystko jedno. - Du Berry machnął ręką. - Dla mnie to jest czarna mazią.

- Magia - poprawił go z uśmiechem Aleksander zadowolony, że ta pomyłka pozwoliła mu na moment oderwać się od problemów, które miał ze wzrokiem.

Gilbert tym razem ubrany był bardziej nowocześnie, w białym, lniany garnitur i włoskie buty z plecionej skóry. Wrócił do Charleston na prośbę Aleksandra i zamieszkał w pobliskim hotelu aż do jego wyjazdu do Ameryki Południowej. Aleksander zaproponował mu, jak zwykle, mieszkanie nad powozownią, lecz przyjaciel nie znośił jego samotności i braku entuzjazmu dla hałaśliwych przyjęć.

- Więc zostawiasz tutaj to wszystko?

- Tak. Zmagazynuję na strychu i zamknę na klucz.

- Ale co będziesz robił w Ameryce Południowej bez swych ukochanych chemikaliów i sprzętu?

- Naprawdę nie wiem. - Aleksander popatrzył na stół laboratoryjny, zastawiony szkłem i westchnął. — Może kupię jakieś rancho w Argentynie i zacznę hodować nowe rasy bydła. Nie wiem.

Wziął ciężkie pudło z oscylatorem i starannie ułożył w nim jeszcze jakieś dobrze opakowane akcesoria i podręczniki, przekładając wszystko ekologicznym materiałem pakunkowym.

- A więc kiedy wyruszasz do Ameryki Południowej? - spytał du Berry, trzymając pokrywę skrzynki. — I dokąd właściwie się udajesz?

Aleksander wziął od niego pokrywę i zamknął skrzynkę.

- Najpierw płynę do Rio de Janeiro, a jak tam dotrę, zobaczę, co mi przyjdzie do głowy. A kiedy? Kiedy tylko mój statek będzie gotowy. Frank obiecał, że będzie to w połowie marca.

- Więc masz jeszcze miesiąc, *mon ami*. Zakończysz swoje sprawy do tego czasu?

- Mam nadzieję.

Aleksander przykleił, żeby opisać zawartość skrzynki na samoprzylepnej naklejce, którą przyczepił do drewna, gdy Gilbert spacerował po laboratorium.

- Nie będziesz tęsknił za tym domem, za Charleston?
- Nie bardzo. Jedno i drugie oglądałem za często przez ostatnie dwieście lat.

Gilbert zamilkł na chwilę, przechodząc wzdłuż stołu laboratoryjnego.

- O, widzę, że niezupełnie zerwałeś ze swoją alchemią - zauważył, wskazując na mikroskop i rząd probówek. — Co teraz badasz?

- Wciąż pracuję nad antidotum.
- Och, nie, nie mów tego! - Du Berry był przerażony. - Nie zażywałeś chyba już tego soku z lili?

- Zażywałem raz w tygodniu.
—Przecież to takie niebezpieczne. — Potrząsnął głową.

Minęły prawie cztery miesiące od pierwszej dawki, Aleksanderze. A ty zażywasz to co tydzień? Taka dawka to szaleństwo. Wiesz to lepiej ode mnie!

Słyszając to Aleksander zmarszczył brwi. Znał los wielu przyjaciół alchemików, którzy przed wielu laty poszukiwali nieśmiertelności. Gdy ze starożytnego manuskryptu dowiedziano się o właściwościach lili, wszyscy rzucili się, żeby być pierwszymi, którzy osiągną nieśmiertelność. Ale przygotowując eliksir nikt nie utrafił we właściwe proporcje. Niektórzy oszaleli, inni oślepli lub zostali sparaliżowani. Niektórym psuły się wnętrzności. Jednak objawem ubocznym, który najbardziej przerażał Aleksandra, było to, że lilia mogła wzmocnić lub wypaczyć naturalne skłonności drzemiące w człowieku. Osoba, która często złościła się, łatwiej popadała we wściekłość, mogła nawet zabić. Osoba podatna na depresję często cierpiała na melancholię całymi latami. Dziesiątki alchemików straciło zdrowie psychiczne lub fizyczne w dążeniu do nieśmiertelności.

On i du Berry mieli szczęście, osiągając nieśmiertelność w sposób stosunkowo łagodny. Aleksander był niezwykle ostrożny, dokładny w obliczeniach i dokumentacji i z ogromną cierpliwością przygotowywał eliksir. Jednak za każdym razem, gdy próbował najnowszą wersję antidotum, kusił los, działanie lili bowiem nie zawsze było takie samo. To, co przydarzyło się jego ziomkom poszukującym wieczności, jemu mogło się zdarzyć przy szukaniu śmierci.

—Aleksandrze, obiecaj mi, że skończysz z tymi eksperymentami.

—Nie mogę, du Berry. Nie rozumiesz?

- Masz jakieś wyniki?
- Słabe, ale myślę, że do czegoś dochodzę.
- Po czym to poznajesz?

- Zmienia się liczba krwinek. A poza tym... -
Przerwał, niezbyt chętny do omawiania swoich problemów zdrowotnych, nawet z przyjacielem.

- I co?
- Mam ataki.
- Jakie ataki?
- Zamglony wzrok, skurcze, mdłości.
- Zostaw to, Aleksandrze. Wygląda na to, jakbyś był zatruty.

- Ale dochodzę do czegoś. Liczba czerwonych i białych ciałek pozostaje ta sama, ale liczba ciałek trzeciego typu z dnia na dzień maleje.

- Nie podoba mi się to. Jeżeli się zabijesz albo zwariujesz, nie zniosę tego. Ty i ja jesteśmy ostatni, przyjacielu. Ostatni! A jeżeli coś ci się stanie, co ja bez ciebie pocznę?

- Będziesz urządził przyjęcia w moim domu, jak sądzę.

- To nie jest temat do żartów!

- Wiem.

Aleksander wstał i wyjął z kieszeni staroświecki srebrny zegarek z inicjałami na kopercie. Był to prezent od Napoleona Bonaparte w dowód wdzięczności za zasługi dla Republiki. Zegarek służył mu wiernie przez dwieście lat, w tym czasie przeszedł tylko kilka drobnych napraw, których Aleksander dokonał osobiście. Otworzył teraz kopertę i popatrzył.

- Piąta - oznajmił.

Nasłuchiwał pilnie, czy przypadkiem nie idzie Oliwia Travanelle.

Zastanawiał się, czy w ogóle przyjdzie. W nocy nie była zbyt chętna na to spotkanie i wcale nie obiecywała, że spełni prośbę.

- Czyżbyś kogoś oczekiwał? — spytał du Berry.

- Tak.

- *Ici?* - Du Berry wskazał na podłogę piwnicy. — W tym domu? To zupełnie nie w twoim stylu, Aleksandrze!

- To w związku z ogłoszeniem, jakie dałem w sprawie prac w ogrodzie. Będzie musiała zobaczyć i dom.

- Ona?

- Tak, ona. - Aleksander spojrzał na przyjaciela pragnąc, aby znikł z jego twarzy uśmiezek.

- To brzmi *interessant*. Powiedz coś jeszcze. Ładna, brzydka, inteligentna? - Uniósł ręce na wysokość piersi i wykonał ruch zrozumiały dla wszystkich mężczyzn na świecie, niezależnie od języka.

Aleksander zignorował go i postawił przed sobą następną skrzynkę do pakowania. Zastanawiał się, jak opisałby Oliwię Travanelle. Tak, była młoda, ale miała w oczach coś bardzo dojrzałego, jakby żyła znacznie dłużej, niż wskazywałyby jej lata. Tak, była ładna, ale nie piękna. Jej urok polegał na naturalności, począwszy od burzy rudych włosów, poprzez smukłą figurkę, skończywszy na rozsądnym stylu ubrania. Jeśli dobrze pamiętał, nie była umalowana, ale jej jasna cera i żywe niebieskie oczy nie wymagały pomocy kosmetyków. Pomyślał, że chyba pomylił się, uznając jej drobną posturę i smukłe kończyny za oznakę słabości. Po rozmowie z nią był pewien, że okaże się zwinna i wytrzymała jak terier. Nie było w niej żadnej sztuczności, co stanowiło, jego zdaniem, wyjątek u płci pięknej i fakt, że istnieją takie kobiety, bardzo go zaintrygował. Czyżby Oliwia Travanelle rzeczywiście była taka prostolinijna i bezpośrednia, na jaką wyglądała? Chciałby to sprawdzić.

- Nie bardzo jest o czym mówić, du Berry — odpowiedział w końcu. — Jest po prostu kobietą.

- Po prostu kobietą? I dlatego stoisz rozmarzony, gapiąc się na tę skrzynkę?

- Naprawdę? - Aleksander wyszczerzył zęby zdumiony i uniósł wzrok, a w tej właśnie chwili w drzwiach pojawiła się bohaterka rozmowy. W jednej ręce trzymała torebkę, w drugiej aktówkę. Szeroki uśmiech Aleksandra zmienił się na jej widok w delikatny i pełen podziwu. Niesforne loczki i kremowa cera stanowiły żywy kontrast z surową, kamienną ścianą, na której tle się pojawiła. Wyglądała jak jego nimfa z ogrodu.

- Przepraszam, że przeszkodziłam - powiedziała, wskazując głową na drzwi za sobą - ale nie ma dzwonka.

- Nie przeszkodziła pani w niczym ważnym. - Aleksander otarł dłonie o spodnie i podszedł do niej.

- Niczym ważnym? — dramatycznie jęknął du Berry. - Widzę, że traktujesz mnie jak pyłek.

Aleksander obrócił się do kobiety, która z trudem powstrzymywała uśmieszek, i wskazał na przyjaciela.

- Madame Travanelle, pozwoli pani, że przedstawię mojego starego przyjaciela, Gilberta du Berry. - Specjalnie wymówił jego imię po francusku, żeby Oliwia nie popełniła tego błędu, wymawiając je z angielska, bo przyjaciel poczułby się bardzo urażony.

- Miło mi pana poznać. — Przesunęła torebkę na ramię, żeby mu podać rękę, ale wyglądała na niezadowoloną, gdy du Berry uniósł ją do ust.

- *Enchanti*, madame — powiedział cicho, trzymając jej

dłoń. - Aleksander nie oddał prawdy, opisując pani urodę.

- Tak? — odpowiedziała chłodno.

Aleksander uchwycił jej zaniepokojone spojrzenie i zorientował się, że nie lubi, gdy się o niej rozmawia. Czy ta kobieta nie potrafiła docenić komplementu? A może nie wierzyła, jeśli pochodził od osoby tak sztucznie się zachowującej jak du Berry. A może komplementy na nią nie działają? To byłoby coś nowego. Powściągnął uśmiech i obserwował jej reakcję razem z przyjacielem.

Oliwia uniosła głowę.

- A co takiego miał pan Chaubere do powiedzenia na mój temat?

- Że jest pani po prostu kobietą.

- Nie zdziwiło mnie to.

Uwolniła rękę z lekkiego uchwytu du Berry'ego i ułożyła torebkę i aktówkę gestem urzędowym. Aleksander był pełen podziwu dla kobiety, która oparła się towarzyskiemu urokowi Gilberta.

- Ha! — zaśmiał się du Berry, wskazując na nią. — Kobieta, która potrafi uchwycić prawdziwe oblicze Aleksandra Chaubere'a poprzez jego zewnętrzny urok. Jestem we wrażeniu.

- Pod wrażeniem - poprawił Aleksander.

- Nie sędzę, żeby pan Chaubere starał się specjalnie ukryć swój prawdziwy charakter - odpowiedziała wyniośle, nie patrząc w jego stronę.

- Ale ukrył panią, robiąc pani wielką krzywdę. Pani jest jak obrazek. Cudowne połączenie świeżości i mody, jakiego nie widziałem od dziesiątków lat! - Du Berry zwrócił się do Aleksandra. - Wyobrażasz ją sobie, Aleksandrze, ubraną *a la polonaise*, jak młoda wieśniaczka?

Uśmiech zastępnął na ustach Oliwii i spojrzała wzburzona na Aleksandra, który chrząknął.

- Sposób ubrania madame Travanelle jest najzupełniej odpowiedni, du Berry. A do pracy, jaką ma tu wykonywać, strój pastereczki byłby zupełnie nie na miejscu.

- Co za szkoda! - zmartwił się du Berry.

- Czy ma pan zamiar zaoferować mi tę pracę? — zapytała Oliwia.

- Tak.

- Chociaż jestem tylko kobietą?

- Tak. Przemyślałem to.

- Czyżbyś był już zupełnie zdesperowany, *mon ami* — wtrącił du Berry, zdumiewająco poważnie, co mu się często zdarzało, kiedy próbował być poważny - bo że nikt w całym Charleston nie chce u ciebie pracować, gdyż uważają cię za...

- Dosyć, Gilberte - ostrzegł go Aleksander. - Przestań, bo madame Travanelle naprawdę się obrazi.

Nie potrafił ukryć zdenerwowania w głosie. Du Berry cofnął się o krok.

- Czy to prawda? - spytała Oliwia. - Nikt nie zgłosił się na to ogłoszenie?

- Nie. - Nie miał innego wyjścia, jak wyznać prawdę. Niech diabli wezmą du Berry'ego i jego długi język. Aleksander nie miał już żadnej karty przetargowej. - I nie chciałbym już dłużej odwlekać tej roboty.

- Chce pan powiedzieć, że zaoferował mi tę pracę z desperacji?

- No... - Aleksander zauważył jej przenikliwy wzrok - niezupełnie, madame. Zaimponowała mi pani znajomość Dezalliera. Niewielu ludzi zna prace osiemnastowiecznego architekta krajobrazu.

- Gdyby poświęcił mi pan trochę więcej czasu na rozmowę, odkryłby pan, że mam o wiele większe kwalifikacje.

- Przyznaję, że...

- Ale nie różni się pan niczym od innych aroganckich, egocentrycznych mężczyzn. Dlaczego mam szukać pracy u pana, skoro oznacza to narażanie się na nieprzyjemne uwagi pod moim adresem? Nie ma pan prawa rozmawiać o moim wyglądzie. Za takie uwagi powinno się pana oskarżyć o molestowanie seksualne.

Du Berry znów zrobił rozbawioną minę, zdumiony postawą Oliwii, która starała się panować nad swym gorącym temperamentem. Aleksander patrzył na nią nie wiedząc, jak zareagować. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie oskarżyła go o molestowanie seksualne, wręcz przeciwnie, im bardziej starał się odsuwać od kobiet, tym bardziej go uwodziły.

- Nie zależy mi na pracy aż tak bardzo, sir, żebym musiała pracować właśnie u pana! Zegnam! — Odwróciła się na pięcie i wypadła z laboratorium, a du Berry zachichotał nerwowo.

- Bardzo ci dziękuję, Gilbertcie. - Aleksander podsumował sytuację lodowatym tonem, świadomie denerwując przyjaciela brytyjską wymową jego imienia.

Du Berry zaśmiał się głupio i wzruszył ramionami.

Zdenerwowany takim zakończeniem rozmowy, Aleksander pobiegł za Oliwią, mając nadzieję złapać ją, nim wyjdzie na ulicę. Nie miał zamiaru urządzać przedstawienia dla sąsiadów, jeśli madame Travanelle chciałyby kontynuować ostrą wymianę zdań. Znalazł ją na ścieżce z boku domu. Zahaczyła bluzką o głóg i starała się wyplatać krótkimi, nerwowymi ruchami.

- Madame — zawołał delikatnie Aleksander. — Proszę zaczekać.

Obróciła się do niego.

- Po co? Żeby dalej mógł pan mnie obrażać? Czy jeszcze wam nie dość tej zabawy?

- Przepraszam - odpowiedział Aleksander. - Mój przyjaciel ma taki sposób bycia. Nie miał nic złego na myśli.

- Wszyscy tak mówią.

- Proszę mi wierzyć, to prawda. Trudno znaleźć lepszego człowieka. Po prostu lubi czasem pożartować.

Patrząc na nią, zauważył, że zbyt była zdenerwowana, aby skoncentrować się na uwolnieniu z głógów. Im intensywniej z nimi walczyła, tym więcej kolców wbijało się w jej bluzkę.

- Proszę mi pozwolić - powiedział, odważywszy się podejść bliżej. Nie był pewien, czy pozwoli sobie pomóc, czy też go odepchnie.

Westchnęła z rezygnacją.

- Dobrze, niech pan spróbuje.

Oliwia nie ruszała się, a on ostrożnie wyciągał kolce z rękawów i pleców bluzki.

Gdy stał tak obok niej, spostrzegł, jaka jest drobna i kobieca. Czuł się przy niej jak kawał chłopca, choć wiedział, że mimo wysokiego wzrostu nie był zbyt potężnie zbudowany. Może, jeśli widzi się świat z perspektywy tak drobnej kobiety jak Oliwia, mężczyźni mogą się wydawać gburowaci i zdolni do przemocy. Odniósł jednak wrażenie, że ona reaguje bardziej na jego słowa i zachowanie niż na wygląd zewnętrzny.

Odczepiał kolce, starając się nie wdychać zapachu jej włosów, który drażnił jego wrażliwe powonienie. Wieczna lilia wzmacniała wszystkie jego zmysły, czasami w nieznośnym stopniu, więc dotyk i zapach Oliwii Travanelle był szalenie podniecający.

Z przykrością zauważył małe rozdarcie przy rękawie.

- Wydaje mi się, że kolce podarły pani bluzkę - powiedział. Przyjrzała się dokładnie i zmarszczyła brwi.

- Świetnie. Moja najlepsza jedwabna bluzka.

- Chętnie ją odkupię. Proszę podać cenę.

- Trudno. To ja wpadłam na głóg. Powinnam go była zobaczyć.

- Ale biegła pani dlatego, że panią zdenerwowano. Ja jestem za to odpowiedzialny, nie pani.

Popatrzyła na niego badawczo, a on starał się wytrzymać to spojrzenie. Gdyby przypuszczała, że przygląda się jej kobiecej sylwetce, zaokrągleniu bioder, pewnie by go spoliczkowała i nie słuchała, co ma jeszcze do powiedzenia.

- Dobrze - postanowiła. — Czterdzieści dolarów.

- Zrobione. - Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął portfel. Wyciągnął dwie dwudziestki i podał jej.

- Dziękuję.

- Jeżeli nie uda się pani dostać w tej samej cenie, chętnie dopłacę różnicę.

Zmrużyła oczy z niedowierzaniem i włożyła pieniądze do kieszeni swych granatowych spodni. Gdy odwróciła się,

żeby odejść, dotknął jej. Ciepłe ciało wprawiło jego dłoń w wibrację.

- Madame — zaczął, ale zorientował się zaraz, że nie spodobało jej się, gdy ją ujął za ramię. Opuścił rękę i ucieszył się, że nie odeszła.

- Słucham?

- Mam nadzieję, że pani jeszcze rozważy przyjęcie tej pracy. Obiecuję, że ani ja, ani Berty, ani ja nie będziemy już robić niestosownych uwag. I bardzo wysoko oceniam pani znajomość ogrodnictwa, zapewniam panią.

- Czyżby?

- To prawda, że tylko pani odpowiedziała na moje ogłoszenie, madame, ale nie ma to znaczenia. Wykona pani to zadanie znakomicie, jestem przekonany, mimo że pod wpływem słów Gilberta mogła pani w to wątpić. Nie znał prawdziwych powodów, dlaczego chciałem panią zatrudnić.

- Był zbyt pewny siebie.

Aleksander skłonił lekko głowę, przyznając jej rację, po czym ciągnął dalej:

- Jeśli pani nie podejmie się tej pracy, ogród zostanie taki, jaki jest. - Przerwał na chwilę. — Mam zamiar wyjechać z kraju za miesiąc z okładem, może na kilka lat, może na zawsze. Chcę sprzedać dom i dostać za niego przyzwoitą cenę. A więc, jak pani widzi, jestem w przymusowej sytuacji.

Znów zmrużyła swe czyste błękitne oczy.

- Do jakiego stopnia?

- Żeby przystać za każdą rozsądną cenę.

Oliwia rozejrzała się dokoła, badając wzrokiem otoczenie. Czy grała tak, żeby wytargować jak najwięcej? Nic go to nie obchodziło. Zależało mu na jej usługach.

- Nie wiem, panie Chaubere.

- A gdybym pani zaoferował tyle, że nie musiałyby pani pracować w klubie Harry'ego?

- A dlaczego pan sądzi, że nie chcę tam pracować?

- Z powodu facetów takich jak Jimmy Dan Petersen - odparł. - I tego, jak pani wyglądała ubiegłej nocy, obsługując ludzi.

- Widział mnie pan?

Skinął głową.

- Nie jest pani stworzona do podawania piwa w podejrzanych spelunkach. Każdy widzi.

Patrzyła w ziemię i nie mógł nic wywnioskować z wyrazu jej twarzy. Czy znów poczuła się urażona? Była taka inna niż kobiety, jakie znał, że nie wiedział, jak się wobec niej zachować. Nie może sobie pozwolić na to, żeby ją urazić. Wyszłaby natychmiast z tego ogrodu. Dla zachęty postanowił dodać jej jeszcze coś do oferty. Trzymał w zanadrzu jeszcze jedną kartę.

- A gdybym zaoferował pani darmowe zakwaterowanie? — odważył się.

- W pana domu?

- Nie, w powozowni. Mam miłe mieszkanie z dwiema

sypialniami nad garażem, gdzie zwykle zatrzymywał się du Berry, gdy przyjeżdżał do Londynu.

Widział, że szybko rozważa jego propozycję.

- Mam syna - oświadczyła. - Dziesięcioletniego.

- Jeśli będzie zajmował się swoimi sprawami — Aleksander wzruszył ramionami - mnie to nie przeszkadza. — Spojrzał na obrączkę na jej palcu zastanawiając się, dlaczego ani razu nie wspomniała o mężu. — A pani mąż? — spytał.

- Mój kto?

Wskazał palcem na jej obrączkę.

- Pani mąż. Czy też tu będzie mieszkał?

- Hm... nie.

Aleksander przyglądał jej się badawczo. Odzyskała szybko równowagę.

- On... ehm... nie ma go teraz w kraju. Jest inżynierem. Buduje mosty na całym świecie.

- Rozumiem. - Aleksander wyczuł, że nie mówi prawdy, ale nie był to czas po temu, żeby teraz jej dochodzić. — Czy chciałaby pani obejrzeć mieszkanie, zanim pani podejmie decyzję?

- Tak. - Podniosła głowę. - To jeszcze nie znaczy, że się na cokolwiek zgodziłam.

- Och, zupełnie zrozumiałe, madame.

Wskazał na prześwit w oleandrach i poszedł wraz z nią żwirową ścieżką w kierunku powozowni.

Gdy szli przez podwórze, zachodziło właśnie słońce. W złocistych promieniach domek w przeciwieństwie do rezydencji wydawał się bardzo przytulny i sympatyczny. Choć mury były równie stare, drzwi i okna pomalowano na biało. Na parterze mieścił się garaż na trzy samochody i coś w rodzaju biura czy warsztatu. Aleksander podszedł do bocznych drzwi i otworzył je.

- Proszę bardzo. - Wskazał jej drogę.

Weszła do małego przedpokoju z wieszakiem na ubrania i lustrem. Na przeciwko wejścia zaczynały się schody, prowadzące na piętro. Wchodząc po nich poczuła, że unosi się tu zapach świeżej farby, a nie wilgoci, jakiego spodziewała się w budynku, liczącym co najmniej dwieście lat. U szczytu schodów znajdowało się stylowe okno, na prawo od drzwi.

- Są nie zamknięte - odezwał się idący za nią

Aleksander. Otworzyła je i weszła do najbardziej uroczego mieszkania, jakie kiedykolwiek widziała. Ściany były białe, podłogi z wypolerowanych dębowych desek, a duża ilość okien sprawiała, że

było tu jasno i pogodnie. Mimo że mieszkanie znajdowało się na piętrze, pokoje były wysokie, zupełnie inne niż w mieszkaniach, w jakich dotychczas mieszkała. Pokój upiększały nieliczne, ale drogie meble.

- Urocze! - stwierdziła Oliwia. - Kto to urządzał?

- Du Berry, kiedy był na etapie miłości do prowincji i chciał, żeby wszystko miało rustykalny charakter. — Pokręcił głową. — Gilbert nigdy w życiu nie był na wsi ani tu, ani na starym kontynencie, jestem pewien.

Oliwia znów uśmiechnęła się i złapała na tym, że zbyt dobrze się czuje w towarzystwie Aleksandra, aby zachować urzędowy dystans. Postarała się więc, by uśmiech znikł z jej twarzy.

- Jadalnia jest na wprost, a kuchnia na prawo.

Oliwia przywiozła z sobą tylko ubrania, ulubione rośliny i drobny sprzęt w swej starej furgonetce, a pozostałe rzeczy zostawiła na przechowaniu w Seattle. Zresztą nic by nie pasowało do tego wnętrza, choć nie zważałaby na skażenie piękna, które było dziełem du Berry'ego. Niewątpliwie miał znacznie większy talent do urządzania wnętrz niż do języków. Miał nienaganny gust i Oliwii podobały się meble i obrazy, a także kremowa i bładoniebieska tapicerka i zasłony. Wszystko wyglądało jak modelowe mieszkanie z albumu o architekturze wnętrz. Była absolutnie oczarowana.

Zajrzała do kuchni, czując wciąż obecność kroczącego za nią Aleksandra. Z przyjemnością stwierdziła, że jest urządzona dość nowocześnie. Duże okno nad zlewozmywakiem wychodziło na tyły ogrodu, a nad dachami połyskiwała z dala rzeka Ashley. Oliwia stanęła zachwycona widokiem.

- Co się stało? - spytał Aleksander.

- Och — odpowiedziała rozpromieniona — chodzi o to, że wszędzie, gdzie dotąd mieszkałam, okna wychodziły na jakąś boczną uliczkę, parking albo inne domy. A tu jest tak inaczej, tu jest pięknie.

- Tu? - Podeszedł do niej. - Po prostu miasto.

-Ale takie piękne miasto, ten pański Charleston! Zauważyła, że przygląda jej się z dziwnym krzywym uśmieszkiem na ustach, i zreflektowała się, że niepotrzebnie była taka wylewna. To zupełnie nie w jej stylu.

- Jestem w Charleston tak długo, że już wielu rzeczy nie zauważam - tłumaczył się. - Trochę tak, jak tej złe umieszczonej statuetki w moim ogrodzie. — Popatrzył na nią, a później przez okno. — To bardzo odświeża, gdy patrzy się oczyma kogoś tak młodego jak pani, madame Travanelle.

Stała obok niego, patrząc na słońce znikające za dachami, i zastanawiała się nad tym, co powiedział. Nie był wiele starszy od niej, chyba że tak dobrze skrywał swój wiek. Mógł mieć niewiele ponad trzydzieści, najwyżej czterdzieści lat. Po chwili jednak znów poczuła niezwykle przepływ energii między ich ramionami i przerwała ciszę, przerażona swą reakcją na jego bliskość.

- A łazienka? - spytała zastanawiając się, czy on też odczuwa to dziwne pole elektryczne, czy to tylko jej wyobraźnia.

- Są dwie: jedna po drugiej stronie holu, a druga jest przy głównej sypialni.

- Przy głównej sypialni? — Oliwia z trudem ukrywała podniecenie. Nigdy jeszcze nie miała swojej własnej, prywatnej łazienki. Zajrzała więc do niej. Była białoniebieska. Następnie przeszli przez hol do dwóch sypialni, między którymi mieściła się garderoba. Aleksander najpierw pokazał jej mniejszą.

- Tutaj może mieszkać pani syn - powiedział. - Jak mu na imię?

- Richie. - Z zachwytem oglądała przestronny pokój z parapetem do siedzenia. Richie na pewno będzie uważał, że taki pokój to najlepsze, co mogło mu się przytrafić.

- Skrót od Richard? - spytał, wymawiając to imię po francusku.

- Tak, ale nikt tak na niego nie mówi.

- Niedługo wyrośnie z przezwiska. Pani musi mu to umożliwić.

Trochę ją ubodły te słowa.

- Co takiego?

Kobietom trudno czasem przyznać, że ich synowie wyra stają i wyrządzają im krzywdę, traktując ich jak małych chłopców.

- Może wcale nie będzie chciał, żeby mówić na niego Richard - odpowiedziała trochę zaniepokojona tym, że uznał, iż może wtrącać się do jej stosunków z Richiem. Nie mając bliskiej rodziny ani przyjaciół, Oliwia nigdy nie spotkała się z żadną krytyką ani radami dotyczącymi wychowania syna.

- Może - przyznał spokojnie.

- A główna sypialnia? - spytała lodowatym tonem, żeby zrozumiał, że pewne tematy nie podlegają dyskusji.

- Po drugiej stronie. Tędy.

Weszła za nim do jeszcze większego pokoju, w którym królowało olbrzymie łóżko z baldachimem. Jedna ściana wyłożona była lustrami, za którymi znajdowała się obszerna garderoba. Weszła do łazienki, z wanną i prysznicem, urządzonej w jasnych brązach. Pod świetlikiem nad wanną doskonale będzie się prezentować jej bostońska paproć, którą hoduje od siedmiu lat. Oparła ręce o dużą umywalkę i wiedziała z całą pewnością, że chce tu mieszkać. Będzie jak w luksusowym hotelu, jak na wakacjach, na które nigdy nie mogła sobie pozwolić.

- Na wiosnę robi się tu ciepło — wyjaśnił Aleksander, podchodząc do balkonowych drzwi. Otworzył je i gestem przywołał ją do siebie. - Po tej stronie jest balkon, który dochodzi aż do jadalni.

Oliwia weszła na wąski, obrośnięty zielenią balkon i owiał ją leciutki, ożywczy wiatr.

- Cudnie tu jest, panie Chaubere.

- Wiatr od portu będzie chłodził wieczorami pokoje, a

my, tutaj w Charleston, spędzamy wiele czasu na balkonach.

- Zauważyłam tę beczynność wieczorami.
- Czasami jest za gorąco, żeby robić cokolwiek. -

Wrócił do sypialni.

Przez chwilę wdychała jeszcze chłodne powietrze, pachnące wilgotną ziemią i wschodzącymi roślinami, swój ukochany zapach. Czowała się tu na miejscu, jakby odnalazła tu, w Charleston, właściwe dla siebie schronienie. Uczucie to było jej równie obce, jak ten dziwny prąd elektryczny, przepływający między nią a jej ewentualnym pracodawcą.

Ociągając się trochę, weszła do sypialni, gdzie czekał Aleksander.

- No więc? - spytał, patrząc na nią nieodgadnionym wzrokiem, przymknąwszy powieki. - Co pani o tym sądzi?

- Podoba mi się. Czy mam panu przedstawić kosztorys w ciągu dwóch dni?

- Może zamiast kosztorysu ja pani wyznaczę budżet w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów?

O mało się nie zakrztusiła.

- Dwudziestu tysięcy?

- Tak, będzie to obejmowało pani wynagrodzenie, plus materiały i inne usługi, jakie będą konieczne.

- Uważam, że to bardzo duża suma, proszę pana.

- Więc zgadza się pani? — Uniósł jedną czarną brew i kącił ust.

Popatrzyła gdzieś ponad nim.

- Dwadzieścia tysięcy i bezpłatne mieszkanie?

- Tak.

Serce jej waliło. Nie wierzyła własnemu szczęściu. Coś w tym chyba było, ponieważ wszystko wyglądało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Ale nie poczuła żadnych sygnałów alarmowych, jakie ją czasem ostrzegały i które później doceniała. Nie słyszała żadnych podszeptów dobrych duszków, żeby stąd pójść. Wzięła głęboki oddech i podjęła decyzję. Wyciągnęła rękę.

- Zatrudnił pan projektanta ogrodu.

- Wspaniale. - Uścisnął jej rękę mocnym gestem, który jej wcale nie zdziwił. — Może pani zacząć jutro?

- Jak tylko się urządzę.

- Nie chciałbym podkreślać, że bardzo mi zależy, żeby jak najprędzej było to zrobione. Czy może pani pracować sześć dni w tygodniu?

- Tak.

- Chciałbym, żeby główna część prac została zakończona jeszcze w marcu. Czy sądzi pani, że jest to możliwe?

- Może, ale najpierw muszę obejrzeć teren, nim dam panu jakiś termin.

- Dobrze. Zostawię domek jutro rano otwarty. Jeśli będzie mnie pani potrzebowała, proszę zostawić karteczkę na drzwiach do piwnicy. Wolę, żeby mi nie przeszkadzano w czasie pracy, wszystko uzgodnimy wczesnym wieczorem.

- Dobrze.

Oliwia zastanawiała się, czy Aleksander długo śpi rano, ale nie wyglądał na kogoś, kto się wyleguje. Może po prostu ma nietypowy rozkład dnia.

- Jeśli idzie o plany ogrodu, chciałbym je zobaczyć za kilka dni. I żeby nie było nieporozumień, proszę ze mną uzgodnić, co będzie chciała pani usunąć. Mam kilka rzadkich gatunków roślin, które chciałbym zachować.

- W porządku.

- Dobrze.

Zeszła za nim po schodach do podjazdu. Odwrócił się.

- Proszę tylko, żeby pani i syn szanowali mój spokój - ciągnął Aleksander z bardzo poważnym wyrazem twarzy. - Wolałbym, aby pani nie przyjmowała gości. Nie chcę, żeby ktoś się kręcił po domu i laboratorium. Mam bardzo skomplikowane wyposażenie, które pakuję, i nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

- Oczywiście, rozumiem.

- Dobrze, więc zobaczymy się jutro wieczorem, madame.

- Dobranoc.

Ruszyła drogą od garażu, gdy zatrzymał ją jego głos.

- Proszę uważać wieczorem po pracy — zawołał. — Niech pani nie wraca sama.

- Postaram się.

Pomachała mu ręką idąc do bramy i zastanawiała się, dlaczego Aleksander Chaubere uważa, że ma prawo udzielać jej rad. Jednak wcale nie była z tego powodu zła, wręcz przeciwnie, bardzo było jej miło, że ktoś się naprawdę zatroszczył o jej bezpieczeństwo. Nie zdarzało jej się to w życiu zbyt często. Przeszła przez bramę i udzieliła sama sobie nagany, że poddała się uczuciu, które potępiała u innych kobiet. Jasne, dlaczego Aleksander martwi się o nią. Nie dlatego, że zależy mu na niej, ale gdyby coś jej się stało, straciłby ogrodnika.

Oliwia pokiwała głową nad własną głupotą i szybko pomaszzerowała do domu, żeby opowiedzieć Richiemu, jakie będą mieli mieszkanie. Wprawdzie tylko na miesiąc albo trochę dłużej, ale za to jakie! I w dodatku zaoszczędzi trochę, nie płacąc komornego. Po drodze myślała, jak dobrze będzie im w tym mieszkanku. A najważniejsze, że jej były mąż, Boyd Williston III, nigdy ich nie znajdzie w tej pozornie opuszczonej posiadłości Chaubere'a.

Rozdział 4

Boyd Williston III. Nie myślała o nim od lat. Był kiedyś okres, dawno temu, kiedy wierzyła, że jego przystojna nordycka twarz wyryła się w jej pamięci na zawsze. Miała wtedy siedemnaście lat, była „nowa” w Seattle, niewinna i przekonana o tym, że miłość pokona wszystko, a Boyd zostanie z nią na zawsze. Życie ją nauczyło czego innego, „prawdziwa miłość” nie zawsze jest taka prawdziwa, a ludzie mówią rzeczy, w które niekoniecznie wierzą.

Poznała Boyda na początku liceum, gdy jej matka przeprowadziła się do Seattle po okropnym spotkaniu z ojcem. Od chwili, gdy Boyd Williston ją ujrzał, był zawsze koło niej. Bardzo jej to imponowało, bo był nie tylko przystojny, ale też inteligentny i aktywny we wszystkich dziedzinach szkolnego życia. Był kapitanem drużyny piłkarskiej i przewodniczącym samorządu szkolnego. Jako jego dziewczyna zyskała wielką popularność i dwa lata, które mogły być straszne dla nowej dziewczyny w szkole w wielkim mieście, wspominała jak jedno pasmo zabaw, tańców i bardzo czułych randek na tylnym siedzeniu samochodu Boyda.

Jednak z miesiąca na miesiąc coraz mniej bawiło ją towarzystwo, w jakim się obracał, zresztą nigdy nie czuła się w pełni przez nie zaakceptowana. Uważała zresztą, że większość z jego przyjaciół jest nastawiona przesadnie materialistycznie i egocentrycznie, a to ją denerwowało. Dziewczyny rozmawiały tylko o ciuchach, chłopcach i najnowszych kosmetykach, a chłopcy opowiadali odgrzewane dowcipy i flirtowali z nią, gdy tylko Boyda nie było w pobliżu. Byłaby równie szczęśliwa, wybierając sobie przyjaciół sama i bardziej uczestnicząc w życiu szkoły. Było dużo ciekawych rzeczy, w które się zaangażowała: kółko teatralne, szkolna gazetka i chór. Udało jej się zresztą utrzymywać cały czas piątkową średnią ocenę i nie chciała jej stracić, wybierając propozycje Boyda zamiast odrabiania lekcji, choćby nie wiem jak bardzo prosił w ciągu tygodnia. Czasami zgadzała się, by razem odrabiali lekcje, ale Boyd nigdy nie potrafił utrzymać rąk przy sobie i kiedyś niemal straciła cnotę w kuchni, podczas gdy matka siedziała i szyła w pokoju na górze.

Pewnego wieczoru, w ostatniej klasie, gdy zaparkowali w swym ulubionym miejscu, z widokiem na jezioro Washington, była w wyjątkowym nastroju. Przepelniała ją miłość do Boyda, byli po udanym przyjęciu, otaczał ich blask księżyca. Nie zastanawiała się nad przyszłością, lecz zrobiła to, co wydawało jej się nieuniknione — oddała się Boydowi. Wszystkie znane jej książki i filmy utwierdziły ją w przekonaniu, że powinna w jego ramionach odczuwać ekstazę, że kobiety krzyczą w takich chwilach z rozkoszy.

Ale nic takiego nie przydarzyło się z Boydem. Owszem, było to dość przyjemne doświadczenie, chociaż nieporadne. Było im niewygodnie, byli spoceni, zupełnie nie to, czego oczekiwała. Nie powiedziała mu jednak nic, przekonana, że winę ponosi ona, ignorantka w tych sprawach, gdyż Boyd wydawał się niezwykle zadowolony.

Mimo że pierwsze doświadczenie pozostawiło w niej rozczarowanie i pustkę, cieszyła się, że może mu dawać taką radość w przekonaniu, że go bardzo kocha. Nie wątpiła również w jego uczucie. Po pierwszym razie nie było sensu mu odmawiać, zresztą pragnęła jego bliskości, tak jak on pragnął jej. Kochali się przy każdej okazji i chociaż nigdy nie osiągnęła żadnej ekstazy, lubiła być w jego ramionach, dotykać jego wysportowanego ciała i całować go godzinami. Była jednak bardzo ostrożna, liczyła wszystkie dni cyklu, zdając się na naturalną metodę kontroli. Nigdy nie odważyłaby się poprosić mada o zaprowadzenie jej do ginekologa po jakieś środki antykoncepcyjne, a Boyd nie lubił prezerwatyw.

Wraz ze zbliżeniem seksualnym ich związek pogłębił się i przez wiele miesięcy żyła w stanie uniesienia uważając, że panuje nad sytuacją, pewna, że Boyd Williston III jest wszystkim, czego pragnie. Z niektórych jego aluzji wywnioskowała, że planuje jakąś wspólną przyszłość. Całymi godzinami pisała swoje imię z jego nazwiskiem. *Oliwia Willinston. Pani Boydowa Williston. Pani Oliwia Williston.*

Na wiosnę, w ostatniej klasie, nie doczekała się miesiączki. W kwietniu, podejrzewając, że jest w ciąży, poszła w końcu do kliniki, gdzie badania potwierdziły jej obawy. Przestraszona, nie mogła się doczekać, żeby podzielić się z Boydem tą wiadomością, zrobiła to dopiero w jego urodziny.

Z początku patrzył na nią przez niewiarygodnie długą chwilę, a następnie wbił się w fotel w ich ulubionej knajpce z hamburgerami. Na jego bladej twarzy pojawił się wąty uśmiech, jakby wziął do ust coś podejrzanego i nie wiedział, czy to połknąć, czy wypluć,

- Boyd! - ponagliła go, obruszona jego reakcją.

Miała nadzieję na radosny uśmiech lub czuły gest, a nie ten niepewny uśmieszek.

- Boże, Oliwia. - Przejechał językiem po suchych wargach i znowu próbował się uśmiechnąć, ale był to raczej grymas. - Co za niespodzianka! To znaczy, to wspaniałe... i w ogóle... ale...

- Myślałam, że się ucieszysz. - Głos jej zadrżał. - Wiem, że nie planowaliśmy tego i że to skomplikuje nam życie, ale pomyśl tylko, Boyd! Tu, we mnie, rośnie malutkie dziecko. Nasze dziecko!

- Taa... - Popatrzył na nią, ale stolik zasłaniał ją od pasa

w dół. - Trudno w to uwierzyć, jak nic nie widać. - Zaśmiał się sztywno i zaczął wiercić w fotelu.

- Ale poradzimy sobie, prawda, Boyd? Przecież się kochamy, a to najważniejsze.

- No, jasne. - Pochylił się do przodu, oparłszy łokcie na stoliku. - Ale do licha, Oliwio, to nie jest odpowiedni moment na dzieci.

- Dlaczego? Zdążę już skończyć szkołę. Nawet nie będzie widać na wręczeniu świadectw.

- Ale ja nie mogę jeszcze być ojcem. Jestem za młody. Zaczęła nieco nerwowo miąć w palcach serwetkę.

Zniżyła

głos.

- Nie byłeś za młody, żeby się ze mną kochać.

Patrzył na stół.

- Jesienią idę na studia do Stanford. Nawet mnie tu nie będzie, kiedy dziecko się urodzi.

- Dlaczego nie mogę jechać z tobą? Możemy być razem, a ty możesz studiować, jak planowałeś.

Patrzył na nią, jak gdyby powiedziała jakąś najdziwniejszą rzecz na świecie.

- Pojechać do Stanford z żoną i dzieckiem?

- Dlaczego nie?

- Oliwio, będę mieszkał w akademiku, chcę grać w piłkę i mieć trochę przyjemności. To jest najlepszy okres w życiu faceta. Nie byłby taki, gdybym musiał wieczorem wracać do domu i patrzeć, jak przewijasz dziecko.

Oliwia była przerażona.

- To co ja mam zrobić? Siedzieć tutaj w Seattle, pozwolić ci się bawić i czekać, aż wrócisz?

- Nie wiem! - Zwinął w kulkę paperek od słomki. - Do diabła, Oliwio, skąd mam wiedzieć? - Rzucił kulkę na stół. - Myślałem, że się pilnujesz.

- Pilnowałam!

- No, to co się stało?

- Nie wiem. Nie sądzę, żebym się pomyliła.

- Musiałas coś pokręcić. A teraz chcesz mnie pogrążyć.

- Pogrążyć cię? — Oliwia starała się mówić cicho, żeby inni goście ich nie słyszeli. - Boyd, we mnie rośnie dziecko. Zrobiliśmy je przecież razem. Jesteśmy oboje za nie odpowiedzialni.

- Mówiłaś, że można, że wszystko w porządku...

- Ale nie było! Coś się stało!

- Stało się! - Boyd nagle wstał.

- Dokąd idziesz? - spytała przerażona, że sobie pójdzie i nigdy nie wróci. - Boyd!

- Dziękuję za urodzinową niespodziankę. — Odsunął jej rękę i cofnął się. - Bardzo dziękuję.

Podszedł do drzwi restauracji, zostawiając roztrzęsioną Oliwię przy stoliku. Nie brała tego pod uwagę, że Boyd może odrzucić ideę ojcostwa. Taka była pewna jego miłości.

Gdy tak stała w przejściu między stolikami, zorientowała się, że różni ciekawscy odwracają głowy, by się jej przyjrzeć. Zawstydzona, załamana, wzięła ze stolika rachunek i torebkę i poszła do wyjścia. Idąc do domu, zastanawiała się, co zrobiłaby, gdyby Boyd naprawdę ją zostawił. Jak sobie poradzi? Musiałaby przyznać, że wpakowała się w taką samą sytuację jak osiemnaście lat temu jej matka, która musiała wyjść za mąż przed ukończeniem szkoły średniej.

Po trzech dniach pojawił się Boyd, zabrał ją na przejażdżkę i powiedział, że okropnie się czuł po ich kłótni. Przemyślał wszystko i chce to z nią omówić, a nawet się z nią ożenić, jeśli jej na tym zależy. Znowu kochali się w samochodzie i nigdy jeszcze nie spędziła tak cudownego, pełnego czułości wieczoru. Kilka dni później Boyd oznajmił, że jego rodzina chce ją poznać. Została zaproszona na herbatę do domu Willistonów nad jeziorem Washington. Dotychczas nie wyrażali najmniejszej chęci poznania jej, więc uznała ten fakt za przełomowy w ich wzajemnych stosunkach.

W dniu herbatki Boyd przyjechał po nią, uśmiechnięty, ale jakby z lekkim dystansem.

- Spodoba im się? — spytała Oliwia, powoli obracając się, żeby zaprezentować swą nową sukienkę, kupioną specjalnie na tę okazję.

— Jasne. — Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie. - Szaleję za tobą, wiesz - szepnął jej do ucha. Poczowała słaby, ale całkiem łatwy do zauważenia zapach marihuany na jego ubraniu. Odsunęła się.

— Palisz trawkę?

— No i co z tego?

— Twoi rodzice nie zauważą?

— Za diabła. Nic nie zauważają. Zobaczysz.

Po drodze mijał jej cudowny nastrój. Od kiedy Boyd pali trawkę? Znała go na tyle dobrze, żeby zauważyć jego przybraną, niefrasobliwą pozę, którą zazwyczaj pokrywał zdenerwowanie. Czy bał się tego spotkania ze swoimi starymi? Obawiał się, że mu przyniesie wstyd? Nie pochodziła wprawdzie z takiej bogatej rodziny jak on, ale była inteligentna, pracowita, zdolna i nie uważała się za gorszą, choć pochodziła z klasy średniej. Ale czy Boyd też tak uważał?

Spojrzała na niego, na idealny nordycki profil, na doskonale ostrzyżone włosy, leciutko opadające na czoło. Wyczuł jej spojrzenie i odwrócił się z uśmiechem. Poszukał jej ręki, ścisnął lekko i położył na udzie.

— Denerwujesz się? — spytał.

— Trochę.

Znów skupił uwagę na szosie. Jechali wzdłuż jeziora, ale wkrótce skręcili w drogę prowadzącą do dużego domu w stylu kolonialnym nad wodą.

Jak opowiadał jej Boyd, był to raczej symbol chłodu niż prawdziwy dom, a jego rodzice równie sztywni, jak marmurowe kolumny u wejścia na schody. Przyznawał przynajmniej, że pieniądze nie przyniosły jego rodzinie szczęścia. Cieszyła się, że dzięki niej nauczył się oceniać ludzi po ich charakterze, a nie ze względu na ich stan posiadania. Ale czy to wystarczyło, by myślał samodzielnie, niezależnie od rodziny? Nie była pewna. Boyd podjechał z boku olbrzymiego domu i zaparkował. Zwrócił się do niej.

—Pozwól, że ja się nimi zajmę - ostrzegł. - Znam ich.

Wzięła torebkę do ręki.

- Co to znaczy „zajmiesz się”?
- Ja będę z nimi rozmawiał, dobrze?
- Dobrze.

Otworzyła drzwiczki i wyszła. Boyd podprowadził ją do schodów, a kiedy na nie wchodziła, rósł w niej gniew z każdym pokonywanym stopniem. Dopiero teraz doszło do niej, co właściwie powiedział. Nie chciał, żeby się odzywała. Uważał, że nie potrafi się zachować.

Gdy weszli do głównego holu, Oliwia spojrzała na połyskujący kandelabr, a następnie wzrok jej powędrował na drugą stronę pomieszczenia z imponującymi schodami, wzdłuż których błyszczała polerowana dębowa balustrada. Nagle jej nowa sukienka wydała jej się nieodpowiednia, buty też niewłaściwe i zauważyła, że pasek od torebki jest zupełnie wytarty. Schowała pasek i wzięła torebkę do ręki, wyprostowała się i powiedziała sobie, że jest dumna z tego, kim jest.

Wprowadził ją do pokoju ze wspaniałym widokiem na jezioro. Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała szkło. Przeszła przez próg i stopy jej utonęły w cudownie puszystym kremowym dywanie. Wszystkie meble miały białą tapicerkę i szklane i mosiężne akcenty. Ściany też utrzymane były w mlecznym kolorze. Jedynym kolorowym punktem była kompozycja z różowych róż na stolyczku do kawy. Nie był to pokój zamieszkały, taki, w którym można usiąść wygodnie z nogami w górze. Oliwia zastanawiała się, jak pokój może być taki sterylny i jak można żyć w takim miejscu. Jej wrodzona rezerwa jeszcze się pogłębiła. Zauważyła dwoje ludzi stojących przy barku.

- No, jesteś wreszcie, Boyd - powitał go ojciec. Podszedł bliżej. Był trochę niższy od syna i bardziej krępy,

ale doskonale skrojony garnitur maskował niedostatki figury. Wyciągnął rękę i uściskał dłoń syna, mierząc wzrokiem Oliwię. Zdziwiła się, że ojciec tak się z nim wita, jakby się nie widzieli od tygodni.

- A to pewnie Oliwia. - Uśmiechnął się przelotnie. Zauważyła, że uśmiech zawisł na jego ustach, ale nie zdołał rozjaśnić jego jasnoniebieskich oczu.

- To jest mój ojciec, Boyd Williston senior - powiedział Boyd.

- Miło mi pana poznać, sir. - Mimo jego widocznej rezerwy, Oliwia wyciągnęła do niego rękę. Wyraźnie go to zdziwiło, ale szybko zorientował się i bardzo lekko ujął jej dłoń, jak to robią niektórzy witając się z kobietą, czego Oliwia nie znosiła.

- Bardzo mi miło — mruknął.

Oliwia popatrzyła przez ramię na drobną kobietę w tle, której wąskie, zaciśnięte usta tworzyły ciekawą kreskę na drobnej, nieszczęśliwej twarzy. Ubrana była w szarą wełnianą sukienkę z artystycznie związaną granatowo-popielatą apaszką. Jeden rzut oka na matkę Boyda i Oliwia już wiedziała, że wchodząc do tego sterylnego pokoju przekroczyła krąg polarny. Nie znajdzie sojuszniczki w pani Williston.

- Mamo - powiedział Boyd - to jest Oliwia Martin.

- Jak się masz? — odezwała się pani Williston tonem, który pytanie zmienił w stwierdzenie.

- Miło mi panią poznać.

- Martin - zawahała się, szukając w pamięci. - Jest taka pani Martin, która zajmuje się roślinami w domu mojej znajomej. Chyba Barbara Martin. Jakaś krewna?

- Tak.

Oliwia uniosła głowę. Jej matka prowadziła jednoosobową firmę, zajmującą się pielęgnowaniem roślin doniczkowych w bogatych domach. Choć praca była ciężka, a klienci czasami nieprzyjemni i bardzo wymagający, matka zawsze potrafiła zapewnić córce i sobie utrzymanie. Oliwii szalenie imponowała zaradność matki i miała dla niej za to duży szacunek, niezależnie od tego, co robiła. Barbara Martin była zdolna i pracowita, ale brak jej było kwalifikacji, gdyż za wcześnie musiała się zająć wychowywaniem dziecka. Alkoholizm męża zmusił ją do harowania dla bogaczek, jak pani Williston. Nie wystarczało już jej czasu i energii, by zadbać o siebie i zdobyć wykształcenie.

- Barbara Martin to moja matka.

- Doprawdy? - Pani Williston poprawiła piękną, drobną

dłonią kosztowną apaszkę, rzucając mężowi ponure spojrzenie. — Cóż za zbieg okoliczności! Jaki ten świat jest mały, prawda, panno Martin? Mój syn spotyka się z córką ogrodniczki mojej przyjaciółki.

Oliwia jeszcze wyżej uniosła głowę.

- Nie jest ogrodniczką...

- Wszystko jedno. - Pani Williston machnęła ręką. - Może powinnam podkraść Sylwii pani matkę, żeby zajęła się moimi roślinami. Firma, która je pielęgnuje, ma takich leniwych pracowników. Mówię pani, tak trudno jest teraz

o jakąś przyzwoitą pomoc.

Oliwia usiłowała powstrzymać rumieniec gniewu. Jej marka nie była służącą, tylko businesswoman. Ale jaki sens spierać się z panią Williston, która wyraźnie nie widziała różnicy. Tak chciała, żeby Boyd wziął ją za rękę, dotknął albo wykonał jakiś gest, osłaniający ją przed tą kobietą. On jednak stał z boku, jakby nie zauważał, że mamusia subtelnie dokopuje się pozycji społecznej Oliwii.

- A co z pani ojcem? - ciągnęła pani Williston. - Czym się zajmuje?

- Mój ojciec? — Oliwia poczuła się niepewnie przy rozmowie na temat ojca. - Jest... jest rybakiem.

- Doprawdy? Ma swoją łódź?

- Nie, pływa na Alaskę i w inne takie miejsca.

- Odważny człowiek. — Pani Williston przyłożyła dłoń do ust, jakby chciała ukryć ziewnięcie, i znów się uśmiechnęła. - Herbatę podadzą za kilka minut. Może pani się rozgości i usiądzie wygodnie.

Wygodnie? Oliwia popatrzyła na twardą białą kanapę. Jak w ogóle można się czuć wygodnie w tym pokoju? Jego wystrój odzwierciedlał osobowość gospodyni, chłodnej i niegościnniej, w każdym razie w stosunku do osób o niższym statusie społecznym. Już chyba wolałaby usiąść na bryle lodu.

Oliwia starannie wybrała miejsce do siedzenia. Nie chciała siadać na kanapie na wypadek, gdyby tam właśnie ulokowała się pani Williston do nalewania herbaty. Odchylany fotel wydał się miejscem odpowiednim dla pana Willistona, wybrała więc lżejsze krzeselko z twardym siedzeniem i usiadła na nim ostrożnie. Boyd stanął za nią i położył ręce na oparciu krzesła. Nie była pewna, czy chciał się w ten sposób schronić, czy dodać jej otuchy. Ukryła torebkę za nogą krzeselka w nadziei, że nie będzie widać, jaka jest zniszczona.

Nikt się nie odzywał. Pani Williston zajmowała się swą brylantową bransoletką i wygładzaniem zagniecenia na sukni, a jej małżonek, sądząc po intensywności wpatrywania się w jezioro, zauważył tam coś niezwykle interesującego. Oliwia pokręciła się na krześle, założyła nogę na nogę, ale prędko przypomniała sobie, że to nieelegancko, i złączyła tylko nogi w kostkach, starając się odprężyć. Spędziła w ten sposób najdłuższe trzy minuty w życiu.

W końcu do pokoju weszła pokojówka z tacą, przerywając nieznośną ciszę. Wszyscy obserwowali panią Williston nalewającą herbatę, jakby była to najwspanialsza czynność, jaką kiedykolwiek widzieli. Oliwia odebrała od niej delikatną filiżankę ze spodeczkiem i modliła się, żeby głośnym szczęknięciem porcelany nie uwidocznic swego stanu psychicznego. Zdołała jakoś utrzymać filiżankę we właściwej pozycji i odczekawszy, aż wszyscy zostaną obsłużeni, upiła łyk.

Podczas kolejnej nabrzmiałej ciszą chwili, podczas której pan Williston brał do herbaty cukier i śmietankę, a jego żona w milczeniu oferowała herbatniki, którymi nikt się nie poczęstował, ojciec Boyda znów siadł w fotelu.

— A więc — zaczął, odchrząknąwszy w serwetkę — Boyd powiedział nam, że znalazła się pani w trudnej sytuacji.

- Sytuacji? - powtórzyła Oliwia zapominając, że obiecała Boydowi, że pozwoli jemu mówić.

Trącił ją prawą ręką w ramię przypominając, że ma być cicho, ona jednak, zdumiona, nie uchwyciła sygnału. Oczekiwała rozmowy na temat małżeństwa, a nie ciąży i poczuła się zdradzona przez Boyda, który powiedział im o jej stanie, nim mieli okazję ją poznać. Na pewno wyrobili już sobie opinię na jej temat.

- Doprawdy, panno Martin - wtrąciła się pani Williston musi pani przyznać, że pani stan jest kłopotliwy dla nas wszystkich, ale szczególnie dla pani.

Oliwia odstawiła filiżankę, żeby zaprotestować, ale Boyd jej przeszkodził.

- Oliwia o tym wie, mamo. Nie jest naiwna.

- Oczywiście, kochanie, ale może nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Posiadanie dziecka wymaga ogromnej odpowiedzialności, nawet od przygotowanej do macierzyństwa kobiety. - Upiła łyk herbaty i starannie odstawiła filiżankę na spodeczek. — Jest to trudne nawet wtedy, gdy ma się właściwe warunki, jest się małżeństwem, z urządzonym domem i dochodem pozwalającym na utrzymanie rodziny. Pani tego wszystkiego nie ma. Nie chcemy, żeby pani cierpiała. Nie chcemy, żeby ktokolwiek niepotrzebnie cierpiał. — Pani Williston przechyliła głowę i uśmiechnęła się, ale spojrzenie miała zimne.

- A Boyd nie powinien być obarczony dziećmi na tym etapie życia - ciągnął pan Williston. - Musi kontynuować swoją edukację.

- Wiemy, że to trudny okres, panno Martin, bardzo trudny

—mówiła dalej pani Williston, ustawiając filiżankę ze spodeczkiem na tacy. — Żeby to pani ułatwić, nie będziemy dochodzić kwestii ojcostwa.

Oliwia zrobiła wielkie oczy.

- Ojcostwa? — szepnęła, gdy zrozumiała, co powiedziała matka Boyda. Skoczyła na równe nogi, kładąc rękę na brzuchu.

— Myśli pani, że to dziecko może nie być Boyda?

Jego rodzice popatrzyli na nią ze spokojem, nie spłoszeni tym ostrym pytaniem. Pani Williston osuszyła serwetką kąciki swych ust.

- W niektórych przypadkach trudno być pewnym.

Oliwia czuła, jak płoną jej koniuszki uszu.

- Proszę pani! Proszę przyjąć do wiadomości...

-Musi pani zrozumieć naszą troskę o Boyda. Wie pani, niektóre dziewczyny traktują ciążę jak jakąś broń. Oczywiście, pani nie zrobiłaby czegoś takiego. Wydaje się pani miłą osobą.

Oliwia nie wierzyła własnym uszom. W ich oczach ona była rozpustnicą, a ich synek niewinną ofiarą. Ogarnęły ją wściekłość i żal. Wściekłość, że pomyśleli, że mogła spać jeszcze z kimś oprócz Boyda, i żal, że sama wpakowała się w taką sytuację. Pewnie uważają, że chciała Boyda złapać i specjalnie zaszła w ciążę. Dlaczego Boyd jej nie broni?

Odwróciła się od niego.

- Boyd!

Pan Williston wstał.

- Niech się pani uspokoi, młoda damo. Nie ma się co denerwować. Chcemy pani pomóc.

- A w jaki mianowicie sposób? - Wpatrywała się w niego, nie odrywając wzroku.

Ci ludzie byli mistrzami w unikaniu kontaktu wzrokowego, a ona nie miała zamiaru spuścić Willistona z haczyka.

- Cóż... — zaczął, przeciągając ręką po włosach. — Możemy zająć się rozwiązaniem tego problemu.

- Problemu? — odparowała Oliwia. — To nie problemem trzeba się zająć. Mówimy tu o istnieniu ludzkim!

- Oczywiście, panno Martin - zgodziła się pani Williston spokojnie, nie unosząc głosu. — Szanujemy życie ludzkie, oczywiście. Ale cóż za życie będzie pani mogła zaoferować temu dziecku? A jakie życie będzie pani sama miała? Jest pani prawie dzieckiem.

Oliwia nie mogła uwierzyć w sens jej słów. Willistonowie chcieli ją namówić na aborcję. Chcieli, żeby pozbyła się dziecka. To, co ją spotkało w domu Willistonów, przekraczało jej najgorsze przypuszczenia. Miała nadzieję poznać rodziców Boyda, porozmawiać o planowanych studiach. Spodziewała się, że będzie obserwowana i oceniana - ale nie przypuszczała, że tak ją potraktują.

- Chcemy pani pomóc jakoś znieść tę przykrość - odezwał się po dłuższej przerwie gospodarz - ze względu na Boyda.

Wiemy, że nie chce, aby pani cierpiała. Umówiliśmy doskonałego specjalistę i jest zarezerwowane miejsce w hotelu na przedłużony weekend na Dzień Pamięci. Może pani pojechać z jakąś przyjaciółką. Kilka dni i będzie po wszystkim.

- Kilka dni! - wykrzyknęła Oliwia. - Chcecie, żebym pozbyła się swojego dziecka i wyjechała na wakacje? - Czuła, jak jej płoną policzki. — Myślicie, że zapomnę o tym w ciągu kilku dni wakacji?

- Rozumiem, że teraz trudno się pani z tym pogodzić -pani Williston ułożyła ręce na kolanach — ale w perspektywie tak będzie najlepiej dla wszystkich

zainteresowanych.

- Nie dla dziecka! — Oliwia prawie wrzasnęła.

Czy tylko ona jedna w tym pokoju ma jakieś ludzkie uczucia? Jak mogą mówić tak spokojnie o odbieraniu życia dziecku?

- Boyd? - Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz. Mówił przecież o małżeństwie. Jeśli o nią idzie, rozwiązałoby to większość ich problemów. Dlaczego się nie odzywa? — Nie mówiłeś rodzicom o naszych planach?

Pan Williston uniósł głowę.

- Jakich planach, Boyd?

Oliwia zobaczyła, jak Boyd zbladł, i zrozumiała, że nic nie mówił, bo się bał, a może w ogóle się rozmyślił. Odwrócił wzrok i patrzył w podłogę. W tym momencie jej miłość zaczęła topnieć, gdy zobaczyła po raz pierwszy, jak zachowuje się w trudnej sytuacji. Łatwo było uchodzić za silnego w stroju futbolowym, wśród studentów, gdzie do sukcesu wystarczało przestrzeganie reguł gry, zdolności sportowe i urok osobisty. Sukces był dla Boyda Willistona III czymś łatwo osiągalnym. Nigdy jednak nie musiał poddawać próbie swego charakteru i systemu wartości. Nigdy, aż do tej chwili. Oliwia, widząc jego spuszczonego wzrok i słysząc milczenie, wiedziała, że nie zdał egzaminu.

- Nie brałeś chyba pod uwagę małżeństwa? - spytała pani Williston ze zdumieniem.

Boyd zaszurał nogami za krzeselkiem Oliwii.

- No, prawdę rzekłszy, mieliśmy...

- Boyd, to po prostu nie wchodzi w grę. Jesteście zbyt młodzi.

- Ale jeśli ja...

- Nie, synu. - Pan Williston potrząsnął głową. - To szlachetny gest, ale nie możemy pozwolić, żebyś sobie zrujnował życie.

- Więc małżeństwo ze mną zrujnowałoby mu życie? — zapytała Oliwia, zwracając się do jego rodziców. — Tak państwo uważają?

- Oczywiście, że nie, moja droga. — Pani Williston uśmiechnęła się, a Oliwii już się niedobrze zrobiło od jej fałszywych uśmiechów. - Po prostu chcemy, żeby miał jak największe możliwości w życiu, a wczesne małżeństwo bardzo je ograniczy. Chyba pani rozumie?

Oliwia słuchała tych lukrowanych słów i wiedziała, co to oznacza. Pani Williston mogłaby ją równie dobrze uderzyć. Oliwia nie była dość dobra dla ich syna. Nie miała odpowiedniego rodowodu, środowiska ani majątku, żeby stanowić odpowiednią parę dla ich synalka. Choćby była nie wiem jak inteligentna i pracowita, nigdy nie będzie mogła zostać członkiem rodziny Willistonów. Nigdy w życiu nie czuła się tak urażona i nigdy nie była tak bardzo rozczarowana i samotna. Widziała to równie wyraźnie, jak

nienagannie czysty szklany stolik koło swojej nogi. Złapała leżącą na podłodze torebkę i wyprostowała się.

- Proszę się nie martwić o poziom życia swojego wnuka - rzuciła. — Poradzę sobie z tym sama.

Nim ktokolwiek zdołał powiedzieć coś jeszcze na temat jej charakteru i rodziny, przemaszerowała przez nieskazitelnie czysty kremowy dywan do dużych drzwi na końcu pokoju.

- Oliwio! - zawołał za nią Boyd. - Zaczekaj.

Słyszała jego kroki za sobą, ale go zignorowała. Był ostatnią osobą, jaką chciałaby widzieć. Wypadła z domu, starając się powstrzymać płacz, z głębokim postanowieniem powrotu do domu pieszo, chociaż zajęłoby to jej kilka godzin.

- Oliwio!

Boyd zbiegł za nią po schodach. Schwycił ją za rękę, ale go odepchnęła.

— Odejdź ode mnie.

— Oliwio! - Podbiegł z przodu i złapał ją za ramiona. - Daj mi trochę czasu.

— Dlaczego? Oni mi nie dali dojść do słowa!

— Chcę się z tobą ożenić. I zrobię to, jak tylko oni spojrzą na sprawę z naszej strony.

— Nigdy nie spojrzą z naszej strony, a już na pewno, jak będziesz tak stał jak kołek. Jak mogłeś pozwolić, żeby wygadywali do mnie takie rzeczy i tak mnie traktowali!

-Jak?

Oliwia przyjrzała mu się. Jego ton brzmiał tak niewinnie.

— Jak co, Oliwio?

— Potraktowali mnie jak śmieć.

— To dlatego, że cię nie znają.

— I dlatego mają prawo traktować mnie jak śmieć? —

Była zła, urażona i z trudem powstrzymywała łzy.

— Załatwię to, Oliwio. Jakoś to załatwię, obiecuję. Tylko nie płacz.

— Nie płaczę. — Uniosła twarz i zamrugała powiekami.

— Odwiozę cię do domu. Porozmawiamy. - Uniósł jej brodę wskazującym palcem. — Kochasz mnie wciąż?

— Oczywiście, że kocham. — Westchnęła.

Czuła jednak w swych słowach coś pustego i wiedziała, że jej miłość do niego słabnie i nigdy nie będzie już taka silna i czysta jak kiedyś. Spojrzała na jego twarz i błękitne oczy i po raz pierwszy zrozumiała, że Boyd jej potrzebował. Potrzebował jej miłości, bo nie mógł jej dostać nigdzie indziej. Ale czy to wystarczający powód, żeby być razem?

Zadowolony z zapewnienia o niezmiennej miłości, pocałował ją lekko w usta i zaprowadził do samochodu. Odwioził ją do domu. Myślała, że po drodze porozmawiają, ale on milczał, a ona nie miała na nic ochoty. Marzyła tylko, żeby

wrócić do domu, położyć się na łóżku i płakać. Opanowało ją uczucie zwątpienia, czuła, że jej przyszłość rysuje się zupełnie jak skok w ciemność, nawet jeśli Boyd zdecydowałby się przeciwstawić rodzicom i ożenić się z nią. Po dzisiejszym dniu nie była wcale pewna, czy chciałaby za niego wyjść. W dodatku nigdy już nie będzie wiedziała na pewno, czy go kocha, bo będzie musiała za niego wyjść nie z miłości. Od teraz każda jej decyzja będzie podporządkowana odpowiedzialności za dziecko. Nie może kierować się uczuciami. Będzie musiała słuchać głosu rozsądku i nauczyć się przedkładać cudze potrzeby nad własne. Tego popołudnia wyraźnie odczuła, że wyrosła z wieku dojrzewania, i zastanawiała się, czy Boydowi kiedykolwiek się to przydarzy.

Oliwia stała przy schodach prowadzących do mieszkania Sherry. Tak była pogrążona w rozmyślaniach nad przeszłością, że nawet nie zauważyła, jak tu doszła od domu Aleksandra Chaubere'a. Teraz, gdy patrzyła na historię z Boydem z perspektywy lat, widziała prawdę. Przez cały czas, jaki z nim spędziła, brała jego głód uczucia za miłość. Jak mogła być tak ślepa? Pokręciła głową. Ich małżeństwo trwało zaledwie kilka tygodni, aż naciski ze strony Willistonów i jej rozczarowanie jego słabym charakterem doprowadziły do jego odejścia. Zostawił ją w ciąży, zdesperowaną, i nigdy się więcej nie pokazał. Wychowując syna, Oliwia sama powoli dorastała. Nigdy już nie będzie taka naiwna.

Przez dziesięć lat potrzeby Richiego były na pierwszym planie. Przez dziesięć lat poświęcała cały swój czas i siły, by zapewnić byt dziecku. Było to bardzo trudne, Willistonowie nie dawali ani grosza i czuła się bardzo samotna. Czasami była tak zmęczona, że wątpiła, czy wytrzyma dłużej. Richie jednak dodawał jej sił. Od chwili gdy usłyszała jego pierwszy płacz, oddała mu serce i duszę. Powoli, stopniowo, życie zaczynało im się układać.

Oliwia położyła rękę na gałce od drzwi i spojrzała na pierwsze piętro, gdzie jej syn jadł pewnie kolację z sąsiadką. Jej syn. Syn, którego Boyd starał się teraz, po dziesięciu latach, odnaleźć. Wysłał detektywa, który zaczął węszyć w jej miejscu pracy i zamieszkania w Seatle, rozpytując o Richiego. Dlaczego teraz, po tylu latach? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że stypendium przyznane jej na studia w Charleston przyszło w samą porę, dzięki czemu wynieśli się z Seatle, nim Boyd zdołał do ich dotrzeć. Nie pozwoli, żeby Willistonowie wkroczyli w życie Richiego. Ani teraz, ani nigdy. Nie zasłużyli na to.

Postanowiła nie rozmyślać dłużej o Boydzie i ruszyła na górę. Richie będzie zachwycony, gdy dowie się o planie przeprowadzki do powozowni Aleksandra Chaubere'a jutro przed południem. Ona się rzuci do pracy i będzie się gorąco modlić, żeby w Chaubere House udało się ukryć syna przed Willistonami.

Rozdział 5

- Mamo, pan Chaubere do nas idzie - zawołał Richie, siedzący na kanapce we frontowym pokoju mieszkania nad powozownią.

Oliwia знаła już widok z tej kanapy na pamięć: dwudziestokilkumetrowy podjazd do bramy, pasmo oleandrów oddzielające podjazd od domu i olbrzymi zarośnięty ogród między domem a ulicą. Większość domów w Charleston zbudowana była blisko ulicy, granicząc niemalże z chodnikiem. Dom Aleksandra Chaubere'a, ulokowany ponad trzydzieści metrów od ulicy, był wyjątkiem, zapewniając intymność i chroniąc przed wzrokiem przechodniów, co zapewne przyczyniło się do tajemniczej aury, jaka otaczała posiadłość i jego właściciela.

- Idzie tutaj! - Richie przekręcił się na kanapie i znów wyrzwał przez okno.

Oliwia uniosła głowę znad planów ogrodu, rozłożonych na stole w jadalni.

—Ciekawe, czego chce?

Było wpół do ósmej i prawie ciemno. Przed południem ona i Richie wprowadzili się do domku, mieli czas na obejrzenie posiadłości, zrobienie pomiarów i wspólny obiad. Dzisiejszy i jutrzejszy wieczór miała wolny w klubie. Powiedziała już, że rezygnuje z pracy, ale będzie jeszcze pracowała, dopóki nie znajdą kogoś na jej miejsce, i może zawsze wpaść, jeśli będzie potrzebne zastępstwo. Trochę jej było żal zostawiać nowe towarzystwo z klubu Harry'ego, ale cieszyła się, że Richie nie będzie sam wieczorami.

Richie wykręcił głowę, żeby lepiej widzieć. Na cienkiej szyjce odznaczały się napięte ścięgna. Oliwia oparła się na łokciu i obserwowała syna zastanawiając się, kiedy to dziecko nareszcie przytyje. Był zgrabny, miał długie nogi, ale był okropnie chudy. Czasami przezywali go marchewką, chociaż teraz już jego rude włosy robiły się kasztanowe i nie stwarzały mu takiego ciężkiego do zniesienia problemu jak kilka lat temu. Pamiętała, jak przychodził do domu zapłakany i prosił, żeby nie posyłać go do szkoły. Oczywiście nie mogła się na to zgodzić, nawet gdyby nie musiała chodzić do pracy. Nie miała zamiaru robić z niego maminsynka. Odsunęła te wspomnienia i patrzyła teraz, jak jej syn prawie zwisał z kanapy, żeby lepiej widzieć.

- Richie, to nieładnie tak się gapić przez okno. A jeżeli cię zobaczy?

- Nie zobaczy. Poszedł do garażu.

- Mam nadzieję, że nie zauważył, jak go śledzisz.

Oliwia wróciła do swoich szkiców, trochę zawiedziona, że Aleksander nie wszedł do nich. Miała kilka spraw do omówienia, łącznie z pytaniem, czy Richie może powiesić swe plakaty samochodowe w swoim pokoju. Właściciele mieszkań zawsze tego zabraniali w obawie przed śladami na ścianach. Zostawiła na drzwiach Aleksandra karteczkę w tej sprawie i porozmawia z nim jutro. Po kilku chwilach usłyszała przytłumiony dźwięk uruchamianego silnika.

- Rany! - krzyknął Richie. - Zapala

Spidera!

Skoczył na równe nogi i podbiegł do drzwi.

- A ty dokąd się wybierasz, młodzieńcze? - zatrzymała go Oliwia.

Richie obrócił się, z ręką na gałce od drzwi. Westchnął dramatycznie.

—Mamo...

—Nawet nie myśl o zejściu na dół. Pan Chaubere wyraźnie zaznaczył, że nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano.

—Nie będę mu przeszkadzał, mamusiu.

—Będziesz, jeśli zaczniesz wybiegać za każdym razem, jak zapala samochód.

Oliwia usłyszała, jak samochód się cofa, zatrzymuje, a następnie powoli rusza podjazdem. Dopiero gdy Aleksander był poza zasięgiem wzroku, spuściła wzrok z Richiego, który jęknął i pobiegł do holu.

—Nigdy mi na nic nie pozwalasz! — zawołał.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi, spojrzała na rysunki i zmarszczyła brwi. To była prawda. Richie nie miał zbyt wiele atrakcji. Nie miała czasu, żeby go wozić na zorganizowane zajęcia sportowe, a samego nie chciała go puścić. Nie mieli pieniędzy na obozy ani dodatkowe lekcje. Zazwyczaj Richie jej słuchał i kręcił się po domu, budował modele i czytał albo jeździł na rowerze dookoła domu. Prawdą jednak było, że nie miał nawet połowy tych atrakcji, co inni chłopcy w jego wieku.

Odłożyła automatyczny ołówek na stół i poszła za synem przez hol. Przyłożyła ucho do drzwi jego pokoju.

—Richie, może byśmy poszli na spacer?

Za drzwiami panowała zupełna cisza.

—No chodź. Możemy pójść do muzeum wojska i obejrzeć stare armaty z czasów wojny domowej.

—Powiedziałaś, że zapytasz pana Chaubere'a, czy mogę zobaczyć jego samochód.

—Tak, obiecałam i poproszę. Będzie to pierwsza rzecz, o jaką poproszę.

—Dlaczego nie zapytałaś dzisiaj?

— Nie widziałam się z nim. Jest bardzo zajęty, Richie. Obiecuję, że poproszę przy pierwszej okazji.

—No dobrze.

Drzwi otwarły się powoli i wyszedł Richie, trzymając swoją sportową czapkę. Zatrzymał się w holu i spozrzał na matkę.

- Ale poproś go jutro, mamó — powiedział. — Muszę zobaczyć ten samochód.

- Wiem. - Zwichrzyła mu włosy. - Wiem, że musisz.

Widziała, że czeka, aż wyjdą na zewnątrz, żeby włożyć czapkę. Oliwia uśmiechnęła się, zamykając za sobą drzwi. Richie nie miał wprawdzie takich możliwości finansowych jak jego koledzy, ale był dobrym dzieckiem.

Późnym wieczorem, gdy Richie leżał już w łóżku, Oliwia kończyła szkice ogrodu. Około jedenastej usłyszała, jak Aleksander otwiera, a potem zamyka garaż. Zastanawiała się, gdzie był, ale to w końcu nie jej interes, więc skupiła się na pracy. Gdy skończyła, spisała na samoprzylepnej kartce listę pytań do Aleksandra, prosząc o spotkanie jak najprędzej. Pogrzebała w jednym z nie rozpakowanych jeszcze pudeł i znalazła latarkę. Świeciła już słabo, ale nie miała nawet baterii. Wzięła latarkę i wymknęła się z powozowni. Oświecając sobie drogę przedostała się przez zarośla na ścieżkę z boku rezydencji, która prowadziła do schodów do piwnicy.

Noc była pogodna na tyle, że nie było jej za gorąco w szortach i podkoszulku. W zaroślach otaczających dom cykały świerszcze, a sierp księżycy wisiał na granatowym południowym niebie jak gustowny srebrny koleczyk. Wdychała głęboko cierpki zapach, upajając się ciszą i spokojem. W Seattle przyzwyczajona była do ruchu ulicznego i syren w nocy, teraz ogarnął ją błogi spokój i poczuła się szczęśliwsza niż przez ostatnich kilka lat. Zasalutowała posążkowi kobiety, mijanemu po drodze i skręciła w kierunku schodów do piwnicy. W całym domu nie paliło się światło, nawet nie świeciło się w laboratorium.

W nadziei, że rano Aleksander zobaczy notatkę, przykleiła kartkę na drzwiach laboratorium, na wysokości jego oczu i odwróciła się, żeby wrócić do mieszkania. W tym momencie latarka zgasła.

- Do licha! - mruknęła.

Przez chwilę nie mogła przyzwyczać się do ciemności. Trzymając się ręką kamiennej ściany, wymacała nogą schody i powoli udało jej się wejść. Szła ostrożnie modląc się, żeby w ciemności nie uderzyć głową w którąś z kolumn, na których wspierał się dom z tej strony. Nagle pogodna przechadzka zmieniła się w dość emocjonujące przeżycie. Ciemny dom stał się zagrożeniem i dla ciała, i dla umysłu, gdyż arkady w ciemności zdawały się zwieszać tuż nad jej głową, a drzewa nie dopuszczały choćby najmniejszego promyczka księżycy. Z chwilą gdy zgasła latarka, przysł jej radosny nastrój i ogarnął ją niepokój, a nawet, do czego nie chciałaby się przyznać, była wystraszona. Posuwając się powoli pod arkadami, nagle weszła na coś, pewnie na jakąś skrzynkę i uderzyła się w goleń.

- Au! - krzyknęła i podskoczyła na dźwięk własnego głosu, odbijanego przez echo.

Rozglądając się wokół, skakała na jednej nodze. Nie bardzo wiedziała, co mogłaby zobaczyć, ale czuła się w tym starym domostwie nieswojo o tej porze. Wyobraziła sobie, że jest to jakiś potwór, a ona tkwi uwięziona w potrzasku jego szczęk.

- Kto tam jest? - zadźwięczał głęboki głos.

Oliwia pisnęła ze strachu i wyrzuciła ręce przed siebie, choć głos był jej znajomy, gdyż należał do właściciela posiadłości. Nie był chyba zadowolony, że ktoś kręci się koło jego laboratorium.

Jakiś ciemny kształt zbliżał się w jej stronę. Cofnęła się, ale wpadła na jedną z prostokątnych kolumn i zadrapała sobie ramiona o twarde tynk. Kiedy zobaczyła, że się zbliża, oblał ją zimny pot.

- Madame? — spytał ostro. Jego szerokie ramiona w białej koszuli widać było z daleka mimo ciemności. - Co pani tutaj robi?

Przychodziły jej do głowy miliony powodów, które tłumaczyły jej obecność w pobliżu piwnicy. „Notatka, latarka, ciemność, jej syn, samochód, noc”. Co miała powiedzieć? Na pewno pomyśli, że przyszła tu węszyć, dokładnie to, czego nie miała robić. Pomyślała, co Sherry jej o nim opowiadała, że jest taki dziwny i tajemniczy, może był nawet mordercą. Co miał zamiar jej zrobić? Dawno już nikt tak jej nie przeraził, nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

— Madame! — Podszedł bliżej. Przesunęła się za kolumnę.

—Proszę nie podchodzić — ostrzegła.

- Co się dzieje? - Tym razem jego ton nie był przyjacielski. - Co pani tu robi?

- Byłam...

Nie słyszała własnych słów poprzez łomot swego serca. Co ze mnie za tchórz, pomyślała, żeby ten człowiek i ten dom tak wytręcały mnie z równowagi. Oczywiście, że nie jestem taki mięczak. Zmusiła się do racjonalnego myślenia. Stoi po prostu na tyłach starego domu i rozmawia z dość ekscentrycznym człowiekiem. Nie ma się czego bać.

Wyprostowała się i odsunęła od kolumny.

—Zostawiłam... zostawiłam dla pana notatkę na drzwiach i zgasła mi latarka.

—Czy coś się pani stało?

—Nie. Tylko uderzyłam się o coś w nogę.

-Musi pani uważać. Tu wszędzie leżą skrzynki do pakowania.

- Nic nie widziałam!

- Zaraz obejrzę pani nogę. Proszę zaczekać.

Przeszedł obok niej i zniknął na schodach. Usłyszała jego kroki, otwieranie zamka, skrzyknięcie starych drzwi. Po chwili wrócił, trzymając starodawną oszkloną latarnię. Migoczący w niej płomyk dawał zdumiewająco wiele światła i rzucał ciepły blask na twarz i tors Aleksandra.

Z ulgą stwierdziła, że nie był zły. Miał łagodny wyraz twarzy, a w świetle latarni jego skóra nabierała bardziej złocistego odcienia. Ubrany był w białą koszulę z podwiniętymi rękawami i ciemne, obcisłe spodnie wsadzone w wysokie czarne buty. Chociaż zawsze ze względu na Richiego starała się zachowywać pragmatycznie, w głębi duszy była romantyczką i jako dziecko uwielbiała niesamowite historie. Ten człowiek wyglądał, jakby właśnie zszedł z planu pirackiego filmu.

Wykrzywił usta w uśmiechu, jakby zgadując jej myśli, świadom jej podziwu i uśmiech ten natychmiast sprowadził ją do rzeczywistości. Nie chciała, żeby jakikolwiek mężczyzna, a zwłaszcza ten, czytał w jej myślach.

- Dziękuję - powiedziała, wskazując ręką na światło.

- Obejrzyjmy pani nogę. - Nachylił się i przybliżył do niej lampę.

- To tylko zadrapanie. Nic poważnego.

Ukląkł na kamiennej posadzce. Nim zorientowała się, objął jej nogę i unióśł nieco. Zrobił to tak delikatnie, że nie zaprotestowała. Dobrze, że dziś wydepilowała nogi, skóra jej była gładka w dotyku. A zresztą nie będzie się przejmowała, co Aleksander pomyśli o jej skórze. Był pracodawcą. Ona była projektantem zieleni. Nic więcej - ani teraz, ani w przyszłości. Rumieniąc się z powodu własnych myśli, spojrzała i zauważyła, że od jego dotyku łydka jej zaczęła drżeć.

- Wygląda, że ma tu pani małego guza.

- Miewałam gorsze. - Popatrzyła na jego gęste, jedwabiste loki zastanawiając się, jakby to było, gdyby je pogłaskać i wsunąć w nie palce. Odsunęła te niebezpieczne myśli i zmusiła się do zmiany tematu. - Kiedyś budowałam murek podtrzymujący skalniak i jeden z kamieni stoczył się i uderzył mnie w nogę. W prawą, widzi pan? Mam bliznę.

Aleksander puścił jej lewą nogę i przybliżył latarnię, żeby przyjrzeć się prawej.

- Widzę.

- Miałam guza wielkości piłki golfowej.

Pogładził delikatnie bliznę palcem wskazującym.

- *C'est dommage, ma petite* — powiedział półgłosem.

Nie znała francuskiego, ale domyśliła się, że słowa te wyrażają współczucie z powodu blizny. Popatrzyła na niego zdumiona, że pozwoliła mu pogłaskać nogę i że jego dotyk był taki przyjemny. Od czasu Boyda nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie na więcej niż trzymanie za rękę. Była zawsze w pogotowiu, a z tym człowiekiem jej ostrożność osłabła. Będzie musiała się bardziej pilnować.

Zauważyła, że Aleksander przygląda się swojej dłoni, tej, którą dotykał jej nogi. Obrócił ją jedną stroną, drugą i znów

badał. Oliwia nie miała pojęcia, co ciekawego na niej znalazł, i pomyślała, że zachowuje się trochę dziwnie. Może nie był to dobry pomysł, żeby tu z nim być sam na sam w ciemności. Cofnęła się, żeby dać sygnał, iż rozmowa na temat jej dolegliwości została zakończona. Wstał lekko.

- A co było w notatce, którą pani przylepiła na drzwiach?
- Zrobiłam parę wstępnych szkiców i chciałam je z panem omówić.
- Doskonale. Odprowadzę panią i obejrzymy.
- Teraz? — wykrztusiła, chcąc się jak najprędzej od niego uwolnić.

- Oczywiście. Wieczór jest wczesny, madame. Czyż nie? Oliwia obróciła dłoń i spojrzała na zegarek.

- Jest północ.
- Jak mówiłem, młoda godzina.

Mimo ciepłego tonu w jego głosie przeszedł ją dreszcz.

- Idziemy? — zapytał, wskazując na ścieżkę i trzymając latarnię w górze. Światło dochodzące zza jej szybek oświetlało ścieżkę.

- No, dobrze. To nie powinno zbyt długo potrwać.

Prowadziła, korzystając ze światła latarni, którą trzymał. Szedł tuż za nią i pewnie chętnie ująłby ją pod rękę, gdyby wcześniej nie dała sygnału, że nie akceptuje takiej poufałości ze strony nieznajomych.

W ciszy słychać było wyraźnie ich kroki na zwirowej ścieżce. Gdy doszli do budynku powozowni, otworzyła drzwi i weszła po schodach. Nie miała zwyczaju przyprowadzać do domu mężczyzn. Było coś niepokojącego w tym, że ten przystojny, ale niewątpliwie tajemniczy mężczyzna wkroczył w jej świat, i to w środku nocy. Nigdy nie była w domu sama z mężczyzną, nigdy nie kochała się inaczej jak z Boydem w samochodzie. I chociaż nie miała najmniejszego zamiaru kochać się z Aleksandrem Chaubere'em, robiła się coraz bardziej nerwowa.

Zatrzymała się w dużym pokoju i położyła latarkę na stoliku koło kanapy, żeby nie zapomnieć o kupnie baterii. Aleksander rozejrzał się, wciąż trzymając latarnię.

- Myślałem, że zastanę jakieś pudła i kufry, a pani już jest urządzona.

- Mieliśmy tylko to, co było w mojej furgonetce.

Skinął głową i przeszedł do jadalni, jakby to było jego mieszkanie. Właściwie było jego, ale mógłby się powstrzymać od takiego zachowania, skoro już się wprowadziła. A może Aleksander uważał, że może kontrolować wszystko, co znajduje się w jego zasięgu, łącznie z ludźmi. Znów poczuła się niewyraźnie. Nie było chyba zbyt rozsądne wpuszczać go do domu.

- Szkice są na stole - oświadczyła w nadziei, że przystąpią do ich oglądania.

- Zabierzmy je na balkon — zaproponował. — Tam jest chłodniej.

- Dobrze. Zrobię nam coś do picia.

Uśmiechnął się tym swoim enigmatycznym uśmiechem, otworzył drzwi i wyszedł na balkon, zabierając ze sobą lampę. Oliwia nalała lemoniady z lodem rozważając, jak dziwnie brzmią słowa „chodźmy”, „nam” w rozmowie z mężczyzną. Tak długo była już sama i niezależna, że ograniczyła słownictwo do liczby pojedynczej „ty” i „ja”.

Wyniosła szklanki na balkon, gdzie Aleksander umieścił już latarnię i rysunki na białym, kutym stoliku. Stał w pobliżu, studiując projekty.

- Ten mi się podoba — skomentował.

Stała obok niego, zerkając mu przez ramię i trzymając przed sobą zimne szklanki.

Wybrał projekt „z ruiną”, na którym wkomponowała statuetkę w stare kamienie, żeby ktoś podchodzący od tej strony miał miłą niespodziankę. „Ruina” miała wyglądać jak część starożytnej świątyni, pochłoniętej częściowo przez ogród.

- To świetnie - odpowiedziała. - Bo ja też ten lubię najbardziej.

- *Bień.*

- Ale zdaje pan sobie sprawę, że będziemy musieli przesunąć posązek.

- Spodziewam się.

Uniósł jedną brew i spojrzał na nią przyjaźnie - wyraźnie doceniał jej pomysły. Oczy ich spotkały się i na krótki moment znikła dzieląca ich przestrzeń.

Nagle opanowało ją niczym nie zmacone uczucie pożądania. Zapragnęła oprzeć się o jego ramię, żeby odczuć jego wzrost i siłę, dotknąć silnej szczęki tuż pod uchem, a przede wszystkim poczuć na swoich wargach jego zmysłowe usta. Marzyła, żeby przymknąć oczy i upajać się spokojem i pewnością, emanującymi z tego człowieka.

Nagle poczuła jakies zimno. Zorientowała się, że wciąż trzyma lodowate szklanki.

- Proszę — wykrztusiła, podając mu szklankę.

- Dziękuję. - Wziął od niej napój i odwrócił się do stolika. Ustawiła sobie szybko krzeselko, by usiąść, zanim znowu

pogrąży się w takich rozmyślaniach. Duży haust chłodnego napoju ostudził ją nieco i nachyliła się nad rysunkiem.

- Właściwie pierwotny plan był bardzo ładny. Nie ma potrzeby wiele zmieniać. Tutaj, koło stawu — wskazała na miejsce na rysunku — chciałabym umieścić minkę.

Aleksander skinął głową. Dłoń jego spoczywała na stole obok jej rysunku i Oliwia świadoma była jej bliskości.

- Podoba mi się to położenie — powiedział.

- Tę ruinkę wyobrażam sobie jako murek z kamiennych bloków, jeśli uda mi się takie znaleźć, z góry będzie spływać

bluszcz i pnący jaśmin, a posąg stanie tutaj. - Stuknęła wskazującym palcem. Światło odbiło się w jej obrączce i żałowała, że użyła lewej ręki. - Chciałabym też znaleźć jakieś stare kolumny.

- Mnie chodzi tylko o zachowanie roślinności w tym zakątku - wtrącił Aleksander. - Są tam cenne egzemplarze. We Francji nazywają się Wieczne Lilie, *Lisperpetua*, i nie chcę, żeby je zniszczono.

- Wieczne Lilie? - powtórzyła Oliwia. - Nigdy o nich nie słyszałam.

—Są bardzo rzadkie. To starożytna roślina. - Objął ręką szklanekę, ale nie pił. - Jeśli pani sobie życzy, to je pani jutro pokażę.

—Dobrze. Praca w ogrodzie będzie głównie polegała na przesuwanie, plewieniu i przycinaniu. Następnie zrobię listę roślin, jakie trzeba zakupić.

—Świetna robota, madame, jestem bardzo zadowolony.

—To dobrze, bo mam do pana prośbę.

Cień przemknął przez jego oczy.

—Słucham?

—Chodzi o mojego syna, Richiego. — Łyknęła lemoniady. — Szaleje na punkcie samochodów. Ma dziesiątki plakatów, setki modeli. Zna każdy wyprodukowany wóz, krajowy i zagraniczny. Marzy, żeby zawiesić plakaty w swoim pokoju i żeby zobaczyć pańskiego Spidera.

—Mojego Spidera?

—Tak. Widział, jak pan mnie wtedy odwoził do domu i od tego czasu męczy mnie, żebym poprosiła pana, czy może obejrzeć samochód.

Aleksander zaśmiał się i chwycił za podbródek w typowo męski sposób, tak jak robią mężczyźni z długimi brodami.

—Powiedziałam mu, że pan dba o swoją prywatność i nie chce, żeby mu przeszkadzano.

—Tylko w ciągu dnia.

—I że pan nie życzy sobie, żeby mu mali chłopcy zawracali głowę.

—Mówiła pani, że ma dziesięć lat?

Oliwia skinęła głową.

— Jeśli naprawdę się interesuje moim samochodem, to mu pokażę.

— Och, dziękuję panu bardzo! Będzie wniebowzięty!

— I nie mam nic przeciwko temu, żeby powiesił coś na ścianie.

Uśmiechnęła się. Pogodna noc znów była spokojna, błyskające z dala światłami miasto — piękne, a rozciągający się w dole ogród — oazą spokoju. Oliwia siedziała wygodnie, zadowolona,

choć wiedziała, że musi wcześniej wstać, żeby zapisać Richiego do szkoły.

Starła się nie myśleć o jutrze i cieszyć chwilą. Zawsze musiała myśleć na zapas, coś planować, układać, martwić się, więc raz chciała się zrelaksować.

- Nie jest pani z Charleston — powiedział w końcu Aleksander. - Skąd pani przyjechała?

- Mieszkałam w Seattle.

- Och, stan Washington. Nigdy tam nie byłem.

- Jest piękne. Kapryśne jak Charleston, ale chłodniejsze. Charleston jest jak piękna kobieta, starzejąca się z godnością. Seattle to miasto ostre i ruchliwe, bardziej męskie.

Rzucił na nią wzrokiem.

- Dziwne porównanie, madame, ale myślę, że rozumiem, co pani miała na myśli.

- Powinien pan odwiedzić Seattle. Zostało ogłoszone jednym z miast najbardziej nadających się do zamieszkania.

- Naprawdę? - Znów na nią spojrzął, tym razem wolniej, zatrzymując wzrok na włosach. — Ale ciekaw jestem, co panią przywiodło tutaj?

Oliwia obracała wolno szklanekę w rękach, niechętna do zagłębiania się w przeszłość. Jak i dlaczego zaszła w ciążę w wieku siedemnastu lat nie nadawało się na ogół do opowiadania ludziom.

- Przyjechałam skończyć studia. Wygrałam konkurs na stypendium.

- Tak?

- Tak. Stypendium na opłacenie czesnego od Towarzystwa Ogrodniczego w Charleston. Przystąpiłam do konkursu i wygrałam.

- Hmm. A więc zostanie pani w Charleston do przyszłego roku?

- Taki mam zamiar.

- A co będzie robił pani mąż w tym czasie?

- Mój mąż? Och, co najmniej przez dwa lata nie będzie go w kraju.

- A jak pani i Richie dajecie sobie radę, żyjąc tak długo z dala od niego?

- Radzimy sobie — odpowiedziała z leciutkim odcieniem goryczy. - Właściwie bardzo dobrze sobie radzimy.

Przez chwilę przypatrywał się jej w milczeniu. Później powoli wstał.

- Nie będę już pani zatrzymywał, jest późno — oświadczył. - Ja jestem przyzwyczajony do takiej pory, ale pani nie.

- Chyba nie ziewałam? - zapytała z uśmiechem.

- Nie, ale widzę po oczach, że ma pani dość.

Oliwia odczuła pewne rozczarowanie, że chce już pójść. Może odebrał jej gorzkie myśli na temat Boyda jako znak, że ma dosyć jego towarzystwa. Nigdy nie spotkała nikogo, kto by tak trafnie odbierał jej nastroje. Musi być ostrożniejsza na przyszłość.

Wstała.

- Życzę pani dobrej nocy,
madame.

Odprowadziła go do drzwi.

- Proszę na mnie czekać jutro o wpół do siódmej przy posągu, to pokażę pani lilie.

- Dobrze.

- Ach, zapomniałbym o samochodzie. Niech pani powie synowi, że będę w garażu o szóstej. Pokażę mu Spidera.

- Świetnie. Bardzo jestem wdzięczna.

- Pani też może przyjść, jeśli ma pani ochotę.

- Może na chwilę. — Oliwia otworzyła drzwi. — Ale samochody to męska sprawa. Chciałabym chociaż udawać zainteresowanie, ale...

- Zapewniam panią, że to nie będzie nudne.

Spojrzała na niego. Była to absolutna prawda. Nic związanego z Aleksandrem Chaubere'em nie mogłoby jej znudzić.

- Dobrze, więc o szóstej. Dobranoc.

Zasalutował żartobliwie i zniknął na schodach.

Oliwia zamknęła drzwi i wróciła na balkon, żeby zabrać rysunki i szklanki. Jedna ze szklanek była pełna i stwierdziła, że Aleksander nawet nie tknął swojej lemoniady. Może nie lubił.

Żałowała, że nie spytała go, na co ma ochotę, i obiecała sobie zrobić to następnym razem, jeżeli jeszcze ją odwiedzi. Odłożyła rysunki i poszła w stronę sypialni. Czuła, że coś jest inaczej. Dom wydawał się pusty bez Aleksandra, zbyt cichy, zbyt zwyczajny. Przymknęła oczy. Aleksander był bez wątpienia niezwykłym człowiekiem. Uznała, że jest jednocześnie fascynujący i niebezpieczny, a przy tym nieco tajemniczy. Co Richie o nim pomyśli?

Rozdział 6

Następnego ranka wyprowadziła swoją furgonetkę, zaparkowaną w powozowni i zawiozła Richiego do szkoły, oddalonej prawie dwa kilometry od domu. Wypełniła odpowiednie dokumenty, poznała dyrektorkę i obejrzała budynek. Później poszła z synem do jego nowej klasy i poznali wychowawczynię. Na kalendarzu wiszącym za jej biurkiem przyczepiono różowe i czerwone serduszka i dużą liczbę „14”. Oliwia przegapiła Walentynki! W całym zamęcie przeprowadzki i nowej pracy zupełnie o tym zapomniała. Richie przyszedł do szkoły bez żadnych kartek walentynkowych i chociaż nie miałyby to większego sensu, bo jeszcze nikogo nie znał, wiedziała, że pod koniec dnia będzie się czuł na marginesie. Ukłuło ją poczucie winy, mimo że Richie był dzieckiem, które wczuwa się w sytuację. Serce ją bolało, kiedy patrzyła, jak podchodzi do ławki na końcu sali, spięty i zdenerwowany, chociaż starał się tego nie okazywać. Wiedziała, co znaczy częsta zmiana szkół, bo sama je zmieniała, gdyż ojciec wędrował od jednej pracy do drugiej, od miasta do miasta. Zaczekała, aż usiadł i położył plecak pod ławką. Pożegnała się z nauczycielką i obiecała sobie, że postara się zatrzymać go w tej szkole, choćby jej to kolidowało z planem, gdy zacznie studia. Richie dochodził do wieku, w którym zawiera się przyjaźnie na całe życie. Jeśli będzie go wciąż przenosiła, nigdzie nie zawrze bliższych znajomości i będzie takim samotnikiem jak ona. Nie chciała, aby odziedziczył po niej samotność.

Resztę przedpołudnia spędziła na dokumentacji roślin w ogrodzie i naniosiła wszystko to na plan, przerysowany na papierze milimetrowym. Zadzwoiła też do firmy kamieniarskiej, żeby podano jej przybliżone koszty, i do firmy materiałów budowlanych. Następne telefony były do punktu oferującego obcinanie czubków drzew oraz do usług transportowych, wywożących śmieci. Później pojechała do sklepu z narzędziami i kupiła szpadle, grabie, motykę i nowe baterie, wszystko za swoje pieniądze, bo będzie tego używała i później, nie tylko w Chaubere House. Mniejsze narzędzia, które przywiozła z sobą z Seattle, były dużej klasy, i które utrzymywała je zawsze w nienagannym stanie.

Pomyślała później o Richiem, który po pierwszym dniu szkoły przyjdzie w złym humorze z powodu imprez walentynkowych. Znalazła sklep dla hobbystów z modelami samochodów, ale kiedy spytała o Fiata, sprzedawca zrobił zmartwioną minę.

- Nie ma ostatnio zapotrzebowania na Fiata —

powiedział. - Ale wie pani, mam jeden, ale jest dosyć stary. Jaki model panią interesuje?

- Spider.

- Chyba właśnie taki mam. - Odwrócił się i sięgnął na sam dół półki za ladą. Po chwili wyciągnął zakurzone pudełko wzmocnione po bokach poźółkłym celofanem. - Leży tu już parę lat, ale to dobry model, proszę pani, metalowy, nie plastikowy.

Oliwia wzięła pudełko do rąk.

- No, wygląda zupełnie jak ten, o który mi chodziło.

- Rocznik 73. Dostyć stary, ale jest facet, który jeździ jeszcze takim po mieście. Czasem go widuję. Piękny wózek.

- Wspaniały.

- Wie pani co? Miałem go tu już tak długo, że trochę pani opuszczę. Piętnaście dolarów.

- Świetnie. - Sięgnęła do torebki i wyjęła portfel. — A może go pan zapakować? To na prezent.

- Oczywiście.

Sprzedawca wziął od niej pieniądze i znikł na zapleczu. Po kilku minutach pojawił się z niebieskim pakunkiem, przyozdobionym niebieskozieloną kokardą.

- Dziękuję - odparła zadowolona wiedząc, że Richie będzie uszczęśliwiony.

- Zapraszam częściej.

Gdy wyszła ze sklepu, wpadła na chwilę do swego baru, żeby coś przegryźć i poplotkować z Sherry, która była zdumiona, że Oliwia przeżyła bez szwanku noc w posiadłości Chaubere'a. Później pojechała do domu wypakować sprzęt i już był czas, by wyjść po Richiego na przystanek szkolnego autobusu.

Nigdy przedtem nie udawało jej się tego robić, nigdy nie mogła sobie pozwolić na luksus organizowania pracy tak, żeby mieć wolne o tej porze. Kiedy był mały, udało jej się namówić przedszkolankę do przyprowadzania go do domu, a później, gdy był starszy, wracał z innymi dziećmi ze szkoły do opiekunki, od której dzwonił do jej pracy, że przyjechał. Miała nadzieję, że teraz znajdzie kolegę i będą razem szli do autobusu, a nawet gdyby szedł sam, nie martwiłaby się specjalnie, bo okolica wydawała się spokojna i bezpieczna. Jednak pierwszego dnia chciała po niego wyjść i upewnić się, że Richie wie, gdzie wysiąść.

Popołudnie było wilgotne, ale nie za gorące. Oliwia stała w cieniu cyprysu na popękany chodniku i planowała resztę dnia. Jeśli pracowałaby teraz w ogrodzie do wpół do szóstej, miałaby czas, żeby wpaść do domu i umyć się przed spotkaniem z Aleksandrem w garażu. Później mogliby zjeść obiad i dałaby Richiemu model.

Usłyszała nadjeżdżający z dala autobus. Uśmiechnęła się zadowolona, że nareszcie ma pracę, która daje jej niezależność. Bardzo jej się podobała taka samodzielność i pewność, że poradzi sobie ze wszystkimi szczegółami projektu.

Żółty autobus szkolny wytoczył się z za rogu. Wysiadło z nich czterech chłopców i dziewczynka, przeważnie zeskakując z ostatniego stopnia, który znajduje się dość wysoko. Dziewczynka przeszła przed stojącym autobusem na drugą stronę, a reszta dzieciaków stanęła na chodniku. Oliwia pomachała. Richie ją zauważył i przerzucił plecak przez ramię, a pozostała trójka zaczęła się przy nim poszturchiwać. Nie podszedł do niej, nie uśmiechnął się jak zwykle, gdy go witała. Oliwia wsadziła rękę w kieszeń szortów i zrozumiała, że pewnie zrobiła synowi wstyd, pokazując się na przystanku.

Jeden z wyższych chłopców zerwał Richiemu z głowy czapkę baseballową.

- Maminsynek! - wrzasnął, uciekając ze zdobyczą.

Richie, ze sterczącymi włosami, obrócił się, ale pozostała

trójka też już była poza jego zasięgiem.

- Mięczak! — wykrzyknął znów najwyższy.

Parskali uciekając, aż im podskakiwały plecaki i sznurowadła obijały o kostki.

Oliwia widziała, jak jej syn przygarbił się wobec tej porażki. Dlaczego dzieci są dla siebie takie okrutne? Ona jako dziecko nigdy się z nikogo nie wyśmiewała ani nie czerpała przyjemności z cierpienia innych ludzi. Co przyjdzie tym chłopakom z dokuczania jej synowi? I dlaczego zawsze przytrafiało się to właśnie jemu? Dlatego, że był chudy, rudy, czy dlatego, że nie miał ojca?

- Przykro mi, Richie — powiedziała, podchodząc do niego. Odwrócił się, kiwając głową.

- Bardzo ci dziękuję, mamusiu - powiedział oschle.

- Chciałam się tylko upewnić, że wysiadłeś na właściwym przystanku.

- Jakbym był w przedszkolu? — Przeszedł obok niej, nie patrząc na nią. — Uprzejmie ci dziękuję!

- Richie! - Oliwia westchnęła i patrzyła, jak pędzi w stronę domu Chaubere'a.

Czy tak zaczynają się problemy wieku dojrzewania? Czy będzie nadopiekuńcza i będzie go tłamsiła, jak powiedział Aleksander? Ale jak może się nim nie opiekować, przecież ma zaledwie dziesięć lat, to jeszcze dziecko. I jest dla niej wszystkim, co ma.

Ruszyła za nim szybkimi krokami, rozmyślając nad tym, jakim utrapieniem może stać się wychowywanie dorastającego syna, kiedy się nie wie dokładnie, jak mu pomóc wejść w świat dorosłego mężczyzny. Na rogu, blisko domu Aleksandra, przeszła obok furtki, gdzie starsza pani ścinała róże.

- Hej, hej, młoda damo!

Oliwia zatrzymała się i obejrzała zdumiona, że ktoś ją woła. Siwowłosa pani sekatorem dała jej znać, żeby podeszła bliżej. Oliwia cofnęła się i stanęła przy furtce.

- Słucham? — spytała, zastanawiając się, czego ta kobieta może od niej chcieć. Nie miała ochoty na sąsiedzka pogawędkę, gdyż spieszyła się, żeby dogonić Richiego.

- Nie chcę być wścibska, młoda damo - zaczęła kobieta, trzymając w ręku bukiet róż na długich łądogach i rozmawiając poprzez pręty w furtce — ale nie mogłam nie zauważyć, że wraz z synkiem wprowadziła się pani do rezydencji Chaubere'a.

- Tak. — Oliwia niespokojnie ściagała wzrokiem syna. — Do mieszkania nad powozownią.

Starsza pani otworzyła furtkę.

- Przepraszam, że nie przyszedłam z oficjalną wizytą, ale pan Chaubere jest niechętny sąsiedzkim stosunkom. Nazywam się Eugenia Foster.

- Miło mi. Jestem Oliwia Travanelle.

- Travanelle? - Kobieta zmierzyła ją wzrokiem od tenisówek po włosy. — Czy to pani wygrała stypendium Towarzystwa Ogrodniczego?

- Tak.

- Chyba od niedawna jest pani w Charleston, co?

- Od niedawna, dlaczego?

- My wszyscy już wiemy, że nie należy mieć nic wspólnego z tym domem.

Oliwia skupiła teraz uwagę na pani Foster.

- Mnie się podoba.

- Dzieje się tam coś dziwnego i jest moim świętym obowiązkiem ostrzec panią.

- Przed czym?

- Człowiekiem, który tam mieszka, panem Chaubere.

Oliwia chciała uciąć w załączku złośliwe plotki, ale jednak

chciała się czegoś dowiedzieć o swym pracodawcy.

- Wydaje się całkiem sympatyczny.

- Sympatyczny? — Starsza pani wzniosła oczy do nieba. — Nie znam drugiego tak nietowarzyskiego człowieka jak pan Chaubere. Nie wydaje się pani dziwny?

- Każdy ma jakieś dziwactwa, pani Foster.

- Dziwactwa? - Przypatrzyła jej się z bliska. Następnie weszła na chodnik i popatrzyła w kierunku domostwa Chaubere'a, jak gdyby obawiała się, że ją ktoś podsłucha. — Nie jestem typem, który wtyka nos nie w swoje sprawy, Bóg mi świadkiem, ale wygląda pani tak sympatycznie, że ten jeden raz muszę się wtrącić. — Uniosła rękę w rękawiczce i pomachała Oliwii przed nosem sekatorem. - Mówię pani, jak pani tam zostanie, to wpakuje się pani w jakieś kłopoty.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- Nie może pani? Niejedno mogłabym pani o tym domu opowiedzieć.

- Na przykład co?

- Dużo. - Popatrzyła na swoje kwiaty. - Ale muszę włożyć te róże do wody. Może by pani weszła na minutkę?

- Muszę już wracać.

- To tylko chwileczka. Mam coś dla pani i synka, zrobiłam na wasze powitanie. Moją specjalność, ciasto z brzoskwiniami. - Położyła rękę na furtce. - Nie potrwa długo.

- Właściwie. — Oliwia nie chciała urazić pani Foster odmową i ciekawa była dowiedzieć się czegoś o Aleksandrze Chaubere. Zdecydowała się poświęcić kilka chwil cennego czasu i weszła za sąsiadką. - Dobrze. Na parę minut.

Kobieta uśmiechnęła się i poprowadziła ścieżką do domu.

- Jestem z Charleston. Mieszkam w tym domu od urodzenia.

Oliwia przyglądała się żółtym, stiukowym ścianom domu, wykończonym na biało i czarno, splachetkowi wypielęgowanego trawnika i ścieżce z cegieł, prowadzącej do bocznego wejścia. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że można mieszkać całe życie w jednym domu. Pani Foster wprowadziła ją do głównego holu.

- Wstawię te cuda do wazonu, a potem zobaczymy, czy ciasto wystygło na tyle, żeby je zapakować. Chodźmy na górę.

Oliwia poszła za nią szerokimi, choć nieco krzywymi schodami na główny poziom. Powietrze we wnętrzu ciemnego domu przesiąknięte było wieloletnim zapachem domowych przetworów, krochmalonych prześcieradeł, politory do mebli i naftaliny. Wszędzie było czyściutko, choć nic nie pochodziło z okresu późniejszego niż druga wojna światowa. Nawet wiszące na ścianach czarno-białe fotografie poźółkły z wiekiem.

Eugenia zaprowadziła ją do kuchni. Oliwia szła tuż za nią w nadziei, że nie będzie musiała odbyć wycieczki po całym domu. Obejrzałyby stary dom z wielką przyjemnością, ale dziś trochę się spieszyła.

Obserwowała, jak starsza pani kręci się po kuchni, odkładając rękawice i sekator. Pachniało tu melonem, wyposażenie kuchni było staromodne, a na podłodze leżało czarno-białe linoleum, zapewne nie zmieniane od lat czterdziestych.

- Nie chciałabym być niegrzeczna, pani Foster — zaczęła Oliwia - ale muszę wracać. Mój syn właśnie przyszedł ze szkoły i nastąpiło małe nieporozumienie. Musimy sobie pewne sprawy wyjaśnić.

- Oczywiście. Jak mu na imię?

- Richie.

- Mam wnuka w jego wieku. Ile ma lat, dziewięć?

- Nie, dziesięć.

- Willie Lee, mój wnuk, praktycznie mieszka ze mną.

Jego matka wyszła ponownie za mąż i ten jej mąż nie miał żadnych dzieci. Musi się powoli przyzwyczajać do małego, więc Willie Lee często jest tutaj. Wyjątkowo dzisiaj bawi się u jakiegoś kolegi. - Eugenia ułożyła róże w kryształowym wazonie. - Niech Richie przychodzi się pobawić, kiedy zechce. Proszę mu powie-

dzieć, że będzie bardzo mile widziany. Mamy kosz do koszykówki i linę do huśtania.

- To bardzo miło z pani strony.

Eugenia zasmiała się, odstawiając wazon.

- Wcale nie miło, to mi dyktuje mój instynkt samozachowawczy.

Oliwia uśmiechnęła się. Spodobała jej się pani Foster i czuła, że Richie będzie mógł całkiem bezpiecznie spędzać czas w jej domu.

- Napije się pani mrożonej herbaty? — spytała gospodyni.

- Nie, dziękuję. Naprawdę powinnam już iść.

- Ale nie powiedziałam jeszcze pani o rezydencji Chaubere'a. — Obmyła ręce pod kranem. — Niech pani siada i wypije szklaneczkę.

- Dziękuję.

Oliwia usiadła na wyplatanej krześle, a Eugenia wyjęła z lodówki szklany dzbanek przykryty cynfolią. Wrzuciła do szklanek lodu i nalała herbaty, nie uroniwszy ani kropelki. Następnie schowała herbatę z powrotem do lodówki i przyniosła na stół szklanki i dwie szydełkowe serweteczki.

- Dziękuję bardzo.

- Nie ma za co. Nie masz pojęcia, Oliwio, jaka to przyjemność mieć miłą sąsiadkę, z którą można pogadać. Jak się mieszka na rogu, tak jak ja, to odpadają pogaduszki przez płot, a z Aleksandrem Chaubere'em to zupełnie niemożliwe.

Oliwia trzymała szklankę, starając się ponownie zwrócić rozmowę na interesujący ją temat.

- A więc dlaczego niebezpiecznie jest mieszkać w posiadłości Chaubere'a?

- Cóż, Oliwio. — Eugenia łyknęła herbaty. — Mieszkam tu całe życie, tak jak mój ojciec, a przed nim jego ojciec. Wiesz, takie są rodziny w Charleston. Staramy się zawsze, żeby dom został w rodzinie. Ten dom, na przykład, jest w naszej rodzinie od „ostatniej nieprzyjemności”.

- Ostatniej nieprzyjemności? — powtórzyła Oliwia, nie rozumiejąc.

- To co wy, Jankesi, nazywacie wojną domową.

- Rozumiem. - Oliwia powściągnęła uśmiech.

- W każdym razie, moja rodzina i rodzina Chaubere'ów mieszkały tu - wskazała głową w stronę domu Aleksandra - od zawsze.

- Czy to takie dziwne?

- Nie byłoby, gdyby nie fakt, że w domu Chaubere'ów nigdy nie było żadnych kobiet ani dzieci. Ani za moich czasów, ani mojego ojca.

Oliwia w zamyśleniu sączyła herbatę.

- Może kobiety Chaubere'ów nie lubią Charleston?

- Kobiety Chaubere'ów? Nie było nigdy czegoś

takiego. Ludzie rzadko widzą, żeby ktoś tam wchodził czy wychodził, żadnej rodziny, gości, nic. Ale dom był zawsze utrzymywany przez młodego, przystojnego Chaubere'a. Moim zdaniem, oni wszyscy wyglądają tak samo. Uderzające podobieństwo. - Pani Foster odstawiła szklanę. - Więc się pytam, skąd się biorą ci młodzi ludzie, Oliwio?

- Nie wiem. Może rodzina z Francji ich przysłała, żeby pilnowali posiadłości? Może rodzina nie chce tu mieszkać.

- Ale ten Aleksander... Obserwuję go od lat. Prawdę mówiąc, kiedy byłam młodsza, wydawało mi się, że jestem w nim zakochana. Był uroczym panem. Uroczym.

Wciąż jest, pomyślała sobie Oliwia.

- Przekradałam się do jego ogrodu i czasami sobie na niego zerkałam, bo on nigdy nie przyjmował zaproszenia od nas. Wiesz, jakie są młode dziewczyny... zawsze je pociągają ciemne i tajemnicze typy. Marzyłam, żeby poznać Aleksandra Chaubere'a, chociaż ludzie mówili, że jest dziwny, bo był najprzystojniejszym mężczyzną w Charleston. On jednak zupełnie się mną nie interesował. Kazał mi się wynosić ze swojego terenu i nie przychodzić więcej. To było w roku 1940 i od tego czasu nie rozmawiałam z nim.

- W czterdziestym? - Oliwia szybko dokonała w głowie obliczeń. Aleksander Chaubere był od niej niewiele starszy. W roku 1940 nie mogło go być jeszcze na świecie.

— Chyba mówi pani o kimś innym. Ten Aleksander Chaubere, który teraz tu mieszka, ma około trzydziestki.

— Nie, jest w moim wieku. I o ile wiem, jest bezdzietnym kawalerem.

— A może tego Chaubere'a, którego pani pamięta, zastąpił jakiś kuzyn czy bratanek? Naprawdę, ten, który teraz tam mieszka, jest w moim wieku, nie pani.

— A widzisz? — Pani Foster wstała. - To jest właśnie takie dziwne. Tam się nic nie dzieje, nic nie zmienia. Nikt nie wchodzi i nie wychodzi, tylko wieczorami Aleksander wyjeżdża czasami swoim małym samochodem z tym dziwnym starszym przyjacielem. Czasami coś mu dostarczają, ale to wszystko. Nikt nigdy nie widział, żeby robił zakupy w miejscowych sklepach. Rzadko chodzi do jakichś restauracji czy kawiarni. Nigdy nie wystawia żadnych śmieci, jak my wszyscy. Niewiele się go widuje. Jest nienaturalny. Tak, to jest to. Nienaturalny.

— Mówi, że nie lubi, jak mu się przeszkadza w ciągu dnia. Może należy do osób, które zaczynają żyć wieczorem, może nie lubi tłumów.

Zastanawiała się, dlaczego staje po stronie Aleksandra — podobnie jak w rozmowie z Sherry - ale stwierdziła, że po prostu zawsze woli być adwokatem diabła; nie ma to związku z lojalnością w stosunku do niego.

— Mam przyjaciółkę na poczcie - ciągnęła pani Foster -i przysięga, że Aleksander nigdy nie dostaje osobistej korespondencji. Ani skrawka. I nie ma telefonu. To jak niby

parluje z tą rzekomą francuską rodziną?

— Nie wiem — odpowiedziała Oliwia. — Ale w powozowni ma telefon.

— Głowę dam, że go nie używa.

— Może nie. — Oliwia wstała. — Ale mnie się nie wydaje dziwny. Jest dla mnie raczej miły.

— Ja bym mu nie ufała, Oliwio, o nie. Jak długo tu zostajesz?

— Miesiąc albo dwa. Póki nie skończę pracy z porządkowaniem ogrodu.

—Porządkowaniem ogrodu? - Eugenia pokiwała głową. -To ciekawe, że chce coś zrobić z tym terenem po tylu latach. No, jeżeli wyda ci się chociaż trochę dziwny, zaraz biegnij do mnie, zrozumiano?

—Dziękuję, ale nie myślę, żeby...

—Niektórzy częściej ulegają złym skłonnościom niż inni, nie sądzisz?

—Uważam...

— A ten Aleksander Chaubere to ciemny typ.

Oliwia wstała, zaniepokojona rozwojem rozmowy. Nigdy nie interesowały jej plotki i nie lubiła rozmawiać o ludziach za ich plecami.

—Muszę już wracać, pani Foster. Naprawdę. Dziękuję za herbatę.

—Nie chcę cię straszyć, moja droga. Chcę tylko, żebyś była ostrożna.

—Będę ostrożna.

—Poczekaj, dam ci ciasto. — Eugenia ostrożnie włożyła ciasto do tekturowego pudełka i przykryła cynfolią. - Proszę! -powiedziała podając.

—Bardzo dziękuję. Wygląda wspaniale.

Zeszła po schodach, a pani Foster tuż za nią. Przy drzwiach Oliwia zatrzymała się, żeby się pożegnać, ale starsza pani, ze strapioną twarzą, odezwała się pierwsza.

—Czy wierzysz w wampiry,

Oliwio? Oliwia spojrzała na nią zdumiona.

—Słucham?

—Wampiry. Czy myślisz, że istnieją?

—Uważam, że to fikcja.

—Czasami nie jestem taka pewna.

Oliwia cofnęła się od ozdobnych drzwi.

—Nie sugeruje pani chyba, że Aleksander Chaubere jest wampirem?

— Nie mówię, że jest wampirem, ale nie mówię też, że nie jest. Mówię po prostu, że dzieje się tam coś dziwnego. Na wszelki wypadek zamykaj dobrze drzwi na noc. Nie przebywaj

z nim sama po zapadnięciu mroku. Powiedz też swojemu małemu.

—Będę uważać, proszę pani — odpowiedziała, żeby ją uspokoić, bo pomysł z wampirem wydał jej się śmieszny.

—I jeśli kiedykolwiek będziesz miała ochotę na herbatę, po prostu wpadnij, jasne?

—Dziękuję.

Pomachała gospodyni i prędko podeszła do furtki. Zdumiała ją opinia pani Foster na temat Aleksandra. Pewnie, że działał o dziwnych porach i posiadał dziwny rodzaj energii, jakiego Oliwia nigdy jeszcze nie odczuwała. Ale nie wydawał jej się niebezpieczny. Czy miał nad nią jakąś psychiczną władzę i w nadnaturalny sposób była pod jego urokiem? Nie. To śmieszne! Niemożliwe! Była ostatnią kobietą na świecie, która dałaby się tak omamić jakiemuś mężczyźnie. Pomysł, że Aleksander mógłby mieć krwiożercze skłonności, wydał jej się szaleńczy.

W każdym razie mogłaby poprosić o obiektywną opinię na ten temat. Richie nie poznał jeszcze Aleksandra, a on bardzo dobrze oceniał ludzi. Może Richie coś zauważy.

Oliwia zamknęła za sobą bramę i pospieszyła ścieżką koło domu Chaubere'a. Jednak im bardziej odsuwała od siebie podejrzenia pani Foster, tym bardziej wydawały jej się uzasadnione. Pamiętała zdanie, jakie wczoraj wypowiedział twierdząc, że mają jeszcze dużo czasu na obejrzenie jej planów. „Wieczór jest wczesny”, mruknął wtedy. Te słowa i jego ton przyprawiły ją o dreszcze. Kim i czym właściwie był? Czy narażała się na niebezpieczeństwo, spacerując z nim nocą po ogrodzie? Niedługo się dowie. Spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po trzeciej. Jeszcze ponad dwie godziny do spotkania koło garażu.

Rozdział 7

Dokładnie o szóstej Oliwia i Richie zeszli na parter powozowni. Kiedy Richie dowiedział się, że matka poprosiła pana Chaubere'a, żeby pokazał mu samochód, wybaczył jej pojawienie się przy autobusie.

—Myślisz, że nie zapomni przyjść? — spytał nieco podenerwowany.

- Nie. Pan Chaubere nie wygląda na człowieka, który o czymkolwiek zapomina.

Otworzyła drzwi i przepuściła Richiego. Oczywiście zauważyła od razu wysoką, smukłą sylwetkę Aleksandra, wyłaniającą się spoza krzewów oleandra.

Ubrany był w dżinsy i ciemnozieloną koszulę z podwiniętymi rękawami. Długie ciemne włosy powiewały wokół opalonej twarzy.

Na jego widok przeszył Oliwię dreszcz i nie była pewna, jak to rozumieć, czy się go boi, czy ją pociąga.

- Gotów do obejrzenia Spidera, Richie? - spytał, nie czekając, aż Oliwia przedstawi mu chłopca.

— Jasne!

Aleksander uśmiechnął się i w przygasającym świetle dnia jego twarz rozbliła wewnętrznym blaskiem, a w kącikach oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki. Równie dobrze mógłby być wampirem jak świętym Mikołajem. Wyciągnął rękę.

— Jestem Aleksander Chaubere. Jak się masz?

- Świetnie, proszę pana.

Uścisnęli sobie ręce i Oliwia zdziwiła się patrząc, jak różną mają skórę. Ręka Aleksandra była złocistobrązowa, a jej syna różowawa, pokryta piegami.

- Mówiła mi twoja mama, że jesteś fanatykiem modeli.

— Coś w tym rodzaju. Lubię składać modele.

— Co ty powiesz? — Znów się uśmiechnął, skupiając całą uwagę na chłopcu.

Spodobało jej się to. Bardzo często dorośli tylko udają zainteresowanie sądząc, że dziecko tego nie zauważy, albo że nie zasługuje na więcej uwagi.

- Ja też buduję modele.

— A jakie? Samochody?

- Nie. Wolę statki. Głównie żaglowce.

— To znaczy takie modele z masztami, oprzyrządowaniem i żaglami z materiału?

- Coś takiego, ale ja nie używam gotowych zestawów, Richie. Są często zbyt uproszczone. Sam wszystko wycinam.

- O rany! — wykrzyknął Richie. — To ekstra!

Aleksander uśmiechnął się rozbawiony, otwierając garaż.

Wszedł i wysunął głowę.

— Stań z boku, to go wyprowadzę.

— Dobra.

Stanął na trawie koło Oliwii, trzymającej ręce w kieszeniach, zadowolonej, że może być świadkiem tego pokazu. Gdy Aleksander zapalił silnik, Richie spojrzął na matkę.

— Bardzo fajny.

Kiwnęła głową i popatrzyli, jak Spider wytacza się z garażu. Aleksander zaciągnął hamulec i wysiadł, zostawiając włączony silnik.

- Chcesz zajrzeć pod maskę? - spytał.

- Jasne!

Aleksander otworzył pokrywę silnika. Richie stał obok niego, wydając się jeszcze drobniejszy przy barczystej sylwetce Chaubere'a.

- Bardzo czyściutki jak na taki dwudziestoletni samochód - zdziwił się Richie.

- Dbam o to, co moje. - Aleksander spojrzał ukradkiem na Oliwię. Odwróciła wzrok, zastanawiając się, co oznaczało to spojrzenie.

Słyszała, jak rozmawiają o pojemności silnika i innych szczegółach, ale nie mogła skupić się na tej rozmowie. Słyszała tylko ostrzeżenia pani Foster. Czy chce, żeby jej syn zaprzyjaźnił się z osobą o podejrzanym charakterze? Było jasne ze sposobu, w jaki rozmawiali, że mają wspólne zainteresowania.

- Czy zgodzi się pani, żeby Richie siadł za kierownicą? — spytał Aleksander, ostrożnie zamykając maskę.

- Co? - Oliwia nie wierzyła własnym uszom i patrzyła na zachwycony wyraz oczu Richiego.

- Czy może poprowadzić Spidera?

- Ależ proszę pana, on ma dopiero dziesięć lat. Nigdy w życiu nie prowadził.

- Ale ja umiem, mamu! - Richie przebiegł przed samochodem i zatrzymał się między Aleksandrem a Oliwią pełen oczekiwania. - Mamusiu, ja umiem!

- Ograniczymy się tylko do podjazdu, madame.

- No, nie wiem. - Popatrzyła na Aleksandra, a potem na syna. Aleksander rzeczywiście nie żartował zapewniając, że nie będzie nudno.

- Mamusiu, proszę, zrobię, co tylko zechcesz. Będę zmywał przez cały tydzień!

- Zmywanie przez tydzień? - Aleksander uniósł brew, patrząc na Oliwię. — Hmm.

Spuściła wzrok. Wiedziała, że potrafi ją oczarować bez słów, unosząc tę jedną brew.

- Ma pan ubezpieczenie? — spytała patrząc na samochód.

- Oczywiście.

- Ale jeżeli Richie będzie miał wypadek? Jak pan odkupi taki samochód?

- Nie boję się o to. — Położył rękę na ramieniu chłopca. — Richie jest typem, na którym można polegać.

Richie popatrzył na Aleksandra pękając z dumy i Oliwia wiedziała w tym momencie, że ten mężczyzna zdobył cząstkę serca jej syna. Poczowała ukłucie zazdrości, że ktoś inny mógł zdobyć uczucie Richiego i że pozwoliła na to, żeby był to akurat Aleksander.

- No dobrze. Ale bądź ostrożny, Richie. Rób wszystko, co ci każe pan Chaubere, słyszysz?

- Tak! - Richie odwrócił się w stronę czarnego Fiata. - Ludzie! - zawołał tak szczęśliwy, jakim go jeszcze nie widziała.

- No, to wchodź - zachęcił Aleksander. - Ale nie ruszaj niczego, dopóki nie siądę obok ciebie.

Richie usiadł w skórzanym fotelu i zatrzasnął drzwiczki. Oliwia skrzyżowała ramiona, a Aleksander obszedł samochód, uspokoił ją ruchem ręki i znikł we wnętrzu pojazdu. Widziała zarys jego ramion i głowy, gdy udzielał chłopcu instrukcji.

Minęła minuta czy dwie. Domyśliła się na podstawie dochodzących dźwięków, że Richie próbuje zmieniać biegi i próbuje pedały hamulca i gazu. Po chwili Spider ruszył powoli, aż słychać było chrzęst żużlu pod kołami. Serce Oliwii podeszło do gardła, gdy szła obok samochodu, który jej syn prowadził bardzo ostrożnie, aby nie zjechać ze ścieżki. Szła szybciej, niż on jechał, ale ucieszyła się, że jest tak pojętny. Na końcu podjazdu Spider zatrzymał się. Myślała, że Aleksander wyjdzie i zmieni chłopca przy kierownicy. Wtedy jednak samochód ruszył do tyłu, zakrztusił się i zgasł. Oliwia potrząsnęła głową, zastanawiając się, dlaczego Aleksander tak ryzykuje po to tylko, żeby uszczęśliwić jej syna. Przecież Richie mógł wrzucić inny bieg i wjechać na drewnianą bramę, na którą wychodziła ścieżka.

Jednak jej obawy okazały się bezpodstawne. Spider znów ruszył. Tym razem Richie cofnął samochód, nie gasząc silnika. Z kilkoma zatrzymaniami zdołał obrócić samochód i pojechać z powrotem, stając w miarę delikatnie przed garażem. Oliwia musiała teraz biec truchtem, żeby mu dorównać. Richie przekręcił kluczyk i położył rękę na klamce, ale zatrzymał się, bo Aleksander coś do niego mówił. Zastanawiała się, co.

Po chwili, pękając z dumy i radości, Richie otworzył drzwiczki i wyskoczył. Prawie nie spojrzął na matkę, ale odwrócił się do Aleksandra, który wychodził od strony pasażera.

- Dziękuję panu bardzo! - wykrzyknął zachwycony. - To było obłędne!

- Dobrze ci poszło, synu — odpowiedział. — Masz wrodzony talent.

Synu. Tylko Oliwia mówiła do niego synu. Zdziwiła się, że Richie nie zaprotestował na taką poufałość, bo wiedziała, że nie znosił, gdy ktoś się tak do niego zwracał. Może uznał szczerłość Aleksandra albo w podnieceniu nie usłyszał tego słowa.

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak dobrze sobie radził ze sprzętem za pierwszym razem — zauważył Aleksander.

- To chyba dlatego, że wiem, jak działa sprzęgło, prawda, proszę pana?

- Chyba tak. Richie odwrócił się.

- Widziałeś, jak cofałem, mamo?

- Tak. Bardzo sprawnie jak na młodego kierowcę.

- Na pewno mógłbym prowadzić twoją furgonetkę, bo ma automatyczną skrzynię biegów.

- Myślę, że dosyć już jazdy na pierwszy dzień, Richie. I masz chyba jakieś lekcje do odrabiania?

- Och, mamusiu!

- Za parę minut będę na górze, żeby przygotować kolację. Zobaczą, co zrobiłeś.

Aleksander wrzucił kluczyki do kieszeni dżinsów i powiedział do Richiego:

- Muszę pokazać twojej mamie rośliny, których nie należy ruszać. Ale kiedy skończymy, możesz mi doprowadzić samochód do bramy po odrobieniu lekcji. Zgoda?

— Zgoda, panie Chaubere! Do zobaczenia! - Richie podbiegł do drzwi powozowni, żeby jak najprędzej zabrać się do pracy.

Oliwia popatrzyła na Aleksandra. Tak po prostu udało mu się namówić Richiego do odrabiania lekcji, co dla niej było zawsze wielkim problemem.

— Ma pan dobre podejście do dzieci - zauważyła.

— Zawsze uważałem, że byłoby to ciekawe doświadczenie mieć syna - odpowiedział Aleksander patrząc, jak Richie znika w drzwiach domu.

— Tego bym nie powiedziała. — Zaśmiała się. - Raczej jest to doświadczenie frustrujące i trudne.

— Ale również satysfakcjonujące?

— Często.

Spojrzała na Aleksandra, zastanawiając się, dlaczego nigdy przedtem nie trafiła na takiego mężczyznę. Wiedziała na pewno, że on nie mówi tego, żeby jej zrobić przyjemność. Naprawdę polubił chłopca.

— Pokażę pani te lilie, o których mówiłem.

Szedł wzdłuż ściany oleandrów, a ona, idąc za nim, starała się nie zwracać uwagi na smukłą, męską sylwetkę o szerokich ramionach. Nigdy nie podobali jej się mężczyźni z długimi włosami, ale u Aleksandra wyglądały one właściwie, nawet romantycznie, i podkreślały wrażenie, że pochodzi trochę jakby z innego świata.

— Nie rozumiem jednej rzeczy - zaczęła, idąc za nim. - Jeżeli planuje pan sprzedaż domu, dlaczego się pan przejmuje tymi liliami?

— Ponieważ są niezwykle trudne do wyhodowania. Odkryłem, że nie rosną w pomieszczeniach zamkniętych. W przeciwnym razie zabrałbym trochę z sobą. Są zbyt cenne, żeby je zniszczyć.

— Cenne, dlaczego?

— Posiadają właściwości medyczne, które są jeszcze nie w pełni zbadane.

Weszli w głąb ogrodu i okrążyli obrośnięty irysami stawek,

w którym było więcej mułu niż wody. Nim doszli do lili, Oliwia musiała wysilić wzrok, żeby odróżnić ich kolor w zapadającym zmierzchu.

- Są tutaj - oświadczył Aleksander, rozchylając zwisające gałęzie wierzby.

Aby lepiej widzieć, Oliwia musiała stanąć tuż obok niego. Czy specjalnie tak się ustawił? Wspomniała słowa pani Foster. „Zamykaj dobrze drzwi na noc. Nie przebywaj z nim sama po zapadnięciu zmroku”. Czy była to głupota, że zaufała temu nie znanemu mężczyźnie i nie tylko sama się z nim zadawała, ale pozwoliła na to swemu synowi?

Ale cóż takiego zrobił, żeby go o coś podejrzewać? Nic. Zganiwszy siebie w duchu za wiarę w złośliwe plotki, Oliwia wyciągnęła szyję i spojrzała na zarośnięty klomb.

- To są lilie? — spytała sceptycznie, bo nigdy nie widziała, żeby lilie rosły w takich warunkach.

- Tak. Bardzo stara odmiana, jak mówiłem.

Oliwia zobaczyła ciemne, szkarłatne kwiaty, których środek przypominał fuksje, i zafascynowana wyciągnęła rękę.

- Niech pani nie dotyka! - krzyknął.

Cofnęła rękę.

- Dlaczego?

- Są trujące. Mogą wywołać reakcję na skórze.

- To dziwne - mruknęła.

- Dziwne?

Czuła na szyi jego oddech. Na jej skórze pojawiła się gęsia skórka i odsunęła się nieco, odczuwając niepokój z powodu jego bliskości.

- Tak - odpowiedziała drżącym głosem, starając się kontrolować swój puls i głos. — Ten kwiat wydaje się suchy, prawie papierowy.

- Ale jest piękny, prawda?

- Cudowny. - Jeszcze raz spojrzała na roślinę. - Nie zamykają się na noc.

- Są mocne.

Podobieństwo między nim a rośliną nie uszło jej uwagi. Postanowiła ograniczać nieco wyobraźnię i ponownie zwróciła uwagę na kwiaty.

- Ciekawe. Liście ma zielone. Wydawałoby się, że roślina kwitnąca nocą jest saprofitem.

- Co to jest saprofit?

- Roślina, która rośnie na podłożu gnilnym, jak grzyby.

- Coś, co zależy od fotosyntezy?

- Tak.

- Może dlatego, że kwitną i nocą, i dniem, mają cechy obu rodzajów roślin.

Jego głęboki głos otulał ją jakby aksamitem powodując, że obawy pani Foster wydawały się zupełnie bezpodstawne. Upewniał ją w tym jeszcze fakt, że nie starał się jej dotknąć. Jeśli byłby psychopata, na pewno wykorzystałby taką okazję, a jednak Aleksander zachowywał dystans.

- Może. - Spojrzała na niego i zauważyła, że obserwuje

ją, a nie kwiaty, co ją znów zaniepokoiło. — Myślę, że kwiaty dobrze się trzymają, skoro są takie suche.

- Tak. - Aleksander znów zwrócił uwagę na rośliny rosnące u swych stóp. - Kwiat kwitnie bardzo długo. Ten ma już ponad sto lat.

- Słucham? — zdumiała się. — Czy pan powiedział sto lat?

- Tak. Bardzo długo żyje, jak roślina stuletnia z południowo-zachodnich pustyni.

- Skąd pan wie, że ten kwiat ma sto lat? Przecież nie było tu pana, żeby to móc stwierdzić.

Zamrugał i umknął jej wzrokiem.

- Chaubere'owie obserwowali tę roślinę od lat, madame.

A zapewniam panią, że te obserwacje były bardzo dokładne.

Coś w jego tonie i unikanie jej wzroku sprawiły, że zaczęła podejrzewać kłamstwo.

- Wracamy? - spytał.

- Jeżeli to wszystkie lilie, jakie chciał mi pan pokazać.

- Wszystkie.

Podszedł do stawu, a ona posuwała się ostrożnie za nim, nie przyzwyczajona do ciemności tak jak on. Przy takiej okazji prawie chciała, żeby ją wziął pod rękę, chroniąc ją przed potknięciem się.

— Poznałam dzisiaj pana sąsiadkę - powiedziała, żeby jakoś wypełnić ciszę.

— Tak?

— Panią Foster. Wydaje się bardzo miła.

— Jest wścibska.

— Uważa, że jest pan pustelnikiem, że nie jest pan normalny, bo nie wystawia śmieci jak inni.

— Tak uważa? - Był to oschły ton.

— Może, gdyby pan czasami z nią pogadał, to nie byłaby taka...

— Madame — przerwał jej nagle — gdybym chciał z nią pogadać, na co nie mam ochoty, zrobiłbym to już dawno. Ale nie interesują mnie kontakty ze wścibskimi babami.

— Nie obchodzi pana, co sąsiedzi mówią o panu?

— Nie, nie obchodzi. - Popatrzył na nią błyszczącymi w ciemności oczyma. Nagle wyraz jego twarzy zmienił się, Aleksander zachwiał się, pochylił do tyłu i złapał się za pierś.

— Panie Chaubere! - zawołała Oliwia, przerażona nagłą zmianą, jaka w nim zaszła. Wyglądał, jakby miał atak serca. Rzuciła się do niego. - Co się stało? — zawołała.

Trzymał koszulę, jakby chwycił ją szponem.

— Nie... nie mogę oddychać! — Westchnął.

Zaczęła mu rozpinać guziki u koszuli, ale po kilku sekundach Aleksander upadł na kolana.

— Co się dzieje? - krzyknęła, klękając obok niego.

— *Mon Dieu* — wykrztusił.

— Połóż się! — zarządziła, układając go na kępie

dmuchawców. Zdumiewająco spokojnie rozpięła jego koszulę. — Zaraz wrócę - powiedziała. - Zadzwoń po pogotowie.

— Nie! — wyrzęził, przewacając oczami i sapiąc.

— Chyba masz atak serca, Aleksandrze! Muszę iść po jakąś pomoc!

— Nie. Żadnych telefonów. Dojdę do siebie za chwilę. Oblizwał wargi i wciąż dyszał. Oczy miał zamknięte, a jego złocista skóra nabrała jakiegoś ziemistego koloru, który ją przeraził.

— Muszę kogoś zawołać albo zawieźć cię do szpitala.

— Nie. — Otworzył oczy. — Już się lepiej czuję, naprawdę. Uklękał przy nim. Oddychał troszkę lżej, ale wyglądał wciąż

okropnie. Był tak spocony, że kosmyki ciemnych włosów przykleiły się do skroni i policzków. Koszulę miał rozpiętą i widziała jego muskularną klatkę piersiową z trudem unoszącą się i opadającą w oddechu. Nigdy nie była tak blisko obnażonego mężczyzny od czasu Boyda, więc odwróciła wzrok.

— Jak się teraz czujesz? - spytała.

— Ból powoli... - przełknął ślinę - przechodzi.

— Czy miałeś ostatnio mierzone ciśnienie?

— Nie.

— To może byś zmierzył.

— Tak jest, doktorze. - Mimo wciąż zamkniętych oczu uśmiechnął się leciutko.

— Mówię całkiem poważnie. To nie temat do żartów, Chaubere.

— Przed chwilą powiedziałaś: Aleksandrze.

— Naprawdę?

— Mów tak dalej. — Otworzył oczy. — Podobają mi się dźwięki mojego imienia w twoich ustach.

Poczuła ogarniający jej szyję rumieniec i postanowiła pokryć niepokój żartem.

— Skoro znów zaczynasz rozkazywać, to chyba rzeczywiście jest ci lepiej.

— Tak. — Wciąż na nią patrzył. - Myślisz, że możesz mi pomóc dostać się do laboratorium?

— Oczywiście. Jestem nieduża, ale silna.

— Tak przypuszczałem.

Wyciągnął rękę, a ona ją chwyciła, wstając i myśląc o tym, żeby kontakt z jego ciepłą dłonią i palcami tak na nią nie podziałał jak przedtem. Poczuła jakieś mrowienie w dłoni, ale przypisała to uczucie wcześniejszemu dotknięciu lilii. Pomogła Aleksandrowi wstać. Zachwiał się i przyłożył rękę do czoła.

Objęła go ręką przez plecy pod jego ramieniem tak, że wspierał się o jej drobną figurkę.

- W porządku? - spytała, usiłując zobaczyć jego twarz mimo osłaniającej ją dłoni.

- Za chwilę.

Stojąc tuż przy nim, starała się nie zwracać uwagi na jego napięte mięśnie i opierający się o nią ciężar. Dotknięcie jego silnej piersi podziało ją jak wstrząs elektryczny. Boyd był wysportowany, ale jego ciało nie osiągnęło jeszcze wówczas takiej męskiej dojrzałości. Oliwia ze zdumieniem stwierdziła, że sama okryła się potem.

- Gotów? — spytała, pragnąc jak najprędzej doprowadzić go do laboratorium i wyzwolić się z jego objęć.

- Tak. - Zrobił na próbę jeden krok.

Większość drogi przeszli w milczeniu. Posuwali się przez zarośnięty ogród powoli, gdyż było już zupełnie ciemno. Aleksander opierał się o nią całym ciężarem, jakby całkiem opadł z sił. Nim doszli do ścieżki okrążającej dom, Oliwia była wykończona.

- Chcesz iść do laboratorium? - spytała, zaniepokojona jego stanem.

- Tak.

- Powinieneś dać już sobie spokój. Odpocząć przez ten wieczór.

- Obiecałem Richiemu, że dam mu jeszcze poprowadzić Spidera.

- Nie szkodzi. Powiem mu, co się stało. Zrozumie.

- Ale zostawiłem samochód na dworze.

- Daj mi kluczyki. Odstawię ci go.

- Dziękuję. - Sięgnął do kieszeni dzinsów, wyciągnął kluczyki i nieudolnie wepchnął jej do kieszeni spodni.

- Więc do laboratorium czy do łóżka? — upewniła się.

Aleksander zatrzymał się i zmierzył wzrokiem front swego domu.

- Schody. — Pokręcił głową.

- Nie dasz rady?

Skinął potakująco.

— Mogę zejść, ale nie mogę wejść.

— Dobra. Więc chodźmy dookoła, do laboratorium.

Krok po kroku, z wysiłkiem, przeszli obok posągu, arkad, aż do schodów prowadzących do laboratorium.

Zdołała go sprowadzić bez większych kłopotów.

Otworzył drzwi i zaświecił światła. Przeciągnął ręką po rozwichrzonych włosach. Oliwia przyjrzała mu się dokładnie.

— Dojdiesz do siebie,

Aleksandrze? Skinął potakująco.

— Już się lepiej czuję.

— Głupio mi tak cię zostawiać. Czy chcesz czegoś? Picie? Coś innego?

— Nie. Dziękuję. Jeszcze parę minut. Już przez to

przechodziłem.

— Czy masz się tu gdzie położyć?

— Mam z tyłu poślanie.

— Mam ci pomóc tam się dostać?

— Nie. - Przeciągnął ręką po piersi i dole brzucha. -

Będzie dobrze.

— Jesteś pewien?

— Tak. - Popatrzył na nią. - Jesteś bardzo silna, Oliwio

Travanelle.

— Mówiłam ci.

— Teraz wierzę. - Nim się zorientowała, wziął ją za rękę, przyciągnął do ust i ucałował końce jej palców. -
Dziękuję, madame, za pani troskę i siłę.

Poczuła, że znów się rumieni, ale miała nadzieję, że w ciemności nie było tego widać.

— Proszę bardzo.

— Życzę dobrej nocy.

— Wszystko dobrze?

— Nie martw się. - Uśmiechnął się leciutko, ale widziała napięcie w jego oczach. Puścił jej rękę i Oliwia powoli wycofała się.

— Dobranoc — powiedziała.

— *Adieu.*

Oliwia oderwała od niego wzrok i pobiegła po schodach. Będzie się martwiła o Aleksandra całą noc. Dlaczego nie pójdzie do lekarza? Ależ ten człowiek jest uparty! Uspokoi się dopiero jutro, jak zobaczy, że jest zdrowy. Wróciła do domu i do Richiego. Zajadali się ciastem od pani Foster i Richie odpakował swój prezent. Widać było w jego twarzy zachwyt, kiedy okazało się, że jest to Fiat Spider. Ta skromna uroczystość została nieco przyćmiona nastrojem Oliwii, która zerkając z balkonu w stronę domu Chaubere'a zastanawiała się, czy jeszcze żyje.

Rozdział 8

Kiedy Oliwia zniknęła, Aleksander zamknął drzwi i oparł się o nie ciężko, zbierając siły. Nigdy w życiu jeszcze się tak nie bał. Przez te kilka minut, kiedy leżał na ziemi w ogrodzie, był pewien, że umiera. Serce mu waliło bardzo nieregularnie, szalało tak, jakby miało mu wyskoczyć z

piersi. Co się z nim działo? Czy wypił za dużo tego eliksiru z lili? A może zaczął nareszcie działać i zabija go?

Aleksander odepchnął się od drzwi i pokuśtykał przez pokój. Skierował się do stołu laboratoryjnego, opadł na niego, uniósł się po chwili i podszedł do następnego. Zrobiło mu się słabo, więc podparł się i stracił jakąś butelkę. Rozbijając się, rozdarła ciszę nocy.

- Cholera! - zaklął, mając nadzieję, że Oliwia nie usłyszała hałasu i nie wróci.

Nie chciał, żeby go widziała takiego oślepionego i nieporadnego. Nie zamierzał opowiadać jej o swojej chorobie. Przestraszyła się i już miała sprowadzić lekarza. Akurat tego mu było potrzeba, żeby jakiś lekarz dobrał się do niego i odkrył specyfikę jego organizmu.

Choć z trudem szedł i ledwo widział, Aleksander dotarł do stołu, gdzie stał mikroskop i butelki z eliksirem. Przez ostatnie trzy miesiące codziennie pobierał sobie próbki krwi i analizował. Wyniki zapisywał na wykresie, zaznaczając liczbę normalnych ciałek krwi w stosunku do nienormalnych, które nazwał „nieśmiertelnymi”. Ciałka nieśmiertelne miały ciemniejszy odcień czerwieni niż czerwone ciałka krwi. Były prawie czarne i przenosiły do ciała olbrzymie ilości tlenu. Temu przypisywał niezwykłą odporność i sprawność swojego ciała od czasu, gdy stał się nieśmiertelny. Po zawrotach głowy czy skurczach zauważał nieznaczny spadek liczby ciałek nieśmiertelnych, co wskazywało na stopniowe oddziaływanie napoju z lili.

Przypadłość sercowa, którą właśnie przeszedł, była jednak znacznie poważniejsza i za wszelką cenę chciał ją udokumentować, choćby nie wiem jak źle się czuł. Aleksander znalazł swój ostry jak brzytwa skalpel, naciął czubek palca i wycisnął na szklaną płytkę kropelkę krwi, nim rana zaschła. Następnie roztarł drugą płytkę, zaczął, aż wyschnie, i zabarwił ją, nim podstawił pod mikroskop.

Przez kilka minut stał oparty o stół, z zamkniętymi oczami. Robiło mu się niedobrze i na przemian to wstrząsały nim dreszcze, to oblewał się potem. Trzęsły mu się kolana, łomotało serce i najchętniej usiadłby, gdyby nie to, że nie miał siły doczłapać do krzesła stojącego pod ścianą.

Po takiej reakcji Aleksander nie miał już wątpliwości, że jego ciało zmienia się. Mógł być na dobrej drodze do odzyskania śmiertelności. Może niedługo będzie mógł krwawić, jeść, pić i kochać się. A może umrze. Odrzucił tę myśl. Trzy miesiące tak brawurowo rozmawiał o śmierci z du Berrym, lecz teraz, kiedy być może znajdował się w obliczu śmierci, i to bolesnej, zaczął odczuwać lęk. Pocieszał się wprawdzie, że w końcu chodziło właśnie o śmierć. Nagle przypomniała mu się zmartwiona twarz klęczącej przy nim Oliwii. Czy na pewno chciał zakończyć życie w momencie, gdy pojawiła się w nim fascynująca kobieta? Jakby przeznaczenie miało mu spłatać okrutnego figła.

Jeśli jednak eliksir działał, miał znacznie poważniejsze zmartwienia niż śmierć. Czy zamiast mężczyzny nie stanie się potworem, którego będą się bali Oliwia i jej syn? Czy zdoła ich przed tym uchronić? Śmierć lub transformacja. Cokolwiek się stało, już się nie odstanie. Nie ma już odwrotu, skoro napój zaczął działać.

Z trudem oddychając, Aleksander odepchnął się od stołu i przetarł czoło rękawem. Powoli rozjaśniał mu się wzrok. Podeszedł do mikroskopu, włączył światło, nachylił się i wyregulował obiektyw. Tak jak przewidywał, liczba ciałek nieśmiertelnych znów się zmniejszyła w porównaniu z porannym badaniem. Oczyszczył sprzęt i naniósł wynik na wykres. Ręce wciąż mu się trzęsły, ale mdłości ustąpiły. Gdy skończył, dowlókl się do tapczanika na końcu laboratorium i rzucił się na niego. Głowę mu rozsadzało, był wykończony i myślał tylko o spaniu.

We wtorek rano, nim Richie wstał do szkoły, Oliwia przebiegła przez pokryty rosą trawnik do domu Chaubere'a. Podeszła na tył domu, koło schodów do laboratorium, spodziewając się niemalże, że zostanie gdzieś po drodze leżące ciało Aleksandra. Przez całą noc przewracała się i nie mogła spać, martwiąc się o niego. Powinna była pójść i zobaczyć, co z nim.

Gdy wchodziła po schodkach do wilgotnego laboratorium, musiała rozetrzeć gęsią skórę na ramionach. Przekręciła gałkę, lecz, ku jej zdumieniu, drzwi były zamknięte. Zapukała.

— Aleksander? - zawołała, zastanawiając się, czy był w laboratorium, czy w domu na górze. - Proszę pana, panie Chaubere, jest pan tam?

Zza ciężkich, drewnianych drzwi nie dochodził żaden dźwięk. Nie widać było światła. Przypomniała sobie, że Aleksander zapala je w nocy. Gdyby znów zemdłał, światło paliłoby się, a drzwi byłyby otwarte. Zaczekała chwilę i znów zawołała, zastanawiając się, co robić.

Miała nadzieję, że miał dość siły, by dowlec się do łóżka. Nie chciała być ciekawską babą i szukać go po całym domu.

Westchnąwszy, wróciła do swego mieszkania. Nie dowie się, co z jego zdrowiem, póki się sam nie zgłosi po kluczyki do samochodu. Może to być dopiero pod wieczór, tak więc zapowiadał się ciężki dzień.

Całe przedpołudnie Oliwia wykopywała chwasty i przerywała zbyt gęste winoroślą na frontowym płocie. Gdy koło dwunastej wpadła zjeść jakąś kanapkę, odebrała telefon z baru Harry'ego: poproszono ją o zastępstwo za chorą kelnerkę. Zgodziła się i postanowiła poprosić panią Foster, żeby zaopiekowała się Richiem. Tuż przed jego powrotem ze szkoły prędko wykąpała się, przebrała w dżinsową spódnicę

i białą bluzkę i popędziła do pani Foster, mając nadzieję, że ją zastanie. Weszła sama przez furtkę i zadzwoniła do drzwi. Na szczęście pani Foster była w domu.

Bardzo chętnie zajmie się Richiem wieczorem. Pogadały chwilę, póki chłopcy nie wysiedli z autobusu. Oliwia przedstawiła jej syna. Wraz z Williem Lee, wnukiem pani Foster, poszedł pograć do obiadu w gry komputerowe. Oliwia zostawiła ich, spokojna o syna.

Szła w słońcu w stronę domu Chauberea, szczęśliwa, że tak jej się wszystko dobrze układa. Jednak gdy znalazła się na terenie posiadłości, jakaś chmura zakryła słońce i cień padł na dom i ogród. Popatrzyła na zarośnięte trawniki i samotną rezydencję. Może Aleksander leżał martwy w którymś z pokojów? Starła się o nim nie myśleć. Na pewno wszystko było w porządku. Widziała go w gorszej sytuacji, kiedy była pewna, że zaatakowany nożem, jest śmiertelnie ranny. Zapewnił ją wtedy, że nic mu nie będzie, i rzeczywiście zaraz doszedł do siebie. Musi się nauczyć mu wierzyć. Ten człowiek zna swoje ciało i swoje możliwości lepiej niż ktokolwiek inny.

A jednak martwiła się. Pracowała dalej w ogrodzie, ale Aleksander się nie zjawił. O wpół do szóstej skończyła pracę, żeby zrobić obiad i przygotować się do wyjścia do baru Harry'e-go. Richie wpadł parę minut później opowiadając, jakie świetne oprogramowanie ma Willie Lee i że musi jak najprędzej po obiedzie wrócić do niego, by pokazać mu swój model. Ucieszyła się, że chłopcy tak sobie przypadli do gustu.

- Tylko nie zapomnij zabrać też zeszytów do odrabiania lekcji - przypomniała. - I zrób je.

- Zrobię. - Rzucił plecak koło stołu. - Co jest na obiad?

- Risotto. — Sprawdziła ryż i zestawiała z kuchenki. — Umyj ręce i nakryj do stołu, dobrze?

Zrobił, co mu kazała, ale zatrzymał się przy szufladzie ze sztucami.

- Mamo?

- Słucham? — odpowiedziała, nie przerywając mieszać kawałków piersi kurczaka z imbirem.

- Jak długo tu będziemy?

Jego pytanie zaskoczyło ją. Odwróciła się, trzymając łyżkę w ręku.

- To znaczy w Charleston?

- Nie, tutaj.

- Około dwóch miesięcy. Dlaczego?

- Fajnie się mieszka w takim domku.

- Prawda? Mnie też się podoba.

- I lubię pana Chaubere'a. Podoba mi się, że tu nie ma tylu mieszkań tak jak wszędzie, jedno obok drugiego. Zauważyłaś, jak tu cicho?

- Oczywiście. Zupełnie inaczej.

- Tak. — Ułożył sztucce. — Nie moglibyśmy poprosić pana Chaubere'a, abyśmy mogli pomieszkać tu dłużej?

- On się wyprowadza, Richie. Chce to sprzedać.

- Może moglibyśmy wynajmować od następnych właścicieli.
- Może.

Uśmiechnęła się uspokajająco, chociaż wiedziała, że szanse na pozostanie po wyjeździe Aleksandra są znikome. Przede wszystkim nie byłoby ich stać na czynsz, jakiego zażądałoby nowi właściciele.

Ledwo siedli do obiadu, ktoś zapukał.

- Ja otworzę! - krzyknął Richie i pobiegł do drzwi. Oliwia obróciła się na krześle i zobaczyła na progu

w drzwiach wysoką sylwetkę Aleksandra. Na jego widok ogarnęło ją uczucie ulgi, że wyzdrowiał. Zachodzące światło dnia obrysowywało jego postać i gdy tak stał, patrząc na nią, przez chwilę wydawał się bardziej posągami niż człowiekiem.

—Cześć! — powitał go Richie, przerywając ciszę.

—Dobry wieczór - odpowiedział głosem głębokim, choć cichym, będącym jak pieszczota dla jej uszu. — Och, macie obiad. - Przechylił głowę i zauważyła błysk w czarnych oczach. — Przyjdę później.

—Nie, dlaczego. — Oliwia zerwała się. - Proszę bardzo. Może pan zje z nami?

—Mamy risotto - zachęcał Richie.

Aleksander zamknął za sobą drzwi.

—No, wie pan, jarzynki i kurczak z ryżem. Lubi pan?

—Nigdy nie jadłem.

—Powinien pan spróbować. Moja mama naprawdę dobrze gotuje.

Oliwia była zdumiona, słysząc taką pochwałę z ust swego syna. Jak mógł powiedzieć coś takiego, skoro jej najelegantsze dania powstawały w pośpiechu, w przerwach między pracą a nauką?

—Czyżby? - mruknął Aleksander, powoli wchodząc do jadalni. Ubrany był w ciemnofioletową koszulę rozpiętą przy szyi i czarne dżinsy. Mimo że ubierał się prosto, wszystko leżało na nim doskonale i było bardzo w jego stylu. Richie popędził do kuchni, a Oliwia stała, trzymając rękę na oparciu swego krzesła.

— Jak się pan czuje? - spytała.

Stanął przed nią.

— Dziękuję, znacznie lepiej. Przyszedłem odebrać swoje kluczyki.

— Oczywiście, zaraz je przyniosę.

— Nie chciałbym przerywać pani posiłku. — Wskazał na krzesło. - Proszę usiąść.

— To żaden kłopot.

— Proszę jednak usiąść.

— Tylko jeśli pan nam będzie towarzyszył.

— Jadłem już obiad, madame, ale usiądę.

Zaczekał, aż znów zajmie swoje miejsce, zasunął jej krzesło, gdy pojawił się Richie z pełnym talerzem, sztuczcami i roześmianą od ucha do ucha buzią.

- Proszę, musi pan trochę spróbować.
- Przepraszam cię, Rich, ale już jadłem.
- Tylko odrobinkę. Może pan usiąść tutaj.

Richie postawił talerz po drugiej stronie stołu, naprzeciwko matki.

Oliwia spojrzała na Aleksandra, unosząc brwi w oczekiwaniu na to, że ostudzi zapał małego.

- Jak sobie życzysz. Dziękuję.

Oliwia unikała jego wzroku i skupiła się na jedzeniu. Nie wiedziała zupełnie, jak się zachowywać i co robić, gdyż towarzystwo mężczyzny przy obiedzie było dla niej czymś niezwykłym. Jej ojciec, alkoholik, rzadko siadał do stołu z nią i jej matką, a z Boydem jadała tylko w restauracjach lub w samochodzie.

- Czy pan gdzieś wyjeżdża wieczorem? — spytał Richie.

- Tak.

- A czy mógłbym... czy potrzebuje pan kogoś, żeby dowiózł Spidera do bramy?

- Oczywiście.

Oliwia spojrzała na syna, który najpierw radośnie się uśmiechnął, a później zapakował sobie buzię ryżem. Aleksander, przeciwnie, grzebał łyżką w talerzu. Może mu nie smakowało. Może był przyzwyczajony do wytworniejszej kuchni. Żałowała, że Richie tak nalegał, żeby siadł z nimi do stołu.

- Widziałem, że oczyściła pani płot od frontu - zaczął.

- Tak. Ma pan tu jeżyny, wszędzie się rozrosły.

- Uparta roślina.

- Bardzo uparta.

- Lubi pan placek z jeżynami? - dopytywał się Richie.

- Nie pamiętam, czy jadłem kiedyś coś takiego.

- Ja uwielbiam. Moja mama piecze najlepszy placek z jeżynami.

- Doprawdy? - Aleksander uśmiechnął się i uniósł do ust mały kawałek kurczaka.

Nie mogła dłużej na niego patrzeć. Sądząc z rozbawienia w jego głosie, zdawał sobie sprawę z tego, że jej dziesięcioletni syn stara się zaimponować talentami kucharskimi matki. Zarumieniła się, czując się okropnie niewyraźnie z powodu nieudolnego swatania jej przez Richiego. Starła się skończyć obiad, ale risotto zbiło jej się w żołądku w twardą kulę.

— Pani risotto jest wspaniałe, madame — stwierdził Aleksander.

— Dziękuję.

Zauważyła jednak, że zjadł bardzo niewiele.

— Dlaczego pan mówi do mojej mamy „madame”? — spytał Richie.

— Ponieważ taka forma wyraża szacunek dla kobiety zamężnej.

— Ale ona nie...

— Richie — przerwała Oliwia, wstając nagle. - Odnieś, proszę, naczynia do zmywarki. Niedługo musimy wyjść.

Schwyciła talerz swój i Aleksandra, starając się nie zdradzić zdenerwowania wyrazem twarzy. Jej stan cywilny aż do tej chwili nie stanowił problemu. Teraz dopiero przeraziła się, że Richie wygada prawdę, i Aleksander przyłapie ją na kłamstwie. Trzeba było powiedzieć małemu, że oszukała Aleksandra, jak zresztą wszystkich mężczyzn: że jest zamężna i nieosiągalna.

Aleksander odsunął krzesło i wstał.

— Czy mogę panu przynieść kawy? - spytała.

— Nie, dziękuję bardzo. Więc wychodzi pani wieczorem?

— Do klubu. Muszę pracować.

— Nie rzuciła pani tej pracy?

— Rzuciłam, ale zgodziłam się na ewentualne zastępstwa przez dwa tygodnie. I zadzwonili po mnie.

— Rozumiem. - Poszedł za nią do kuchni, niosąc szklanki od mleka. - Mam nadzieję, że jedzie pani samochodem.

— Tak.

Wrzuciła ryż do plastikowego pojemniczka, zastanawiając się, dlaczego wciąż się martwi, że napadnie ją ktoś taki jak Jimmy Dan Petersen.

— Rich - odezwał się za nią Aleksander. — Dlaczego nie skończyłaś mleka?

Oliwia wstawiła jarzyny do lodówki. Skrót imienia, jakiego Aleksander użył, zwracając się do jej syna, zabrzmiał jej obco. Uważała, że powinien był się zapytać, czy może tak go nazwać, ale była mu wdzięczna za zwrócenie uwagi na nie dokończone mleko. Richie miał brzydki zwyczaj marnowania jedzenia.

Starła blaty, Aleksander poszedł po serwetki do stołu, a Richie włączył zmywarkę. Wyprostowała się i przez chwilę miała przed oczami dziwną scenę: spokojny ciemnowłosy mężczyzna, towarzyszący im w codziennych zajęciach domowych. Ogarnęło ją ciepłe uczucie. Czy tak się żyje w domach z dobrym mężem, członkiem i uczestnikiem rodziny, a nie siłą, która niszczy?

- Muszę się odświeżyć przed wyjściem — odezwała się, odkładając ściereczkę.

- Czy Rich może wyprowadzić Spidera?

Zawahała się, zastanawiając się, czy wypuścić syna z nim samego.

- Chyba tak, jak umyje zęby.

- Zaraz wracam! - krzyknął Richie. - Niech pan

nigdzie nie idzie.

Aleksander oparł się o szafkę i zachichotał.

- Nie ruszę się.

- A, pana kluczyki! - Oliwia wypadła z kuchni do stoliczka przy drzwiach i przyniosła je Aleksandrowi, który obserwował ją z leciutkim uśmiechem.

- Dziękuję za odstawienie samochodu wczoraj wieczorem.

- Proszę bardzo. - Włożyła mu kluczyki do ręki. - Mam nadzieję, że nie będzie pan zwlekał z pójściem do lekarza.

Skinął głową i przez moment stali naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Oliwia nigdy nie potrafiła patrzeć dłużej w oczy mężczyzny, nie czując zażenowania. Jednak spokój Aleksandra zachęcał ją do wytrzymania jego wzroku. Przyciągnął ją do siebie swoją energią, czuła magnetyzm przebiegający między ich ciałami. Starła się zlekceważyć to wrażenie.

- Muszę się szykować do pracy.

- Zaczekam na Richa, jeśli pani pozwoli.

- Dobrze. Dobranoc panu. - Odeszła kilka kroków, czując ulgę, że się wyrwała z tego zakłętego kręgu.

- Może zobaczymy się u Harry'ego — usłyszała za sobą jego głos.

- Będzie tylko miejscowy zespół. Nic nadzwyczajnego.

- A musi być coś ekstra?

- Ktoś mi mówił, że Aleksander Chaubere pojawia się wtedy, kiedy jest coś wyjątkowego.

— Nie tylko zespół tam będzie. — Uśmiechnął się.

Subtelny komplement bardzo jej pochlebił, ale jego intensywne wpatrywanie się wprowadziło ją w niepokój.

- Więc może się zobaczymy — powiedziała lekko, jakby nie czuła trzepotania w żołądku. Obróciła się na pięcie, gdy Richie przemknął obok niej.

- Bądź ostrożny z samochodem pana Chaubere'a - ostrzegła.

- Dobrze!

Zbiegł po schodach przed Aleksandrem. Po chwili wyrzwała przez okno. Richie dojechał do bramy, wysiadł z samochodu i rozmawiał chwilę z Aleksandrem, który też wyszedł, by przejść na swoje miejsce. Aleksander zwichrzył mu włosy (tak jak ona to robiła) i usiadł za kierownicą. Nie miał prawa tak dotykać jej syna, nie miał prawa! A jednak Richie nie cofnął się i stał tam machając, gdy ten odjeżdżał. Popatrzyła na chłopca, stojącego samotnie na boku podjazdu, i samochód, skręcający w ulicę, a następnie znikający. Pewnego dnia, niedługo, Aleksander powtórzy scenę, której właśnie byli świadkami, i nigdy już nie wróci. Jak się wtedy będą czuli?

Oliwia posiedziała na kanapie, póki Richie nie przybiegł, a później poszła do swojego pokoju przebrać się. Najpierw chciała włożyć czarne dżinsy i białą koszulową bluzę, ale gdy przejrzała się w lustrze, wyglądała jak uczennica. Postanowiła przebrać się w wydekolnowany czarny trykocik i szerokie, lekkie spodnie we wzorek czarny i koloru lawendy. Jednak gdy wciągnęła spodnie i włożyła jedną nogę w nogawkę, zatrzymała się. Dlaczego to robi? Żeby wyglądać bardziej ponętnie i kobieco, gdyby Aleksander Chaubere pojawił się w klubie? Pokiwała głową nad własną głupotą. Nie ma powodu sztafirować się dla kogokolwiek, a Aleksander był tylko jej pracodawcą. Byłoby idiotyczne zacząć coś z facetem, dla którego pracowała i w którego posiadłości mieszkała. A jeśliby coś źle poszło? Jej praca i świetne mieszkanie, poczucie stabilności, jakiego nabrał nareszcie jej syn, wszystko byłoby zagrożone, gdyby jej i Aleksandrowi coś się nie udało. Nie powinna w ogóle o tym myśleć. Czy niczego się nie nauczyła przez te dziesięć lat? Gdzie ona ma rozum? Mężczyźni biorą. Kobiety dają. A później cierpią. I tyle.

Włożyła z powrotem dżinsy i bluzkę i poszła do saloniku.

Richie wpadł, gdy brała kluczyki.

- Zabieraj rzeczy, Richie - powiedziała. - Musimy już iść, bo się spóźnię.

- Okay. — Zrzucił plecak na ramię.

- I zanim zapomnę - mówiła dalej, biorąc torebkę pod pachę - muszę coś ci powiedzieć.

- Co?

- Kilka minut temu chciałeś już powiedzieć panu Chaubere, że nie jestem mężatką, prawda?

Richie przestępował z nogi na nogę.

- Bo nie jesteś, mamó.

- Wiesz, dlaczego tak mówię ludziom, Richie. Dotyczy to również pana Chaubere'a.

- Ale dlaczego? On cię nie będzie zaczepiał.

- Może nie, ale i tak nie chcę, żebyś mu mówił co innego niż wszystkim.

Oliwia wiedziała, że nie był zadowolony, bo patrzył spode łba i wysunął do przodu dolną wargę.

- I nie ma powodu, żebyś tak przed nim wychwalał moją kuchnię.

Richie uniósł głowę i spojrzał.

- Czy ty go nie lubisz, mamó? Nie uważasz, że to fajny facet?

- Fajny, ale ja dla niego pracuję, Richie. To niezbyt dobrze za bardzo zaprzyjaźniać się z kimś, dla kogo się pracuje. Czy rozumiesz?

— Mniej więcej. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego nie mogę mu powiedzieć prawdy.

- Ponieważ nasze życie będzie w ten sposób łatwiejsze powiedziała i zwichrzyła mu rudą czuprynę, żeby zamaskować zawstydzenie, że ukrywa prawdę i przed Aleksandrem, i przed synem. Richie żył w przekonaniu, że jego ojciec umarł. Chciała uchronić go przed tęsknotą za ojcem, który nigdy się nie pojawi, przed miłością do człowieka, którego nic nie obchodził, skoro dziesięć lat nie szukał z nim kontaktu. Był to chyba wystarczający obraz ojcowskich uczuć Boyda.

Richie odsunął się od niej.

- Nie chcę kłamać panu Chaubere. Czuję się głupio.
- Rozumiem cię, ale im mniej o nas wie, tym lepiej.
- Och, mammo!
- Jestem twoją matką, Richie, i chyba wiem najlepiej, co mam robić.
- Ale...
- No chodź. - Otworzyła drzwi. - Jeżeli się nie pośpieszymy, to się spóźnię.

Rozdział 9

Wieczorem Aleksander pojechał do Savannah w Georgii, aby zobaczyć, co z jego statkiem. Zwykle gdy wchodził na pokład, ogarniało go poczucie wolności i chęć przygody. Jednak tym razem, gdy oglądał postępy w remoncie szkunera, nie czuł podniecenia i dreszczyku emocji przed podróżą. Dotychczas morze pomagało mu oderwać się od rozmyślań o życiu na łodzi i niepowodzeniach z kobietami. Obawiał się jednak, że tym razem tak nie będzie.

Wrócił do samochodu, wmawiając sobie, że gdy znajdzie się na otwartym morzu, zapomni o Oliwii Travanelle. Będzie tak, jak z innymi. Zapomniana twarz i uciekające z pamięci nazwisko.

Aleksander, przygnębiony, wsiał do samochodu i ruszył z powrotem do Charleston. Nie mógł zapomnieć Oliwii. Nigdy jeszcze żadna kobieta tak go nie oczarowała swoją naturalnością. Wcale nie był pewien, czy chce, aby jej obraz ulotnił się z jego myśli, choćby pozegłował nie wiadomo jak daleko.

Wracając postanowił odwiedzić Gilberta w hotelu Le Jardin i przed pójściem do baru Harry'ego omówić z nim plany swej podróży. Zaparkował samochód, przeszedł przez hol i

zapukał do drzwi przyjaciela. Czekał na otwarcie drzwi, poczuł silny ból brzucha, tak nagły i ostry, że zgiął się wzdłuż. Wszystko go w środku piekło i skręcało się. Czy psuł się od środka, jak niegdyś jego przyjaciel alchemik? Nie wyobrażał sobie straszliwej śmierci i modlił się, żeby jego nie spotkał taki los. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, a później zaczęły mu migotać gwiazdki. Nogi się pod nim uginały, gdy z trudem łapiąc powietrze, oparł się o ścianę. Uderzył pięścią w drzwi w nadziei, że Gilbert wreszcie usłyszy.

— Na miłość boską, du Berry - jęknął przez zaciśnięte zęby— otwieraj.

Gdy tak stał oparty o ścianę, wzrok mu się poprawił na tyle, by zauważyć idące w jego kierunku dwie młode kobiety. Spojrzały podejrzliwie i obesły go z daleka.

Nareszcie drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Gilbert.

— *Alors*, Aleksandrze! — wykrzyknął zdumiony.

— Pomóż mi wejść. — Aleksander jęknął. Zarzucił ręce na jego wątłe barki i dał się wciągnąć do pokoju.

— Co się z tobą dzieje? - przeraził się du Berry, układając na łóżku przyjaciela, który padł twarzą na błyszczącą kołdrę. Nie mógł mówić, z trudem oddychał. Du Berry prędko cofnął się, żeby zamknąć drzwi, i siadł obok niego na materacu. - To działanie eliksiru? — spytał.

Aleksander skinął głową.

— Odpręż się. - Du Berry pogładził go po włosach. Normalnie Aleksander nie pozwoliłby się tak dotykać, gdyż

seksualne preferencje Gilberta były ogólnie znane, aczkolwiek nigdy nie próbował zbliżyć się do niego. Gest ten wyrażał zresztą czysto przyjacielską troskę, a nie zainteresowanie seksualne.

— Może coś ci podać, Aleksandrze? - spytał du Berry. - Wody? Coś do przykrycia? Coś innego?

— Nic.

— Naprawdę jest tak źle?

— Tak. — Aleksander przymknął oczy.

— Gdzie?

— W trzewiach. - Zwinął się w pozycję embrionalną.

- Aleksander! - Gilbert skoczył na równe nogi. - Co się teraz dzieje?

- Odpocząć. Daj mi odpocząć.

Aleksander poczuł przy policzku chłód pikowanej kołdry i zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Gdy oprzytomniał, zobaczył stojącego nad nim zmartwionego Gilberta.

- Dzięki ci, Najświętsza Panienko — oświadczył Gilbert niebiosom składając ręce. - Aleksandrze, już dobrze?

- Tak. Ból przeszedł.

- Dzięki Bogu!

Aleksander przeciągnął ręką po czole.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Dwie godziny.

- Co? - Aleksander siadł na łóżku. - Dwie godziny?

Która teraz jest?

- Właśnie minęła północ, *mon ami*. — Gilbert sięgnął po niebieską, jedwabną koszulę, rozwieszoną na pobliskim krześle. — Spałeś jak niemowlę.

- Nie mogę uwierzyć, że to tak długo trwało! Dwie godziny! Musimy wyjść.

- Gdzie się tak spieszysz?

- Chciałem iść do Harry'ego.

- *Vraiment?* Ale dlaczego? Czy gra jakiś dobry zespół? Aleksander potarł kark.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? — Gilbert ze zdumienia przestał zapinać koszulę. — Więc po co tam chcesz iść, skoro nie czujesz się najlepiej?

- Po prostu chcę. - Aleksander wstał. - Mam ochotę gdzieś pójść, z dala od laboratorium, może łyknąć kropelkę koniaku.

- Lepiej, żebyś już niczego dzisiaj nie łykał. Aleksander wzruszył ramionami.

- Ale i tak mam zamiar pojechać.

- Czujesz się na siłach?

- Jak najbardziej. Muszę tylko przemyć twarz. Mogę?

Certainement! — Gilbert przekrzywił głowę. — Ach tak! — wykrzyknął podejrzliwie, idąc za Aleksandrem do łazienki i patrząc, jak opryskuje twarz wodą. — To nie na koniak idziesz do Harry'ego. Tu chodzi o coś innego, zupełnie innego. Ale co? To mnie intryguje!

- Gilbertcie, po prostu chciałem wyjść z domu. Nie poza tym. - Aleksander popatrzył znad ręcznika, wycierając twarz. - Idziesz ze mną czy nie?

- Och, pójdę, choćby dla tej rzadkiej przyjemności oglądania cię w towarzystwie, *mon ami*. — Gilbert wsunął poły koszuli w kremowe, wełniane spodnie i zapiął pasek. - Turystki rodzaju żeńskiego rzucą się na ciebie, Aleksandrze.

—Nie, dziś jest wtorek. U Harry'ego będzie spokój.

—Wręcz przeciwnie. Dziś jest damski wieczór! — Du Berry zaśmiał się i wyjął z szafy marynarkę.

Aleksander zapomniał o damskim wieczorze. Spojrzał na swoje czarne dżinsy i fioletową koszulę. Nie pomyślał, żeby się przebrać w coś elegantszego. A zresztą, do diabła, idą tylko do baru. Nie był zresztą typem mężczyzny, przejmującego się strojem, zwłaszcza dla kobiety nieczulej na jego wygląd.

Przez tyle lat nauczył się cenić tych, którzy nie sądzili ludzi po ich wyglądzie czy ubraniu. Oliwia należała do takich osób. Większość kobiet lustrowała go zawsze wzrokiem i nie kryła, że uważa go za wielce pociągającego. Oliwia nigdy czegoś takiego nie demonstrowała. Podobało mu się to, a jeszcze bardziej fakt, że nie miał pojęcia, co ona

o nim myśli. Dwa razy patrzyła mu prosto w oczy, ale było to spojrzenie pełne ludzkiej ciekawości, a nie zainteresowanie seksem. Jej chłodne oczy patrzyły bezosobowo, z zawodową uprzejmością, ruchy miała pełne godności, a rozmowę ograniczała do tematów związanych z pracą i synem. Nie miał do niej żalu o ten dystans - chociaż chętnie by go przełamał -ponieważ wiedział, że jest zamężna i pewnie bardzo oddana mężowi. Ale swoją drogą, co to był za facet, żeby taką kobietę jak Oliwia zostawiać całymi latami samą? Skończony idiota.

- Czy aby na pewno jesteś w formie, mój milczący przyjacielu? - wyrwał go z zamyślenia du Berry.

—Tak, już się dobrze czuję.

-A więc idziemy. - Gilbert zaśmiał się, wyjmując klucz z kieszeni. — Jak owieczki na zew.

- Na rzeź - poprawił Aleksander, wychodząc za nim z pokoju. — I wcale mi się to porównanie nie podoba.

Podjechali Spiderem do North Market Street i zaparkowali w bocznej uliczce. Przemknęli się w ciemności, jak mieli w zwyczaju, by uniknąć miejscowych ludzi, i bez przeszkód weszli na górę do klubu jazzowo-bluesowego. Było tam tłoczno, głośno i pełno dymu, powód, dla którego Aleksander zwykle unikał takich miejsc.

Staął przy wejściu i zbadał podział sali, żeby wiedzieć, który rewir obsługuje druga kelnerka. Oliwii nie było widać i poczuł się rozczarowany, póki nie zobaczył jej wychodzącej z pomieszczenia za barem. Nie zauważyła go i przeszła niosąc na tacy cztery piwa wystrojonym paniusiom przy stoliku z przodu.

- Tędy - powiedział Aleksander, prowadząc między stolikami do lewej części sali.

Nie zwracał uwagi na zawiedzione damskie twarze. Kiedyś bardzo mu to pochlebiało, ale z biegiem lat zaczął się czuć jak towar, jak medal, który nagrodzona kobieta przypinała do piersi, a później przekonywała się, że i tak nie zaprowadzi jej to do jego sypialni. Zresztą nie tylko kobiety cierpiały. I on miał wiele razy złamane serce w ciągu wieków, póki nie nauczył się jednego: nie może sobie pozwolić, aby się zakochać. Żeby uniknąć bólu, najlepiej w ogóle unikać pań.

Zwykle pogrążał się wtedy w pracy i kiedy zajmował się pasjonującym problemem naukowym lub skomplikowanym wynalazkiem, życie stawało się znośne i nie tęsknił za towarzystwem kobiet. Jednak w przypadku Oliwii Travanelle sprawy zaczynały przybierać inny obrót. Praca przestała go już pochłaniać całkowicie. Chodził po laboratorium, pakował się chaotycznie i myślami był daleko od podróży do Ameryki Południowej.

Prawdę mówiąc, wcale nie chciał unikać Oliwii Travanelle. Poruszyła w nim dawno zapomniane uczucia: radość, inny sposób patrzenia na świat, zadowolenie z życia. Na myśl o zobaczeniu się z nią, rozmowie, a może i całowaniu tych upartych

usteczek, czuł się szczęśliwy i z radością myślał o każdym następnym czekającym go dniu.

Zauważył stolik pod ścianą, z dala od zespołu, prawie ukryty w ciemności. Siadł tam pewien, że nie będzie go tam łatwo rozpoznać. Gilbert wysunął sobie krzeselko i usiadł naprzeciw niego.

— Nie mogłeś już znaleźć ciemniejszego miejsca? — narzekał. ~ Tu jesteśmy już jakby poza cywilizacją.

— Taki właśnie miałem zamiar.

— Jak cię panie zobaczą, kiedy się schowasz w ciemności?

— Może nie chcę, żeby mnie widziały?

— Nie masz ochoty na zabawę? - nie dawał za wygraną Gilbert.

— Nie, kiedy jestem ofiarą.

— Ofiarą, coś podobnego! — Gilbert westchnął dramatycznie. — Zupełnie nie jesteś zabawny, mój przyjacielu, wiesz o tym?

Zamilkli i przyglądali się zespołowi. Aleksander słyszał lepsze, ale i tak podobała mu się muzyka. Wystukiwał nogą rytm i przypominał sobie jedno ze swych pierwszych spotkań z jazzem w Nowym Jorku pod koniec lat dwudziestych. Lubił tę podejrzaną epokę gangsterów i nielegalnych barów okresu prohibicji, gdyż przypominały mu okres, w którym napadał na brytyjskie statki i prowadził znacznie ryzykowniejsze życie niż teraz. Jedynym niebezpieczeństwem obecnego życia było ryzyko związane z eliksirem Wiecznej Lilii, a to nie to samo.

— Ach - śpiewnym głosem przerwał mu Gilbert. - Tam się jedna na ciebie gapi, *voilà!*

Spojrzał za wzrokiem Gilberta i zobaczył siedzącą po drugiej stronie sali blondynkę. Było to smukłe i atrakcyjne stworzenie o długich nogach i świdrującym go na wylot spojrzeniu, którego intencje były zupełnie jasne.

Du Berry szturchnął go w żebra.

— A nie mówiłem?

Aleksander wbił wzrok w stolik.

— Nie interesuje mnie to.

— Założymy się, jak długo potrwa, nim tu podejdziesz?

- Nie założymy.

Gilbert zrobił nieszczęśliwą minę i oparł się na dłoni:

- *Eh, bien!*

Na początku następnej piosenki Aleksander poczuł za plecami, że ktoś idzie w jego stronę. Wymyślił tekst, że nie ma ochoty pogadać, lecz gdy kobieta się zbliżała, poczuł w powietrzu zmianę energii i wiedział już na pewno, że była to Oliwia. Nie po raz pierwszy, znajdując się w jej pobliżu, czuł jakąś dziwną wibrację między ich ciałami, jak gdyby częstotliwość systemu elektrycznego jej ciała była zsynchronizowana z jego i następowało wzmocnienie pola między nimi. Zastanawiał się, czy ona odczuwa to samo,

ponieważ trudno było tego nie zauważyć. W tym momencie Oliwia stanęła tuż obok jego łokcia.

- Miło panów widzieć — powitała ich. - Co mogę panom podać?

Oliwia spięła kłamrą masę swych kasztanowych loczków, ale kilka wymknęło się, tworząc delikatne obramowanie dla jej twarzyczki jak z kości słoniowej, aż Aleksander miał ochotę wyciągnąć rękę i pogłodzić jej policzek. Skórę miała delikatną i kremową jak dziecko, a długa, smukła szyja aż się prosiła, żeby ją całować. Wyraz twarzy miała pogodny, ale opanowany, a jasnoniebieskie oczy patrzyły przyjacielsko, ale rzeczowo. Jak kobieta może być taka chłodna i bezpośrednia, a jednocześnie uwodzicielska? Chciałby cieszyć się tą muzyką wraz z nią, w powolnym tańcu, czując przy sobie jej ciało, obejmując jej wąską talię i smukłe biodra, wdychając zapach jej szyi. Kręcił się niewyraźnie na krześle. Nie miał prawa mieć takich pragnień wobec zamężnej kobiety, a co dopiero zrealizować.

- Pani Travanelle! Cóż za niespodzianka - wykrzyknął du Berry. — Aleksander nie mówił mi, że pani tu pracuje.

- Jeszcze przez kilka dni.

- Musi pani być zmęczona, cały dzień harować w jego ogrodzie, a później przychodzić tutaj. Aleksandrze, musisz się ulitować nad tą biedną istotą.

To moja decyzja - powiedziała szybko, nim Aleksander zdążył się odezwać. Popatrzyła na pustą tacę i uniosła pytająco brwi. - Co mogę panom podać?

— Dla mnie koniak — powiedział Aleksander, zastanawiając się, skąd nagle taki chłód w jej głosie. Czyżby wciąż była zła na du Berry'ego za te żarty sprzed kilku dni?

— Jakieś dobre czerwone wino, *s'il vous plait* — dodał Gilbert. — Co macie z Cabernet Sauvignon rocznik 89?

— Ste Michelle albo Knudsona.

— Wobec tego Ste Michelle.

— Dziękuję, zaraz wracam. — Odwróciła się i odeszła od stolika.

Aleksander patrzył, jak idzie przez salę. Jej rozum i zdolności naprawdę się tu marnowały i nie podobało mu się, że obsługuje ludzi, którzy jej w ogóle nie doceniają. Zauważył, jak facet, obok którego przechodziła, puścił do niej oko. Złość i zazdrość zawrzały w sercu Aleksandra i uniosł się w krześle, żeby podejść i kazać mu się przestać gapić na kelnerkę.

Gilbert spojrział na niego.

— Dokąd się wybierasz?

Aleksander zatrzymał się, pół stojąc i pół siedząc i zdał sobie sprawę, że jest tak samo winny. Tak samo nie spuszczał wzroku z pięknej Oliwii jak ten facet. Siadł z powrotem.

— Rozprostowałem się tylko.

Gilbert przechylił głowę i patrzył na niego.

— Aleksandrze, nie mogę powiedzieć, abym spędzał wieczór w dobrym towarzystwie.

— Słucham? - Obrócił się.

— Powiedziałem, że nie jesteś dziś zbyt towarzyski.

— Przepraszam, du Berry.

— Czy rozprasza cię coś czy ktoś?

— Co sugerujesz?

— Że pożerasz oczami panią Travanelle.

— Mylisz się. — Aleksander miętosił serwetkę na stoliku.

- Nie, *mon ami*, myślę, że nie. A wiesz lepiej ode mnie, że romans nie wchodzi w grę. - Aleksander westchnął. - Ona jest mężatką, a ty wyjeżdżasz z kraju.

- Wiem. - Chociaż umysł o tym wiedział, serce tej wiadomości nie chciało przyjąć.

- Opowiadałeś mi już w przeszłości, że jest to beznadziejne i że już nigdy nie będziesz próbował.

- Wiem, wiem! — Aleksander patrzył na kręcącą się przed nim orkiestrę. — Po co mam, do diabła, żyć wiecznie, skoro nie mogę żyć w pełni?

- Zależy od tego, jak zdefiniujesz życie. — Gilbert uniósł wzrok i uśmiechnął się. - O! Jest pani Travanelle z naszymi napojami.

- Pana wino - powiedziała Oliwia, stawiając kielich przed du Berryem.

- *Merci* — powiedział.

- I pański koniak.

Gdy stawiała go przed Aleksandrem, ktoś ją z tyłu potracił. Straciła równowagę i musiała chwycić go za ramię, żeby nie upaść.

Aleksander objął ją i przez króciutką chwilę poczuł jej pierś na swoim ramieniu i zobaczył jej usta w kuszącej odległości.

- Przepraszam — szepnęła zdenerwowana.

- Madame - zaczął, powoli zwalniając uścisk, gdy już pewnie stała. Drugą rękę zsuwał niechętnie z jej nagiego ramienia. - Nic pani nie jest?

- Nie!

Upajał się widokiem jej czerwonych ust, rozchylonych w zdumieniu, i niepewności w tych cudownych oczach. Patrzyli na siebie przez moment. On obejmował dłoń jej nadgarstek, ona trzymała dłoń na jego ramieniu. Du Berry zaśmiał się i przerwał tę czarodziejską chwilę.

- Masz szczęście, Aleksandrze, że taca była pusta. - Zachichotał. - Byłbyś cały w koniaku.

Nagle Oliwia wzięła rękę i odsunęła się od Aleksandra.

- Przepraszam pana. Napoje są na koszt firmy.

- Proszę się nie przejmować. - Chętnie znów zniósłby taki słodki ciężar w swoich ramionach. — Nic nie szkodzi.

Po chwili Oliwia wróciła do swej zawodowej uprzejmości.

- Życzę panom miłego wieczoru.

Gdy odeszła, du Berry nachylił się do Aleksandra.

— Opanowana bestyjka.

— Tak, ale myślę, że ten chłód jest tylko powierzchowny.

— Ale o tym się nie przekonasz, *mon ami*, hm? - Du Berry uniósł kielich w toaście. — Za życie bez kłopotliwych związków.

Ciężko wzdychając, Aleksander sięgnął po swój kieliszek z koniakiem.

Gilbert uśmiechnął się.

- Za piękno, które jest tylko powierzchowne, i za twoją następną podróż, przyjacielu.

- Za Amerykę Południową - mruknął Aleksander bez entuzjazmu. — Za Krzyż Południa.

Minęło pół godziny. Po kolejnej dawce milczenia Aleksandra du Berry zaczął rozmawiać z dwoma młodzieńcami z sąsiedniego stolika. Aleksander sączył koniak i słuchał muzyki, zastanawiając się, dlaczego tu przyszedł. Przebywanie tu, w świecie Oliwii, było torturą nie do zniesienia.

Po dłuższej przerwie piosenkarka zespołu wyszła w innym stroju, w rozciętej po obu bokach srebrnej, metalicznej sukience. Zdjęła mikrofon ze statywu i schyliła głowę. Publiczność uciszyła się, oczekując, że wydarzy się coś innego i nowego. Światła przygasły, z wyjątkiem skierowanego na Murzynkę. Klawiszowiec zagrał jeden dźwięk, a ona uniosła głowę.

- *Pewnego dnia pojawi się...* — zaczęła ciekawym, lekko zachrypniętym głosem, doskonale współbrzmującym z melodią Gershwina.

Piosenka była tak przejmująca, że nikt się nie ruszał. Zapanowała cisza. Aleksander spojrzał na bok i zauważył Oliwię. Piosenkarka śpiewała o cudownym mężczyźnie, którego kocha, i cudownym życiu w domu pełnym cudownej miłości.

Oliwia stała zasluchana przy końcu baru, przyciskając tace do piersi. Czy ta piosenka coś jej przypominała? Czy tęskni za mężem? Czy żyli razem, aż nagle coś się popsuło? Czy jej wymarzony kochanek okazał się kolosem na glinianych nogach? O tym Aleksander przekonał się z biegiem lat: większość kochanków, z chwilą gdy odkrywa swe prawdziwe wnętrze, rozczarowuje.

Piosenka doszła do smutnego zakończenia i w tłumie wybuchły oklaski. Aleksander nie włączył się w ten entuzjazm, gdyż zobaczył, jak Oliwia ociera policzek, i uczył bolesne ukłucie w sercu. Musi wciąż być zakochana w swym mężu, tym skończonym draniu. Musi za nim bardzo tęsknić i zapracowuje się tak, żeby wypełnić czas. Poczł się podle, że chciał ją mieć w ramionach, skoro ona kocha innego.

- Idziemy, du Berry - rzucił nagle.
- Dlaczego? Ta pieśniarka jest *magnifique!*
- Idziemy!

Aleksander odsunął krzeselko, położył pod świecznikiem dwudziestkę i ruszył do wyjścia, wzburzony. Po co tu przyszedł? Co chciał osiągnąć? Jak na człowieka, który żyje ponad trzysta lat, był kompletnym idiotą. W barze panował większy tłok niż godzinę temu, kiedy przyszli. Przepychał się do wyjścia starając się nikogo nie potrącić. Chciał znaleźć się jak najprędzej w swoim laboratorium, odpowiednim miejscu dla takich wariatów jak on. Jednak gdy doszedł do drzwi, uwagę jego zwrócił jakiś błysk po prawej stronie. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę w ciemnym garniturze, trzymającym do światła czarno-białe zdjęcie. Aleksander odruchowo spojrział na fotografię i ze zdumieniem rozpoznał na niej Oliwię Travanelle.

Zatrzymał się tak nagle, że du Berry wpadł na niego.

- Co się stało? — spytał, odsuwając się.

- Przepraszam - odparł mechanicznie Aleksander obserwując, jak facet w garniturze chowa zdjęcie do kieszeni na piersi. Dlaczego ktoś miałby mieć fotografię Oliwii? Czy ktoś jej poszukuje? Przyjrzał się jeszcze raz mężczyźnie. Był błydy, miał mięsiste wargi i cofniętą brodę, rzucały się w oczy wymięte ubranie i tanie buty na nogach. Nie spodobał mu się.

- Aleksandrze? - spytał podniecony du Berry. - Czy coś się stało?

- Zaczekaj - odpowiedział.

- No to idziemy czy zostajemy?

- Na razie zostajemy.

Zachowujesz się bardzo dziwnie, *mon ami*. — Du Berry przepchnął się obok Aleksandra. - I muszę ci powiedzieć, że to wcale nie jest zabawne.

— Mam ochotę na jeszcze jeden kieliszek.

— *Tiens*, Aleksandrze!

- Bawisz się ze mną?

— Nie. Mam zamiar znaleźć bardziej kongenialne towarzystwo od ciebie.

— Kongenialne. — Aleksander wiedział, że rzadko bywał uważany za sympatyczne towarzystwo. Nawet w najlepsze dni był dla du Berry'ego za mało rozmowny. - Czy chcesz wziąć Spidera?

- Wiesz, że nie prowadzę. *Bonsoir!*

- Do zobaczenia, Gilbercie.

Aleksander znalazł stół przy barze, obok faceta w ciemnym garniturze, i usiadł. Zamówił piwo i rzucił okiem na swego sąsiada.

- Świetny głos, co? - zagadnął nieznajomego, żeby go jakoś przejrzeć.

— Tak. I dupcia też.

Żeby nawiązać rozmowę, Aleksander popatrzył na piosenkarkę, chociaż nie interesowała go jej figura.

— Pan nie z tych okolic — rzucił od niechcienia w nadziei, że mężczyzna sam coś powie.

- Nie.

- To najlepszy klub jazzowy w Charleston.

— No to mam szczęście. — Mężczyzna łyknął piwa i odstawił butelkę.

- A pan tu służbowo czy dla przyjemności?

- Służbowo. - Zmierzył Aleksandra od stóp do głów. - Jesteś stąd, koleś?

— Mieszkam tu od lat — odpowiedział, czekając, aż nareszcie czegoś się dowie.

Facet włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął postrzępione zdjęcie.

— Widziałeś kiedyś tę kobietę?

- Pokaż z bliska. - Aleksander udawał, że się przygląda, zastanawiając się nad odpowiedzią. Był prawie pewien, że mężczyzna zauważył Oliwię przy barze. Jeśli będzie pomocny, może dowie się o niej czegoś więcej. - Tak, widziałem. Pracuje tutaj.

- Tak myślałem, że to ona. Zdjęcie jest trochę stare.

- A jak się nazywa? - spytał Aleksander, udając Greka.

- Oliwia Williston.

Aleksander pokiwał głową i oddał zdjęcie.

- Siostra? Siostrzenica?

- Nie, żadne pokrewieństwo.

- To po co jej szukasz? - Aleksander przechylił głowę.

- Jesteś z FBI czy z policji?

- Nie. Prywatny detektyw. Ktoś jej poszukuje. Sprawa rodzinna.

- Rozumiem.

Aleksander udawał, że popija piwo. Był już po kilku koniakach i nie chciał przeciążyć swego zahibernowanego organizmu i przeżyć podobnego ataku jak w hotelu. Nie wiedział, czy alkohol ma na to jakiś wpływ.

- O której zamykają tę budę? - spytał nieznajomy.

Aleksander popatrzył na zegar na ścianie.

- Mniej więcej za dziesięć minut.

- Dobra. Padam z nóg. Przez ten samolot.

Aleksander skinął głową.

- Może byś mnie przedstawił tej Oliwii? Taka laska.

- Stary, lepiej nie zaczynaj. Ona ma kłopoty z powodu faceta, który mógłby ci bardzo zaszkodzić. Kapujesz?

Informacja ta wstrząsnęła Aleksandrem, ale zmusił się, żeby nie dać nic po sobie poznać. Czy Oliwia przed kimś uciekała? Przed mężem? Ale dlaczego płakała słuchając piosenki? Czy miała z kimś romans i teraz ukrywała się przed rozwścieczonym małżonkiem?

Chciał się dowiedzieć o niej wszystkiego, poznać jej przeszłość, problemy, plany i nadzieje. Jednak gdyby się dowiedział, że jest w kimś szaleńczo zakochana, zabolaloby go to. Bardzo.

Nie zważając na konsekwencje, Aleksander łyknął piwa. Cokolwiek będzie się działo, włączy się do tego. Nie pozwoli, żeby ten nędzny detektyw prześladował Oliwię.

Rozdział 10

Kilka minut przed zamknięciem baru prywatny detektyw wstał ze swego stolka.

- Cześć. - Skinął Aleksandrowi.

- A co z panią Williston?

- Zaczekam na nią na zewnątrz. - Detektyw położył kilka banknotów na ladzie. - I tak, jak mówiłem, trzymaj się od niej z daleka, jeżeli nie chcesz mieć kłopotów.

Detektyw wtopił się w tłum i znikł. Aleksander zauważył, że Oliwia wraca do baru z tacą pełną pustych szklanek i kieliszków. Chciał ją ściągnąć wzrokiem, ale skoncentrowała się na przepychaniu przez tłum otaczający piosenkarkę. Światła zamigotały i klienci wstali z miejsc, tłocząc się do wyjścia.

Aleksander posiedział jeszcze parę minut, chociaż łysejący barman, kiedy stał ladę ścierką, kazał mu się zbierać.

W końcu, gdy wszyscy wyszli, pojawił się ochroniarz.

- Bar zamknięty - zwrócił się do Aleksandra.

Aleksander wstał i podszedł do grubasa, którego pamiętał

jako małego chłopca, biegającego po ulicy.

- Chcę porozmawiać z Oliwią.

- Pewnie, że chcesz. A oprócz ciebie jeszcze stu innych facetów. - Ed skrzyżował ramiona i wskazał głową na drzwi. - Wynoś się stąd.

- Daj mi minutę, dobra? To bardzo ważne.

- Możesz z nią pogadać na dworze.

- Ed? - zawołała do niego Oliwia.

- Ten facet chce z tobą porozmawiać.

Aleksander obrócił się i zobaczył twarz Oliwii, ściągniętą i bladą w zielonkawym świetle baru. Na pewno była wykończona. Nikt nie miał pojęcia, jak wczesnie wstała dziś rano.

- Pan Chaubere?

Usłyszał, jak Ed prychnął.

- Jesteś Aleksander Chaubere? - spytał.

- Tak.

- O cholera! - zaklął ochroniarz. Aleksander go zignorował i zwrócił się do Oliwii.

- Jest tu jakieś tylne wyjście?
- Tak. Dlaczego?
- To chodźmy. Prędko.

- Chwileczkę - zaprotestował Ed, wpychając potężne łapsko między Oliwię a Aleksandra. - Nigdzie z nikim nie pójdzie, zwłaszcza z tobą.

- W porządku, Ed. - Oliwia położyła mu rękę na ramieniu. - Co się stało, panie Chaubere?

- Na dole czeka na panią jakiś mężczyzna.

- Kto?

- Nie wiem, jak się nazywa, ale... - Aleksander urwał i spojrzał na Eda, który cały czas słuchał ich rozmowy. Chaubere był pewien, że Oliwia nie życzy sobie rozprowadania po całym Charleston o prywatnym detektywie. - Nie możemy porozmawiać gdzie indziej? Podwiozę panią do domu.

- Mam swoją furgonetkę.

- Powinna ją pani tu zostawić. Ma jeszcze rejestrację z Waszyngtonu?

- Tak.

- Więc najlepiej ją zostawić, ponieważ mógłby za panią pojechać.

Oliwia zmarszczyła brwi.

- Pytał o mnie?

- Tak.

- Powinam posprzątać, zanim pójde... ale jeżeli znajdzie Richiego?

Podbiegła do nich Sherry, wycierając ręce w ściereczkę i przypatrując się Aleksandrowi.

- Co jest, Liw?

- Muszę natychmiast wyjść. Mój syn może mieć kłopoty.

- Co się stało?

- Coś się właśnie wydarzyło. Nie mogę teraz o tym mówić, Okay?

- Dobra, ale jutro chcę mieć sprawozdanie.

- Jasne. - Oliwia poprawiła włosy. Aleksander zauważył, że ręce jej się trzęsą, i żałował, że nie może ich wziąć w swoje dłonie, by się uspokoiła. — Ale nie mogę wyjść, dopóki...

- Idź już, Liw. Ja się tym zajmę. Nie martw się.

- Dzięki. — Oliwia ściągnęła fartuszek. — Będę ci winna.

- To ja jestem ci winna, że zgodziłaś się przyjść na to zastępstwo i nie zostałam sama w tym tłumie! - Sherry znów spojrzała na Aleksandra. — Ale mam nadzieję, że znajdziesz czas, by oficjalnie przedstawić mi pana Chaubere'a.

Aleksander uśmiechnął się lekko do Sherry, a Oliwia porwała swoją torebkę i przewiesiła przez ramię. Ujął jej łokieć. Tym razem nie odsunęła się.

- Cześć — powiedziała Sherry. — Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Cześć — odpowiedziała Oliwia. - Do widzenia, Ed.

- Uważaj — ostrzegł ją Ed, spoglądając wymownie na Aleksandra.

- Którędy?

- Tędy.

Poszła prędko do drzwi za estradą i popchnęła je. Klatka schodowa była ciemna i Oliwia zaczęła szukać po omacku wyłącznika.

- Żadnych świateł! — ostrzegł cicho Aleksander, stając z przodu. — Może panią zobaczyć.

— Możemy się przewrócić i złamać kark.

— Ja świetnie widzę w ciemności. Proszę dać mi rękę.

Po chwili poczuł w swej dłoni jej chłodne palce i jego skóra natychmiast zareagowała dreszczykiem. Rękę miała delikatną i małą jak dziecko. Nie była wiele większa niż dziecko, zaledwie trochę wyższa od swego dziesięcioletniego syna. Jak taka drobna kobieta może się bronić przed brutalnym mężczyzną, bo tak sobie zaczął wyobrażać tego Travanelle'a czy Willistona, czy kto tam był jej mężem. Ogarnęło go pragnienie, żeby ją chronić i pomóc we wszystkich problemach, tak silne, jak miewał pragnienia seksualne. Dlaczego ta kobieta tak na niego działa? Miała kłopoty, a on planował wyjazd z Charleston i nie mógł sobie pozwolić na wikłanie się w jej problemy. Odwiezie ją tylko do domu. Uchwycił mocniej jej palce i poprowadził ją w ciemność.

— Czy pan widzi, dokąd idziemy? — szepnęła. — Jest kompletnie czarno.

— Mam wyjątkowo dobry wzrok — odparł.

Wieczna Lilia wyostrzyła wszystkie jego zmysły: wzrok, węch, słuch, smak i dotyk. Zwłaszcza dotyk, bo czuł pulsowanie jej ręki przez skórę. Zastanawiał się, jak by zareagował na jej nagie ciało. Być może byłoby to nie do zniesienia. Odsunął od siebie tę myśl i szedł dalej.

U dołu schodów znajdował się malutki korytarzyk i następne drzwi. Aleksander ostrożnie uchylił je i wyjrzał. W wąskiej uliczce stały śmietniki i pojedynczy szereg zaparkowanych samochodów. Spider zaparkowany był dalej, za zakrętem, w kierunku północnym.

— Idziemy - szepnął.

Wciąż trzymał ją za rękę. Nie mówili nic, biegnąc uliczką, starając się ukryć w cieniu domów. Aleksander rozejrzał się wokół, ale nie zauważył nikogo. Miał nadzieję, że detektyw nie stracił cierpliwości i wciąż czeka na chodniku przed wejściem do baru Harry'ego.

Gdy doszli do samochodu, puścił jej rękę i sięgnął do kieszeni po kluczyki. Otworzył szybko drzwiczki. Oliwia wsiadła, a on przeszedł na swoją stronę.

—Widział go pan?

— Nie. Na pewno wciąż stoi przed wejściem. Aleksander przypatrywał się, jak oparła głowę i przymknęła oczy. Była taka zmęczona, słaba. Miał ochotę nachylić się nad nią i pocałować ją w usta, gdy tak siedziała, zupełnie nieświadoma jego marzeń. Miała jednak dość kłopotów, żeby się jeszcze narzucał ze swoimi awansami. Nie wiadomo, jak by je przyjęła, ale sądząc z tego, jak płakała, słuchając piosenki - pewnie niechętnie. Poza tym nie wiedział, jak może na niego podzielać dotyk ust Oliwii Travanelle. Może eksplodować z powodu przeciążenia wszystkich swoich zmysłów. Zmuszając się do myślenia o rzeczywistości, zapuścił silnik i ruszył. Wykręcił i pojechał w kierunku Rynku Północnego.

— Przejadę obok wejścia do baru, a pani niech zobaczy, czy zna tego człowieka.

Mimo późnej pory ruch był dość duży. Aleksandrowi udało się w końcu wcisnąć w sznur jadących samochodów i przejechać koło baru.

— Widzi go pani?

— Nie widzę nikogo znajomego.

— Tam. - Wskazał na mężczyznę zmierzającego w stronę parkingu. — To ten facet w ciemnym garniturze.

— Aha. - Musiała się przekręcić, żeby go zobaczyć, i Aleksander poczuł zapach jej włosów. Uchwycił mocniej kierownicę. Wiedział, że traci panowanie nad sobą.

— Widziała go pani kiedyś?

—Nie wiem. Może. Trudno było dojrzeć twarz. Wróciła do poprzedniej pozycji, więc trochę się uspokoił.

—Co o mnie mówił? — spytała.

—Pokazał mi zdjęcie. Jest pani na nim dużo młodsza.

—Naprawdę?

—Tak. Powiedział, że nazywa się pani Oliwia Williston i ktoś pani szuka. Ktoś, kto może pani narobić kłopotów.

—Pytał o Richiego?

—Nie. Nic o nim nie mówił.

Westchnęła.

- Więc? - Aleksander znów spojrzał na nią wyczekująco.

- Więc co?

- O co tu chodzi?

- To sprawa osobista. Nie chcę o niej mówić.

Doceniam pańską troskę - ciągnęła - ale to muszę załatwić sama.

- Dlaczego pani zmieniła nazwisko?

- O czym pan mówi?

- On twierdził, że nazywa się pani Williston.

- Nazywałam się. Teraz nazywam się Travanelle.

Większość kobiet zmienia nazwisko, gdy wychodzi za mąż.

- Ale pamiętam, że mówiła pani, że francuskie

nazwisko ma pani po swojej babce.

Spojrzała na niego ostro. Aha, jednak przyłapał ją na oszustwie.

- A więc?

- A więc Travanelle nie może być nazwiskiem po mężu.

Zacisnęła zęby i uporczywie milczała.

- Rozumiem, że Travanelle jest przybranym nazwiskiem. — Nie dawał za wygraną, wciąż oczekując wyjaśnień.

- Może pan sobie rozumieć, co pan tylko chce, panie Chaubere.

- Chciałem tylko...

- Czy nie mógłby pan mi pomóc, nie mieszając się do moich spraw? Ja nie mieszam się do pańskich. Proszę mi się odwdziżyć tym samym.

- Ale jeżeli jest pani w jakimś...

- Nie jestem. Nie jestem przestępcą, proszę pana. Nie okradnę pana, jeśli pan się tego obawia.

Patrzył na jezdnię przed sobą. Dobre sobie. Nie wiedziała, że już mu coś zabrała: dobre samopoczucie. Teraz zanosilo się na to, że zawładnie jeszcze jego sercem.

- Obawiałem się o pani bezpieczeństwo, madame.

- Mogę sama o to zadbać.

- Z pewnością.

- Robiłam to przez dwadzieścia osiem lat. - Uniosła głowę.

— Nie mam ochoty na takie słowne ataki, jakby pan miał zdobyć Bastylię czy coś w tym rodzaju!

—Atakować? Ależ nie zamierzałem.

—Proszę mnie tu wysadzić!

—Dlaczego? Mamy jeszcze zaledwie jedną przecznicę do domu.

—Richie jest u pani Foster. — Położyła rękę na klamce.

— Wypuści mnie pan teraz?

—Oczywiście.

Zmarszczył się widząc, że jego usiłowania, żeby jakoś zbliżyć się do niej, spełzły na niczym. Dlaczego była taka drażliwa, tak bardzo starała się ukrywać swoje kłopoty? Zjechał do krawężnika i zwolnił.

Wyskoczyła z samochodu, który jeszcze całkiem się nie zatrzymał.

—Dziękuję. — Zamknęła drzwiczki, nim zdołał jej odpowiedzieć.

Troszcząc się o jej bezpieczeństwo, śledził jej sprint do ułożonej z cegieł ścieżki. Wyobrażał sobie, że będzie jej pomagał, będzie jej rycerzem w lśniącej zbroi... Jednak coś stawało na przeszkodzie.

Czekał, dopóki Oliwia i Richie nie wyszli. Udawała, że go nie zauważa, prowadząc bardzo już sennego syna. Aleksander rozglądał się, czy nie kręci się jakiś podejrzany typ na ulicy, i wjechał do garażu dopiero, kiedy byli całkiem bezpieczni w domu.

Powlókł się do swojej rezydencji, zmartwiony reakcją Oliwii. Pomyślał o mieszkanku nad garażem, pełnym mebli Gilberta i roślin Oliwii, i ciepła, jakie mieli dla siebie Oliwia i Richie, dwie ludzkie istoty, żyjące pełnią życia. Pamiętał wieczór na balkonie, gdy rozmawiali o ogrodzie i Seattle. Mogliby rozmawiać o wszystkim albo o niczym, nie miało to znaczenia. Wystarczyło mu być z nią, być częścią jej świata. Tak jak wtedy, kiedy usiadł z nimi przy stole tak naturalnie, jak gdyby robił to codziennie. Będzie to wciąż na nowo wspominał.

Aleksander pomyślał o swoim mieszkaniu: puste pokoje, zimne kominki, przepastna sypialnia i ogromne podwójne łóżce z baldachimem. Nienawidził tej olbrzymiej przestrzeni, pokrytej pościelą. Na szczęście potrzebował tylko godziny lub dwóch nocnego wypoczynku, bo dłużej nie wytrzymałby w tym łóżku. Wszedł powoli tylnymi schodami. Trzaśnięcie drzwiami odbiło się echem w holu i klatce schodowej. Stał u stóp szerokich schodów. Słyszał w samotnym domu własny oddech, a uczucie spotęgowane było samotnością tego miejsca i samotnością w jego sercu. Nie, nie zniesie dzisiaj swej sypialni. Odwrócił się powoli i tylnymi schodami udał się w kierunku laboratorium. Powinien znowu pobrać sobie krew i zbadać, czy od czasu ostatniego ataku zaszły jakieś zmiany w jego krwinkach. Przejrzy notatki, przeanalizuje wykresy - wszystko, aby tylko uniknąć pustego łóżka.

Gdy tylko zaczęło świtać, Oliwia popędziła do ogrodu, żeby w pracy zapomnieć o zmartwieniach. W nocy prawie nie spała. Zaplanowała na dzisiaj oczyszczenie części ogrodu z frontu, koło podjazdu. Ubrała się w cienkie, bawełniane spodnie, podkoszulek na ramiączkach i starą koszulę, którą łatwo będzie mogła zdjąć, gdy zrobi się gorąco. Założyła też starą czapkę baseballową Richiego, żeby ukryć pod nią swoje włosy, widoczne z daleka. Pewna, że ewentualny detektyw jej nie rozpozna, załadowała narzędzia na taczkę i pojechała ścieżką przez oleandry.

Wyrywając lebidę, mleczkę i rdestę zarastającą wokół krzewów, postanowiła, że trawnik wzdłuż podjazdu musi zostać skopany, nawieziony i na nowo pokryty darnią. Jednak praca nie bardzo jej pomagała, gdyż wciąż rozmyślała o swym byłym mężu. Co się stanie, jeżeli detektyw w końcu ją odnajdzie? Czy Boyd się wtedy pojawi? Czy będzie próbował zabrać jej Richiego? I dlaczego po dziesięciu latach miałby chcieć odebrać jej syna? Bez sensu. No, ale dlaczego jej poszukiwał? Musi później zadzwonić do szkoły i zastrzec, żeby z nikim obcym nie wypuszczali Richiego.

Wrzuciła garść mleczki na taczkę i przypomniała sobie, jak bardzo Aleksander jej pomógł ostatniej nocy. Powinna być wobec niego bardziej sympatyczna, ale te jego pytania wyprowadziły ją z równowagi. Chciałaby podzielić się z nim swoimi problemami, ale wtedy wydałoby się, że go oszukała. Co więcej, gdyby dowiedział się, że nie jest już

mężatką, uważałyby, że może bez przeszkód starać się o jej względy. Czuła, że coś się między nimi zaczyna dziać, i gdyby tylko to okazała, wykonałby jakiś krok. Nie była pewna, czy wtedy długo mogłaby mu się opierać, bo nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie zaintrygował jej bardziej niż on.

A jednak musi być twarda. Już dawno przekonała się, jacy są bogaci mężczyźni, jakie mają apetyty, jacy są samolubni i jakie słabości odkrywają w ludziach pieniądze. A Aleksander był po prostu jeszcze jednym bogatym mężczyzną, zadowolonym ze swego kawalerskiego życia.

Około ósmej piętnaście Oliwia przerwała pracę, żeby wyprawić Richiego do szkoły, zadając codzienne pytanie: odrobiłeś lekcje, zabrałeś kanapki, masz klucze? Przypomniała mu, żeby nie rozmawiał z nieznajomymi. Zrobił obrażoną minę, bo nie jest już przedszkolakiem, i pobiegł do autobusu. Oliwia zadzwoniła do szkoły i wróciła do pracy. Postanowiła zrobić sobie przerwę na kawę około dziesiątej, ale dziesiąta minęła, a ona wciąż pracowała. Widziała już wyraźnie różnicę w tej części, którą oczyściła, więc postanowiła wykonać co najmniej tę pracę, którą dzisiaj zaplanowała. Wkrótce zrzuciła koszulę z długimi rękawami, a na ciele zobaczyła kropelki potu od otaczającej ją południowej wilgoci.

Godziny mijały. Strzyżyki i przedrzeźniacze śpiewały z drzew za jej plecami. Spod grabi i szpadla uciekały różne chrząszcze i pajęczki, jakich nigdy jeszcze nie widziała. Obiecała sobie wypożyczyć z biblioteki książkę o owadach i pajęczakach, gdyż poznawanie nowych przedstawicieli fauny i flory było jedną z większych przyjemności, jakie czerpała ze swego wybranego zawodu. Czasem używała owadów do walki ze szkodnikami w ogrodach, które urzędowała. Zainteresowanie owadami i pająkami było ich wspólną pasją z Richiem.

„Richem”, poprawiła się z uśmiechem. Ciekawe, czy podoba mu się ten skrót. Będzie go musiała zapytać.

- Madame?

Podskoczyła i obróciła się. Za nią stał Aleksander, ze szklanką w ręku.

- Przepraszam. — Uśmiechnął się lekko. — Nie chciałem pani przestraszyć.

- Nie słyszałam, jak pan szedł.

- Mam lekki krok. - Wyciągnął rękę. - Proszę, pomyślałem, że może pani wypije coś zimnego.

Patrzyła na szklankę, z rezerwą traktując uprzejmość Aleksandra. Nie chciała, by znów ją zaczął wypytywać. Kiedy nie wyciągnęła ręki po napój, podszedł nieco bliżej, ale nie stanął w słońcu.

- Nie jest pani spragniona? — spytał.

- Właściwie, to tak - powiedziała biorąc od niego chłodną szklankę. - Dziękuję.

Upiła łyk. Woda z plasterkiem cytryny doskonale jej zrobiła na wysuszone gardło. Nic nie mogło jej sprawić większej przyjemności. .

- Wspaniale - powiedziała. - Dziękuję bardzo.

Wypiła jeszcze sporo, dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo chciało jej się pić.

- Pracuje tu już pani kilka godzin bez przerwy. To nie jest zbyt rozsądne, zwłaszcza w taki upał.

- Pracowałam już w większe upały.

- Możliwe, ale słońce w południe jest zdradliwe. Nie chciałbym, żeby pani tu padła na moich oczach.

Pomyślała sobie, że byłoby bardzo miło paść w jego ramiona. Wypiła jeszcze haust i rozejrzała się, żeby ocenić wyniki swojej dzisiejszej pracy i odsunąć od siebie tę kuszącą wizję.

- Jeśli idzie o wczorajszy wieczór - zaczął - myślę, że...

- Chcę pana przeprosić, że byłam taka nieprzyjemna — przerwała - ale są to moje osobiste sprawy, proszę pana. - Wiedziała, że chce, żeby zwracała się do niego po imieniu, ale nie miała zamiaru pozwolić sobie nawet na taką poufałość.

Jego ciemne oczy patrzyły na nią przez chwilę badawczo.

— A więc uszanuję pani sprawy osobiste, madame.

— Wspaniale.

— Ale jeśli jest pani w niebezpieczeństwie, proszę się nie wahać i powiedzieć mi. Z największą przyjemnością pomogę pani.

Podparła się pod bok uznając, że najlepiej wszystko od razu wyjaśnić.

— A właściwie dlaczego?

Wyraźnie zdumiało go to bezpośrednie pytanie.

— Bo chcę.

— Proszę posłuchać. — Oparła szklankę o udo. - Nie wiem, co się za tym kryje, ale chciałabym jasno postawić sprawę.

— A więc słucham.

— Ja tutaj dla pana pracuję i nic więcej.

— Ale czy jest jakieś prawo, które zabrania, żebyśmy stali się przyjaciółmi?

— Tak. Moje własne credo. Znam mężczyzn. Mówią, że chcą przyjaźni, oferują pomoc. A wszyscy chcą tylko jednego, ale ja nie jestem kobietą, która by się odwdzięczała przysługą za przysługę.

Skrzyżował ramiona.

— Niektórzy mężczyźni są inni.

— Ci, których znałam, wszyscy byli jednakowi.

— Zapewniam panią, madame, że jestem całkiem inny niż mężczyźni, których pani znała. - Mówił delikatnym głosem, ale z pełnym przekonaniem. — Ja jestem zdolny do przyjaźni z kobietą.

— Naprawdę? - Zmierzyła go wzrokiem. - Nie wierzę w istnienie takiego mężczyzny.

— Oferuję swoją pomoc bez żadnych zobowiązań, madame, jako przyjaciel.

— Ale dlaczego? Z jakiego powodu miałby się pan mną zajmować?

— Ponieważ wniosła pani światło do mojego cienistego zakątka w Charleston - odpowiedział miękko - i mam nadzieję, że to światło nie zgaśnie.

Jego słowa były jak strzał w serce. Nikt nigdy nie wygłosił do niej takiego romantycznego tekstu. Oliwia przeżyła setki różnych wulgarnych zaczepek, ale nigdy czegoś takiego. Nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć. Takie szczere uczucia ze strony mężczyzny były dla niej czymś zupełnie nowym. Sięgnęła po szpadel.

- Nie odpowiada pani.
- Nie wiem co. Zobaczmy, jak się to ułoży, dobrze?
- Zawsze jest pani taka twarda, kiedy się pani boi?

Wyprostowała się, trzymając się drewnianego trzonka

szpadla.

- Nie boję się pana!
- To może siebie?

Znów zaniemówiła. Przynajmniej miał tyle przyzwoitości, żeby się nie uśmiechnąć, przebijając znów jej pancerz.

- Strach może zabić radość życia — ciągnął.
- Nie boję się życia.

- Więc nie zatruwaj go sarkazmem i ponurym wzrokiem, Oliwio. Chcę ci pomóc i uczyć się od ciebie, jak, być może, ty będziesz uczyć się ode mnie. Ale tylko z wzajemnym przyzwoleniem.

- Przyzwolenie może wpędzić w kłopoty.
- Trzeba przyzwalać z poczucia siły, a nie słabości.

-Uniósł brwi, czekając na znak, że go zrozumiała.

Oliwia wpatrywała się w niego. Uważała się zawsze za osobę silną, ciężko pracującą. Ale czyż nie wybrała swojej samotnej drogi ze strachu, a nie z przekonania? Nigdy jej to nie przyszło do głowy.

- Znów pani milczy - zauważył.
- Myślę.
- To dobry znak, madame.
- Nie ufam ludziom, na pewno nie tak łatwo jak pan.
- To założenie, a założenia mogą być fałszywe, hm?
- *Touche!*
- A więc jesteśmy przyjaciółmi?

Musiła się uśmiechnąć.

— Pomyślę nad tym, Chaubere.

— Aleksandrze.

Oparła piętę o szpadel. Zdawała sobie sprawę, że godząc się na mówienie po imieniu, dopuszcza zarazem możliwość przyjaźni.

— Jesteś człowiekiem, któremu trudno odmówić, Aleksandrze Chaubere.

— A więc - tak?

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, czując niebezpieczną lekkość w sercu.

— Jak się mówi „może” po francusku?

— „Może”? - Teraz on się uśmiechnął. - Nie ma takiego słowa *en francais*.

— Żartujesz sobie ze mnie, sir — odpowiedziała w jego stylu, co wyraźnie znalazło uznanie w jego oczach.

— Nie żartuję. - Wyciągnął rękę po jej pustą szklanę. — Zabiorę to.

Wziął z jej ręki szklanę i nim się zorientowała, uniósł jej palce do ust. Gdy całował jej dłoń, przymknąwszy oczy, ogarnęła ją fala ciepła. Zdumiał ją ten staroświecki gest, stała jak oczarowana. Dopiero po chwili zorientowała się, że jego ręka jest nienaturalnie gorąca. Może ma gorączkę? Chciała coś powiedzieć na temat jego temperatury, ale przeczuł chyba jej pytanie, bo cofnął dłoń.

— *Au revoir* — powiedział i nie czekając na odpowiedź, wszedł w krzewy azalii i znikł jej z pola widzenia.

Rozdział 11

Idąc do ścieżki, Aleksander drżał i trząsał się. Dowlóknął się do marmurowej statuetki i przysiadł przy niej na ziemi. Czuł, że nie dojdzie do laboratorium. Dreszcze zaczęły się, gdy tylko pocałował Oliwię w rękę. Oblał się potem. Wiedział, że zbliża się następny atak. Nie zdążył jej nic powiedzieć, tylko szybkie „do widzenia”.

Przyłożył drżącą rękę do czoła. Co za głupiec. Jakże ma prawo mówić coś Oliwii o swoich uczuciach? Przecież umiera. Nie jest w stanie dokładnie przewidzieć, kiedy nadejdzie atak, a następny może go zabić. Co z niego za mężczyzna, żeby chcieć, aby kobieta się nim zainteresowała, jeśli zostało mu tylko kilka tygodni życia, a może nawet dni? To byłoby egoistyczne, a nawet okrutne dopuścić do tego, żeby się w nim zakochała. Oparł głowę o pomnik i przymknął oczy. Musi o niej zapomnieć i zająć się

pakowaniem. Du Berry miał rację. W jego życiu nie ma miejsca na kobiety, zwłaszcza teraz.

Gdy słabość minęła, powlókł się do laboratorium i znów zbadał sobie krew. Liczba „nieśmiertelnych” ciałek krwi spadła do nie notowanego poziomu. Zaznaczył to na wykresie. Zmęczony i załamany, patrzył na te wszystkie linie i przeklinał dzień, w którym wypił eliksir z Wiecznej Lilii. Może wkrótce nadejdzie koniec i przestanie cierpieć. Ta nadzieja doda mu sił na przyszłe dni, kiedy znów towarzyszyć mu będzie tylko samotność.

Po południu Aleksander pracował w cieniu garażu, polerując nowy wosk na samochodzie i usuwając wszelkie najmniejsze zadrapania karoserii. Chciał, żeby Spider był w nienagannym stanie, bo planował go sprzedać przed wyjazdem do Ameryki Południowej.

Choć nie widział Oliwii, wiedział, że pracuje we frontowej części ogrodu, i świadomość ta dawała mu poczucie ładu i harmonii. Westchnął głęboko na myśl o jej obecności w sąsiedztwie, a fakt, że oboje ciężko pracują obok siebie, podnosił go na duchu, mimo że postanowił nie mieć z Oliwią nic wspólnego.

Gdy polerował czarną karoserię Spidera, usłyszał jakieś odgłosy przy płocie. Spojrzał w tamtym kierunku. Co tym razem robiła niestrudzona Eugenia Foster? Szpiegowała, żeby się przekonać, czy nie uwodzi swojej przystojnej specjalistki od kształtowania krajobrazu?

Pamiętał Eugenię jako dziecko wciąż gapiące się przez bramę, później nastolatkę, starającą się wpaść mu w oko, a następnie młodą matkę, przepędzającą swoje dzieci z posesji Chaubere'a. Podszedł do tylnej ściany garażu, aby zdecydowanie, raz na zawsze powiedzieć sąsiadce, że nie życzy sobie wtrącania się do jego spraw. Zatrzymał się nagle, gdy zobaczył, że przez murek przelatuje plecak Richa i ląduje w koniczynie. Aleksander zatrzymał się ze szmatą w rękę i czekał, aż na murku ukaże się sam Rich, zastanawiając się, dlaczego chłopiec nie wybrał prostszej drogi.

Zobaczył najpierw jego kasztanowe włosy, potem ręce, kiedy starał się podciągnąć. Wreszcie wciągnął się, rozejrzał i zeskoczył na trawę. Najwyraźniej nie zauważył Aleksandra, stojącego w cieniu. Chłopiec podniósł plecak i wyprostował się ostrożnie, jakby cierpiał przy każdym ruchu. Gdy odwrócił się, Aleksander zobaczył jego twarz i przeraził się. Lewe oko miał czerwone i opuchnięte, w kąciку ust widać było krew, brudna i podarta koszula wychodziła mu ze spodni.

Na ten widok Aleksander zapomniał, że stał w ukryciu, poniekąd szpiegując chłopca.

- Rich! - zawołał podchodząc — co się stało? Chłopiec uniósł głowę i zatrzymał się.

- Co ci się stało? - dopytywał się Aleksander.

- Nic.

- Kto ci to zrobił? - spytał, biorąc małego pod brodę, żeby przyjrzeć się oku.

Rich unikał jego wzroku. Skrzywił się, a grymas pogłębił się przez strużkę krwi płynącą z kącika ust. Aleksander wiedział, że tak prędko nie pozna prawdy, bo bardzo dawno temu też był małym chłopcem i pamiętał, co znaczy zraniona duma.

- Musisz przyłożyć coś zimnego na to oko, żeby odeszła opuchlizna - powiedział. - Czy mama ma jakieś mięso w lodówce?

- Chyba tak, ale nie chcę, żeby mnie zobaczyła.

- Dlatego przeszedłeś przez płot?

- Tak.

- Chodź. Mama pracuje w ogrodzie od frontu. Wejdziemy do domu i zajmę się twoim okiem, postaramy się, żeby cię nie widziała, jeśli o to ci chodzi. Masz klucz?

- Tak. - Chłopiec sięgnął do kieszeni dzinsów i wyciągnął klucz.

Aleksander wziął go od niego, prędko otworzył zamek i szybko obaj weszli, w milczeniu idąc po schodach.

- Idź się umyć - polecił Aleksander - a ja poszukam czegoś na twoje oko.

- Dobrze. Ale moja mama ma mrożony groszek, a nie mięso.

Aleksander poszedł do kuchni, otworzył lodówkę w poszukiwaniu mrożonego groszku i zaskoczyła go taka ilość jedzenia. Sam jadał bardzo rzadko i nigdy nie trzymał w domu żadnych zapasów. Kuchnia w jego domu nie posiadała ani kuchenki, ani lodówki. Od czasu zbudowania Chaubere House w 1795 roku nie miał nigdy potrzeby, żeby przygotowywać tam jakieś posiłki. Tę minimalną ilość, jaką musiał jeść dla podtrzymania swego zahibernowanego ciała, jadał czasami w podmiejskich restauracjach, tam gdzie był mniej znany. Otworzył górną część lodówki i znalazł mrożonki, a wśród nich do połowy zużytą paczkę groszku. W drzwiach pojawił się Rich z wilgotnymi włosami i zmytą z ust krwią.

- Siadaj. - Aleksander wskazał na krzesło.

Rich doszedł do stołu, wyciągnął sobie krzesło i klapnął na nie.

- Odchyl głowę — poinstruował go Aleksander i ostrożnie położył spłaszczoną torebkę na oko chłopca. - Ilu ich było? — spytał.

- Trzech.

- Mama i tak się dowie, wiesz.

- Tak, ale jak już nie ma krwi, nie będzie tak okropnie

wyglądać.

- Zmartwi się?
- Tak. Nienawidzi bójek.

Aleksander popatrzył na drobną figurkę i niewinną buzię chłopca.

- Często ci się to przydarza?
- Nie. - Rich skrzywił się i zaszurał nogami. —

Właściwie, to tak. Przedtem to przez moje włosy. Przezywali mnie marchewka. A teraz to nie wiem, dlaczego.

Aleksander poprawił okład.

- Jak się teraz czujesz?
- Lepiej.

Popatrzył na chłopca i zaczął się zastanawiać, czy Oliwia uznałaby, że przekracza swoje kompetencje, rozmawiając z Richem o jego problemach. Bójka z kolegami to był temat dla ojca, ale ponieważ nie było go w pobliżu, czuł, że ktoś powinien się włączyć. Przysunął sobie krzesło oparciem do przodu i siadł naprzeciw chłopca.

- Chcesz usłyszeć moją teorię? — spytał, opierając się rękami o krzesło.

- Teorię?
- Tak, na temat walki.
- Chyba tak.
- Ma to związek ze zwierzętami. Miałeś kiedykolwiek psa, Rich?
- Nie. Tylko kiedyś żółwie.

- Ja miałem kilka psów. Niektóre były wspaniałe. Ale psy mają jedną niesamowitą cechę. Potrafią wyczuć, kiedy ktoś się ich boi.

- Naprawdę?
- Tak. A jeżeli pies wie, że inne zwierzę się go boi, albo jest słabe, wtedy zaczyna być agresywny. Ale zaobserwowałem jedną ciekawą rzecz.

- Co takiego?
- Niezależnie od tego, jak pies jest wielki czy groźny, jeśli udajesz, że się go nie boisz - nie zaatakuje. Wiele razy unikałem kłopotów udając, że się nie boję.

- Jak można udawać, że się nie boi, jeżeli się boi?
- Trzeba iść pewnym krokiem, wyprostowanym, zawołać psa, spojrzeć mu w oczy.

- Ale co to ma wspólnego z bijatykami?
- Myślę, że ludzie czasami są jak psy, Rich.

Wyczuwają, kiedy inni się boją. Tak jak tchórzliwe psy potrafią uderzyć tylko wtedy, kiedy myślą, że łatwo uda im się kogoś pokonać.

- Ale jak ja mam udawać, proszę pana? To są duże chłopaki, szóstoklasiści.

- I na pewno są tchórzliwi. Dlatego chodzą całą bandą i biją młodszych i słabszych.

- Nie potrafię udawać, że się nie boję. — Nachylił się, przytrzymując torebkę z groszkiem, żeby nie spadła. -

Wiem, co mi mogą zrobić.

- Dlatego musisz się nauczyć jednej rzeczy, Rich.

- Czego?

- Taktyki obronnej, czegoś, czym ich zaskoczysz.

Często wystarczy jedna konfrontacja. Później dadzą ci spokój, bo pomyślą, że się nie boisz, mimo że w środku będziesz się trząść. Gdy się przekonają, że cię nie zastraszą, wzrośnie twoja pewność siebie i będziesz się wtedy lepiej bronił. Obrona polega raczej na sile ducha niż ciała. To jest coś takiego, o czym nie wszyscy wiedzą.

- Panu to łatwo mówić. — Rich skulił drobne ramionka. — Pan nie jest takim gnojkiem jak ja.

- Kto powiedział, że jesteś gnojek?

— Wszyscy. I to prawda. Niech pan na mnie popatrzy. Nie przestraszyłbym nawet ratlerka.

Aleksander spojrział na drobne ciało, długie kończyny i miękką twarzyczkę syna Oliwii. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Żeby zyskać na czasie, pochylił się i delikatnie odsunął torebkę z groszkiem.

— Znacznie lepiej — powiedział.

Opuchlizna trochę ustąpiła. Rich patrzył na stół, siedząc ze skrzyżowanymi z przodu ramionami.

— Wiesz, Rich — zaczął Aleksander, mając nadzieję, że pozyska zaufanie chłopca. — Najlepsi szermierze, jakich znałem, byli tacy drobni jak ty. To była ich przewaga. Posiadali szybkość i zwinność, o jakiej ci potężni mogli tylko marzyć.

Rich zerknął na niego spode łba i z powrotem patrzył na stół, nie do końca przekonany. W każdym razie słuchał.

— Walczyłem też na turniejach karate, gdzie niektórzy posiadacze czarnych pasów byli najmniejszymi przedstawicielami ludzkiej rasy, jakich można sobie tylko wyobrazić.

Zobaczył, że jeden kącik ust chłopca unosi się w uśmiechu.

— Ale oni wiedzieli, jak się ruszać. - Aleksander gwizdnął cicho. - Niektórzy z tych facetów poruszali się tak szybko, że przysięgłbyś, że są jednocześnie w dwóch miejscach.

— Ale do czego pan zmierza? - Rich zwrócił twarz w jego stronę i wyraz jego twarzy i bezpośredniość pytania zaskoczyły Aleksandra, taki był w tym podobny do swojej matki.

— Mógłbym cię nauczyć kilku kroków, gdybyś chciał. — Chaubere wstał i podszedł do lodówki. — Mam czarny pas w karate i niezłą rękę do szermierki, chociaż wyszedłem trochę z wprawy. - Wrzucił torebkę do zamrażalnika.

— W dzisiejszych czasach niewielu ludzi ma szable.

— Wiem. Szkoda.

Rich spojrział z zaciekawionym i wstał.

— Ale żadnych kroków kung fu nie znam.

— Kung fu?

— No, wie pan - Rich uniósł rozpląszczone dłonie i stanął w rozkroku — jakoś tak.

W tej chwili trzasnęły na dole drzwi wejściowe i po chwili Oliwia pojawiła się w kuchni. Rzuciła okiem najpierw na syna, później na Aleksandra i oczy jej zapłonęły gniewem.

- Co się tu dzieje? - krzyknęła, rzucając się do przodu.
— Richie, gdzie ty byłeś, na miłość boską? - Zobaczyła jego twarz i przeraziła się. — Richie! Co ci się stało?

- Nic, mamó.

Schwyciła syna za ramiona i spojrzała groźnie na Aleksandra. Nagle pojął: uważała, że to on pobił Richa. Nie, niemożliwe, żeby go o to podejrzewała.

- Chwileczkę! — Aleksander uniósł rękę w proteście.
— Myśmy właśnie...

- Wynoś się! - krzyknęła, nawet na niego nie patrząc, zajęta kontuzją syna.

- Ale mamó...

- Powiedziałam, wynoś się, Chaubere! — Obróciła się w jego stronę. - Albo zawołam policję!

Aleksander patrzył, zdumiony i przerażony, ale wiedział, że nie zdoła niczego jej wytłumaczyć, póki się nie uspokoi.

- Ja nie żartuję, Chaubere.

- Dobrze, idę. Ale zapytaj Richa, czy ja mu cokolwiek zrobiłem.

- Mam taki zamiar. - Przytuliła mocno syna. - A teraz się wynoś!

Aleksander popatrzył na Richa, po czym podszedł do drzwi. Nie będzie musiał się starać, żeby trzymać się z dala od Oliwii. To ona będzie się trzymała z dala od niego, z całą pewnością.

Gdy tylko Aleksander wyszedł z domku nad garażami, Oliwia obróciła Richiego do światła i przyglądała się dokładnie jego twarzy.

- Czy był tu, kiedy wróciłeś do domu? - spytała.

- Nie! - Chłopiec starał się jej wyrwać, ale trzymała go mocno.

- Czy przyszedł za tobą?

- Nie! — wrzasnął Rich. — Puść mnie nareszcie!

Oliwia wpatrywała się w syna badawczo, zastanawiając się, dlaczego tak uparcie broni Aleksandra. Co ten człowiek mu zrobił? Może go zastraszył? A może kupił jego sympatię tym swoim uroczym sposobem bycia, atrakcyjnym samochodem i swoimi cholernymi pieniędzmi? Może chciał wykorzystać chłopca spragnionego ojcowskiego zainteresowania. Nie powinna była dopuścić do ich spotkania, do wejścia do samochodu. W ogóle nie powinna była się tu sprowadzić.

Znów odczuła swe dawne blizny po latach walki o przeżycie. Rozluźniła uścisk, a Richie natychmiast się wyrwał.

- Nie miałas prawa tak się wydzierać na pana Chaubere'a! — zawołał i pobiegł do holu.

- Wracaj tu! - krzyknęła.

- Nie! - Wpadł do swego pokoju i zatrzasnął drzwi.

Zmęczona, załamana, Oliwia powoli ściągała robocze rękawice. Przeraziła się, kiedy Richie nie pojawił się na czas ze szkoły, i pomyślała, że może go porwano na ulicy. Biegła do pani Foster i z powrotem w rosnącej panice, a kiedy nareszcie wbiegła do domu i zastała syna z Aleksandrem, coś się w niej załamało. Wstyd jej było, że tak wrzasnęła, ale Aleksander powinien rozumieć, że bała się o Richa, zwłaszcza dzisiaj. Oliwia westchnęła. Znow będzie musiała namawiać Richa, żeby otworzył drzwi i porozmawiał z nią. Za każdym razem, kiedy je przed nią zamykał, bała się, że Rich ma dosyć tej spartańskiej egzystencji, i że pewnego dnia zatrzaśnie drzwi po raz ostatni i na zawsze zniknie z jej życia.

Zsunęła z nóg brudne buty i przeszła przez hol w samych skarpetkach. Zatrzymała się przed pokojem syna i czekała, zbierając myśli. Za drzwiami panowała cisza.

- Richie - zaczęła. - Przepraszam, że tak się uniosłam. Porozmawiajmy. — Spróbowała otworzyć drzwi, ale były zamknięte na zatrask. - No, Richie - zachęcała. - Chcę wiedzieć, co się stało.

Nasłuchiwała. Przez drzwi nie przedostawał się żaden dźwięk. Czekala kilka minut. Oparła czoło o drzwi.

- Proszę, Richie, jeśli nie mam racji co do pana Chaubere'a, powiedz mi, ale jeżeli zrobił ci krzywdę, nie możemy tu dłużej mieszkać.

- Nie zrobił! - doszedł do niej przytłumiony głos małego. Musiał siedzieć na podłodze, blokując drzwi.

- No dalej, otwórz drzwi, Richie.

- I nie mów tak na mnie!

Oliwię przeraził ton jego głosu. Wiedziała, że kiedyś przestanie być jej małym syneczkiem, ale pogodzi się z tym jakoś, gdy nadejdzie czas. Jednak uważała, że to jeszcze bardzo dużo czasu. Przecież Richie ma dopiero dziesięć lat, nie zdążyła jeszcze przywyknąć do tej myśli.

- I nie mów do mnie jak do dzidziusia! - powtórzył.

- Dobrze, nie będę... Rich. A teraz otwórz.

Usłyszała jakiś ruch. Pojawiła się szpara w drzwiach.

- Mogę wejść? - spytała.

- Okay. — Odwrócił głowę.

Popchnęła drzwi i podeszła za nim do łóżka. Rzucił się na kołdrę z „Grand Prix”, na której przeplatały się wypłowiałe Ferrari i Lamborghini. Usiadła na parapecie, z którego widziała Aleksandra, z zapalem polerującego samochód. A jeśli go niesłusznie oskarżyła? Może odwróci się od niej na zawsze. Czy tego naprawdę chciała?

- Więc co się stało, Rich? - spytała ostrożnie, świadomie używając jego nowego imienia.

- Pan Chaubere mi tylko pomagał, mam.

- Pomagał ci w czym?

- Doprowadzić się do porządku.

- Co zrobił?
- Wyjął mrożony groszek i położył mi na oko.
Naprawę pomogło. Widzisz?

Odwrócił się, żeby mogła zobaczyć zaczerwienione dookoła oko i siniec na policzku. Nie mogła na to patrzeć.

- Jak pan Chaubere cię zobaczył, skoro ja ciebie nie zauważyłam?

- Przekradłem się od tyłu, przez podwórko pani Foster.

- Rich, nie powinieneś przechodzić przez teren pani Foster.

- Wiem — westchnął — ale nie chciałem, żebyś mnie zobaczyła i domyśliła się, że była bójka.

- Więc pozwoliłeś, żeby nieznajomy wszedł do domu i ci pomagał?

-

- Pan Chaubere nie jest nieznajomym, mamó. Poza tym zna się na bójkach.

- Ach tak? - Znow przeżyła moment zaskoczenia. Zdawała sobie sprawę, że mężczyzna może tu wnieść coś, czego ona nie potrafi, ale ciężko było pomyśleć, że nie jest już dla syna wszystkim. — A co takiego mówi na temat bójek?

- Że muszę patrzeć takiemu typowi jak Eddie prosto w oczy i blefować.

- Jak?

- Najpierw oddać, a potem udawać, że się wcale nie boję.

- Nie chcę, żebyś się bił! — Oliwia skoczyła na równe nogi. - Ile razy mam ci powtarzać, że przemoc rodzi przemoc?

- Pan Chaubere mówi, że...

- Nic mnie nie obchodzi, co mówi pan Chaubere. Jest mężczyzną. Mężczyźni są wojowniczy i agresywni. Nie chcę, żebyś był taki, Rich. Chciałabym, żebyś był wrażliwym, myślącym facetem, któremu kobieta może zaufać.

Rich usiadł.

- Ale pan Chaubere powiedział, że mnie nauczy kilku kroków, żebym...

- Nie! Nie chcę, żeby cię uczył walczyć, słyszysz? Oddawanie to nie jest metoda.

- On twierdzi co innego. — Rich zwiesił nogi z łóżka. — Powiedział, że muszę nauczyć się bronić.

- A nie możesz porozmawiać z tymi chłopakami? Wytłumaczyć?

- Mamó! - Rich wznosił oczy do nieba. - Z takimi ludźmi jak Eddie się nie rozmawia. Oni nikogo nigdy nie słuchają. Oni potrafią tylko bić.

- Tego się pewnie nauczyli w domu. Prawdopodobnie sami byli bici.

- Więc mam im współczuć? — Rich wstał i otarł nos wierzchem dłoni. - I czekać, aż mnie uderzą?

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. - Nagle zapomniała, co właściwie chciała powiedzieć. - Dlaczego nie trzymasz się od nich z daleka?

- Oni jeżdżą tym samym autobusem, mamó. Wiedzą, gdzie mieszkam.

- Więc porozmawiam z ich rodzicami.

- Nie! — krzyknął. — Jeszcze tego brakowało, by myśleli, że mamusia musi mnie bronić!

Westchnęła.

- Nie rozumiesz, Rich, że lepiej jest nastawić drugi policzek niż oddać? Jak się zacznie oddawać, to nie ma końca.

- Pan Chaubere tak nie uważa.

- A co on może wiedzieć? Ilu ma synów?

- Żadnego, ale na pewno zna się na takich rzeczach.

- Niektórzy mężczyźni są jak chłopcy, Rich. Niewiele więcej wiedzą od nas, chociaż tak im się wydaje. — Oliwia podeszła do drzwi.

- Ale...

- Zabraniam ci, żebyś miał cokolwiek wspólnego z panem Chaubere'em, w każdym razie, jeśli idzie o walkę.

Rich zrobił smutną minę.

- Mówię to poważnie, Rich. - Położyła rękę na gałce przy drzwiach. — Czy to jasne?

- Tak. — Wskoczył z powrotem do łóżka.

- Idę teraz przeprosić pana Chaubere'a, ale powiem mu to samo co tobie. Żadnych walk!

- Świetnie! - Odwrócił się tyłem do niej.

Oliwia przypatrywała mu się przez chwilę. Rich nigdy nie był taki uparty. Czy to dlatego, że tym razem uważał, iż ma sojusznika? Trudno, nie potrafi wytłumaczyć tego swemu dziesięcioletniemu synowi, ale może powiedzieć dorosłemu człowiekowi, żeby się nie wtrącał. Włożyła buty, złapała rękawice i popędziła do wyjścia. Niecne zamiary Aleksandra Chaubere'a zostaną zduszone w zarodku.

Rozdział 12

Oliwia wypadła z domu i pobiegła podjazdem do trawnika, na którym Aleksander wciąż pucował samochód. Gdyby tylko stanęła, popatrzyła na niego i pomyślała, jakie konsekwencje może mieć to, co mu powie, pewnie by się załamała. A takiego ryzyka nie mogła podjąć. Aleksander był dla niej wielką pokusą i dla zmysłów, i dla intelektu, jednak nie chciała realizować swoich pragnień kosztem syna. Interwencja Aleksandra wydała jej się zbyt niebezpieczna.

Nie uniósł głowy, gdy podeszła. Dalej polerował samochód. Stała dokładnie naprzeciw niego.

- Panie Chaubere — zaczęła - przyszedłam pana przeprosić za to, co powiedziałam przed chwilą.

Spojrzał na nią przelotnie i dalej jeździł szmatą po błyszczącej czarnej powierzchni.

- Słucham.

Przepraszam, że oskarżyłam pana o znęcanie się nad Richiem. Z powodu tego mężczyzny, który pytał o mnie u Harry'ego, cały dzień martwiłam się o Richa. A kiedy zobaczyłam jego twarz, wpadłam w panikę. - Chciała, żeby Aleksander na nią spojrzał, by zobaczyć, jak reaguje na jej słowa. On jednak był wciąż pochylony nad samochodem, co spowodowało, że temperatura jej wystąpienia, przygotowanego po drodze, wzrosła. — Jednak nie miał pan prawa ukrywać przede mną jego stanu ani rozmawiać z nim o sposobach walki. Wychowanie mojego syna jest moim obowiązkiem i domagam się, żeby mi go pan nie odbierał. Pouczyłam Richa, żeby nie brał udziału w żadnych walkach, i wierzę, że nie będzie go pan do tego zachęcał.

Gdy z walącym sercem odwróciła się, żeby odejść, zatrzymał ją jego głos.

- To tyle? - spytał.

Popatrzyła przez ramię.

- Co pan ma na myśli?

- Przychodzi pani tutaj, recytuje swoje żądania i tak po prostu odchodzi?

- Nie widzę w tym żadnego problemu.

- Czy zawsze pani przeprowadza takie jednostronne rozmowy?

- Tylko wtedy, kiedy druga strona zachowuje się, jakby nie miała zamiaru w niej uczestniczyć.

- Może by i uczestniczyła, gdyby pani, po wygłoszeniu swego manifestu, natychmiast się nie odwróciła. Czy tak bardzo nie ma pani ochoty wysłuchać mojej opinii, że nie daje mi pani szansy, żeby się odezwać?

Stała przodem do niego i podparła się pod boki.

- Nie boję się pańskich opinii, one mnie po prostu nie interesują!

Obróciła się i przeszła kilka kroków, planując powrót do pracy, ale Aleksander pobiegł za nią i złapał ją za ramię.

- Niech pani zaczeka!

- Puść mnie, Chaubere — ostrzegła przez zaciśnięte zęby.

- Nie puszczę, póki sobie pewnych spraw nie wyjaśnimy.

- Dostyc rozmawialiśmy.

- Moim zdaniem, chłopiec musi wiedzieć, jak się bronić.

- Nie! Przemoc sprowadza przemoc. - Wyrwała rękę z jego uchwytu. — Nie chcę, żeby go pan uczył swoich brutalnych metod!

- Madame, ja nie jestem brutalny.

- To niech pan siebie posłucha. Każde pańskie słowo jest brutalne.

— Myli pani pasję z gwałtownością.

— Nie. Nie chcę, żeby pan uczył mojego syna czegokolwiek. I nie chcę pana widzieć obok niego!

— *Alors!* — Odrzucił ciemne włosy z czoła. — Chciałaby pani zrobić ze mnie jedną z tych swoich roślinek, które można przycinać i przesadzać? Może jakiś wędnący fiołek? - Podeszedł bliżej i tylko dużym wysiłkiem woli nie cofnęła się o krok. — A może mam być bratkiem i nie robić tego, co uważam za właściwe dla Richa?

— Rich to nie pańska sprawa, do cholery! - Chciała go spiorunować wzrokiem, więc uniosła w górę głowę, przeklinając swój niski wzrost. - Jest za młody, żeby walczyć o swoje. A skoro jego ojciec tak często wyjeżdża...

— *Out*, niech go cholera za takie uchylanie się od ojcowskich obowiązków.

Oliwia znów poczuła się winna, jak zawsze, kiedy kłamała Aleksandrowi na temat swego rzekomego męża.

— Jestem w stanie sama syna obronić.

— To najgorsze, co może pani dla niego zrobić, madame. Czas, żeby Rich sam zaczął się bronić. Jeżeli nie nauczy się tego teraz, będzie szedł przez życie, unikając konfrontacji. Wszelkich. Chce pani tego?

— Nie, ale rozbijanie się na ulicach to nie jest mój pomysł tta wychowanie chłopca.

— Ja też nie to mam na myśli. Rich potrzebuje odbudowania własnej godności.

— Uważa pan, że wie lepiej ode mnie, jak wychowywać mojego syna?

— W tym przypadku, tak. Myślę, że przydałyby mu się lekcje samoobrony.

— Ma się uczyć przemocy, żeby jej uniknąć?

— W pewnym sensie, tak. Musi się nauczyć walczyć,

żeby mógł zdecydować nie walczyć i jednocześnie zachować własną godność.

— Dość pokrętnie rozumujesz.

-Może tobie tak się wydaje, ale nie mężczyznom. Widzisz, Oliwio, jeśli Rich nie będzie miał wyboru, tylko będzie się ze strachu wycofywać, zacznie po trochu tracić poczucie własnej godności i nigdy nie wyrośnie na takiego człowieka, na jakiego chcesz go wychować.

Oliwia popatrzyła na Aleksandra, wciąż niezupełnie przekonana. Jego argumentacja była dla niej obca i szokująca, ale będzie musiała przetrwać jego słowa, nim wyrobi sobie opinię. Poza tym, jej złość na niego zaczęła mijać, a tylko dzięki niej mogła zachować bezpieczny dystans.

- Muszę wyrywać chwasty — oświadczyła przekonana, że gdy zajmie się pracą, uspokoi stargane nerwy.

- Więc niech pani wyrywa, madame. Niech mnie piorun trafi na miejscu, jeśli miałbym pani w tym przeszkodzić. — Gdy przechodziła obok niego, wykonał dworski ukłon.

Oliwia uciekła. Mógł naprawdę doprowadzić kobietę do szału z tymi swoimi teoriami i niezaprzeczalnym urokiem.

- Oliwio! - zatrzymał ją znów głos Aleksandra. - Jeszcze jedno pytanie!

- Słucham?

- Czy wybierasz się dziś wieczorem do pracy u Harry'ego?

- Nie.

- To dobrze. Martwiłem się z powodu tego faceta, który o ciebie pytał.

- Jeżeli po mnie zadzwonią w tygodniu, mam zamiar odmówić.

- A co z twoją furgonetką? Wciąż jest zaparkowana koło klubu.

- Zapomniałam zupełnie!

- Przejdę się tam wieczorem i przyprowadzę.

- Nie śmiałybym cię o to prosić.

- Nie musisz. Sam zaproponowałem.

Zacząła się zastanawiać, dlaczego jest taki uprzejmy dla niej, mimo kłótni. Czego oczekuje w zamian? Zawiedzie się, jeśli sądzi, że będzie miał jakieś specjalne względy.

- Dobrze. Będę bardzo wdzięczna.

—Wpadnę po obiedzie po kluczyki.

- Zgoda. Do zobaczenia.

Poszła do ogrodu przed domem, żeby wykorzystać jeszcze dzienne światło. Zdumiona była, że tak szybko przeszła jej złość. Dlaczego w rozmowie z nim tak łatwo zmienia zdanie? Chyba dlatego, że on potrafi tak czarować, unosić brew i cudownie się uśmiechać, że ukrywa swój prawdziwy charakter. Będzie musiała zdwoić ostrożność.

Późno wieczorem, gdy Rich już spał, Oliwia wyszła z domku nad garażami. W mieszkaniu wciąż czuło się popołudniowy skwar i mimo że ostatnio chodziła późno spać, nie mogła zasnąć.

Przeszła przez wyłom w oleandrach i weszła na ścieżkę prowadzącą przed dom. Nawet gdyby ktoś obserwował posiadłość, nie zauważy jej w ciemności. Z satysfakcją patrzyła na lewą, uporządkowaną przez siebie część ogrodu. Przyjrzała się domowi, który początkowo uważała za ruinę, i stwierdziła, że jest w całkiem niezłym stanie. Gdyby odmalować stolarkę i wymienić okiennice, dom wyglądałby zupełnie dobrze. A gdy ukończy prace w ogrodzie i wszystko rozkwitnie, cała posiadłość będzie pokazowa. Poszła w kierunku Wiecznych Lili, zastanawiając się, jaką okrąglą sumkę zgarnie za nią Aleksander. Szkoda sprzedawać dom, który należał do rodziny przez tyle lat. Dlaczego chciał się go pozbyć, skoro mieszkał tu tak długo? Czy potrzebował pieniędzy?

Oliwia zmarszczyła brwi. Nie powinna była zabierać się do pracy bez podpisania kontraktu z Chaubere'em i zaliczki na materiały. A jeżeli tak dużo opowiadał, a nie ma funduszy na swoje plany? Musi jutro skończyć swój szkic kontraktu i kazać mu podpisać, żeby mogła się na coś powołać, gdyby się nie wywiązywał ze zobowiązań finansowych.

Przykłęka przy Wiecznych Liliach i przyglądała się z ciekawością. Większość lili miała długie łodygi i wąskie liście, a te tutaj wyrastały ze splątanej gęstwiny niewysoko nad ziemię. Dotknęła liści, które były miękkie i włochate, jak ogrodowych maków, a nie lili.

- Oliwio, to ty?

Głos Aleksandra zaskoczył ją.

- Tak - odpowiedziała w kierunku zbliżającego się do niej cienia.

- Co tu robisz tak późno? - spytał.

- Nie mogłam spać. — Potarła palce, ale dziwne uczucie na skórze jej nie przeszło.

- Nie dotykałaś przypadkiem lili?

- Dotykałam, ale tylko liścia.

- Oliwio, nie wolno. Mówiłem ci, że to niezwykle trująca roślina.

- To dlaczego ją trzymasz, jeżeli jest tak bardzo niebezpieczna?

- Bo nie jestem pewien jej mocy i wciąż nie wiem, czy jej zalety nie przewyższają wad.

- Chciałabym posłać próbkę znajomemu profesorowi z Seattle, żeby powiedział, co o tym sądzi.

- Wykluczone - odpowiedział Aleksander. Wyciągnął do niej rękę. — Chodź.

Nie namyślając się, dała się wziąć za rękę i wyprowadzić spod wierzby. Wysunęła rękę z jego dłoni dopiero wtedy, gdy znaleźli się na ścieżce.

- Przyprowadziłeś mój samochód? — spytała, gdy zmierzali w stronę domu.

- Tak. Tu są kluczyki. — Wyjął je z kieszeni. - Przejechałem przed barem, ale nie widziałem tego detektywa. Albo go tam nie było, bo przestał cię szukać, albo znalazł, co chciał, i pojechał przekazać klientowi.

Oliwia wzięła od niego kluczyki.

- Dziękuję.

Aleksander przystanął.

- Powiedz mi jedną rzecz, Oliwio. Czy coś ci grozi?

- Fizycznie nie.

- Uczuciowo?

- Nie. To ma związek z Richem.

- Czy jemu coś zagraża?

- Nie chcę o tym mówić, dobra? - Szła teraz szybciej, w nadziei, że nie pójdzie za nią, ale dotrzymywał jej kroku.

- Dlaczego mi nie powiesz? - dopytywał się. - Chciałbym ci pomóc i na pewno jakoś bym mógł.

- Dlaczego? Żeby ci coś zawdzięczała? Dziękuję bardzo.

- Chciałbym ci pomóc. Z przyjaźni. Nic więcej.

- Dobra. - Popatrzyła na niego. - Nie wierzę w to ani przez moment.

- Dlaczego?

- Mówić o czymś jest łatwo, ale trzeba tego dowieść.

- Jak mogę coś udowodnić, jeżeli nie pozwalasz sobie pomóc?

- Pozwoliłam. Przyprowadziłeś mój samochód. - Tylko nie oczekuj, że coś z tego nie wyniknie.

- Nie oczekuję. Ja to nazywam „rozsiewaniem z nieba”.

- Rozsiewaniem z nieba?

- Tak. Chcę zrobić coś dla ciebie, ułatwić ci trochę życie, nie licząc na rewanż. To część mojej teorii, jaką opracowałem dawno temu.

- Jakiej teorii?

- Przed laty doszedłem do wniosku, że jeśli bezinteresownie rozsiewasz jakieś dobro w świat, to kiedyś wyniknie z tego coś dobrego.

- To nie jest żadna nowość.

- Ale była, kiedy ja to wymyśliłem. Od tego czasu napisano na ten temat wiele książek, wygłoszono wiele

referatów, a każdy jest przekonany, że to jego pomysł.

Oliwia z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Większość ludzi chce widzieć bezpośrednie efekty swojej działalności.

- Nie powiedziałem, że będę pomagał ci za nic.

- A widzisz!

- Robię to dlatego — ciągnął, nie dając się zbić z tropu — że czerpię osobistą satysfakcję, pomagając tobie i twojemu synowi. I czy będziesz mi się odwdzięczała, czy nie, nie wycofam się, bo mój świat staje się przez to lepszy.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Dlaczego?

- Z moich obserwacji i doświadczeń wynika, że większość mężczyzn chce iść po prostu z kobietą do łóżka.

- Słuszna obserwacja. — Zaśmiał się. — Więc uważasz, że moją jedyną motywacją jest chęć wskoczenia ci do łóżka?

Uniosła głowę, postanowiwszy być z nim tym razem brutalnie szczerą.

- Tak.

Wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze.

- Uważasz, że mógłbym się domagać od ciebie takiego przywileju?

- Tak.

- A ty nie możesz tego kontrolować i powiedzieć: „Aleks, chcę, żebyśmy byli tylko przyjaciółmi i nic więcej”?

- Może mogę — zmarszczyła się, nieco zaskoczona takim rozumowaniem — ale nie o to chodzi.

- A o co?

- Nie chcę, żebyś robił coś dla mnie, oczekując na rewanż, ale nie chcę też zaprzyjaźnić się z kimś, dla kogo głównym celem jest pójść ze mną do łóżka.

Nigdy tak otwarcie nie rozmawiała z mężczyzną, ale Aleksander jakoś ją ośmielił.

- A czy nie wolno mi chcieć pójść z tobą do łóżka? — odpowiedział z pasją. - *Mon Dieu*, Oliwio. Jesteś piękną, inteligentną kobietą. Fascynuje mnie twoja osobowość. Byłoby obrazą dla ciebie, gdybym cię nie pragnął, i skłamałbym mówiąc, że tak nie jest. - Po czym dodał znacznie łagodniej: — Wolałabyś, żebym skłamał?

- Nie - szepnęła Oliwia, pod którą ugięły się nogi. Nie wiedziała, co zrobić ani co powiedzieć. Gdyby kazał jej powiedzieć prawdę, jak by postąpiła?

- Ale potrafię się opanować. Nie zaproszę cię do swego łóżka, możesz być pewna.

Popatrzyła z powątpiewaniem.

- Nie jestem potworem - ciągnął Aleksander. - Przy mnie

będziesz bezpieczna. Musisz tylko odpowiedzieć tak lub nie na moją propozycję przyjaźni. Tylko to.

Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka. Zsunął leciutko dłoń na jej kark, przyciągając ją do siebie. Wtedy jego usta, gorące i niewiarygodnie łagodne, dotknęły jej warg. Sądziła, że jest typem mężczyzny, który ją mocno złapie i wepchnie język w jej usta, a tymczasem pocałunek Aleksandra był zupełnie inny. To ona sama otworzyła usta marząc o tym, że zamknie oczy, obejmie go, przytuli się do jego dużego ciała i że ten pocałunek będzie trwał wiecznie.

Odsunęła się jednak od niego, czerwieniąc się, bo zbyt długo zwlekała i nie zareagowała, jak powinna.

- Moja odpowiedź brzmi nie, Aleksandrze.
- Nie? Jesteś pewna?
- Pewna. Wiesz, że nie jestem wolna.

Przyglądał jej się z krzywym uśmiechem, wyraźnie nie przekonany.

- Czy opowiesz mi kiedyś o swoim mężu? - zapytał po chwili.
 - Dlaczego? - zaniepokoiła się trochę, że mogłby w końcu wydusić z niej prawdę.
 - Chciałbym wiedzieć, co to za mężczyzna, który zostawił taką kobietę, jak ty, samą.
 - Może to był mój wybór.
 - Żeby spędzać dni i noce z dala od ukochanego mężczyzny?
 - Tak.
 - Jak to możliwe? Jesteś uczuciową kobietą, Oliwio. Dlaczego miałabyś wybrać życie bez uczucia?
 - Zrobiłam to ze względu na mojego syna, Aleksandrze, tak jak robię wszystko inne. Dlatego prosiłam cię, żebyś trzymał się od niego z daleka.
 - Żeby go ochronić przed moją przyjaźnią?
 - Przed rozczarowaniem i bólem.
 - Tak jak chronisz siebie?
- Popatrzyła na dom, żeby nie spojrzeć mu w oczy.
- Moje potrzeby nie są tu istotne.
 - A ja uważam, że są.

Dlaczego nie przejdzie na bardziej żartobliwy ton, żeby i ona mogła wrócić do swej zwykłej złośliwości i przerwać ten intymny nastrój.

Milczeli przez dłuższy czas.

- Czy twój mąż — zapytał wreszcie Aleksander — jest gwałtowny?
- To nie twoja sprawa, Aleksandrze. Dobranoc.
- Musisz już iść? - Dodknął jej rękawa. - Jest jeszcze wcześniej.
- Nie dla mnie. Miałam ciężki dzień.
- Więc cię odprowadzę.
- Nie. — Odsunęła się. Czowała, że najchętniej przegadałaby z nim całą noc, więc lepiej przerwać tę rozmowę. - Wolę iść sama.

- Jak chcesz - mruknął.
- To dobranoc.

Oliwia odwróciła się i poszła w swoją stronę pewna, że obserwuje ją w ciemności. Rozmawiała z nim o takich sprawach, jakich nie poruszała z żadnym mężczyzną. Aleksander przyznał, że jej pragnie i że chciałby ją mieć w łóżku. Każdemu innemu już powiedziałaaby do słuchu. Dlaczego w stosunku do niego była inna?

„Dlaczego nie miałbym cię chcieć w swoim łóżku? *Mon Dieu, Oliwio*”.

Szła szybko po żwirowym podjeździe, żeby zapomnieć jego uwodzicielski głos, ale nic nie pomogło.

„To byłaby obraza, gdybym cię nie pragnął”.

Ona pragnęła Aleksandra Chaubere'a jak nigdy nikogo. Różne koleżanki opowiadały jej, jak przespały się z facetem po to, żeby przestać o nim myśleć. Nie rozumiała tego aż do tej chwili. Może byłoby lepiej pójść w jego ramiona i mieć z tym spokój? Zaspokoić palącą ciekawość? Może być równie nijako jak z Boydem. Kiedy przekona się, że jest zwyczajnym mężczyzną, będzie się mogła spokojnie skoncentrować na pracy i synu i życie wróci do normy.

Wbiegła po schodach do mieszkania i weszła do swojego pokoju. Rozebrała się i położyła do chłodnej pościeli. Wyciągnęła się i dotknęła rękami swych piersi, potem sutków. Ogarnęło ją podniecenie, gdy zamknęła oczy i wyobraziła sobie delikatne usta Aleksandra na swym ciele. Poczowała napływającą falę gorąca. Przez dziesięć długich lat żyła bez mężczyzny, spała samotnie w łóżku zbyt szerokim i zbyt cichym. Dziesięć lat, kiedy liczyło się tylko wychowywanie Richiego. Jak może żyć tak dalej?

Przytuliła do siebie zapasową poduszkę, wyobrażając sobie, że to Aleksander: róg poduszki to jego ramię, dotykające jej policzka, a szerokość to jego barki. Zagryzła usta, żeby nie płakać nad swą samotnością.

Jak bardzo chciała trzymać teraz w swych ramionach jego! Ścisnęła poduszkę, powoli ją zsunęła i odłożyła na bok, tak jak musi odsunąć swe pragnienia. Patrzyła w sufit i myślała, że nigdy nie pozwoli sobie na przyjemność znalezienia się w ramionach Aleksandra. Noc pochylała się nad nią, wszechogarniająca noc, w której czuła się jak pyłek, unoszony przez fale. Czy to powietrze Południa sprawiało, że było jej tak ciężko, czy przygniatał ją ciężar, jaki czuła w sercu?

Aleksander wrócił do laboratorium rozpalony. Każdy skrawek ciała, który dotykał Oliwii — palce, dłonie, usta, język - był gorący i czuł w nich mrowienie. W uszach mu dzwoniło, a zapach jej mydła i szamponu wciąż drażnił jego nozdrza. Gdy przymykał oczy, widział jej jasną twarz, cienią brązowych rzęs na policzku, prosty, ostry nosek i cudne usta. Odpowiedziała na jego pocałunek. Boże, jak ona go całowała - ogień, tak jak się spodziewał.

Aleksander zważym krokiem przeszedł do mikroskopu. Czuł się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Bez żadnych badań wiedział, dlaczego. Ale przecież obiecał sobie trzymać się z dala od Oliwii Travanelle. Gdzie podziła się jego siła woli?

Pobrał sobie krew z palca. Próbował zaćmić poczuciem rzeczywistości wrażenie lekkości i uniesienia, jakie miał w sercu.

Skończył liczenie ciałek krwi i zdumiał się tak bardzo, że je powtórzył. Wynik był ten sam: liczba trzeciego rodzaju ciałek krwi, „nieśmiertelnych”, spadła dramatycznie. Naniósł dane na wykres i połączył linią prostą z punktem oznaczającym ostatnie badanie. Krzywa opadała pod znacznie ostrzejszym kątem niż kiedykolwiek. Co to oznaczało? Czy przebywanie w pobliżu Oliwii było dla niego takie zdrowe, czy wręcz przeciwnie - był coraz bliższy śmierci?

Rozdział 13

Oliwia uniosła się i pomasowała sobie krzyż, patrząc na przejeżdżający Myrde Street najnowszy model sedana. Spojrzała na zegarek. Nie było jeszcze dziewiątej, ale pracowała w ogrodzie od świtu. Richie niedługo wstanie, żeby obejrzeć swoje ulubione sobotnie kreskówki. Postanowiła, że za pół godziny zrobi sobie przerwę i pójdzie do niego dopilnować, żeby zjadł śniadanie, a później namówi go, by wyszedł na dwór.

Westchnęła i wsunęła pod czapkę baseballową niesforne kosmyki włosów. Smutno popatrzyła na ciemne okna rezydencji. Od ich pocałunku w środowy wieczór Aleksander zmienił się. Widziała go tylko raz, w czwartek, gdy w końcu podpisał z nią kontrakt i dał jej trzy tysiące dolarów zaliczki. Zachowywał się bardzo oschle, jak gdyby się na nią gniewał. Może się obraził, skoro powiedziała, że Richie to nie jego sprawa? Czy uznał, że jej stanowcze „nie” dotyczy wszystkiego, łącznie z przyjacielską rozmową? Starła się nie przejmować jego milczeniem, bo w końcu sama tego chciała. Im mniej go będzie widziała, tym mniej będzie pragnęła. A jednak ciężko znosiła jego nieobecność.

Zabierała się z powrotem do przycinania gałązek, gdy zauważyła, że ten sam niebieski sedan przejeżdża jeszcze raz ulicą

i parkuje przed bramą. Usłyszała ciche trzaśnięcie drzwiczek. Któż mógłby przyjechać z wizytą do Chaubere'a w sobotę o dziewiątej rano? Jej antenka odebrała natychmiast sygnał ostrzegawczy. Oliwia cofnęła się za wierzbę, przekonana, że jej brązowe szorty i beżowa koszulka pozwolą jej wtopić się w tło.

Mogła teraz przyrzeć się wysokiemu blondynowi, otwierającemu furtkę. Ubrany był w niebieskie spodnie i koszulę z krótkimi rękawami, podkreślającą jego grube ramiona i tors. Mógł mieć pod trzydziestkę, ale już przerzedzały mu się włosy nad okrągłą, rumianą twarzą. Długimi krokami zmierzał w stronę domu, a kiedy podszedł bliżej, Oliwia ze zdumieniem rozpoznała w nim Boyda Willistona III. Ależ się zmienił! Wykapany ojciec, a jak jeszcze trochę urośnie mu brzuch i osiwieje, niczym nie będą się różnić. Patrząc na swego byłego męża, Oliwia wiedziała, że zaczną się prawdziwe kłopoty. Boyd ją wyszedził. Co ma teraz robić? Nie chce wyjeżdżać z Charleston, ale musi chronić Richa.

Boyd wszedł na schodki i zapukał do frontowych drzwi rezydencji. Poczekał i znów zaczął walić mosiężną kołatką. Nie przypuszczała, żeby Aleksander zareagował. Na szczęście ma wstręt do gości. Może Boyd zrezygnuje i pójdzie sobie.

Po kilku minutach Boyd zaczął chodzić po podeście, przypatrując się badawczo całej posiadłości. Oliwia znów schowała się za drzewo, bojąc się, żeby jej nie zauważył poprzez wierzbowe gałązki. Nagle, westchnąwszy z niecierpliwością, Boyd zbiegł z drugiej strony schodów i udał się w kierunku powozowni.

Oliwia wypadła ze swej kryjówki. Musi go powstrzymać, nim zapuka do ich drzwi i Rich go zobaczy. Nie może dopuścić do ich spotkania. Chłopiec był jeszcze za mały, aby zrozumieć, dlaczego skłamała i mówiła mu, że jego ojciec umarł. Jeżeli Rich teraz odkryje prawdę, Oliwia straci wiarygodność i jej dobre stosunki z synem legną w gruzach.

—Boyd! - zawołała, biegnąc za nim.

Odwrócił się.

- Oliwia?

Zatrzymała się przed nim i przypatrywała się byłemu mężowi. Jego nordyckie rysy bardzo się zaokrągliły, podkreślając proste nozdrza i za wysokie czoło. Dziesięć lat postarzyło Boyda o dwadzieścia i Oliwia nie mogła się nadziwić, że kiedyś uważała go za przystojnego chłopca. On również jej się przyglądał, krytycznie zapewne oceniając ubrudzone ziemią szorty i wypłowiały podkoszulek, przelotnie spojrzawszy na twarz. Sądził zapewne, że jest wynajmowaną na dniówki robotnicą, pracującą za grosze. Nie miała

zamiaru wyprowadzać go z błędu, jeśli źle go poinformowano.

- Oliwio, wspaniale cię znów widzieć. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Jak się miewasz?

Nieprzytomna z wściekłości, zignorowała jego gest. Jak może tak się uśmiechać i wchodzić w jej życie, rozkosznie pomijając fakt, że zniszczył ich małżeństwo, zostawił ją samą w ciąży i nigdy nie zainteresował się synem. Jak może się zachowywać tak, jakby te dziesięć lat nic nie znaczyły?

- Co tu robisz? — spytała.

Znów się uśmiechnął, niezrażony jej lodowatym tonem, i włożył rękę do kieszeni.

- Mam sprawy do załatwienia w Charleston. Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć się z tobą i Richardem.

Nikt nigdy nie nazywał jej syna Richardem. Brzmiało to obco, nawet bardziej niż we francuskiej wymowie Aleksandra kilka dni temu. Jeśli Boyd zasięgnął języka na ich temat, powinien był wiedzieć, że na jego syna mówi się Richie.

- Więc przyjechałeś z wizytą w sobotę o dziewiątej rano.

Znów uśmiechnął się tym swoim pewnym siebie, sztucznym uśmiechem.

- Chciałem mieć więcej czasu. Może zaprosiłbym was na spóźnione śniadanie?

- Nie, dziękuję, ja pracuję.

- To wezmę Richarda.

- Co to to nie!

- Daj spokój, Oliwio - nalegał Boyd. - Chcę go poznać.

- Dlaczego?

Dlatego że to mój syn. - Spojrzał na czapeczkę, okrywa jąca jej włosy, a później na jej twarz. - Wiem, że nie byłem najlepszym ojcem przez cały ten czas, ale chciałbym to teraz odrobić.

- Jak? Pieniędzmi? - Oliwia skrzyżowała ramiona. - Przepraszam, Boyd, ale Richie nie jest na sprzedaż.

- Hej, mam jak najlepsze intencje, Oliwio. Wyjdź mi chociaż trochę naprzeciw.

- Tak jak ty dziesięć lat temu? - Odetchnęła głęboko, starając się uspokoić. Za chwilę albo wybuchnie wściekłością, albo rozplacze się. Wskazała głową bramę. - Najlepiej będzie, jak sobie pójdiesz. Rich nic o tobie nie wie. Niech tak lepiej zostanie.

- Słuchaj, Oliwio, przepraszam za to, co było. Ale jak pamiętasz, daliśmy ci wybór.

- Tak - odpowiedziała sarkastycznie. - Przykro mi, ale pieniądze i zabieg nie załatwią wszystkiego, Boyd.

- Na miłość boską, przecież się z tobą ożeniłem! To ty się ze mną rozwiodłaś.

- Nazywasz to małżeństwem? Nie miałeś nawet odwagi powiedzieć swoim rodzicom o ślubie.

- Byłem młody, nie wiedziałem, co robić.

- Za cholere nie wiedziales, ty gnojku! Staral sie pokryc usmiechem zdumienie.
- Oliwio, po prostu...
- Zostaw mnie!

- Zaczekaj. — Wyciagnal rece. — Chce go tylko zobaczyc. Nawet nie wiem, jak wyglada.

- Nie wierze ci. Wynos sie.

Nagle Boyd zmienil sie na twarzy i spojrzal gdziez poza Oliwie. Zaciekawiona, odwrócila sie i zobaczyla idacego szybko w ich kierunku Aleksandra Chaubere'a, z rozwianymi wlosami. Miała nadzieje, ze nie uslyszal ich klotni, ale i tak najwazniejsze bylo uczucie ulgi, jakiego doznala na widok Aleksandra. Jesli ktos moglyby zmusic Boyda do wyjscia, to tylko on.

- Czy ten czlowiek ci przeszkadza, Oliwio? - spytal Ale

ksander, nie patrzac na nia.

- Tak — odpowiedziala.

Boyd zwrócil swa czerwona twarz do Aleksandra.

- A kim ty jeste, do diabla?

- To ja zadaje pytania, monsieur - ostro odparl Aleksander. Oparl rece na biodrze w swoim typowym geście osobnika zdecydowanego na wszystko. — Wkroczyl pan na moj teren. Dlaczego?

- Przyszedlem zobaczyc sie z Oliwia.
- Nie ulega watpliwosci, ze ona nie chce pana widziec.

Proponuje, zeby pan wyszedl.

- Zaraz, chwileczke.

- Nie zycze sobie, zeby przerywano mi prace jakas wulgarna klotnia.

- Wulgarna klotnia? — zaperzyl sie Boyd. — Sluchaj, koleś...

- Wynos sie z mojego terenu albo wezwę policje.

Boyd patrzyl przez dluzsza chwile na niego, pozniej zerknal na Oliwie i sztuczna uprzejmosc ustapila miejsca zlosci.

- Jeszcze mnie popamietasz - ostrzegl Oliwie, grozac jej palcem, i ruszyl do bramy.

Kiedy wsiadl juz do samochodu, Oliwia odetchnela i odwrócila sie do Aleksandra.

- Dziękuję. Spojrzal

jej w oczy.

- To on cie poszukiwal?

- Tak.

- Niechacy uslyszalem koniec waszej rozmowy. To jest ojciec Richa?

Zrezygnowala z ukrywania prawdy przed Aleksandrem.

- Tak.

- I twój maz?

Pytanie zawisło w powietrzu, które nagle stało się ciężkie nie do zniesienia. Oliwia spojrzała przez ogród i zaczęła, aż błękitny samochód odjedzie.

- Mój były mąż.

- A obecny?

- Nie mam. - Westchnęła i uniosła głowę. - Skłamałam.

- Rozumiem.

Nie potrafiła rozpoznać po tonie jego głosu, czy miał do niej żal, ale ona czuła się podle przez to oszustwo. Po długim milczeniu Aleksander znów spytał:

— Jak długo byliście małżeństwem?

— Dwa miesiące.

Stała teraz tyłem do Aleksandra, ale nie mogła się ruszyć. Bluzka przylepiła jej się do ciała.

— Tylko dwa miesiące?

— Widocznie Boyd uznał, że żona i dziecko to zbyt wielka odpowiedzialność.

— A wychowywanie syna zbyt absorbujące?

— Oszedł długo przed jego urodzeniem - odpowiedziała Oliwia i straciła panowanie nad sobą. W jej oczach pojawiły się łzy. Otarła je wierzchem ręki w roboczych rękawicach, nie zważając, że rozmazuje brud na policzkach. - Ten drań nigdy nie przyjechał zobaczyć syna. Ani razu!

— Ani ciebie, co?

Przypomniała sobie te miesiące, kiedy czekała niecierpliwie, aż Boyd wróci, pewna, że odzyska jego miłość. Miesiące przeszły w lata, wyrzuciła go z serca i myśli i dumna była, że od tego czasu nie płakała przez niego. A teraz nareszcie pojawiły się łzy, tyle lat powstrzymywane.

Poczuła ręce Aleksandra na swych ramionach. Wiedziała, że już nie powstrzyma się i wstrząsnęło ją łkanie. Nie chciała, żeby zobaczył teraz jej twarz i najchętniej uciekłaby w ciemny kąt, żeby cierpieć, jak zwykle, w samotności. Aleksander jednak nie wypuszczał jej ze swych objęć.

— Oliwio — szepnął. Przysunął się bliżej, aż czuła ciepło jego ciała na plecach, i objął ją mocniej. — Dobrze jest popłakać. Nikt cię tutaj nie słyszy, oprócz wróbli.

Oparła się o niego i wypłakiwała cały swój smutek i samotność. Mężczyźni w jej życiu zawsze tylko brali, nie dając nic w zamian, i myślała, że tak musi być. A jednak ten jeden ofiarowywał jej wsparcie, jakiego zawsze potrzebowała, ale nigdy nie miała.

—Złamał ci serce - powiedział miękko Aleksander.

Skinęła głową, bo wciąż jeszcze nie była w stanie nic powiedzieć.

— A ty, jak dzielny rycerz, nigdy tego po sobie nie pokazałaś. — Nachylił się, aż jego usta dotknęły jej ucha. — Rozumiem, jak ciężko ci było utrzymywać to cały czas w

sekreście.

— To prawda.

— Musiałaś zapomnieć o swoich porywach serca. Znow się rozplakała.

— Tak.

W jednej sekundzie Aleksander odwrócił ją przycisnął mocno do siebie. Poddała się temu uściskowi. Westchnęła z głębi serca, ale nie było to pożądanie, lecz uczucie wielkiej ulgi. Objęła go rękami, oparła policzek o jego pierś i czuła prawdziwie jego bliskość. Uniósł rękę, żeby zsunąć jej z głowy czapkę, i włosy rozsypały się na ramiona. Wplótł w nie palce, delikatnie przytulając jej głowę do swego serca.

Stali tak, objęci, milcząc przez długą chwilę. W końcu Aleksander odezwał się.

— Co teraz zrobisz?

Wzruszyła ramionami.

— Jedyne, co mogę zrobić, to wyprowadzić się.

— Dlaczego?

— Już wie, gdzie mieszkam. Nie chcę, żeby zetknął się z Richem.

— Czy to jedyne rozwiązanie?

— Jedyne, jakie znam.

Zsunął rękę na jej szyję.

- Czy tego chcesz?

Uniosła głowę. Zastanawiała się, czy pyta o wyprowadzenie się z Charleston, czy od niego. Na oba pytania miała tę samą odpowiedź.

— Nie, nie chcę.

— Więc zostań. Nie możesz wciąż uciekać, tak jak Rich nie może wciąż uciekać przed Eddym.

— Ale Boyd wróci. Wiem, że wróci.

— Więc niech przyjdzie. - Delikatnym, opiekuńczym gestem usunął jakiś pyłek z jej policzka. — Będę tutaj.

— Nie mogę cię prosić, żebyś mnie bronił.

— Nie prosisz. Sam tego chcę. - Poglądził jej policzek. - Niech mój dom i ogród będą twoim schronieniem.

Odsunęła się i przez długą chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy. Nie chciałyby przerwać tego, co się między nimi nawiązało. Wykraczało to daleko poza przyjaźń, było to uczucie, jakiego nigdy jeszcze nie dzieliła z nikim.

- Oliwio - znów szepnął, prosząc ją, by pozostała.

Pochylił się nad jej twarzą i wiedziała na pewno, że skończy

się to pocałunkiem. Pragnęła tego pocałunku, jego rąk, ust i serca.

Patrzyła, jak przymyka ciemne oczy, i sama też zamknęła. Gdy ją całował, pomyślała, że znow zacznie płakać, tym razem z radości.

Serce, którego od dawna nie słuchała, wyrывało się jej z piersi. Drżącymi rękami objęła twarz Aleksandra, zanurzyła dłonie w jego gęstych, brązowych włosach, przyciągając go

jeszcze bliżej siebie. Poczula w ustach jego język, a jego ręce namiętnie obejmowały jej plecy.

„Kocham cię”. Chciała mu wyszeptać te słowa, powiedzieć, że dzięki niemu wyleczyła rany na sercu. Może wkrótce będzie gotowa, żeby go kochać tak, jak na to zasługuje. Nie była jednak pewna, czy Aleksander był gotów do wysłuchania takiej spowiedzi. Wyrażała więc pocałunkiem to, czego nie śmiała powiedzieć głośno.

Jego pocałunek stawał się coraz bardziej natarczywy, coraz gorętszy. Całował teraz jej szyję wzdychając, gdy ich biodra i całe ciała przylgnęły do siebie. Oliwia jęknęła. Jej sutki, przyciśnięte do jego twardej piersi, stwardniały od palącego ją pożądania. W ustach czuła suchość, a jego pocałunek stał się tak gwałtowny, że myślała, że się udusi. A jednak, mimo że stali tak mocno w sobie wtuleni, nie wyczuwała fizycznej oznaki jego podniecenia. Ona była gotowa paść na trawę i kochać się z nim natychmiast, tu i teraz, a nic nie wskazywało jego gotowości. Może ten pocałunek wynikał z chęci ukojenia jej, a nie pożądania. Nie wierzyła, że mógł aż tak zapanować nad swoim ciałem, żeby nic nie było znać. Może coś jej brakowało, co nie doprowadzało mężczyzny do właściwej reakcji? Może dlatego Boyd ją zostawił? Nie, nie pozwoli, żeby ją znów ktoś miał porzucić.

—Nie! — Wyrwała się, zmieszana i urażona.

—Oliwio! - krzyknął Aleksander. Miał rozpaloną twarz, oddychał ciężko. - Co się stało?

Podniosła z ziemi swoją czapkę i uciekła, wściekła na siebie, że jego obojętność tak ją zraniła, ale nie widziała innego wyjścia prócz ucieczki.

Pobiegła na północny kraniec posiadłości, gdzie ceglany mur oddzielał teren Chaubere'a od posiadłości pani Foster, żeby znaleźć się jak najdalej Aleksandra. Otarła rękawem oczy i policzki i znów wcisnęła włosy pod czapkę. Po kilku westchnieniach i obietnicy, że nigdy już nie będzie płakać przez mężczyznę, uniosła głowę, spojrzała w niebo, a za chwilę zauważyła idącą w jej kierunku panią Foster.

—Hej, Oliwio! — zawołała starsza pani, wymachując jakimiś białymi papierami.

Oliwia zmusiła się do spokoju. Nie miała ochoty być przepytwana na temat swoich nastrojów. Miała nadzieję, że nie ma czerwonych oczu. Uśmiechnęła się.

—Dzień dobry, pani Foster. Co słyhać?

—Świetnie. Cudowny poranek, prawda?

—Piękny — odpowiedziała Oliwia. Może sąsiadka nie zauważyła jej tonu.

—Zajmę ci tylko minutkę, młoda damo. Chciałam ci tylko coś dać.

—O, co takiego?

Pani Foster wyciągnęła w jej stronę białe papiery, które okazały się z bliska kopertami.

—Zaproszenia — wyjaśniła pani Foster.

Na kopertach widniały napisy, wykonane ozdobnym pismem. Jedna była dla niej, a druga dla Aleksandra. Spojrzała pytająco na panią Foster.

- To są zaproszenia na Bal Wiosenny Towarzystwa Ogrodniczego w Charleston. Jako sekretarz Towarzystwa mam przyjemność zaprosić cię na naszą roczną imprezę. W tym roku motywem przewodnim jest Walc Kwiatów z *Dziadka do orzechów*. Sprytne, co?

- Bardzo. — Oliwia wachlowała się kopertą, zastanawiając się, jak Aleksander przyjmie to zaproszenie. A zresztą nic jej to nie obchodzi. - Nie wiedziałam, że pani jest członkiem Towarzystwa Ogrodniczego.

- O Boże, od trzydziestu lat. Mam nadzieję, że przyjdiesz i przyprowadzisz tego tajemniczego pana Chaubere'a.

- Niech pani nie oczekuje cudu.

Starsza pani zachichotała i dotknęła ręki Oliwii.

- Pracuj nad nim, dziewczyno. Przecież tu mieszkasz, a to się jeszcze nie zdarzyło, jak daleko sięgnę pamięcią. Może go przekonasz.

- Nie wiem. Kiedy to jest?

- Za tydzień, w sobotę o dziewiątej wieczorem. Przyjdź, Oliwio. Towarzystwo chce cię przedstawić, jako zdobywczynię naszego stypendium. Będzie mnóstwo ludzi. Może ci się to przydać do interesu.

- Z pewnością. - Uśmiechnęła się. - Dobrze, przyjdę. I postaram się namówić pana Chaubere'a.

- Świetnie! — Pani Foster rozpromieniła się. — Nie darowałabym sobie, gdybyś nie przyszła!

Rozdział 14

Aleksander patrzył na oddalającą się Oliwię. Nigdy w życiu, przez całe trzysta lat nie czuł się tak sfrustrowany. Co się stało, że oderwała się od niego wtedy, kiedy dosłownie topniała w jego ramionach. Czuł, że była na skraju zupełnego poddania się jemu, a on z kolei miał wrażenie, że jeśli odda jej swe serce, ona mogłaby pobudzić go do pełnego życia, nawet tę najbardziej uśpioną część. Przymknął oczy. Wciąż czuł wibracje na skórze w miejscach, gdzie go dotykała. Na myśl o jej jędrnych piersiach i burzy kasztanowych włosów chciał głośno

krzyczeń w udręce, żeby usłyszał go zazdrosny Bóg, który nie miał nad nim zmiłowania z powodu tej skradzionej nieśmiertelności.

Gdy wrócił do laboratorium, zabrał się do pracy, żeby choć częściowo usunąć Oliwię ze swych myśli. Rankiem zaczął sporządzać nowy eliksir z Wiecznych Lili, żeby uzupełnić ten zapas, który rozlał przy ostatnim ataku. Ale teraz, zamiast pilnować destylacji, zabrał się najpierw do kolejnego badania krwi. Wykonał je dwa razy, żeby wyeliminować ewentualne błędy. A mógł się łatwo pomylić, bo obraz rudowłosej Oliwii prześladował go przy każdej czynności.

Jak przypuszczał, liczba ciemnoczerwonych, „nieśmiertelnych” ciałek krwi znów dramatycznie zmalała, praktycznie było ich zaledwie kilka. Gdyby był człowiekiem, który bez namysłu wysnuwa wnioski, stwierdziłby z pewnością, że zanikanie tych komórek jest rezultatem obecności Oliwii. Czy ma zaprzestać przyjmowania eliksiru? A może to wspólny wpływ Oliwii i Wiecznej Lili daje taki efekt? Jeśli nadal będzie przebywał z Oliwią, może wyniki badania krwi jeszcze się poprawią? Ale może jego uczucia do niej zakłócają cały proces przez wprowadzenie do krwi męskich hormonów? Zbyt wiele było zmiennych w tym eksperymencie.

Zaczął masować czubek głowy. Jeśli Oliwia miała na niego taki dobry wpływ, dlaczego jego ataki się nasiliły? Czy przyspieszała jego drogę do śmiertelności? A jeśli tak, to czy ataki będą coraz groźniejsze, aż go zabiją?

Rozmyślając o tym wszystkim, nanosił kolejne punkty na wykres. Nie ulegało wątpliwości, że odkąd Oliwia Travanelle wkroczyła w jego życie, liczba krwinek nieśmiertelności dramatycznie zmalała. Jednocześnie jednak miał bolesne dolegliwości fizyczne. A więc, czy przynosiła mu życie, czy śmierć?

Oparł się o stół, załamany. Uczucie Oliwii mogło go zabijać. Modlił się, żeby to przypuszczenie okazało się fałszywe, żeby był jakiś błąd w takim rozumowaniu. W ciągu wielu lat nauczył się ufać swojemu instynktowi, jeśli idzie o eksperymenty i badania, bo przeważnie prowadził go we właściwym kierunku. Miał nadzieję, że tym razem będzie odwrotnie.

Zaczął nerwowo spacerować po laboratorium. Istnieje tylko jeden sposób, żeby przekonać się, jaki wpływ ma Oliwia na jego stan. Musi trzymać się z dala od niej, przynajmniej tak długo, żeby zaobserwować, czy wtedy liczba ciałek „nieśmiertelnych” wzrośnie, a ataki będą łagodniejsze. Jeżeli okaże się, że Oliwia ma wpływ na jego śmiertelność, będzie musiał podjąć najtrudniejszą w życiu decyzję: albo zostać z kobietą, którą kocha, na ten krótki czas, jaki mu został, albo usunąć się z życia Oliwii Travanelle i zaoszczędzić jej bólu, kiedy będzie powoli umierał.

W południe, kiedy upał najbardziej dokuczał, Oliwia zrobiła sobie drugą przerwę i postanowiła pójść do mieszkania napić się czegoś zimnego. Była tam przedtem rano, gdy uciekła od

Aleksandra. Tak jak się spodziewała, Rich siedział przed telewizorem z miseczką płatków na kolanach. Stała w drzwiach i kiedy na niego patrzyła, serce jej się ścisnęło, że będzie musiała mu powiedzieć prawdę o ojcu, nim to zrobi ktoś inny. Już nie może czekać, aż będzie starszy. Nie mogła mu jednak powiedzieć teraz, kiedy zajęty był oglądaniem telewizji, a ona taka wzburzona. Powie mu pod koniec dnia, kiedy usiądą razem do kolacji.

Poprosiła go więc, żeby o dziesiątej przyszedł jej pomóc, a po obiedzie może robić, co chce, aby tylko nie wychodził poza teren ogrodu.

Cały dzień rozmyślała, jak to wszystko wytłumaczyć Richowi. Modliła się, żeby okazał się dość dojrzały i zrozumiał, dlaczego musiała tak postąpić. Obawiała się jego reakcji. Żadne ciasto brzoskwiniowe ani modele nie naprawią wielkiego kłamstwa. Tylko jej silny związek z synem może mu pomóc pogodzić się z prawdą.

Zmartwiona i zmęczona szła ścieżką wzdłuż rezydencji do przejścia między oleandrami. Nagle usłyszała gdzieś nad sobą wyraźny metaliczny brzęk szpady. Spojrzała w górę i zauważyła, że okna na pierwszym piętrze są otwarte.

—*Touche!* — wykrzyknął Aleksander. Metaliczne dźwięki grały nad jej głową staccato.

Wtem wysoki głos zawołał.

—Mam cię!

Oliwia zamarła. Rich znajdował się w domu Aleksandra i sądząc po dochodzących dźwiękach, brał udział w jakiejś walce. Popatrzyła na otwarte okna. Nie tylko Boyd pojawił się w jej życiu, co groziło odebraniem jej Richa, ale i Aleksander zlekceważył jej prośbę o trzymanie się z dala od jej syna. Wróciła do tylnych schodów i pokonując po dwa stopnie, wbiegła do domu. Gdy otworzyła drzwi, poczuła zapach stęchlizny i zatrzymała się. Nigdy jeszcze nie była w rezydencji Chaubere'a i zaskoczył ją ten widok.

Z obu stron obszernego westybulu potężne schody prowadziły na piętro. Na ścianach w holu wisiały kinkiety ze świecami i panele z odklejającymi się tapetami, takimi, jakie stosowano na początku XVIII wieku, z sielankowymi krajobrazami i scenkami ogrodowymi. U sufitu na wysokości pierwszego piętra wisiał olbrzymi mosiężny żyrandol, zdobiony kryształkami, z setkami świec. Zaczęła się zastanawiać, czy Aleksander wciąż jeszcze używa świec do oświecenia. Czytała kiedyś, że dawno temu bogaci właściciele takich rezydencji zatrudniali specjalnego służącego, zajmującego się wyłącznie świecami. Tutaj też mógłby się taki przydać.

Schody po lewej były zakurzone i obwieszone pajęczynami a na ich końcu wisiała złota, aksamitna zasłona,

odgradzająca południowe skrzydło pierwszego piętra. Natomiast schody po prawej były odkurzone, a mahoniowa balustrada wypolerowana. Oliwia bywała w wielu muzeach i poznała, że umeblowanie, drewniane wykończenia i tapety były oryginalne, nie zmienione od końca XVIII wieku. Aleksander Chaubere mieszkał w prawdziwie zabytkowym domostwie, które mogłoby stanowić atrakcję turystyczną dla wycieczek, chociaż nie wyobrażała sobie, żeby Aleksander zniósł pętające się po jego domu grupy turystów. Zastanawiała się tylko, dlaczego nie wprowadził tu jakichś nowoczesnych udogodnień.

Wbiegła na piętro, gdzie podłogę pokrywał czerwono-złoty dywan. Przemknęła obok olbrzymiego lustra i wystraszyła się swojego odbicia. Cofnęła się i wpadła na stolik, omal nie zrzucając na ziemię wazy z epoki dynastii Ming. Na szczęście, dzięki swemu refleksowi, zdążyła ją podtrzymać i bezpiecznie ustawić z powrotem. A gdyby tak spadła i roztrzaskała się? Nigdy nie znalazłaby takiej samej, aby odkupić, nie mówiąc o tym, że nie byłoby jej na to stać. Rozejrzała się po ciemnym korytarzu, starając się uspokoić walące serce.

Metaliczne uderzenia dobiegały zza drzwi po prawej, w środkowej części domu. Pobiegła w tamtą stronę i wpadła do olbrzymiej sali balowej, gdzie Aleksander i Rich w białych strojach i maskach ochronnych zapamiętałe ćwiczyli szermierkę. Rich wyglądał zabawnie w za dużym kostiumie, z pozawijanymi rękawami i nogawkami. Wystraszyła się, że może się potknąć i zrobić sobie krzywdę.

— Rich! — krzyknęła głośno, żeby ją usłyszeli.

Obrócił się, a Aleksander zatrzymał się w połowie wypadu, ze szpadą uniesioną na wysokość ramienia. Wyprostował się i mimo obszernego stroju wyglądał pewnie i smukło. Nie mogła uwierzyć, że zaledwie kilka godzin temu stała w jego ramionach i była skłonna mu się oddać, a on nie okazał fizycznego zainteresowania. Zalała ją fala wstydu.

- Co się tu dzieje? — spytała podchodząc do nich po pięknej posadzce.

Czuła się niepewnie pod badawczym spojrzeniem Aleksandra, mimo jego maski. Rich pochylił ostrze.

- Ćwiczyliśmy szermierkę, mamó.

Aleksander zdjął maskę i potrząsnął włosami.

- Rich jest urodzonym szermierzem. Trochę przypomina mi mnie, gdy byłem w jego wieku.

- Mówiłam ci, żebyś nie zachęcał Richa do bójek.

- Nie zachęcam. Szermierka wyrobi w nim refleks i sprawność nóg.

- I używanie broni.

- Och, mamó - Rich zdjął maskę - to takie fajne!

- Walka nie jest fajna, Rich. Jest okrutna.

- Szermierka jest dzisiaj sportem, madame. —

Aleksander odpiął ochraniacze szyi i ramion. - Naprawdę uważam, że to rozsądny wybór, zamiast nauki walki wręcz.

- No jasne, mamó — wtrącił Rich. — Ile razy widziałaś, żeby ktoś walczył na szpady na ulicy?

Oliwia popatrzyła na Aleksandra i zrobiło jej się wstyd, że jest taka małostkowa i za wszelką cenę chce mieć rację nawet tam, gdzie wyraźnie, nawet zdaniem Richa, jej nie ma.

- W każdym razie prosiłam, żeby pan się trzymał z dala od mojego syna.

- Rich zrobił ogromne postępy przez trzy dni, Oliwio. Naprawdę byłoby szkoda ograniczać jego rozwój.

- Trzy dni? — krzyknęła. — Uczyłeś go przez trzy dni?

- Tak. - Rich podszedł do niej. — Po szkole.

- Jest doskonałym uczniem. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego.

— Mamó, pozwól mi — prosił Rich. — To najwspanialsza rzecz, jaką robiłem.

Oliwia popatrzyła na jego poważną twarzyczkę, zwichrzone włosy, błagalne spojrzenie. Czy ma mu zabronić? Tylu rzeczy w życiu ma zabraniała, zwłaszcza rozrywek. Może szermierka jest rzeczywiście niewinnym sportem i nie ma czym się martwić?

— Mamó, proszę — powtórzył Rich, jakby wyczuwał, że się łamała, i chciał przeważać szalę na swoją korzyść.

— Och, nie wiem. — Oliwia potrząsnęła głową. — Chyba nic się nie stanie, jeżeli będziesz trenował. Ale przedtem muszę jeszcze wyjaśnić niektóre sprawy z panem Chaubereem.

— Dzięki, mamusiu. - Rich rzucił się na nią i objął za szyję. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio tak się przytulał z własnej inicjatywy. Objęła go też i przyglądała mu włosy.

— Tylko nie chcę, żeby twoja szermierka wyszła poza ten pokój, rozumiano?

— Tak!

— A jeżeli usłyszę, że wyzwales kogoś na pojedynek, to koniec!

— Nie wyzwę!

— I dosyć tych konszachtów za moimi plecami, bo cię uziemię i nie będziesz wychodził tygodniami.

— Będę grzeczny, mamó, obiecuję!

Aleksander ściągnął rękawice.

— Na dzisiaj dosyć, Rich. Jutro poćwiczymy rano, może nie będzie tak gorąco, co?

— Dobrze, proszę pana. O której?

— O dziesiątej, jeśli twoja mama się zgodzi. - Popatrzył na nią.

Rich odwrócił się do niej, z oczami tak błyszczącymi i szczęśliwymi, jakie rzadko u niego widywała.

Oliwia skinęła głową. Uznała, że ją zwyciężyli, ale była pewna, że podjęła właściwą decyzję. Może w jakimś zakresie Aleksander mógł mieć dobry wpływ na jej syna.

—Idź się przebrać, Rich — zarządził Aleksander. —
Zaczekamy tu na ciebie.

Rich pobiegł do salonu, mieszczącego się z boku sali balowej, i zamknął za sobą drzwi. Gdy tylko znikł, Aleksander zwrócił się do Oliwii.

—Od dziś życzę sobie, Aleksandrze, żebyś najpierw uzgadniał ze mną swoje pomysły dotyczące Richa.

—Zgodziłabyś się, żeby trenował szermierkę?

—Pewnie nie.

— Dlaczego uciekasz od tego, czego nie rozumiesz? Spojrzała mu w oczy.

— Żeby chronić Richa i siebie.

— A dlaczego uciekasz ode mnie?

Zastanawiała się, co odpowiedzieć, żeby być szczerą, a jednocześnie ukryć bolesną prawdę.

Aleksander rzucił rękawice na krzeselko i spojrzał na nią wzburzony.

—Czy wiesz, że kiedy cię poznałem, Oliwio, myślałem, że jesteś inna niż wszystkie inne kobiety, że jesteś otwarta i szczerą?

— Oliwia włożyła ręce do kieszeni i milczała, zamiast się bronić. Myślałem, że jesteś uczciwa - ciągnął, zdejmując ochraniacze

— i nie boisz się mówić, co myślisz.

—Nie boję się.

—Pieprzysz.

Utkwił w niej wzrok.

Powinna była go uderzyć i odejść. Powinna była wziąć Richa, zapakować w furgonetkę i wyjechać z Charleston. Zamiast tego stała, gapiąc się na Aleksandra i dowiadując prawdy o sobie: że jest tchórzem i kłamcą.

—Skłamałaś mi na temat swojego małżeństwa. Nie masz żadnego męża.

- Nie mam.

—Skłamałaś też Richowi, mówiąc mu, że ojciec nie żyje, prawda?

—Tak.

—A mnie odpychasz, jakbyś nic do mnie nie czuła. Ale czujesz, co?

Oliwia zarumieniała się. Nikt nigdy nie zarzucał jej nieuczciwości i nie wiedziała nawet, czy ma się bronić.

- Nie mieszaj do tego moich uczuć — syknęła.

- Dlaczego? To przecież przez swoje uczucia jesteś nieuczciwa.

- Nieprawda. Kłamałam, żeby chronić Richa. To jedyny powód!

- I z powodu Richa uciekłaś ode mnie dziś rano? Nie sądzę. — Zniżył nieco głos. — Powiedz mi prawdę, na miłość boską, chociaż raz!

Patrzyła na drzwi salonu, gdzie przebierał się Rich, w nadziei, że zaraz przyjdzie i pomoże jej wybrnąć z tej

krępującej sytuacji. Ale drzwi wciąż były zamknięte i musiała pozostać w sali balowej i powiedzieć mu prawdę. A więc dobrze! Aleksander chce prawdy. Będzie ją miał i może później doceni uprzejmą nieszczerłość.

- Chcesz prawdy?

- *Oui.*

- Uciekłam, bo nie chcę się zaangażować.

- Dlaczego?

- Bo już raz doświadczyłam tego, jak ciężko kochać kogoś, kto się ode mnie odsuwa.

- Ja się odsuwam?

- Tak.

- W jaki sposób?

Wydawał się zupełnie nieświadom swej porażki. Wierzyć jej się nie chciało, że może być tak mało wrażliwy. Zastanawiała się jakich użyć słów, by powiedzieć prawdę tak, aby nie zabrzmiała kretyńsko.

- Muszę to powiedzieć?

- Proszę, Oliwio, bądź szczerą, nawet jeśli musisz być brutalna.

- Dobrze. — Odetchnęła głęboko. - Chcę być z mężczyzną, który mnie szanuje i pragnie, bardzo pragnie.

- Dlaczego uważasz, że ja cię nie pragnę?

- Bo rano, w ogrodzie byłeś...

- Jaki byłem?

- Nierozbudzony seksualnie. - Umknęła wzrokiem.

Twarz ją paliła.

Aleksander patrzył na nią i nad policzkami wystąpiły mu dwie szkarłatne plamy. Wyglądał, jakby go uderzyła. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, drzwi się otworzyły i do sali wpadł Rich, nie zdając sobie wcale sprawy, że coś między nimi zaszło.

- Mamo! — wykrzyknął. — Przypomniało mi się, że musisz coś zobaczyć!

Nogi jej się trzęsły, a w głowie wirowało.

- Co muszę zobaczyć?

- Modele pana Chaubere'a. - Uśmiechnął się do Aleksandra. — Mogę jej pokazać?

- Oczywiście, proszę bardzo. Ja schowam sprzęt.

- Świetnie. - Rich pociągnął matkę za rękaw. - Zobaczysz jego okręty, mamo. Są niesamowite!

Oliwia spojrzała na Aleksandra, zastanawiając się, czy może tak nagle wyjść, nie łagodząc jakoś swych słów. Jak może oskarżać go o impotencję, a później odejść, jakby tylko skrytykowała jego ubranie?

- Nie zawsze wszystko jest tak, jak się wydaje, Oliwio — skomentował.

- Niektórych rzeczy nie da się udawać.

- Jestem zawsze sobą, Oliwio, ale nie możesz wiedzieć o mnie wszystkiego.

Czarne oczy wpatrywały się w nią i tkwiła w miejscu, chociaż Rich ją ciągnął. Chciała zostać, ukoić ten smutek w jego oczach maskowany krzywym uśmiechem i spojrzeniem

spod powiek. Powoli jej gniew zmieniał się we współczucie. Może była tak pochłonięta własnymi problemami, że nie wzięła pod uwagę faktu, że i Aleksander może je mieć? Może to ona była taka niewrażliwa?

- No dalej, mamo! - popędzał Rich.
- Idę - odpowiedziała.

Popatrzyła na Aleksandra chwilę dłużej, starając się dać mu do zrozumienia, że już wcale tak nie myśli. Powoli uniół brew jakby chciał jej powiedzieć, że nie stracił humoru po tym, co usłyszał. Wdzięczna za ten gest, uniosła rękę.

- Cześć - powiedziała po prostu.
- Do widzenia.
- Do zobaczenia, panie Chaubere.
- *Au revoir, Richard.*

Rich wyciągnął ją z sali balowej i zaprowadził do mniejszego pomieszczenia na tyłach domu. Pokój wypełniony był modelami umieszczonymi w oszklonych gablotach, a wokół na ścianach znajdowały się półki z książkami. Niektóre wydawały się bardzo stare. Synek pokazywał jej niesłychanie precyzyjne drewniane modele, które całymi latami budował Aleksander, i opowiadał ich historie. Oczywiście Aleksander mu to wszystko opowiedział, a Rich dokładnie zapamiętał. Syn nie przestawał jej zadziwiać.

- Patrz na ten. - Rich wskazał na szkuner nazwany „Bon Aventure”. - Czy nie jest piękny?

Oliwia przysunęła się bliżej. Oczy widziały statek, ale jej serce i myśli były przy mężczyźnie, którego delikatne ręce zbudowały ten maleńki model. Czy będzie mogła jeszcze spojrzeć w twarz temu człowiekowi? A czy będzie mogła dalej żyć, jeśli teraz się od niego odwróci? W każdym razie, nie może wyjeżdżać z Charleston. Jeszcze nie.

Rozdział 15

Oliwia miała zamiar porozmawiać z Richem po obiedzie, ale plany zmieniły się, ponieważ Willie Lee, wnuk pani Foster, zaprosił Richa na pizzę i nocowanie w swoim domu na drugim końcu miasta. Dom Williego wydał jej się bezpieczniejszym miejscem dla syna, skóro Boyd odkrył, gdzie mieszkają. Odwiozła więc Richa i zapowiedziała mu, że nie wolno mu wracać z nikim innym. W powrotnej drodze wstąpiła do sklepu, żeby kupić mleko i chleb. Na półce przy wejściu do sklepu zauważyła broszurkę na temat wycieczek po starych plantacjach. Zdecydowała, że nazajutrz, w

niedzielę, wybiorą się na wycieczkę i przy tej okazji poruszy temat jego ojca. Spodobał jej się ten pomysł. Zrobiła więc zakupy na piknik i dołożyła czekoladki, które Rich bardzo lubił.

Gdy wróciła do domu, poczuła się bardzo samotna bez syna. Zrobiła sobie kanapkę, zaparzyła kawę i usiadła na balkonie, żeby obejrzeć słońce zachodzące za drzewami i dachami. Starła się cieszyć spokojem wieczoru, ale nie udawało jej się oderwać myśli od Boyda i Aleksandra. Chciała go pójść poszukać, dowiedzieć się, co oznaczały jego słowa, że nie może wiedzieć o nim wszystkiego. Podeszła do drugiego końca balkonu, by przypatrzeć się rezydencji. Dom był ciemny, a spod drzwi laboratorium nie przedostawała się żadna smuga światła. Aleksander spędza pewnie wieczór poza domem. Westchnęła i weszła do mieszkania. Dobrze jej zrobi długa kąpiel i wcześniejsze pójście spać.

Następnego dnia Oliwia i Rich wyruszyli z samego rana i posuwając się wzdłuż rzeki Ashley dojechali do miejsca, gdzie zachowano w oryginalnym stanie kilka starych plantacji, dostępnych teraz do zwiedzania. Dom na plantacji Dryera był dużym ceglany budynek z początku XVIII wieku, rozpostartym na olbrzymiej połaci kilku akrów murawy, wśród moczarów i olbrzymich dębów obrośniętych mchem. Oliwia i Rich zwiedzili plantację według proponowanej godzinnej trasy, a następnie wrócili do samochodu po swoje zapasy na piknik. Znaleźli wysadzoną rododendronami ścieżkę, którą doszli nad brzeg rzeki. Oliwia rozłożyła koc na trawie. Większość zwiedzających już odjechała, a ponieważ był upał, pozostałym nie chciało się dojechać aż tutaj. Jednak w cieniu dębów, wśród soczystej trawy, było zupełnie chłodno. Od pobliskich drzew dochodziło cykanie świerszczy.

- Co zabrałeś do picia? - spytał Rich.
- Piwo korzenne.
- Dobrze. — Rich rozejrzał się dookoła, spojrzał na leniwie płynącą rzekę i stwierdził: — Podoba mi się tutaj.
- Bardzo spokojnie, prawda?
- Tak. - Położył torbę z jedzeniem na kocu. — Można by tu zrobić biwak i nikt by cię nie znalazł.
- Pewnie nie.
- Można brać wodę z rzeki, łowić ryby, chować się, gdy przyjadą turyści, a później znów być tu samemu.
- Myślę, że brakowałoby ci kąpeli — zażartowała.
- Nie, mógłbym co chwila wskakiwać do rzeki.

- Z krokodyłami?
- Popatrzył na wodę.
- Myślisz, że są tu krokodyle?

Oliwia starała się zachować powagę.

—Nigdy nic nie wiadomo.

Usiadła i wyjęła zapasy: kanapki z masłem orzechowym i rodzynkami, jabłka i chipsy. Gdy otwierała swą puszkę z picciem, zaczęła poważnie:

—Rich. - Nie bardzo wiedziała, jak się będzie tłumaczyć.

Musimy o czymś porozmawiać.

Przełknął kanapkę i zmrużył oczy.

—Tylko nie o kwiatkach i motylkach, dobrze? Ja to już Wszystko wiem.

—Naprawdę?

—Uczyliśmy się w szkole.

— Rozumiem. — Nie pamiętała, co ona wiedziała o seksie, gdy miała dziesięć lat, ale z pewnością było w tym sporo głupstw, które brała za fakty. — Nie, nie chcę rozmawiać o wychowaniu seksualnym, chociaż to, co powiem, ma z tym pewien związek.

Rich patrzył w ziemię i bawił się puszką. Znała go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że kiedy udaje zupełną obojętność, słucha uważnie.

—A o co chodzi?

—Prosiłam cię, byś ludziom mówił, że jestem zamężna, chociaż nie jestem.

s - Tak.

—A wiesz dlaczego?

—Żeby cię nie zaczepiali.

—Tak. Zawsze uważałam, że mężczyźni mogliby zabierać mi zbyt dużo czasu i serca, które miałam dla ciebie, a poza tym źle cię traktować, jako nie swoje dziecko.

—Chyba nie masz na myśli pana Chaubere'a. On jest dla mnie bardzo dobry.

—Na pewno są i inni dobrzy mężczyźni na świecie, Rich. Nie chciałam ryzykować. Pragnęłam ci zapewnić spokój.

Rich pokiwał głową i podniósł wzrok. Siniak wokół jego oka robił się żółtawy. Znow zajął się puszką i przestał jeść, podobnie jak ona. Żał jej było, bo na pewno czuł się spięty, przed poważnie zapowiadającą się rozmową. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Wiem, Rich, że czasem było ci ciężko, bo brakowało ci ojca. Ale zawsze uważałam, że lepiej, byś nie miał ojczyma.

Postanowiłam więc, że nie będzie mężczyzn w naszym życiu.

Bawił się metalową zawleczką od puszek.

- Dlatego mówiłam ludziom, że jestem mężatką.

Myśla

łam, że będzie nam łatwiej, jak trochę nabujam.

Rich przygryzł wargi, spojrzał na nią i spytał:

- Czy to ma coś wspólnego z panem Chaubere'em?

- Nie.

Przygarbił się. Wyraźnie chciał, by zaczęło ją coś łączyć z Chaubere'em, i żał jej było, że go musi rozczarować. Nie może dopuścić do tego, by rozpaczął, gdy Aleksander wyjedzie z Charleston. Upiła trochę swojego piwa.

- Przede wszystkim, Rich, chcę twojego dobra. Nie chcę, żebyś cierpiał. Staralam się, jak mogłam. Ale jestem tylko człowiekiem i też nie wszystko potrafię rozwiązać. Wciąż się uczę tak jak ty.

Potrząsnął głową i otworzył plastikową torebkę z owocami.

- Więc żeby cię chronić, Rich, wymyśliłam jeszcze jedno kłamstwo, tym razem większe.

- To znaczy, co? - Spojrzał na nią zdumiony.

Jak ma mu to powiedzieć? Co o niej pomyśli? Trudno, już nie może się teraz wycofać.

- Powiedziałam ci, że twój ojciec nie żyje. To nieprawda. Na chwilę zmarł, wciąż trzymając w ręku torebkę.

- To znaczy... że on... żyje?

- Tak.

Gapił się na nią z otwartymi ustami i tak bardzo mu w tej chwili współczuła.

- Chciałam cię chronić, żebyś nie czekał, aż kiedyś sobie o nas przypomni i wróci. Znam go dobrze, Rich. Był wtedy prawie chłopcem, nie dorósł do tego, żeby zostać ojcem. Znikł, zanim się urodziłeś, i więcej go nie widziałam. Nigdy o ciebie nie pytał, nie leżał na ciebie. Zupełnie, jakby umarł.

- Ale nie umarł? Skąd wiesz?

- Przyjechał wczoraj do domu pana Chaubere'a.

- Naprawdę? Mój ojciec przyjechał?

- Tak.

- Po co?

- Żeby cię zobaczyć. Ale tak naprawdę nie wiem dlaczego.

- Przyjechał mnie zobaczyć? - Richie wstał. - A ty mu nie pozwoliłaś?

Oliwia siedziała, chociaż kusiło ją, żeby wstać i przytulić Richa do swej piersi. Bała się jednak, że jeżeli to zrobi, on jej się wyrwie.

- Nie mogłam na to pozwolić, dopóki nie odbędziemy tej rozmowy, Rich. Rozumiesz?

- Nie!

- Rich, musimy być ostrożni. Może on się zmienił, a może nie. Zanim mu uwierzę, muszę się dowiedzieć, dlaczego szuka cię teraz, po tylu latach.

- Może po prostu jest ciekawy, jaki jestem - wypalił Rich. W końcu to mój tata.

- Tak. Ale chciałabym cię tylko przestrzec, Rich, żebyś nie wiązał z nim zbyt wielkich nadziei. Jest olbrzymia różnica między tatą a biologicznym ojcem.

- Sam potrafię ocenić!

- Oczywiście, ale nie znasz go tak jak ja.
- Jeżeli był taki zły, to dlaczego za niego wysłaś?
- Nie był zły, tylko nieodpowiedzialny i nieodpowiedni dla mnie. Byłam młoda. Myślałam, że go kocham.
- A nie kochałaś?
- Myślałam, że tak, ale nie wiedziałam jeszcze, co to jest miłość. Żadne z nas nie wiedziało.

Rich stał na skraju koca przez dłuższą chwilę, po czym wrzucił nadgryziony kawałek jabłka do rzeki.

- A jak się nazywa?
- Boyd Williston III. Pochodzi z bogatej rodziny zamieszkałej w Seattle.

— To znaczy moje prawdziwe nazwisko jest Williston?

— Nie. Twoje prawdziwe nazwisko jest Richard Travanelle. — Wrzuciła nie zjedzoną kanapkę do torby. — Nim przyszedłeś na świat, twój ojciec wyjechał na studia, a ja się z nim rozwiodłam. Willistonowie od początku nie chcieli, żebyś się w ogóle urodził, więc nie miałam ochoty, byś nosił ich nazwisko. Dałam ci więc nazwisko, jakie nosiła moja rodzina od kilkuset lat, i sama też je zmieniłam.

— Czy jestem do niego podobny?

— Nie, wdałeś się w moją rodzinę.

— Myślisz, że jeszcze przyjedzie?

Oliwii przypomniały się słowa Boyda na odchodnym, że jeszcze go popamięta.

— Myślę, że tak. Ale nie pozwolę ci się z nim zobaczyć, dopóki nie dowiem się, o co mu chodzi.

— Ale ja go chcę zobaczyć!

— Rich, wierz mi, to może nie być dobry pomysł.

— To mój ojciec! - krzyknął.

— Rich!

Spojrzał na nią z wściekłością i uciekł. Oliwia pobiegła za nim, ale szukała go prawie godzinę. W końcu znalazła na drzewie nad brzegiem rzeki i przekonała, żeby wrócił z nią do Charleston. Wrzuciła do torby resztki jedzenia i wzięła koc pod pachę. Rich szedł przed nią, wsiadł do samochodu i nie odzywał się całą drogę.

Gdy Oliwia skręciła w Myrtle Street i jechała w kierunku rezydencji Chaubere'a, zauważyła niebieskiego sedana, zaparkowanego przed bramą. W samochodzie nie było nikogo. Czy Boyd szukał Aleksandra, czy kręcił się koło ich mieszkania nad garażami? Przestraszona, zatrzymała się przed bramą i otworzyła

— Kto to? — spytał Rich, wskazując głową na mężczyznę siedzącego przed garażami w świetle zachodzącego słońca.

Oliwia zmierzyła wzrokiem wysoką sylwetkę i jasne włosy. Mężczyzna osłonił ręką oczy przed rażącym słońcem i wstał, gdy ich zobaczył.

- Twój ojciec - odpowiedziała w końcu, podjeżdżając pod garaż. Nie była jeszcze gotowa na ponowne spotkanie z Boydem, a co więcej, Rich również nie był. — Wygląda na to, że nie mam już na to wpływu. Jeśli chcesz go poznać, to idź.

Rich przyjrzał mu się z uwagą, ale i z ciekawością.

- Dobra.

- Tylko pamiętaj, proszę, co ci powiedziałam. — Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, ale Rich już wysiadał.

- Ty na pewno jesteś Richard - odezwał się Boyd przesadnie głośno, sztucznie przyjacielskim tonem.

Wyciągnął rękę i Rich, choć z wahaniem, uścisnął ją. Jednak zaraz potem cofnął się i przypatrywał ojcu bez śladu emocji na twarzy.

- Richard, czy wiesz, kim jestem? - Boyd zachichotał nerwowo.

- Moim ojcem - odpowiedział chłopiec. — A mnie na imię Rich.

- Przepraszam! - Boyd znów się zaśmiał. - Nie byłem pewien, jak twoja matka na ciebie mówi.

Boyd, zaczerwieniony, spojrzał na Oliwię i znów na Richa. Najwidoczniej opanowanie małego zdumiało Boyda, który spodziewał się, że syn przybiegnie do niego z otwartymi ramionami.

Pochwalając w myślach chłód Richa wobec ojca, Oliwia stała z boku, nie zamierzając interweniować. Nie chciała ułatwiać Boydowi tego spotkania. Jeśli nie potrafi porozumieć się z synem, to jego wina, bo przecież nigdy nie próbował nawiązać z nim kontaktu.

Po chwili napiętej ciszy Boyd wsadził rękę do kieszeni.

- Gdzie wyście byli? Czekałem tu ponad godzinę.

- Wyjechaliśmy - odpowiedział Rich.

- No, ale warto było czekać, Rich, żeby cię zobaczyć. Fajny z ciebie dzieciak. Ale co ci się stało z okiem?

- Jakies chłopaki na przystanku autobusowym mnie pobiły.

- Naprawdę? - Boyd zrobił zmartwioną minę, położył rękę na ramieniu Richa i spojrzał z pretensją na Oliwię. — Mam nadzieję, że tak tego nie zostawiliście, Oliwio.

— Załatwiamy to — powiedział spokojnie Rich i strząsnął z ramienia rękę ojca.

Oliwia zastanawiała się, co przez to rozumiał, ale nie była to pora na pytania.

— No, ale na pewno jesteś ekstra piłkarzem.

— Nie gram w piłkę.

— Nie grasz? — Boyd znów nerwowo zachichotał i na moment widać było w jego oczach smutek. — Myślałem, że każdy dziesięciolatek gra w nogę.

— Ja nie. Mama nigdy nie może mnie zawozić na

żadne treningi. Zawsze musi pracować.

Boyd znów spojrzął na Oliwię.

— Może jakoś temu zaradzimy, Rich - powiedział, sięgając za krzak azalii i wyciągając stamtąd dużą torbę na zakupy.

Mam tu coś na początek.

Boyd wyciągnął czarno-białą piłkę i rzucił do Richa. Złapał, ale nie zmienił wyrazu twarzy i wziął piłkę pod pachę, wcale jej nie oglądając.

— Dziękuję - powiedział.

Oliwia pomyślała, że Richowi przydałaby się raczej większa rękawica do baseballa, a nie piłka.

— Mam tu jeszcze inne rzeczy. — Boyd sięgnął do torby.

Super Mario Land! — oznajmił, trzymając małe pudełko.

Rich wziął je od niego, uśmiechając się smutno. Była to przygodowa gra elektroniczna, gdyż ojciec zapewne przypuszczał, że - jak większość dzieci w jego wieku - miał Grę Boya, do którego mógłby ją podłączyć. Tymczasem Rich rzadko w ogóle coś takiego miał w ręku. Bez tego urządzenia samo oprogramowanie było bezużyteczne.

— A teraz! - zapowiedział Boyd, nie zauważając niepewnego uśmiechu chłopca. - Co na to powiesz? Zdalnie sterowany helikopter! - Z trudem wyciągnął duży karton i wręczył go Richowi. - Ekstra, co?

— Tak. — Rich skinął głową.

Oliwii było żal małego. Rich byłby zachwycony, gdyby dostał skromniejszy prezent w postaci zdalnie sterowanego samochodu, o który zawsze prosił na Gwiazdkę. Nigdy nie było jej stać na przyzwoity, a wiedziała, że tańsza wersja nie zadowoliliby go. Gdyby Boyd to wiedział, pozyskałby go od razu takim prezentem.

Ale Richa nie można było kupić. Widziała to po jego minie i była z niego dumna.

— Jak chcesz, to pomogę ci złożyć ten helikopter — zaoferował Boyd.

— To byłoby świetnie — odpowiedział Rich — ale muszę odrobić lekcje...

Oliwia patrzyła zdumiona i szybko zorientowała się, że to wymówka. Podeszła do drzwi.

- Przykro mi, że muszę przerwać tę pogawędkę, Boyd, ale mamy jeszcze trochę roboty.

— A może bym mógł was zaprosić dzisiaj na kolację? Chętnie spędzę wieczór w waszym towarzystwie.

- Nie, dziękuję. - Oliwia otworzyła drzwi do domu.

- Ależ chodź, Oliwio!

— Może kiedy indziej.

- A ty, Rich?

Rich popatrzył na matkę, szukając pomocy. Boyd rozłożył ręce.

— Chcę go po prostu poznać, Oliwio. To wszystko.

Oliwia otworzyła drzwi. Znienawidziłaby siebie, gdyby zabroniła synowi poznać swego ojca. To on sam musi

wybrać, a ona nie ma prawa narzucać mu swoich uprzedzeń.

— Dobrze, Boyd, ale jutro. Przyjedź po nas o szóstej.

- Przyjadę.

- Więc do zobaczenia.

- Jeszcze jedno. - Boyd sięgnął do torby i wyjął drogi aparat fotograficzny. - Czy mogłabyś nam zrobić zdjęcie, Oliwio?

Rich odwrócił się do matki i zrobił minę.

— To chyba nic takiego. — Wzruszyła ramionami.

- Wspaniale! - Boyd przygotował aparat, a ona odłożyła torebkę i torbę z jedzeniem.

Boyd podał jej aparat i cofnął się, obejmując Richa ramieniem. Chłopiec stał sztywno, trzymając ręce wzdłuż ciała.

- Tak dobrze? - spytał Boyd.

- W porządku. - Oliwia spojrzała przez obiektyw.

-Uśmiechnijcie się.

Boyd zaśmiał się, obejmując syna. Gdy tylko zamknęła się przesłona, Rich odsunął się od niego i pobiegł do drzwi.

- Hej, Rich, nie zapomnij swoich prezentów! — zawołał za nim Boyd, gdy Oliwia oddawała mu aparat.

- A, tak. - Chłopiec zebrał swoje prezenty.

- Do zobaczenia, Rich. Mam nadzieję, że ci się podobały.

- Tak, dziękuję.

- Będę jutro o szóstej. - Boyd pomachał im i odszedł.

Oliwia spojrzała na Richa.

- No i co? Chcesz z nim pójść na kolację?

Uśmiechnął się gorzko i wyciągnął grę.

- Myślisz, że jak pójdę, to kupi mi Grę Boya?

Aleksander stanął u drzwi powozowni i wdychał niebiański zapach smażonych ziemniaków z cebulką. Zaburczało mu w brzuchu i zdumiał się. Nie pamiętał już, kiedy słyszał taki dźwięk. Poczul ból w śliniankach i ślinka mu pociekła. Otworzył drzwi na dole i wszedł po schodach.

Zapach był coraz bardziej upojny, a zza drzwi docierał perlisty śmiech Oliwii i głos Richa. Nie chciał im przeszkadzać, ale bardzo chciał być teraz z nimi. Mimo że mógł przerwać im kolację, zapukał do drzwi.

Otworzył mu Rich i uśmiechnął się szeroko na jego widok. Aleksander ucieszył się, bo cenił sobie sympatię chłopca, niezależnie od swoich uczuć do Oliwii.

- Cześć! — wykrzyknął Rich.

- Dobry wieczór.

Uśmiechnął się i popatrzył w kierunku kuchni. W drzwiach pojawiła się Oliwia z łyżką w ręku, ubrana w jasnoniebieską bluzeczkę i dżinsowe szorty. Spojrzała na niego nieśmiało.

— Wejdz. - Machnęła łyżką. - Ale muszę wracać do ziemniaków.
— Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.
— Dlaczego? - spytał Rich, zamykając drzwi.
— Widziałem, że pan Williston czekał pod drzwiami.
— Jutro idziemy z nim na kolację — oznajmił Rich. — Niech pan zaczeka, to pokażę panu, co od niego dostałem.
Aleksander został w saloniku, a Oliwia stała w drzwiach kuchennych. Widział, że była nieswoja.
— Nie chciałem przeszkadzać w kolacji - wyjaśnił - ale byłem niespokojny.
- Boyd wydaje się niegroźny - odpowiedziała. - Na razie. Podszedł bliżej i zniżył głos, żeby Rich nie słyszał:
— Oliwio, jeżeli będzie w jakikolwiek sposób zagrażał, powiesz mi, prawda?
— Tak, dziękuję. — Rzuciła okiem na kuchenkę i z powrotem na niego.
— Miałam ci coś dać,
Aleksandrze. - Co takiego?
Wzięła ze stołu przy oknie kopertę i podała mu.
— Pani Foster prosiła, bym ci to przekazała.
— Pani Foster? — Przechylił głowę podejrzliwie.
—Zanim zaczniesz marudzić, najpierw zobacz.
Otworzył kopertę i wyjął kartkę.
— To zaproszenie — mruknął, przebiegając wzrokiem ozdobne pismo.
— Ja też takie dostałam. To na bal Towarzystwa Ogrodniczego. Nie poszedłbyś ze mną?
— Na bal? - Skrzywił usta. - Na pewno nie.
— Nie musisz tańczyć. Pójdź ze mną dla towarzystwa. Marzą, żeby cię poznać. Jeżeli pójdiesz, rozwiejesz podejrzenia, a ja mogę znaleźć klientów.
— Rozwieję podejrzenia? - Przymrużył oczy. - Jakie podejrzenia?
Widział po jej twarzy, że żałowała nieprzemyślanych słów. Weszła do kuchni.

- Przepraszam, ale ziemniaki zaraz się spalą. Poszedł za nią.
- Jakie podejrzenia, Oliwio?
- Że jesteś jakiś dziwak.
- Może jestem.
Spojrzała na niego przez ramię.
- Nie większy niż ja. Ale jeżeli nie możesz znieść myśli, żeby się pokazywać publicznie, to nie ma sprawy, pójdę sama.
Energicznie zamieszała ziemniaki. Aleksander przyglądał jej się, podejmując decyzję. Pewnie na większość

uroczystości chodziła sama. Jedna więcej, jedna mniej...
Chociaż... bał dałby mu okazję, żeby się nią zająć, może
zaprosić na kolację i spędzić razem z nią kilka godzin, nim
na dobre wyjedzie z Charleston.

- Zastanowię się, Oliwio. Znów
mu zaburczało w brzuchu.

- Głodny?

- Chyba tak.

- A może zjadłbyś z nami kolację? - Zamieszała
zawartość dużej patelni. - Jak widzisz, przesadziłam i
zrobiłam jedzenia na pułk wojska!

Popatrzył na kuchenkę, walcząc z pokusą. Miał wielką
ochotę wziąć ją w ramiona, jak wczoraj w ogrodzie.
Wyglądała tak rozkosznie kobieco, w szortach i sandałkach,
z włosami zawiązanymi z tyłu w prosty węzeł. Chciał
wsunąć nos w te pachnące loczki, chciał ją trzymać, jeść
jedzenie, które ona przygotowała, słyszeć, jak się śmieje z
Richem i widzieć pożądanie w jej oczach, tak jak ostatnio,
gdy ją obejmował.

- Nie chcę się narzucać — odpowiedział w nadziei, że
go nie posłucha.

- To żaden kłopot. Tyle że nie mamy nic specjalnego:
ziemniaki i jajka.

- Pachnie wspaniale!

- No to zostań. - Uśmiechnęła się do niego przez ramię.
Zrobiło mu się ciepło koło serca na widok tego
uśmiechu.

Dobrze, dziękuję.

Za chwilę Rich wrócił ze swojego pokoju, obładowany
nowymi zabawkami.

- To właśnie dostałem od taty - oznajmił. - Zaraz panu
pokażę.

Aleksander musiał oderwać wzrok od Oliwii i dał się
zaciągnąć do dużego pokoju. Siadł na kanapie i patrzył, jak
Rich otwiera pudło. Czy odważyć się na zjedzenie
ziemniaków i jajek? Ale jak mógłby nie zjeść? Nie czuł
takiego głodu od setek lat, jak tylko sięgnął pamięcią.
Postanowił nie martwić się swoim zdrowiem, tylko skupił
się na tym, co mówił Rich.

Rozdział 16

Aleksander poczuł falę bólu przechodzącego przez środek brzucha i zaczął się niecierpliwie kręcić na kanapie w mieszkaniu Oliwii. Po cudownie odprężającej kolacji on i Rich przestudiowali instrukcję do zdalnie sterowanego helikoptera i przygotowali go do uruchomienia następnego dnia. Aleksander zaproponował, żeby zaczekał na ojca z inauguracją lotu, ale Rich stwierdził, że to wszystko jedno, czy on przy tym będzie, czy nie.

Oliwia wynurzyła się z kuchni, wycierając ręce w ręcznik. Przypomniał sobie, jak się śmiała przy kolacji. Zauważył, że zaszła w niej zmiana. Jakby opadła jakaś zasłona i pokazała się w naturalnym stanie. Chciał z nią porozmawiać, wytłumaczyć swoje zachowanie w ogrodzie. Nie miał jednak pojęcia, jak uzasadnić swój brak męskości. Nie mógł jej powiedzieć prawdy: że jest mężczyzną, który może żyć wiecznie, ale na zawsze pozbawiony jest normalnej, męskiej reakcji na atrakcyjną kobietę.

Czuł, że się rumieni. Jak mógł zarzucać Oliwii oszustwo, skoro sam ukrył przed nią swój największy problem? W dodatku przy kolacji zabawiał ich historyjkami z życia „rodziny Chaubere'ów”, które oczywiście były jego własnymi wspomnieniami z ostatnich dwustu lat, jakie spędził w Ameryce. Opowiadał o okresie, w którym był korsarzem, kiedy został uwięziony i na kilka tygodni wrzucony do lochu w Charleston. Opisał audiencję u Napoleona i pokazał zegarek, jaki dostał w prezencie tłumacząc, że inicjały należą do jego imiennika, pra-pra--pradziadka.

Trzy godziny później, najedzony, siedział na kanapie, zajmując się bateriami do dziecięcej zabawki, i wpatrywał się w Oliwię. Stała skąpana w delikatnym wieczornym świetle, rozpraszającym się na jej wspaniale rudych włosach. Mimo nie wyjaśnionych różnych spraw między nimi i bólu brzucha, był w bardzo dobrym humorze.

- Aleksandrze, wypijesz kawę czy herbatę? - spytała, przerywając jego zamyślenie.

Znów przyszła ostra fala bólu. Cholera! Co go napadło, żeby jeść, i to tak dużo. Mógł przewidzieć, że tak się to skończy, jeśli w ciągu ostatnich miesięcy jadł tylko po kasku. Sądząc po tym, jak się czuje, słono zapłaci za te cudowne chwile przy stole. Wzrok mu się zmacił. Spróbował wstać, ale nogi się pod nim ugięły.

- Aleksandrze! - Oliwia rzuciła się do niego. Jej rude włosy i niebieska bluzeczka stanowiły dla niego całkiem rozmazane plamy.

- *Tiens!* — Z trudem usiłował złapać powietrze, próbując -wstać. Musi się stąd wynieść, nim Oliwia i Rich zorientują się, jak poważny jest jego stan.

- Pan Chaubere! — Rich skoczył na równe nogi. - Co się panu stało?

Chłopiec złapał go za ramię i uchronił od upadku. Jego uścisk był dość silny i Aleksander postanowił go pochwalić, że robi się coraz silniejszy.

- Co się dzieje? — zawołała Oliwia, obejmując go w pasie. — To znów serce?

- Nie - odpowiedział ledwo słyszalnym głosem.

Nie chciał, by Oliwia oglądała go w takim stanie. Miał też świadomość, że przed Richem nie może objawiać takiej słabości, bo go wystraszy.

- Muszę... — dowlókł się do drzwi i szukał gałki — muszę wracać.

- Nie zejdziesz po schodach! - krzyknęła, wciąż go podtrzymując.

- Muszę - powtórzył. W głowie mu szumiało.

- Rich! - Oliwia wydawała dyspozycje. - Bierz klucze i latarkę.

- Dobra. - Popędził do pokoju.

- Aleks. — Chwyliła go mocniej w pasie. — Nie utrzymam cię, jesteś za ciężki.

- Dam radę. - Zagryzł zęby. - Idziemy.

Podtrzymywała go na schodach, a Rich szedł tuż za nimi.

Gdy tylko zeszli do przedpokoju, Aleksander poczuł, że robi mu się niedobrze. Odsunął Oliwię i wyskoczył przez drzwi. Ostatkiem sił dowlókł się do krzaków azalii, nachylił się nad nimi i wymiotował.

Oliwia czekała, dopóki nie zauważyła, że Aleksander trochę się wyprostował. Co mu było? Kolacja nie mogła mu zaszkodzić, bo ani ona, ani Rich nie odczuwali żadnych dolegliwości żołądkowych. Prawdę mówiąc, jeszcze parę minut temu było cudownie. Aleksander, opowiadający historie rodzinne przy ich stole, i zaśmiewający się i zaciekawiony Rich, to wszystko tworzyło jej harmonijny świat. Zapomniała nawet o pojawieniu się Boyda. Dlaczego dobre chwile z Aleksandrem były takie ulotne i zagadkowe? I co powodowało te straszne bóle? Pewnie po ostatnim ataku wcale nie był u lekarza.

Razem z Richem poprowadziła go przez oleandry na tył rezydencji.

- Chcesz iść do laboratorium?

Aleksander potrząsnął głową.

Oliwia miała nadzieję, że go wciągną po schodach. Rich podtrzymywał go z lewej strony, a Oliwia wsunęła rękę pod jego prawą pachę i objęła go dookoła. Gdy udało mu się dotrzeć na szczyt schodów, wszyscy byli zasapani.

- Wiesz, gdzie jest jego sypialnia? — dyszała Oliwia.

Rich wskazał głową ponury hol po lewej.

- Chyba tędy.

- *Oui* - dodał słabo Aleksander.

- Poświeć w tę stronę, Rich - poleciła Oliwia. — Dobra, idź przodem i otwórz drzwi.

Zachwiała się pod ciężarem, zdumiona, ile uniósł Rich przez całą drogę.

- Dasz radę? - spytał Aleksander.

- Tak.

Zadygotał i zacisnął zęby, żeby nie szczękały. Czują gorąco bijące od jego ciała i wilgotne fałdy koszuli przylegające do skóry. Musiał mieć wysoką gorączkę, ale nigdy nie przypuszczała, że komuś podniesie się temperatura tak nagle. Im szybciej go wpakuje do łóżka i ciepło okryje, tym lepiej.

Weszli do olbrzymiego pokoju z dużym łóżem pod baldachimem, szafą, fotelem koło kominka i krzeselkiem pod ścianą. Nic nie łagodziło surowości tego pomieszczenia.

- Zdejmij narzutę - powiedziała.

Rich natychmiast wykonał polecenie, ale widziała, jaki jest zmartwiony widząc Aleksandra w tym stanie.

Podprowadziła go do łóżka. Padł na nie bezwładnie, aż się ugiął materac, ale nie miał siły wciągnąć nóg ani zdjęć butów.

Oliwia zdjęła mu eleganckie mokasyny i ułożyła nogi na środku łóżka. Aleksander trząśł się strasznie. Przeraziła się widząc, jak zbladł. W słabym świetle pokoju jego twarz wydawała się bielsza od poduszki. Przyłożyła dłoń do jego czoła.

- Jesteś rozpalony.

Oczy miał zamknięte, tylko rozchylił nieco usta i słychać było jego lekko świszczący oddech.

- Byłeś u lekarza? Co masz zażywać w takiej sytuacji? spytała Oliwia. — Masz jakieś pigułki?

Potrząsnął lekko głową.

- Co mu jest? - spytał Rich, kręcąc się przy matce, gdy owijała Aleksandra kołdrą. - Ma grypę czy coś takiego?

- Nie jestem pewna. Ale nie pójdę stąd, dopóki mu nie będzie lepiej.

- Ja też nie — oświadczył Rich poważnie.

- Może znajdę coś na obniżenie gorączki - powiedziała, odgarniając włosy z czoła. - Kuchnia jest pewnie gdzieś na dole.

Wzięła do ręki latarkę i oświedała pokój, poszukując gdzieś wyłącznika. Bezskutecznie. W końcu wzrok jej padł na nocny stolik i ze zdumieniem zobaczyła stojącą na nim świecę w mosiężnym świeczniku. Obok leżało pudełko zapalek.

- Zapal świeczkę, Rich — powiedziała — a ja zabiorę ze sobą latarkę.

Rich natychmiast zabrał się do dzieła, szczęśliwy, że może legalnie użyć zapalek. Poza tym chętnie uczestniczył w ważnych sprawach, a taką na pewno była pomoc panu Chaubere'owi. Płomyk rozbłysnął i świece paliły się, dając drżące, rozproszone światło, zupełnie inne niż wąski, ale stały strumień płynący z jej latarki.

- Zaraz wrócę - powiedziała Oliwia. - Zawołaj, jeśli mu się pogorszy.

Wyszła z sypialni, zbiegła po schodach i skręciła do głównego holu, prowadzącego na front domu. Dom, spowity w ciemność, której nie rozpraszało światło latarki, wydawał się jeszcze starszy. To, co uważała za szlachetną patynę starości w świetle dnia, nocą sprawiało ponure, a nawet groźne wrażenie.

Szła przez hol ostrożnie, oświetlając wszystkie zakamarki i zarzucając sobie, że boi się w domu Aleksandra. Otwierała kolejne drzwi. W każdym pokoju znajdowała kurz i pajęczyny na pięknych, starych meblach, pokrytych brokatem i aksamitem. Na ścianach wisiały wspaniałe obrazy, a okna ozdabiała jedwabne draperie tak kruche, że z pewnością rozpadłyby się przy dotknięciu. Wydawało się niemalże, że w tym wnętrzu mogłaby przepłynąć przez komnatę Maria Antonina, rzucając dowcipnymi francuskimi powiedzonkami. Ale Maria Antonina i jej dworzanie dawno nie żyli, a w tych salonach czuło się powietrze grobowca.

Oliwia pozamykała wszystkie drzwi i poszła dalej, bardzo spięta i przestraszona. Podłoga skrzypiała pod jej nogami i nagle coś z lewej strony poruszyło się. Poświeciła latarką, niemalże spodziewając się ujrzeć ducha lub jakiegoś służącego, o którego istnieniu Aleksander zapomniał jej powiedzieć. Uśmiechnęła się z ulgą, kiedy zobaczyła, że to otworzyły się tylko drzwiczki stojącego zegara.

Postanowiła wziąć się w garść i skupić na swoim zadaniu. Szła teraz pewniejszym krokiem, badając północne skrzydło. Znalazła olbrzymią garderobę, jadalnię z wielkim, zakurzonym stołem pośrodku oraz pustą spiżarnię.

Zamknęła drzwi i skierowała się do następnych pewna, że musi to być kuchnia. Przypuszczenia jej okazały się słuszne poza tym, że nie była to zwyczajna kuchnia. Było to najbardziej zapuszczone pomieszczenie w całym domu. W kredensach stały stosy porcelany i delikatnego szkła. Widać było czyjeś ślady na pokrytej warstwą kurzu podłodze. Prowadziły do jednego z kredensów. Otworzyła drzwiczki i znalazła tam częściowo opróżnioną butelkę wody mineralnej i zeschnięty skrawek cytryny: resztki napoju, jaki kiedyś Aleksander przyniósł jej do ogrodu. Dlaczego nie schował tego do lodówki? Poświeciła latarką na wszystkie strony, ale nie zauważyła ani lodówki, ani kuchenki. Tylko pod oknem znajdowało się coś w rodzaju zlewu, ale zamiast kranu widać było dużą czarną rączkę od pompy, przypominającą figurę szachową.

Oliwia oparła się o stół, nie zważając na kurz. Jak można mieszkać w domu, nie używając kuchni? Nawet na śniadanie? Albo żeby zrobić kawę czy coś przekąsić późno wieczorem? Przypomniały jej się słowa pani Foster:

„Czy wierzysz w wampiry, Oliwio?... Nie mówię, że jest wampirem, ale nie mówię też, że nie jest. Mówię po prostu, że dzieje się tam coś dziwnego”.

Potrząsnęła głową, starając się pozbyć takich absurdalnych myśli. Nie może ktoś być wampirem tylko dlatego, że nie używa kuchni. Ma dziwne zwyczaje, ale to wszystko. Nie potrafiła tylko wyjaśnić, dlaczego rozchorował się po kolacji z nimi, dlaczego miewał takie straszne ataki i dlaczego tak rzadko widywała go w dziennym świetle.

Nagle uderzyła ją myśl o Richu, pozostawionym na górze sam na sam z Aleksandrem. Może jest w niebezpieczeństwie? Ale zaraz zganiała siebie za tak przerażające myśli. Przecież nie zrobił nic, żeby mu nie ufać. A jeśli starał się zdobyć ich zaufanie, zwabić w swoje szpony i zabić?

Oliwia potarła kark. Nie chciała ryzykować bezpieczeństwa syna ani swojego, ale nie była w stanie posądzić Aleksandra o oszustwo czy wrogość. Zrobił bardzo wiele dla niej i dla Richa i musi mu dać szansę wyjaśnienia wszystkiego, nim podejmie jakąś decyzję. W dodatku czuła, że się w nim zakochuje, i nie mogła się od niego odwrócić, gdy cierpi. Czy jest wampirem, czy tylko ekscentrycznym naukowcem, będzie przy nim, póki mu się nie poprawi. Za bardzo ją obchodził, żeby mogła tak sobie odejść.

Drżącymi rękami otwierała po kolei wszystkie szafki, aż znalazła miednicę na wodę i czystą ściereczkę. Później podjęła walkę z pompą, przyciskając ją tyle razy, że aż poczuła gorąco w mięśniach i zaczęła wątpić, czy stara pompa w ogóle łączy się z jakimś źródłem wody. W końcu pompa kichnęła cienkim, czerwonym strumyczkiem, ale Oliwia pompowała dalej, dopóki nie poleciała czysta woda. Następnie napełniła miskę, wrzuciła ręczniczek do wody i powędrowała na pierwsze piętro.

Gdy Oliwia weszła do sypialni, Aleksander miał włosy mokre od potu. Rich stał obok niego i bardzo zaniepokojony opowiadał matce:

—Gadał różne dziwne rzeczy, przeważnie po francusku, ale wołał także ciebie, mamusiu i prosił cię, żebyś go nie zostawiała.

Oliwia błogosławiła ciemności, skrywające jej rumieniec. Co jeszcze o niej mówił?

- Z pewnością majaczy - odpowiedziała, siadając na materacu.

Aleksander mamrotał coś niezrozumiale i rzucał głową na boki. Na jego czole i nad ustami pojawiły się kropelki

potu. Oliwia wycisnęła ręcznik i delikatnie otarła mu twarz. Uspokoił się na chwilę, jakby zimna woda sprawiła mu ulgę. Po chwili zaczął się jeszcze bardziej rzucać, aż Oliwia wstała, żeby nie spadła miednica z wodą.

- Przytrzymaj to na chwilę - podała miskę Richowi - a ja wezmę krzesło.

Chciała unieść potężne krzesło, żeby nie porysować drewnianej podłogi, ale okazało się zbyt ciężkie. Uniosła przednie nogi i przysunęła krzesło do łóżka. Usiadła i położyła sobie miskę na kolanach. Teraz podciągnęła rękaw Aleksandra i myła ściereczką jego rękę. Widziała jego mięśnie, żyły od łokcia do nadgarstka i delikatne kości smukłych palców. Miał dłonie eleganckiego, wrażliwego mężczyzny i muskulaturę atlety. Taka mieszanka była co najmniej intrygująca.

Postawiła miednicę na nocnym stoliku i wstała.

- Rich, pomóż mi zdjąć mu koszulę.

- Dobra.

- Ja go uniosę, a ty ściągaj z ramion.

Oliwia sprawnie rozpięła jego luźną białą koszulę i wyciągnęła ze spodni. Objęła go ramieniem i przyciągnęła do przodu. Gadał coś niezrozumiale, a potem ułożył głowę na jej ramieniu, zaczął całować jej szyję i szukać piersi. Oliwia zaczerwieniła się i miała tylko nadzieję, że Rich tego nie zauważył.

- Ściągaj koszulę - wydusiła z siebie.

Gdy jego gorące wargi wpijały się w szyję, a wilgotne kosmyki włosów ją łaskotały, odczuła na moment silne pożądanie, pulsowanie między nogami, ale zdołała to opanować, ze względu na obecność Richa i strach o Aleksandra.

- Dlaczego on cię całuje, mamó? — zapytał Rich, patrząc na nią.

- Jest nieprzytomny. Nawet nie wie, kim jestem.

- Oliwio! — jęknął Aleksander, gdy tylko odpowiedziała chłopcu.

- Zdejmuj tę koszulę!

Rich ciągnął za materiał i nawet wszedł na łóżko, żeby było wygodniej, ale zadanie okazało się trudne, bo Aleksander wciąż obejmował Oliwię. Był ciężki i nie była pewna, jak długo jeszcze utrzyma go w pozycji siedzącej. W końcu udało się i Rich zlązł z łóżka, trzymając triumfalnie koszulę.

- Mam! - wykrzyknął.

Oliwia uśmiechnęła się i ułożyła Aleksandra. Patrzyła jak oczarowana na jego szerokie bary, wklęsły i umięśniony brzuch. Gdy przypatrzyła się dokładniej, zauważyła dziesiątki małych blizn i jedną długą, pionową, na pewno od noża Jimmy'ego Dana Petersena kilka tygodni temu. Jak mogła tak szybko zagoić się rana, która pozostawiła taką bliznę. Cóż za życie mógł prowadzić, żeby odnieść tyle ran?

- Mamo!

Usłyszała głos Richa, ale przez chwilę nie istniało dla niej nic prócz tajemnicy Aleksandra Chaubere'a i jej pragnienia, aby znaleźć się tuż przy jego ciele, rozpalonym i gładkim jak marmur nagrzanym w słońcu.

- Mamo!

Ocknęła się.

- Słucham?

- Co mam zrobić z jego koszulą?

Zobaczyła krzeselko koło szafy.

- Połóż na tamtym krześle.

Oliwia nie mogła się zmusić, żeby wstać natychmiast z łóżka Aleksandra. Wymagało to naprawdę silnej woli, żeby nie przytulić się teraz do niego i całować to kochane ciało, rozgorączkowane, poznaczone bliznami.

Kilka godzin później Oliwia obudziła się nagle z koszmarnego snu, w którym Rich ukradł Aleksandrowi Spidera i rozbił go, wjeżdżając w niebieskiego sedana Boyda. Usiadła, rozcierając kark obolały od niewygodnej pozycji, w jakiej spała na fotelu. Spojrzała na Aleksandra, śpiącego spokojnie w swym łóżku. Pokój pograżony był w mroku, w domu panowała zupełna cisza. Nadszedł ten zimny moment między ciemnością a świtaniem. Popatrzyła na migoczącą świecę, na pół wypaloną, a później na zegarek. Wpół do piątej.

Wstała, żeby rozprostować plecy. Gdy gorączka Aleksandra ustąpiła koło pierwszej w nocy, Oliwia zdrzemnęła się wtedy na fotelu. Trzy godziny minęły jak trzy sekundy. Była zmęczona i obolała. Rich poszedł najpierw po swój budzik i śpiwór, a po tem ułożył się w sali balowej. Nie chciała, żeby został sam w mieszkaniu, zwłaszcza jeżeli Boyd był w okolicy, ale odesłała go z sypialni Aleksandra, gdyż nie zgasiła światła, a chciała, żeby się wyspał.

Poszła do sali balowej, sprawdziła, że Rich śpi spokojnie, i wróciła do sypialni. Przysiadła na łóżku i przyłożyła rękę do czoła Aleksandra. Gorączka spadła, ale Oliwia miała zimną rękę, więc przyłożyła jeszcze policzek do jego skroni.

Wyprostowała się. Wiedząc, że jest sama, a Aleksander śpi, przypatrywała mu się bezwstydnie. Bardzo lubiła na niego patrzeć, robiła to wiele razy tej nocy. Przeraziła się jednak teraz, kiedy spojrzała i zobaczyła, że ma oczy otwarte i też się jej przypatruje.

- Aleksandrze! — Zawstydziała się, że ją przyłapała na tym gapieniu się.

Cofnęła się i chciała natychmiast wstać, ale nie mogła. Jego ręce były mocno zaciśnięte wokół jej dłoni.

Rozdział 17

Oliwio! - zachrypiał. — Nie odchodź! Na chwilę przestała się wrywać.

- Jak się czujesz?

- Znacznie lepiej — odpowiedział — ale cholernie chce mi się pić.

Spojrzała na butelkę wody mineralnej, którą przyniosła z kuchni, a on śledził wzrokiem jej spojrzenie. Jak gdyby czytał w jej myślach, zwolnił jej rękę, a ona sięgnęła po wodę. Aleksander sam usiadł i przytknął butelkę do ust. Pił chciwie, nie puszczać prawej ręki Oliwii.

- Nie za dużo — ostrzegła go — bo znów zrobi ci się niedobrze.

- Dziękuję - powiedział już silniejszym głosem.

Odstawił butelkę na nocny stolik i nie mogła nie zauważyć ,

gry jego mięśni, gdy się wyciągnął.

- Jesteś zimna jak lód. — Spojrzał jej w oczy.

- Zrobiło się chłodno w nocy, ale bałam się ciebie zostawiać samego.

- Poczułem na sobie sople lodu, które okazały się twoimi palcami, i obudziłem się.

- Przykro mi.

- Mnie nie. Chodź tutaj.

Schwycił ją znów za lewą rękę i wciągnął do łóżka, jednocześnie przewracając się na bok. Znalazła się teraz na wygrzonym przez niego miejscu, częściowo okryta jego piersią i udem.

- Aleksandrze! - szepnęła przerażona, chociaż zrobiło jej się przyjemnie w tym ciepłe.

Przykrył ją kołdrą po szyję, nie zważając na to, że wciąż miała na nogach sandały. Obejmował ją lewą ręką, jakby to było jak najbardziej naturalne, że leży w jego łóżku.

- Lepiej? - spytał, patrząc na nią wesoło.

- Ciepłej.

- To dobrze. - Spoważniał. - Dziękuję, że przyszałaś mi z pomocą wczoraj wieczorem.

- Martwię się o ciebie, kiedy to się dzieje. Co z tobą jest?

- Cokolwiek to było, już minęło.

Zsunął rękę w dół, z ona zamknęła oczy i wstrzymała oddech, gdy jego silne palce przytrzymały sutek, a później cała dłoń ujęła jej pierś. Każda komórka jej ciała pragnęła go. Ale tym razem Oliwia nie chciała poddać się pożądaniu,

dopóki nie wyjaśni, dlaczego on jest taki powściągliwy w okazywaniu swych uczuć do niej.

- Aleks - mamrotała, starając się odsunąć. - Musimy porozmawiać.

- Nie teraz, *ma petite* - szepnął - nie teraz.

- Tylko, Aleks...

- Nie myślmy o niczym innym i cieszymy się, że jesteśmy tu razem.

- Ale jak?

- Skoncentrujmy się na tu i teraz. Tylko ty. Tylko ja.

Sięgnął pod kołdrę, zdjął jej sandaalki i rzucił na podłogę.

Potem otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie, a ona przytuliła się, nie opierając się już, przynajmniej tak długo, jak czuła cudowne ciepło jego ciała. Przyłożyła chłodny policzek do jego piersi i objęła Aleksandra. Tak, jak myślała, miał skórę gorącą i gładką. Był wspaniale umięśniony, zwinny i silny jak wielki kot.

- Aleks - zaczęła - ja...

- Bez protestów, Oliwio. — Jego ciepły oddech nad uchem Oliwii spowodował dreszcze, przechodzące jej wzdłuż pleców. -Żadne „muszę”, żadne „powinam”. Tylko „chcę”. Co chcesz, żebym zrobił?

Odwróciła troszkę głowę i zauważyła, że ich usta są tylko kilka centymetrów od siebie. Patrząc na niego, była pewna, że jej oczy płoną tak jak jego.

- Powiedz, Oliwio, czego chcesz?

- Żebyś mnie pocałował.

- Załatwione, z przyjemnością.

Uniosła trochę głowę, żeby przyspieszyć spotkanie ich ust. Jego wargi przycisnęły jej usta, poczuła jego język. Oliwia jęknęła, ogarnięta pragnieniem przyjęcia Aleksandra, i przycisnęła jego twarz do swojej z całych sił. Jego pocałunek był coraz mocniejszy. Nigdy nie doznała jeszcze takiej namiętności ze strony żadnego mężczyzny. Całował jej powieki, policzki, czubek nosa, brodę, szyję, aż porzuciła mocne postanowienie, żeby pozostać niewzruszona. On jednak wstał, zdecydowanie za wcześnie.

- Dostyc? — spytał, z błyszczącymi oczyma.

- Tego bym nie powiedziała. - Popatrzyła na niego. - To już?

- To dopiero początek. - Uśmiechnął się łobuzersko. -

Ale teraz musisz spytać mnie, czego ja chcę.

Oliwię przeszył dreszcz emocji.

- Więc czego chcesz, Aleksandrze?

Jakby rozmyślając nad odpowiedzią, wędrował wzrokiem od jej czoła, poprzez nos, usta. Napięcie między nimi rosło do granic wytrzymałości. W końcu spojrzał jej w oczy.

- Chcę spróbować tych piersi, Oliwio. Twoich jedwabistych, kremowych piersi.

Po każdym słowie robił przerwę, obserwując, jak Oliwia coraz bardziej się rumieni.

- Skąd wiesz, że są kremowe? — zagadnęła, żeby pokryć zdenerwowanie.

- Tak sobie wyobraziłem. Pomyliłem się? - Uniósł jedną brew i uśmiechnął się. - Co?

- Możesz się sam o tym przekonać. - Opadła znów na poduszkę.

- Tylko, jeżeli to odkrycie sprawi ci przyjemność.

- Na pewno.

Z precyzją nie do wytrzymania Aleksander rozpinał jej bluzkę. Powoli, guzik po guziku. Oliwia oddychała coraz prędzej, a piersi nabrzmiewały od oczekiwania. Boyd nigdy się tak nie zachowywał. Nie mogła już wytrzymać i wciąż czekała, kiedy jego usta dotkną jej piersi.

Aleksander odgiął poły rozpiętej bluzeczki. Obejrzał koronkowy staniczek i pocałował jej sutki, dotykając językiem cieniutkiego materiału. Oliwia wygięła się do przodu, a on wykorzystał okazję, by rozpiąć stanik. Zsunął jej z ramion bluzkę, a później ramiączka, najpierw lewe, później prawe. Poczwała chłodne powietrze na ramionach i chciała się położyć, ale przytrzymał ją za łopatki. Przestała myśleć. Niech z nią robi, co chce, na pewno wszystko będzie cudowne.

- Miałem rację - mrucał cicho. - Jesteś kremowa, ciepła i gładka.

Zamknęła oczy z rozkoszy. Nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś tak ekscytującego. Całował jej sutki, ssał jak niemowlę, a w niej wybuchało pożądanie, ogarniające ją falami, wydawało się nie do wytrzymania. Jęczała, związała się, a wsunawszy palce w jego miękkie włosy, przyciskała do siebie jego twarz. Ugryzł ją leciutko, później mocniej, aż znieruchomiała i brakło jej tchu. Wszechświat skurczył się do maleńkiego świata jego ust i jej piersi.

Dyszac ciężko, Aleksander przygniótł ją swoim ciałem i miażdżył usta, jak zdziczały. Wydawało się, że łóżko wybuchnie wielkim płomieniem od ich gorącego pragnienia. Czwała jego biodra na swoich udach, brodę opartą o jej obojczyk. Wiedziała, czego chce Aleksander, i ona chciała tego samego. Obejmowała mocno rękami twarde wypukłości poniżej jego pleców, a później pomacała jeszcze dalej i zauważyła namacalny efekt jego pożądania, choć nie tak wielki, jak się spodziewała.

— *Mon Dieu!* — westchnął.

— Teraz moja kolej — dyszała, z trudem oddychając przygnieciona jego ciężarem, ale chciała tak pozostać na zawsze, żeby się z nią kochał namiętnie, powoli, godzinami. Znow objęła rękami jego plecy i poczuła, że zeszytniał.

Uniósł głowę i zobaczyła, że jego płonące przed chwilą oczy przesłania smutek. Co się stało?

— Oliwio, nie. Nie chciałem, żeby to zaszło tak daleko, zanim...

— Zanim co? — spytała, przeczuwając jego kolejną

ucieczkę. Doprowadził ją do tego, że już miała ulec, i znów ją odrzucił. Co z nim jest? A może z nią.

Nie chciała na niego patrzeć, żeby nie zobaczył, jak bardzo ją zranił. Musi udawać, że nic jej to nie obchodzi, niczego się nie spodziewała, że potrafi zdusić w sobie pożądanie w ciągu kilku sekund, tak jak on.

—Oliwio, jest coś, co musisz...

Nagle poranną ciszę przerwał ostry, metaliczny dźwięk. Aleksander zwinął się i usiadł, tymczasem hałas skończył się równie szybko, jak się zaczął.

—Co to było, do diabła? - chciał wiedzieć.

—Budzik Richa. Jest w sali balowej.

Oliwia odsunęła się od niego, częściowo z przerażenia, że zaraz pojawi się tu Rich, a nie chciała, żeby ją znalazł taką prawie nagą. Przede wszystkim jednak chciała uciec od dręczącej ją świadomości odtrącenia przez Aleksandra. Nie chciała słuchać jego wyjaśnień, wymówek ani patrzeć mu w oczy. Czowała się jak idiotka i dosyć miała jego zabawiania się, żeby sprawdzić, jak daleko dojdzie. Nigdzie nie dojdzie, tylko wyjdzie. Wyjdzie z tego pokoju tak prędko, że mu aż w oczach zawiruje.

Porwała z podłogi swój biustonosz, wepchnęła do kieszeni szortów, wrzuciła na siebie bluzkę i błyskawicznie ją zapinała, nie patrząc na Aleksandra. Już nigdy nie chce tego drania widzieć.

—Oliwio, to nie jest tak, jak myślisz...

—Muszę wyprawić Richa do szkoły - powiedziała.

—Oliwio.

Zignorowała go. Wsunęła na nogi sandały, złapała latarkę i wymaszerowała.

Gdy Oliwia wyszła z domu, Aleksander zwlókł się z łóżka. Ależ wszystko zagmatwał. Po co ją w ogóle całował? Ale który mężczyzna mógłby się oprzeć takiej pokusie? W końcu był człowiekiem. No, może nie zwyczajnym człowiekiem, ale jednak mężczyzną. Podeszedł do szafy i otworzył drzwi z wewnętrznym lustrem. Ściągając dzinsy, obejrzał swoje ciało i ten nieszczęsny członek, który jakimś cudem ożył, dotykając Oliwii, ale nie na tyle, żeby odpowiednio wyrazić jego uczucia.

Wybiegła z jego pokoju rozogniona, wściekła. Której kobiety nie zdenerwowałby jego brak reakcji. Kiedyś mógł wytrwać całą noc, dając rozkosz kolejnym swym kobietom, które szeptały mu do ucha, jakim jest nadzwyczajnym kochankiem. A teraz, kiedy chciał okazać miłość najważniejszej kobiecie w swym życiu, mógł się zdobyć tylko na taką połowiczną erekcję.

Jak jej to wytłumaczyć? Nie może powiedzieć prawdy, a wszystko inne zabrzmie równie bezsensownie. Poza tym, nie chce Oliwii okłamywać.

Przeklinając Aleksander zaczął się ubierać. Teraz naprawdę musi się trzymać od niej z daleka. Nie chciał jej więcej urazić.

Posępny jak chmura gradowa, zmusił się do zejścia do laboratorium. Pobrał próbkę krwi i tak, jak się spodziewał, nie miał ani jednej „nieśmiertelnej” płytki krwi. Kochanie się z Oliwią, a w każdym razie to, co udało się osiągnąć, spowodowało spadek liczby tych ciałek krwi do zera.

Aleksander zaznaczył wyniki na wykresie i siadł z powrotem na stołku. Tak jak przewidział, stan jego zdrowia związany był z Oliwią. Tym bardziej powinien jej unikać. Nie będzie to trudne zważywszy na to, jak ją zranił. Pewnie nigdy już się do niego nie odezwie.

Szósta wieczorem nadeszła dla Oliwii zbyt szybko. Ledwo zdążyła pobiec z ogrodu do domu, wykąpać się i przebrać, kiedy w drzwiach pojawił się Boyd z kwiatami dla niej i pudełkiem kart z mistrzami baseballa dla Richa. W drodze do restauracji Rich przeglądał karty, a Boyd próbował go zagadywać. Oliwia siedziała z tyłu zadowolona, że nie musi brać w tym udziału. Była zmęczona po zaledwie trzech godzinach spania i przybita z powodu porannej historii z Aleksandrem. Nie mogła przestać o nim myśleć. Wciąż wracała do sceny w sypialni i zastanawiała się, dlaczego Aleksander wycofał się. Nie potrafiła wyjaśnić tej jego nagłej zmiany od namiętnych pocałunków i uścisków do niemalże niechęci, jaką wyczuła tuż przed dzwonkiem budzika. Bała się, że lada moment wybuchnie płaczem, więc zacisnęła usta i skupiła wzrok na starych domach, jakie mijali. Wciąż jednak prześladowała ją widok twarzy Aleksandra.

- Dokąd jedziemy? - spytał w końcu Rich.
- Do restauracji, którą bardzo polecają.
- Mają tam hamburgery?
- Nie. - Boyd zaśmiał się. - Dziś nie będzie żadnych hamburgerów, Rich. Będziemy świętować. Szampan dla mamy i dla mnie i homar dla wszystkich.

- Nigdy nie jadłem homara.
- Będzie ci smakował. - Boyd klepnął syna w nogę.

Oliwia patrzyła w okno, zbrzydzone sztuczną wesołością Boyda.

- A co świętujemy? — spytał Rich.
- To, że jesteśmy razem, Rich. Po prostu razem, my troje. Oliwia zmarszczyła się. Nigdy nie będzie nic takiego, jak „my troje”. Musi to wreszcie Boydowi uprzytomnić, kiedy tylko zostaną sami.

Przez całą kolację bała się, że zaśnie i padnie głową w talerz. Docierały do niej jednak podteksty Boyda, kiedy opowiadał Puchowi o swych młodzięczych latach w Seattle i o wszystkim, co mogliby robić razem, gdyby Rich mieszkał na północnym wschodzie.

- Chwileczkę - przerwała Oliwia. - Nie planujemy powrotu do Seattle. Jesienią mam zamiar iść do college'u w Charleston, a Rich ma tu już kolegów.

- Może mieć nowych w Seattle.

Oliwia spojrzała na niego, ale Boyd na szczęście przestał o tym mówić.

Nim skończyli posiłek, Boyd zamilkł, wyczerpawszy wszystkie tematy, jakie wymyślił do jednostronnej dyskusji z synem. Chciał wciągnąć do rozmowy Oliwię, ale odpowiadała monosylabami, a w końcu poprosiła, żeby ją odwiózł do domu. Czuła się zbyt zmęczona, żeby wysiedzieć dłużej, chociaż była dopiero dziewiąta.

W milczeniu odwiózł ich z powrotem, wyraźnie za szybko jak na wąskie, kręte uliczki. Parę razy rzuciło Oliwię o drzwi, co jej przypomniało, że zawsze jeździł nieostrożnie.

Przed bramą Oliwia z Richem wyszli z samochodu, a Boyd opuścił szybę i zawołał:

- Muszę na kilka dni wrócić do Seattle, ale przyjadę na weekend. Możemy wtedy porozmawiać.

Oliwia zatrzymała się i lekko obróciła.

- O czym?

- O Richu. O tobie. Oliwia

objęła syna za ramię.

- Nie ma o czym rozmawiać.

- Ależ jest. Mogę zaoferować Richowi znacznie więcej niż ty. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Oliwia zaczerwieniła się ze złości na Boyda i jego niedelikatność, żeby robić takie uwagi w obecności Richa. Czuła napięcie syna. Po takich uwagach zaczęła mieć wątpliwości. Diabli nadali tego Boyda.

- Chodź, Rich - powiedziała.

- Nie wyobrażaj sobie, że go będziesz trzymać tylko dla siebie — zawołał za nimi Boyd, pogarszając jeszcze sytuację. — Mam do niego prawo jako jego ojciec i ty doskonale o tym wiesz!

—O co mu chodzi? - Rich spojrzał na matkę, wyraźnie zmartwiony.

—O prawo do opieki. — Oliwia odwróciła się w stronę syna. - Ale nie przejmuj się tym, Rich.

—Oliwia! — wrzasnął Boyd, wyraźnie obrażony, że poszła sobie, nie zwracając na niego uwagi.

Oliwia bez słowa otworzyła bramę, przeszli przez nią, a później ją zamknęła, nie oglądając się w stronę samochodu Boyda.

Rich szedł w milczeniu obok niej. Zauważyła jednak, że kiedy przechodzili obok rezydencji Chaubere'a po żwirowanej ścieżce, zerka w okna. Zatrzymał się, zanim doszli do powozowni.

—Myślisz, że pan Chaubere jest w domu? — spytał. — W laboratorium pali się światło.

—Może, ale już jest późno, synku.

—Nie puszczaliśmy helikoptera po południu. Uważasz, że zapomniał?

Popatrzyła na dom z poczuciem winy: to ona była przyczyną nieobecności Aleksandra.

—Pewnie coś mu wypadło.

—Mógł mi chociaż powiedzieć. — Chłopiec był niepokieszony. — Czekałem na niego godzinę.

—Rich. - Oliwia znów objęła go ramieniem. - Wiem, że bardzo lubisz pana Chaubere'a, ale on ma swoje własne życie, pamiętaj o tym. Nie przywiązuj się do niego za bardzo, żebyś się później nie rozczarował.

Weszła do sieni zdając sobie sprawę, że mówi bardziej do siebie niż do syna.

Pozostała część tygodnia wlokła się niemożliwie. Minuty wydawały się dniami, dni — miesiącami. Pracowała jak szalona, żeby zagłuszyć serce. Dopingowana uczuciem gniewu i pogardy, nie niepokojona obecnością Boyda ani Aleksandra, poczyniła olbrzymie postępy. Oczyszczyła zarośnięty stawek, usunęła z niego szlam, który rozsypała z tyłu ogrodu, i sprawdziła, czy nie ma gdzieś przecieków. Napełniła go ponownie wodą i ogród z oczkiem czystej wody nabrał zupełnie innego wyglądu.

Kilka razy wieczorami, gdy wracała do mieszkania, widziała stojącego gdzieś w oknie lub idącego z laboratorium Aleksandra, ale unikała jego wzroku. Dom otaczała cisza, jakby byli odgradzeni murem, którego ona nie zamierzała przebijać. W chwilach słabości zastanawiała się jednak, kto bardziej cierpi z tego powodu — ona czy Aleksander.

Na piątek zamówiła brygadę do przeniesienia pomnika z tyłu ogrodu na front, w pobliże oczka wodnego. Zabrało to większą część popołudnia. Oliwia wstrzymała oddech, gdy dokładnie owiniętą marmurową statuetkę uniesiono w górę. Nigdy nie wybaczyłaby sobie, gdyby coś jej się stało. Tak jak waza z epoki dynastii Ming, była nie do odkupienia. Oliwia kierowała każdym ruchem i krokiem wynajętej ekipy w drodze na wybrane przez siebie miejsce nad wodą, na tle muru, udającego stary. Robotnicy chcieli odwinąć Wenus, ale Oliwia zdecydowała, że zrobi to sama.

Słońce zachodziło już za domem. Popatrzyła na wodę i pomnik i wszystkie kłopoty wydały się blednąc.

- Masz nowe miejsce, stara - powiedziała do statuetki, zabierając się do odwijania taśm i bandaży, którymi była zabezpieczona. — Chyba spodoba ci się ten widok.

—Niewątpliwie — odezwał się za nią męski głos.

Oliwia odwróciła się na ten dźwięk i zobaczyła stojącego w cieniu rododendronów Aleksandra.

Rozdział 18

Przestraszyłeś mnie! - zachłysnęła się Oliwia.

- *Pardon.* - Aleksander skłonił się lekko. - Nie chciałem.

Z mocnym postanowieniem nie zwracania uwagi na obecność Aleksandra Oliwia zabrała się do odklejania taśmy. Usłyszała, że stanął za nią.

- Oliwio, nie odwracaj się ode mnie.

- Dlaczego nie! - odpowiedziała ostro, nie patrząc na niego. — Przecież to ty odwracasz się ode mnie ze zdumiewającą łatwością.

- Dlaczego zakładasz, że przychodzi mi to tak lekko?

- Bo robisz to za każdym razem, kiedy się... kiedy jesteśmy — przerwała, szukając odpowiedniego określenia — no, wiesz, o czym mówię!

Cały czas rozwijała posąg, starając się mieć zajęte ręce i spokojną głowę. Czowała za sobą obecność Aleksandra.

- Miałem nadzieję - powiedział w końcu - że rozumiesz, że moje odsuwanie się od ciebie w takich chwilach wcale nie było łatwe.

Czekał na jej reakcję, ale ona milczała i dalej zrywała taśmę z posągu.

— Oliwio, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

— A niby po co? — Słysząc było w jej głosie rozczarowanie i ból, których już nie ukrywała. — Co my mamy sobie do powiedzenia?

— Mnóstwo. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Oliwia zerwała kłębek waty izolacyjnej z figury Wenus, oślepią łzami, gromadzącymi się w jej oczach, po czym rzuciła go na kupkę śmieci. Nie trafiła, co zdenerwowało ją jeszcze bardziej.

— To ty mnie wciągnąłeś do swego łóżka — oświadczyła. —

Ja ci do niego nie wskoczyłam.

- Poniosło mnie. Wiesz o tym, że tak na mnie działasz?

- Czyżby?

Aleksander nachylił się i dorzucił kłaczek izolacji do reszty zdartych opakowań, po czym wyprostował się.

— Ludzie tacy jak ty i ja nie muszą opierać swej przyjaźni na działalności sypialnianej.

- Wszystko pięknie i ładnie, jeśli chcesz tylko przyjaźni.

Oliwia obróciła się odrobinę w jego stronę. — Ale o mało mnie nie nabrałeś. A ja nie jestem osobą, która lubi takie gierki.

— Ja też nie!

- Więc przestań się mną bawić! - Zaczęła zdzierać obiema rękami resztę opakowania ze statuy i ukazała się wreszcie spokojna twarz Wenus. Oliwia, patrząc na te niczym nie zmaczone rysy, czuła się jak idiotka, dająca się ponieść emocjom.

- To nie są zabawy, Oliwio. Powiedziałem ci kiedyś, że nie jestem taki jak inni mężczyźni, których znasz. I to prawda.

- Co ty opowiadasz?

— Mówię, że to, czego możesz ode mnie oczekiwać, to tylko przyjaźń.

Zwinęła w kulkę długi kawałek taśmy. Ciekawa była, z jakimi problemami zdrowotnymi boryka się Aleksander, ale nie była pewna, czy chce o nich mówić. Nie zadała mu więc żadnego pytania i nadal miętosiła w rękach kulkę z taśmy.

- Oliwio?

Uniosła głowę.

- Czy perspektywa przyjaźni ze mną jest ci niemiła?

Przypatrywała się badawczo jego zmartwionej twarzy.

Sama

tylko przyjaźń z Aleksandrem będzie dla niej udręką, było to jasne jak słońce. Jak mogła mu powiedzieć, że chciała od niego znacznie więcej, że może nie będzie w stanie zdusić w sobie miłości do niego. Zresztą, co dobrego wynika z takich ostrych słów? Chciał od niej tylko tyle, więc może to przyjąć albo odrzucić. Decyzja należy do niej.

- Dlaczego ma być niemiła? - powiedziała w końcu, gdy serce jej ogarnęła rezygnacja. - I tak niedługo wyjeżdżasz, prawda?

- Za kilka tygodni.

Skinęła głową pewna, że będzie w stanie udawać przyjaźń przez kilka tygodni.

- Jeśli w dalszym ciągu masz zamiar pójść na bal Towarzystwa Ogrodniczego - dodał - będę zaszczycony, jeśli mógłbym ci towarzyszyć.

Ta propozycja szczerze ją zdumiała.

- Naprawdę?

- Tak. A może przedtem kolacja?

Zastanowiła się, jak by to było, gdyby publicznie pokazała się z Aleksandrem. Ludzie w mieście byliby zaszokowani. Te wszystkie szeptki i spojrzenia wokół. Nie będzie miała chwili spokoju, choć z drugiej strony samotność z Aleksandrem Chaubere'em stanowiła niebezpieczeństwo, którego starała się unikać.

- Dobrze - powiedziała w końcu, uważając, że może sobie pozwolić na spędzenie wieczoru z nim w tak dużym gronie. — To byłoby miłe.

- Świetnie. Przyjdę po ciebie o piątej.

Nazajutrz Oliwia pracowała do południa, a następnie wykąpała się i zaciągnęła Richa do miasta. Chciała sobie kupić elegancką sukienkę. Nie miała nic wieczorowego, jej czarna wizytowa była zbyt skromna na taką okazję. Rich

protestował, bo nie znosił zakupów, ale bała się go zostawić samego, ze względu na ostatnią wizytę Boyda. Obiecała małemu, że załatwi sprawę szybko, a później pójść na obiad, co zdecydowanie poprawiło mu humor. Przebiegli kilka sklepów i wybrali sukienkę z wyprzedaży, z ciemnoniebieskiego jedwabiu, z szarfą na obniżonej talii. Nawet Rich spojrzął z zainteresowaniem, gdy ją przymierzała. Szybko przebiegła w myślach swoją garderobę i zdecydowała, że stroju mogą dopełnić jej granatowe czółenka oraz klipsy i bransoletka z cyrkoniami. Dokupiła jeszcze granatowe jedwabne pończochy i udali się na obiad do Harry'ego.

Po południu zawiozła Richa do Williego Lee, zostawiając chłopcom na wieczór dwa filmy na wideo i coś do przegryzania wieczorem. Wróciła do domu i około czwartej wyciągnęła się w wannie. Przymknęła oczy, starając się rozluźnić, ale jej myśli wciąż absorbował Aleksander, pochylający się nad nią i całujący ją. Zawsze będzie to wspominać.

Aleksander wyszedł spod natrysku przy laboratorium, jedynym miejscu z bieżącą wodą w całym domu. Wytarł się do sucha, odrzucił z czoła gęstą czuprynę i okręcił biodra ręcznikiem. W tej chwili usłyszał, że otwierają się drzwi. Uniósł głowę ze zdumieniem. Wątpił, żeby Oliwia wpadła tak bez zapowiedzi, a wiedział, że Richa nie ma już w domu. Na szczęście był to Gilbert.

— *Bonjour*, Gilbert! — zawołał Aleksander uśmiechnięty, zbierając ubrania.

— Proszę, jacy jesteśmy szczęśliwi — odparł du Berry.

Ubrany był w granatowe spodnie i jasnoniebieską koszulę,

a na rękę miał drogą złotą bransoletę. - Co się stało z tym udręczonym Aleksandrem, którego tak dobrze poznałem i pokochałem?

— Zmienia się. Coś ci pokażę. - Przytrzymał ręcznik i po maszerował do mikroskopu. Rzucił ubrania na stół i schwycił wykres, na którym nanosił swoje pomiary krwi z kilku ostatnich miesięcy. - Popatrz na to.

Du Berry pochylił się nad papierem i zagryzł wargi. Po chwili zwrócił się do Aleksandra.

— Jestem do niczego, jeśli idzie o takie znaczki, *mon ami*. Musisz mi wyjaśnić, co one oznaczają.

— Rejestrowałem liczbę ciałek „nieśmiertelnych” w mojej krwi. Widzisz to? - Wskazał na fragment krzywej z jesieni, krótko po wypiciu pierwszej porcji eliksiru. - Jesienią w mojej krwi było pełno tych ciałek „nieśmiertelnych”. Dlatego na wykresie linia znajduje się tu u góry.

— Aha. - Du Berry pokiwał głową.

— Zauważyłeś, że ta linia właściwie się nie zmienia aż do dziesiątego lutego, kiedy zaczyna opadać?

— Co się zdarzyło dziesiątego lutego?

— Madame Travanelle pojawiła się na rozmowę w sprawie pracy.

Wzrok Gilberta powędrował na Aleksandra i znów na wykres. Wymanikiurowanym palcem przejechał po rysunku i wskazał następną datę.

—A tutaj, osiemnastego lutego, co się wydarzyło?

Aleksander zerknął na wykres, na którym główna linia nagle

opadała w dół. Wrócił myślami do osiemnastego lutego. Był to piątek, dzień, w którym Rich wrócił pobity ze szkoły. Przypomniawszy sobie dalsze wydarzenia tego dnia: dyskusję z Richem, kłótnię z Oliwią i to, co sobie powiedzieli wieczorem w ogrodzie. Wtedy po raz pierwszy ją pocałował.

—Spędziłem większość dnia z Oliwią i jej synem - wyjaśnił.

— A popatrz na dziewiętnastego lutego — ciągnął du Berry.- Kolejny punkt zwrotny.

Aleksander przypomniał sobie sobotę. Przyjechał wtedy Boyd, a kiedy wyjechał, on pocieszał Oliwię, wziął ją w ramiona i znów pocałował.

— Od przyjazdu Oliwii do Charleston moje wyniki ciągle się poprawiają. Popatrz, Gilbercie, na rezultat wczorajszy i dzisiejszy.

— Całkiem zniknęły? - Du Berry uniósł pytająco brwi i jeszcze raz przebiegł wzrokiem wykresy. - To prawda?

— Tak.

— Ale — du Berry upuścił papier na stół — co to oznacza?

— Że znalazłem antidotum na eliksir z lilii tak, jak to sobie teoretycznie wykombinowałem. Jest jedno ale.

— A mianowicie?

— Ten sukces związany jest z Oliwią Travanelle.

— Na czym to polega?

— Nie jestem pewien. Kiedy znajduję się w jej pobliżu, w moim ciele zachodzi jakaś reakcja chemiczna. To reakcja plus codzienna dawka Wiecznej Lilii, praktycznie wyparły z mojego organizmu ciała „nieśmiertelne”.

— Więc stajesz się śmiertelny?

— Nie jestem pewien. Ale byłem głodny, du Berry!

— I jadłeś?

— Tak. Niestety, zwróciłem. Ale od tego czasu przez cały tydzień jem po trochu i nie choruję.

— A więc! - Du Berry uważnie przyglądał się przyjacielowi, jakby szukając oznak zachodzących w nim zmian. — To wszystko?

— Kilka dni temu miałem częściową erekcję.

— Co? — Du Berry otworzył usta z wrażenia. -

Incroyable!

— Poważnie!

Przez chwilę uśmiechali się do siebie.

— A poza tym, jak się czujesz?

— To jest właśnie ciekawe. Czasami - wspaniale, ale

czasami, du Berry, jestem pewien, że umieram.

Wziął swoje ubranie i skierował się na schody z tyłu laboratorium, prowadzące do spiżarni na parterze. Du Berry podążył za nim.

— Myślisz, że to, jak się czujesz, związane jest z twoją piękną ogrodniczką?

— Bez wątpienia. Jej obecność przyspiesza działanie lilii, może nadmiernie. Miałem kilka okropnych ataków, Gilbercie.

— Czy takie ataki nie występowały, dopóki ona nie pojawiła się w twoim życiu?

— Nigdy nie były tak ostre.

— Więc ta dama cię uśmierca?

— Jest to możliwe.

— Ale przecież chciałeś umrzeć.

Aleksander zatrzymał się na schodach, przypatrując się przyjacielowi.

- Tak. Chciałem tego, w każdym razie jesienią. Jednak teraz, kiedy poznałem Oliwię, marzę o życiu z nią, chociaż przez kilka lat. Ale zdrowie tak mi się pogarsza, że wątpie w przeżycie dwóch tygodni.

Wbiegł szybko na schody, jakby chciał zostawić za sobą żal i rozpacz, uczucia, które dotąd były mu zupełnie obce. Du Berry szedł za Aleksandrem do jego sypialni.

- I co masz zamiar zrobić?

- Realizować swój plan i wyjechać do Ameryki Południowej.

- A jeśli się okaże, że nie możesz bez niej żyć?

- Fizycznie? - Aleksander otworzył drzwi do sypialni.

- To umrę i będzie spokój.

- A uczuciowo? - dopytywał się du Berry. — Co ma twoje serce do powiedzenia?

- Nie mogę tu dogadzać swojemu sercu.

- Hmm. - Głos Gilberta ucichł, gdy siadał w fotelu.

Aleksander tymczasem szukał w szafie czegoś odpowiednie go do ubrania.

- A dokąd się wybierasz? - spytał du Berry, kładąc prawą nogę na lewą i pilnując, żeby mu się przy okazji nie zagięły kanty przy spodniach.

- Na doroczny bal miejscowego klubu.

- *Vraiment?* A dlaczego ja nie zostałem zaproszony?

- Widocznie nie jesteś członkiem Towarzystwa Ogrodniczego w Charleston.

- A ty jesteś?

- Nie - odpowiedział Aleksander, wyciągając koszulę w kolorze *ecru* - ale towarzyszę ważnemu członkowi tej ligi.

- W osobie naszej pastereczki?

- Ma na imię Oliwia. - Aleksander zapiął koszulę.

Obrażasz ją takim traktowaniem.

- Ach, te dzisiejsze kobiety. - Du Berry potrząsnął głową - Takie wrażliwe na najmniejsze głupstwo.

- A może po prostu przestały udawać, że nasze żarty je bawią.

- Nigdy nie miałem zamiaru być okrutny, chciałem tylko pożartować.

- Stwierdziłem, że niektóre kobiety mają dość doszukiwania się różnic między okrucieństwem a kpina.

Wyjął z szufladki swoje ulubione spinki do mankietów, szafiry osadzone w złocie, które zdobył zastraszywszy groźnego brytyjskiego admirała podczas amerykańskiej wojny o niepodległość.

- Dostyc o kobietach. Co zamierzasz włożyć? - Du Berry wstał z krzesła.

- Kremową marynarkę smokingową — odpowiedział Aleksander, zdejmując ją z wieszaka.

- Może być. Jakie spodnie? Krawat?

Pokazał Gilbertowi część garderoby i zobaczył grymas na jego twarzy.

- Nie ten krawat, *certainement*. Jest niemodny. A te spodnie! Nie pasuje kolor.

Podszedł do szafy, a Aleksander wycofał się wiedząc, że du Berry nie oprze się pokusie wybrania odpowiedniego stroju. Bóg świadkiem, że przyda mu się rada przyjaciela. Wkładał skarpetki, a Gilbert przeglądał jego garderobę, kręcąc głową i ciężko wzdychając.

Pół godziny później Aleksander wsunął do kieszeni portfel, wziął kluczyki od samochodu i zszedł po schodach zadowolony, że wyglądał na tyle dobrze, na ile pozwalała mu jego skromna garderoba. Nigdy nie był wzorem elegancji, nawet w okresie, kiedy prowadził bujne życie towarzyskie i posiadał liczne rezydencje w Europie. Du Berry uważał, że przy tak mizernie zaopatrzonej szafie nie da się nic wymyślić, a w końcu westchnął z zazdrością, że niektórzy mężczyźni wyglądają atrakcyjnie we wszystkim, co na siebie włożą.

Aleksander zszedł do laboratorium do telefonu i nakręcił numer powozowni.

- Halo? — rozległ się w słuchawce uwodzicielsko brzmiący głos.

Aleksander przytknął oczy, żeby nacieszyć się tym dźwiękiem, nim się odezwał.

- Oliwio, tu Aleksander.

- Och, cześć! - Jej ton stał się lżejszy.

- Czy jesteś gotowa? - spytał, zastanawiając się, jak może wyglądać w czymś, co nie jest codziennym letnim ubraniem.

- Tak. Czy coś się stało?

- Absolutnie nic. Wpadł tylko mój przyjaciel, Gilbert. Pamiętasz go, prawda? - Usłyszał, jak bierze głęboki oddech, i uśmiechnął się, wyobrażając sobie grymas na jej ślicznej buzi.

- Oczywiście.
- Chcemy wypić po kropelce koniaku na balkonie. Może byś do nas dołączyła?
- Jeśli nie będę przeszkadzać.
- A skąd. Przyjdź do laboratorium. Spotkamy się przed domem.
- Dobrze. Cześć.
- Do widzenia.

Wiedział, że powinien walczyć z uczuciem do Oliwii, ale nie mógł się już doczekać tych wspólnie spędzonych z nią godzin, jakie zaplanowali. Na samą myśl o niej ogarniała go fala pożądania, co dawało niewielki, ale wyraźny efekt na zewnątrz. Będzie musiał skupić się na czym innym, żeby wytrwać przez cały wieczór, nie wprawiając ich obojga w zakłopotanie. Czuł się znów jak uczeń, co go wcale nie zmartwiło. Dziś nie będzie się przejmował ani wyjazdem z Charleston, ani rozstaniem z Oliwią.

Zamknął drzwi od laboratorium i wyszedł po schodkach na tyły ogrodu, gdzie już nie stała figura Wenus. Wydał mu się zbyt pusty w tym miejscu, ale wkrótce wyjedzie i nie będzie mu to przeszkadzać. Niedługo Oliwia zakończy urządzenie całego terenu na nowo i wartość jego domu wzrośnie, choć nie robiło mu to specjalnej różnicy. Zauważył jakiś ruch koło oleandrów i po chwili wysunęła się z nich Oliwia. Stanął, z przyjemnością obserwując, z jakim wdziękiem chodzi w pantoflach na wysokich obcasach, które podkreślają doskonałą linię jej kostek i łydek. Ciemna sukienka spowijała jej delikatne wypukłości, a bransoletka zaznaczyła delikatny przegub jej dłoni. W zamierającym blasku popołudnia rozpuszczone, ciemnorude włosy wydawały się płonąć.

— Oliwio — powiedział, unosząc wolno jej rękę do ust. — Wyglądasz *magnifique!*
— Dziękuję.

Objęła go wzrokiem, a następnie skupiła się na jego ustach. Jej wargi rozchyliły się, ukazując koniuszki zębów, gdy czekała, aż ucałuje jej palce. Zrobił to, walcząc ze sobą, żeby nie wziąć jej w ramiona. Wiedział, że dzisiejszy wieczór będzie wyjątkowy, jeśli tylko nie straci głowy.

— Chodź, zaprowadzę cię na taras. — Delikatnie ujął ją za łokieć. Palila go dłoń w miejscu zetknięcia się z jej skórą.

Miał nadzieję, że Gilbert skończył szybkie porządkowanie dawno nie używanego tarasu, żeby prezentował się w miarę przyzwoicie.

Nie odzywali się do siebie, idąc po schodach. Po raz pierwszy w swym długim życiu w Charleston, Aleksander wyobraził sobie, że w tym domu mogłaby mieszkać kobieta, i uznał, że Oliwia Travanelle byłaby tu najwspanialszą gospodynią. Odrzucił zaraz te mrzonki. Nigdy nie było i nigdy nie będzie żadnej pani domu w rezydencji Chaubere'a.

— Tędy. - Poprowadził ją na następne schody, a później na front domu i na taras.

Na ich widok du Berry odwrócił się i twarz rozjaśnił mu uśmiech.

— Och! - wykrzyknął. - Madame Travanelle!

Enchante!

— *Monsieur*— odpowiedziała.

— Cudowna sukienka - zauważył, składając ręce pod brodę. - Skromna i wytworna.

— Dziękuję.

Aleksander przeszedł do małego stolika, na którym du Berry postawił butelkę koniaku i trzy kieliszki. Nalał każdemu porcję bursztynowego płynu i podał kieliszek Oliwii.

- Dziękuję - powiedziała, spoglądając ciepło na Aleksandra.

Odwzajemnił uśmiech i wskazał na białe, kute krzesło, które Gilbert zdążył wytrzeć. W półmroku nie było widać żadnych zniszczeń i ogólnego zaniedbania, z czego Aleksander bardzo był zadowolony. Dbał o rzeczy, które miały dla niego znaczenie: samochód czy sprzęt laboratoryjny. Jednak aż do tego momentu dom stanowił tylko miejsce do spania. Teraz zobaczył go jako schronienie dla Oliwii, miejsce do spotkania z przyjaciółmi i spędzenia miłego wieczoru, miejsce do wypełnienia światłem, a nie mrokiem. Podał kieliszek du Berry'emu i uniósł swój.

- Wznosimy toast - oświadczył mu przyjaciel. - Za cudowny ogród! *Voilà!*

Aleksander spojrzał w dół, na błyszczący prostokąt stawku, na pobłyskującą za nimi statwę, widoczną z domu, a częściowo i od ulicy, na piękno i spokój, jakie Oliwia wniosła nie tylko do jego ogrodu, ale i do serca.

- Za ogród — powtórzył.

- Za Charleston! - dodała z uśmiechem Oliwia. - Takie; urokliwe miasto.

Stuknęli się kieliszkami. Aleksander wiedział, że Charleston ma wiele uroku, ale odkrył go na nowo, patrząc oczyma Oliwii., Dzięki jej przyjaźni stał się bliższy światu, w którym żył, i ludziom. Być może ta kobieta przybliżyła do niego śmierć, ale na pewno wniosła życie i światło do jego ciemnego świata. Marzył, żeby jej powiedzieć, ile dla niego zrobiła.

Odwrócił wzrok od pięknej twarzy niczym z kości słoniowej i spojrzał na Gilberta. Widocznie nie zdołał przed nim ukryć swych uczuć, gdyż przyjaciel, patrząc na niego, powoli pokręcił głową, jakby chciał pouczyć Aleksandra, by dobrze strzegł własnych sekretów.

Rozdział 19

Oliwia oparła się wygodniej na krześle i patrzyła, jak Aleksander reguluje rachunek za kolację, podziwiając jego smukłą dłoń i zręczny podpis. Kolacja z Boydem w stosunku do tego wieczoru z Aleksandrem to jak porównanie popeliny z aksamitem. Boyd był sztywny i zasadniczy, z trudem znajdował tematy do rozmowy, szorstko odnosił się do kelnerów. Aleksander zachowywał się swobodnie, elegancko, a jego nienaganne maniery nie rzucały się w oczy. Był na miejscu wśród kryształów i lnianych obrusów francuskiej restauracji, w której spędzili ostatnie dwie i pół godziny.

Zamawiał potrawy po francusku i tak oczarował naburmuszonego kelnera, że ten uśmiechał się już do nich, gdy przyniósł zakąski. Gawędzili sympatycznie przez cały posiłek, poczynawszy od płatów kaczki, poprzez sałatę, miniaturowe warzywa, jagnięcinę z ryżem i butelkę doskonałego Pinot Gris. Oliwia była pewna, że większość wytrąbiła ona, sądząc po miłym ciepłku, rozchodzącym się w jej wnętrzu.

Dzięki dyskrecji obsługi restauracji rozwiały się jej obawy co do publicznego pojawienia się z Aleksandrem. Jakby wyczuwając rodzące się między Oliwią a Aleksandrem uczucie, mieli dla nich specjalne względy. Choć Aleksander niewiele jadł i nie mówił nic na temat swych uczuć, wiedziała z jego spojrzenia, że uważał ją za kobietę fascynującą, o nieodpartym uroku. Nigdy nie czuła się taka szczęśliwa i dowartościowana.

Aleksander nie musiał się nawet odzywać. Wystarczyło, że na nią popatrzył. Rozmawiali jednak o wszystkim — o Charleston, o Richu, o jej planach i nadziejach. On słuchał, od czasu do czasu kiwając głową i uśmiechając się, a później ona słuchała pilnie wszystkiego, o czym mówił. Stwierdziła, że tak właśnie powinno być między mężczyzną a kobietą, taka cudowna wymiana poglądów i opinii.

Może nie miała racji, uzależniając wszystko od objawów jego podniecenia. Przecież między kobietą a mężczyzną jest coś więcej niż tylko łóżko. Tak jej właśnie dawał do zrozumienia Aleksander. Może niesłusznie uznała jego zachowanie za odrzucenie jej. A jeśli był to problem zdrowotny, niezależny od niego?! Okazując, że jest zawiedziona, była zbyt okrutna dla niego.

Po kolacji Aleksander odprowadził ją do samochodu, podając ramię. Przysunawszy się bliźutko do siebie, szli przez parking w pogodnym milczeniu. Oliwia czuła ciepło po wypitym winie. Zainteresowanie, jakie okazał jej mężczyzna, i kojący lekki powiew, od którego szemrały małe palemki, rozmarzył ją.

—Dziękuję za uroczą kolację, Aleksandrze — powiedziała, gdy doszli do Spidera.

—Przyjemność była po mojej stronie — odpowiedział, - Całkowicie.

Nagle zatrzymał się koło krzewu rododendronu i wsunął rękę w jej włosy. Nachylił się i złożył na jej ustach gorący pocałunek. Wyprostował się.

-A więc ruszamy na bal? — spytał.

Dotknęła dłonią jego skroni, koniuszki palców wplotła w ciemne włosy. Zastanawiała się, czy on też chciałby, żeby byli zupełnie sami, tak jak ona tego pragnęła. Do diabła z przyjaźnią. Chciałaby zakończyć wieczór z Aleksandrem naga w jego ramionach, niezależnie od tego, co się z nimi później stanie lub nic stanie.

- Musimy? - spytała cichutko.

—Nie możemy zrobić zawodu pani Foster.

—Dobrze - mruknęła, po czym uniosła jedną brew, naśladując go. — Ale wieczór jest wczesny.

—Rzeczywiście.

Otworzył drzwiczki i pomógł jej wejść do samochodu.

Wtuliła się w skórzane siedzenie, czując się zupełnie jak w bajce.

Bal odbywał się w sali zgromadzeń Domu Giełdowego. Aleksander zaparkował i wprowadził Oliwię po schodach na górę, skąd dochodził szum głosów i dudnienie muzyki. Wszędzie ludzie przystawali, żeby się im przypatrzeć. Niektórzy wyraźnie gapili się na Aleksandra, ale większość uśmiechała się do nich. Czy to było takie widoczne, że go kocha? Chyba tak, sądząc po minach ludzi, którzy odprowadzali ich wzrokiem. Ale ona nie zauważała tego zainteresowania, przejęta tym, co Aleksander szeptał jej do ucha, i dotykiem jego silnego ramienia na swym policzku. Czuła się dumna, gdyż był bez wątpienia najprzystojniejszym mężczyzną tutaj i prawdopodobnie najsympatyczniejszym.

—Oliwia! - zawołał znajomy głos, przebijając tę cudowną, czarodziejską kulę, w której Oliwia tak doskonale się dzisiaj czuła.

Odwróciła się i zobaczyła zmierzającą w ich kierunku panią Foster.

—Oliwia! — powtórzyła pani Foster, rozpromieniona.

—I pan Chaubere! Tak się cieszę, że mogliście przyjść na nasze małe spotkanie.

Aleksander skłonił się lekko.

- Cudne dekoracje! - pochwaliła Oliwia, oglądając z ciekawością girlandy z siatki, w którą wplecione były żywe

kwiaty.

- Podobają ci się?
- Nigdy nie widziałam piękniejszych.

Zauważyła, że pani Foster mierzy wzrokiem Aleksandra.

- Zatańczy pan, panie Chaubere? - spytała starsza pani przechyliwszy głowę.

Zaczął protestować, ale Oliwia wysunęła rękę spod jego ramienia pewna, że jeden taniec z tajemniczym Aleksandrem Chaubere'em wynagrodzi Eugenii Foster długie lata nie zaspokojonej ciekawości.

- Dalej, Aleksandrze - namawiała go. - Ja teraz pójdę się odświeżyć.

Odeszła, nie czekając na odpowiedź, i odwróciła się z daleka tylko na moment. Zobaczyła uśmiech oczekiwania na twarzy pani Foster. Oliwia przecisnęła się przez wirujący tłum do holu. Sądziła, że dojdzie do damskiej toalety, ale hol łączył się z innym korytarzem. Skręciła w prawo i znalazła się w sali konferencyjnej z długim stołem i niezliczoną ilością krzeseł. Chciała się wycofać, kiedy wzrok jej padł na czyjąś postać, ledwie widoczną w wąskiej wiązce światła, dochodzącego z korytarza. Człowiek pod ścianą musiał na czymś stać, gdyż był za wysoki jak na normalnego mężczyznę.

Choć serce podchodziło jej do gardła z przerażenia, macała ręką po ścianie, żeby znaleźć wyłącznik. Kiedy poczuła go pod palcami, gotowa była do ucieczki, gdy rozbłyśnie światło. Przycisnęła wyłącznik i oczom jej ukazał się naturalnej wielkości portret żeglarza z XVIII wieku, sądząc po jego stroju i statku w tle.

Rada była, że nie podniosła krzyku, bo pół Charleston zbiegłoby się na ratunek i zrobiłaby z siebie idiotkę. Zaśmiała się, podchodząc bliżej, żeby przyjrzeć się twarzy na portrecie. Nagle śmiech zamarł jej na ustach.

Patrzyła na portret przedstawiający Aleksandra Chaubere'a. Stanęła blisko. Mężczyzna na obrazie ubrany był w skórzana bryczesy, rdzawy surdut ozdobiony olbrzymi mankietami i złotymi guzikami. Na aksamitną kamizelkę spadała kaskada koronek. Pod ręką trzymał czarny trójgraniasty kapelusz. Przy smukłych biodrach miał przewieszony rapier, za szarfę w pasie zatknięty pistolet, a z łańcuszka przy pasie zwisał zegarek. Był identyczny jak zegarek, który Aleksander pokazywał jej i Richowi kilka dni temu. Mężczyzna na portrecie wyglądał zupełnie tak samo jak Aleksander poza tym, że miał włosy związane z tyłu czarną wstążką. Jediną różnicę stanowiło czarne znamię na szyi, tuż nad białym kołnierzykiem. Aleksander miał rozpuszczone włosy, więc nie widać było szyi z boku.

W tle widać było szkuner w pełnym ożaglowaniu z banderą, z napisem: *Bon Aventure*. Czy nie tak nazywał się jeden z modeli zbudowanych przez Aleksandra?

Nachyliła się nad grubą, złoconą ramą, żeby przeczytać napis na mosiężnej tabliczce.

Kpt. Aleksander Chaubere, 1795- Charleston, Południowa Karolina.

Usiłowała znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie. Czy Aleksander Chaubere z portretu jest kolejnym imiennikiem jej pracodawcy? Czy każdy mężczyzna w rodzinie nosi imię Aleksander? Ilu ich było?

Tyle było związanych z nim spraw, których nie potrafiła wyjaśnić: jego jedzenie, dziwna choroba, nie używana kuchnia, zamięłowanie do godzin nocnych, wytworne maniere i starodawne wyrażenia, a także nie zmieniony od lat dom i niesprawność seksualna.

Słowa pani Foster wracały jak natrętny, niepokojący refren: „Czy wierzysz, że istnieje coś takiego jak wampiry, Oliwio? Nie mówię, że on jest, nie mówię, że nie jest. Po prostu nie potrafię sobie wytłumaczyć tego, co się tam dzieje”.

Wyszła z pokoju, zgasiwszy światło. Znalazła damską toaletę. Poprawiła szminką usta i wróciła na salę balową. Obiecała sobie być czujna. Przetęczała kilka tańców z jakimś starszym panem, porozmawiała z paniami o przewadze róż nad daliami i odpowiadała na niezliczone pytania dotyczące Aleksandra Chaubere'a. Nim się zorientowała, minęły dwie godziny. Co jakiś czas zerknęła na stojącego z boku Aleksandra. Czasem rozmawiał z członkami Towarzystwa, a czasami patrzył na nią poważnym wzrokiem. Wiedziała, że nie może go unikać cały wieczór, więc w końcu przeszła przez salę i znalazła swego przystojnego partnera stojącego przy wazie z ponczem. Natychmiast zauważył, że zaszła w niej jakaś zmiana.

- Czy coś się stało, Oliwio? - spytał, chwytając ją ręką za łokieć.

Udała, że chce sięgnąć po napój, żeby uwolnić się od jego uchwytu.

- Musimy porozmawiać — odpowiedziała, unosząc szklaną filiżankę.

- O czym?

- O tobie.

- O mnie?

- Tak. Mam parę pytań. Na pewno potrafisz na nie sensownie odpowiedzieć, ale muszę ci je zadać.

- Hej, hej, Oliwio! - zawołała pani Foster, przepychając się przez tłum. - Czas na atrakcje.

- Atrakcje? - spytała Oliwia, myślami będąc wciąż przy swoim odkryciu. Poczowała, jak pani Foster dotyka jej ramienia.

- Zaprezentowanie twojej osoby! I oficjalne przyznanie ci stypendium na zimowy trymestr.

Oliwia zdumiona patrzyła na Aleksandra. Wskazał głową w kierunku estrady, gdzie grała orkiestra.

- Niedługo pogadamy.

- Nie uciekaj nigdzie. - Starła się mówić swobodnie, choć nie było jej lekko.
- Nie martw się. Nie odejdę.
- Och, panie Chaubere, chcemy pana też przedstawić i poprosić, żeby pan powiedział kilka słów.
- Kilka słów? O czym?
- O pańskim ogrodzie. Wszyscy o nim mówią. Miasto chciałoby go umieścić na liście zabytków do zwiedzania.
- Nie, dziękuję. — Ukłonił się lekko. — Nie bardzo mi to odpowiada.
- Ale to zaszczyt! — Panią Foster zmartwiła jego zdecydowana odmowa. — I niech pan pomyśli, jaka to reklama dla Oliwii, gdy wszyscy zobaczą jej dzieło.
- Bohaterka wieczoru odwróciła wzrok, nie chcąc prosić Aleksandra o żadną przysługę.
- To doskonała dla niej reklama — powtórzyła Eugenia Foster. - Nie uważa pan?
- Cóż — odpowiedział - wezmę to pod uwagę ze względu na Oliwię.
- Cudownie! - pisnęła pani Foster. - Więc chodźcie ze mną, czekają na nas.

Gdy prezes Towarzystwa Ogrodniczego w Charleston wygłaszał mowę, Oliwia stała na estradzie obok Aleksandra. Zastanawiała się, ile osób widziało tamten obraz i czy ktoś łączył tamtego Chaubere'a ze stojącym przed nimi. Jednak morze twarzy wyrażało sympatię i zainteresowanie, a nie podejrzewania, i prezentacji towarzyszyły oklaski.

Kiedy Oliwia i Aleksander zeszli z estrady, otoczył ich tłum. Trudno było powiedzieć, czy to zainteresowanie go bawiło, czy tylko je uprzejmie znosił. Wszyscy uznali ich za parę i zapraszali razem na kolacje do najlepszych domów w Charleston.

Po godzinie rozmów poczuła, że Aleksander łapie ją za rękę. Jego palce niemal ją oparzyły, spojrzała na niego przerażona i zobaczyła, że nagle poblądł, oczy mu się zaszklily, a usta zrobiły całkiem białe.

- Źle się czujesz? - spytała cicho, żeby nikt nie usłyszał.
- Muszę wyjść. Zaraz.

Na jego skroni wystąpiły krople potu. W sali było gorąco, ale nie aż tak. Czy znowu dopadła go tajemnicza gorączka? Czy za chwilę runie na parkiet? Musi go natychmiast stąd wydostać, bo z pewnością nie chciałby, żeby ci wszyscy ludzie byli świadkami takiej sceny.

Oliwia złapała swój dyplom i torebkę ze stolika i objęła go ramieniem.

- Zaprowadzę cię do samochodu.
- Pani Foster oderwała się od grupki gości i podeszła do nich.
- Czy coś się stało?
- Pan Chaubere przechodził niedawno grypę — tłumaczyła Oliwia, ciągnąc go do drzwi. - Źle się poczuł.

- Och, Boże!
- Dziękujemy za wspaniały wieczór. Proszę przeprosić pana prezesa i małżonkę za nasze nagłe zniknięcie, ale musimy odwiedzić pana Chaubere'a do domu.
- Oczywiście, Oliwio. — Pani Foster doszła z nimi do drzwi. - Mam nadzieję, że wkrótce pan Chaubere dojdzie do siebie.
- Dziękuję - zdołał odpowiedzieć, chwytając pobielającą ręką za poręcz.
- Czy to coś poważnego? - spytał jakiś siwy pan, mijając ich na schodach. - Pomóc pani?
- Damy sobie radę. Straciłam na moment równowagę.
- Otworzę państwu drzwi — zaoferował mężczyzna. — Za dużo było koktajlu z szampanem co, panie Chaubere? - Mrugnął do Oliwii.
- Coś w tym rodzaju — wybełkotał Aleksander, jak gdyby naprawdę był pijany.
Z trudem podtrzymywała go na ulicy w drodze do samochodu. Z każdym krokiem stawał się cięższy i gorzej oddychał.
- Aleksandrze! - zawołała, gdy już prawie położył się na Spidera.
- Ty prowadź — wycharczał.
Wilgotne włosy przylgnęły do jego policzków i czoła. Wsadził rękę do kieszeni, zakaszał i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Opadł na ziemię nieprzytomny.
- Aleks!
Złapała go za ramię, ale był za ciężki, żeby go mogła wciągnąć do samochodu albo z powrotem do budynku. Na chodniku zdążył się już zebrać mały tłumek. Przerazona, zawołała:
- Niech ktoś zadzwoni po pogotowie! To jest chyba atak serca!

Oliwia siedziała na brzeżku krzesła w szpitalnej izbie przyjęć. Patrząc na niego, modliła się, żeby się wreszcie obudził. Przerazała ją jego bladość. Poprzednim razem sam oprzytomniał po takiej gorączce, ale teraz może odejść z jej życia na zawsze i nigdy już się do niej nie odezwać ani nie uśmiechnąć. Nie zniosłaby tego. Niezależnie od sekretów, których nie chciał jej zdradzić, była pewna, że go kocha. Wyciągnęła rękę, odgarniając mu z czoła wilgotne włosy.

Dyżurny lekarz wykluczył atak serca i zniknął, gdyż przywieziono rannych w wypadku samochodowym, którzy wymagali natychmiastowej interwencji. Obiecał wrócić jak najprędzej, ale nie było go już prawie godzinę.

Co jakiś czas wpadała pielęgniarka, sprawdzała, co się dzieje z Aleksandrem, zapisywała coś na jego karcie i wychodziła, zostawiając zmartwioną Oliwię samą.

Krótko po północy Aleksander poruszył się lekko i otworzył oczy.

- Oliwia? - wyrzęził.

- Dzięki Bogu! - zawołała. - Och,
Aleksandrze! Rozejrzył się wokół, zdumiony.

- Gdzie ja jestem?

- W izbie przyjęć, w szpitalu.

- W szpitalu? *Jamais!* - Odrzucił prześcieradło i koc,
po czym usiadł.

- Aleks, nie! - Oliwia skoczyła na równe nogi. — Nie
powinieneś się ruszać, a co dopiero wstawać z łóżka.

- Skąd, do licha, się tu wziąłem?

- Zemdlałeś. Wezwaliśmy pogotowie. Nie miałam
wyjścia. Nie mogłam cię ruszyć!

Rozejrzył się po pokoju. Wyglądał strasznie, błądy i
rozczochny.

- Czy jacyś lekarze mnie badali?

- Tylko pobieżnie. Był za duży ruch.

- To dobrze. Gdzie moje ubranie?

- Nie możesz wyjść!

- Muszę.

- Jesteś chory! Potrzebna ci pomoc lekarska.

- Bzdura.

Spuścił nogi z łóżka i stanął niepewnie.

- Aleksandrze, zostań tu! Nie lekceważ tego!

- To moja sprawa!

- Moja też! - odpowiedziała podniesionym głosem. -
Boję się. Obchodzi mnie, co się z tobą stanie. Muszę
wiedzieć, co ci jest, nim cię to zabije!

- Może nie ma innego wyjścia jak śmierć.

- Nie akceptuję tego.

- Niektórych podróży nie można przerwać, gdy się je
rozpocznie.

- Jakich podróży? - Podeszła do niego. - Dlaczego
wciąż mówisz zagadkami? Mówisz, że jesteś moim
przyjacielem. Nie jesteś, skoro mi nie ufasz!

- To nie chodzi o zaufanie. - Rozejrzył się dookoła. -A
teraz, gdzie jest moje ubranie?

Zdjęła je z wieszaka wiszącego za jej krzesłem i rzuciła
w górę.

- Tutaj! Ale nie dostaniesz go, póki mi wszystkiego nie
wyjaśnisz!

- Oliwio!

- Powiedz mi, Aleksandrze! Powiedz mi, co z tobą jest,
bo, Bóg mi świadkiem, wezmę to ubranie i ucieknę!

Rozdział 20

Aleksander westchnął i skrzyżował ramiona na białoniebieskim szpitalnym szlafroku.

- A więc mnie straszysz? Tak się traktuje przyjaciela?
- Nie jesteś moim przyjacielem! Przyjaciele mają do siebie zaufanie.

- Ja ci ufam.

- Pieprzysz! - Czują, jak ze złości zalewa ją fala gorąca. Dlaczego ten człowiek tak ją denerwuje? - Nie wiem o tobie prawie niczego!

- Czyżby?

- Nie wiem nic o twojej przeszłości, z czego żyjesz, jakich masz przyjaciół...

- Ale czy to wszystko jest takie ważne? — Podeszedł do niej o krok bliżej, wyraźnie dochodząc do formy. — A co z sympatią, zrozumieniem, współczuciem? Czy tego ci nie okazuję?

- Tak, ale...

- Dlaczego musisz znać moją przeszłość, żeby mi teraz ufać?

- Ponieważ jest wiele rzeczy, związanych z tobą, które są... dziwne.

- Dziwne? - Uniósł brew. - Co, na przykład?

Oliwia spojrzała w sufit, zastanawiając się, od czego zacząć, żeby nie zrobić z siebie idiotki. Postanowiła zacząć od najbardziej absurdałnego zarzutu.

- Wiesz, co pani Foster sądzi o tobie?

- Jej opinia jest warta wszystkich pieniędzy.

- Uważa, że jesteś wampirem.

- Kim?

- Wampirem.

Oczekiwała natychmiastowego zaprzeczenia, tymczasem on spytał z namysłem.

- Hmm! A dlaczego tak uważa?

- Ze względu na twoje zwyczaje. Niewiele cię widać w ciągu dnia. Nie wystawiasz żadnych śmieci. Nie masz apetytu, tak jak normalny człowiek. A twoja kuchnia, Aleksandrze, jest można powiedzieć, dziewicza.

- I dlatego uważa, że jestem wampirem?

- A więc jak to wyjaśnisz?

- Mam ograniczoną dietę. Jeśli chcę coś zjeść, robię to poza domem.

- Zawsze?

- Życie jest dzięki temu prostsze.
Oliwii nie przekonywały jego spokojne odpowiedzi.

- A co z twoim wstrętem do dziennego światła?
- Kto powiedział, że nie lubię słońca?
- Pokazujesz się dopiero wieczorem.
- Po prostu wolę tę porę. Jestem samotnikiem, wiesz o tym, Oliwio.

Zmrużyła oczy.

- Widziałam twoje ciało, Aleksandrze. Całe pokryte bliznami. Skąd je masz? Wyjaśnij to.

- Prowadziłem bujne życie.
- Dobrze. - Przycisnęła do siebie jego ubranie. - A wyjaśnij wobec tego, jak przeżyłeś tę ranę od noża?
- Wtedy, kiedy Jimmy Dan Petersen próbował mnie poharatać?
- Nie próbował, ale zranił. Widziałam, jak wbił w ciebie nóż!
- Jesteś pewna?
- Oczywiście. Usiłowałam mi wmówić, że było inaczej, ale ja przecież widziałam. I zagoiło się ot tak. — Prztyknęła palcami.

- To nie jest normalne.
Pokiwał głową, jakby tym razem nie zaprzeczał. Jego spokój doprowadzał ją do szału.

- Więc?
- Nie mogę zaprzeczyć — odpowiedział.
- Więc jak wyjaśnisz to gojenie?
- Mam niezwykłą konstrukcję fizyczną. Dlatego nie chcę, żeby mnie jakiś lekarz oglądał. Nie zrozumie tego, co zobaczy, a ja nie chcę być obiektem dociekań naukowych. To właśnie robiliby ze mną: analizowali, badali, śledzili. Byłbym ciekawostką medyczną, okazem do wystawiania.

- Ale dlaczego masz tę niezwykłą konstrukcję fizyczną? Jakiego rodzaju człowiekiem jesteś?
- Jestem człowiekiem. I na tym poprzestaśmy.
- Nie!
- Dlaczego chcesz drążyć głębiej, Oliwio? Możesz dowiedzieć się czegoś, czego będziesz później żałowała.

Ogarnął ją niepokój, ale przewyciężyła go.

- Nigdy nie bałam się prawdy.
- Ale zdarzyło ci się ją nagiąć dla własnych potrzeb.
- Już więcej nie będę, Aleksandrze — odpowiedziała, zniżając głos do szeptu. - Ani wobec Richa, ani wobec ciebie.

Popatrzył na nią, zmierzyli się wzrokiem, była pewna, że się w końcu załamię. Otworzył usta, polizał wargi i wcisnął się w materac.

- Nigdy ci nie skłamałem — powiedział w końcu.
- Ale nie powiedziałaś mi wszystkiego.
- I nie mam zamiaru, Oliwio. - Popatrzył na nią twardo.

- Może kiedyś, ale nie teraz. Chciałbym, ale nie mogę.
- Dlaczego?
- Bo sam jeszcze wszystkiego nie wiem. Nie znam ostatecznego rezultatu, możliwości, zagrożeń.

- Czego, do licha?
- Mojego zdrowia.
- Aleksandrze, bądź ze mną szczerzy. Czy cierpisz na jakąś chorobę?
- Nie.
- Może jakiś nowy, nieznaną wirus?
- Nie.
- Więc skąd te ataki?
- Nie jestem zupełnie pewien.
- Nie chcesz się dowiedzieć?
- Pracuję nad tym.
- Przecież nie jesteś lekarzem.
Znów wstał.

- Dlaczego zakładasz, że lekarz lepiej będzie wiedział ode mnie?

Była już zmęczona tymi odpowiedziami pytaniem na pytanie. Wzruszyła ramionami.

- Oliwio - mówił teraz łagodniej. - Coś się wydarzyło na balu Towarzystwa Ogrodniczego. Zachowujesz się inaczej. Co się stało?

Zastanawiała się, czy powiedzieć.

- Widziałam obraz — powiedziała w końcu.
- Jaki obraz?
- Twój portret.
- Mój?
- Albo kogoś, kto wygląda dokładnie jak ty, ze znamieniem na szyi, twoim imieniem i nazwiskiem, twoim zegarkiem i statkiem, jakiego model masz w domu.
- Znam ten portret. Dlaczego tak cię zdenerwował?
- Gdyż ciągle mam wątpliwości na twój temat! — krzyknęła, bo znów ogarniał ją gniew. — Czasami zastanawiam się, czy jesteś normalną ludzką istotą!
- Ten obraz ma dwieście lat.
- Wiem! Widziałam datę: 1795.
- Więc na pewno wiesz, że osobą na portrecie jest...
- Kto? Jakiś cholerny pra-pra-pradziadek?
- Oliwio! - Podszedł bliżej, jakby chciał ją uciszyć.

Odsunęła się, kładąc dłoń na klamce.

- Jeżeli masz tylu cholernych krewnych, opowiedz mi o nich! Po co te sekrety? - Patrzył na nią z zaciśniętymi ustami. - Może naprawdę jesteś wampirem! Może masz dwieście lat. A może, do diabła, jesteś starszy od Mojżesza! To wyjaśniałoby twoje blizny i „bujne życie”!

- Oliwio!

- Masz swoje cholerne ubranie! - Rzuciła w niego koszulę, która spadła na podłogę. - Proszę bardzo! Wyjdź ze szpitala. Nic mnie to obchodzi, co się z tobą stanie!

Zbierało jej się na płacz z bezsilności. Nie był dość wrażliwy, żeby zrozumieć, jakie ważne jest dla niej jego zaufanie, ich wzajemne zrozumienie i że chce o nim wiedzieć wszystko.

- Wracaj do swojego ukochanego laboratorium! — Otarła łzy wierzchem dłoni. - Komputery i próbówki nie zadają osobistych pytań. Z nimi sobie poradzisz!

Rzuciła jego spodniami, trafiając go w brzuch. Nie zwrócił na to uwagi. Parł do przodu, sapiąc jak lokomotywa. Oliwia cofnęła się i wpadła na ścianę przy drzwiach. Nie dotknął jej nawet, a jednak stała tam, przygwożdżona siłą jego wzroku.

- Chcesz prawdy? — wycodził przez zaciśnięte zęby. Naprawdę chcesz? Zniesiesz to?

Skinęła głową bez słowa.

Wciąż się w nią wpatrując, odgarnął włosy z szyi. Między jego uchem a ramieniem widniała ciemna kropka, wielkości gumki przy ołówku.

Oliwia wpatrywała się w znamię, którego nigdy przedtem riie zauważyła.

- Widziałeś portret. A teraz widzisz oryginał.

Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Co to znaczy? O czym on mówi? Kim jest?

- Zadowolona? - Popatrzył na nią rozplomienionym wzrokiem.

W pierwszym odruchu miała ochotę uciec jak najszybciej. Ale serce podyktowało jej co innego. Stała jak zamurowana, a dzięki miłości do niego zaczęła się uspokajać.

- Tak - szepnęła.

Popatrzył na jej usta, a później w jej oczy, wciąż tym samym twardym wzrokiem. Nagle odwrócił się, pozbiierał swoje ubranie i rzucił je na łóżko. Zdjął szpitalny szlafrok i znów na nią popatrzył.

- Nie jestem normalnym człowiekiem, Oliwio. Masz rację.

Jestem wybrykiem natury. Jeszcze mnie lubisz? — Wciągnął

spodnie. - Mam trzysta pięćdziesiąt cztery lata. Nie zdmuchnęłaś w życiu tylu świeczek urodzinowych, w ilu walczyłem wojnach. Nie starzeję się. Nie można mnie zabić. Dom Giełdy, w którym dziś byliśmy, to dawna siedziba żandarmerii. Siedziałem tam uwięziony w lochu. Nie żaden wymyślony daleki krewny. Ja! — Włożył ręce w rękawy koszuli. — Większość mojego ciała jest w stanie przedłużonego zastoju, jakby hibernacji, łącz nie z moim fiutem, co byłaś uprzejma wielokrotnie podkreślać.

A wszystko dzięki przedstawicielce rodziny liliowatych, *Lis perpetual*. Więc weź do serca moje ostrzeżenia przed tą rośliną, bomożesz się stać nieśmiertelna jak ja, czego bym jednak ci nie życzył!

Złapał buty, schwycił leżące na stoliku kluczyki od samochodu, i wypadł z pokoju. Oliwia patrzyła na otwarte drzwi, zbyt oszołomiona, by się ruszyć.

Przyjechała ze szpitala do domu taksówką. Zapłaciła i szła powoli przez ogród, roztrzęsiona i bezradna. Było już za późno, żeby odbierać Richa, z poza tym nie chciała mu psuć przyjemności nocowania w domu Williego. Zaczeka do jakiejś przyzwoitej pory rano.

Mimo że na horyzoncie przebłyskiwał już świt, w powietrzu czuło się ciepło poprzedniego wieczoru, zapowiadając nadejście wilgotnego, gorącego dnia. Oliwia oparła się o postument figury Wenus. Za lustrem stawu wznosiły się mury ciemnej i, jak zwykle, cichej rezydencji. Zastanawiała się, czy Aleksander wrócił do domu i czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczy. Odgarniając kosmyk włosów, zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Cała drżała od momentu jego wyznania w szpitalu. Jego słowa wstrząsnęły nią do głębi.

Jak mogła w to uwierzyć? Nie ma czegoś takiego jak nieśmiertelność, podobnie, jak nie ma duchów, aniołów czy zajączków wielkanocnych. Naprawdę myślał, że uwierzy, że człowiek może żyć trzysta pięćdziesiąt cztery lata? Czytywała różne bzdury w brukowych pisemkach, wystawianych koło kas supermarketów, ale nic nie mogło się równać z tym, co jej powiedział Aleksander. Co za nonsensy. Nie można go zabić, nie starzeje się. Niemożliwe!

Gdzieś w głębi serca czuła jednak, że żadnego racjonalnego wyjaśnienia nie da się tu zastosować. Żałowała, że Aleksander wybiegł nagle ze szpitala, nie czekając na jej reakcję. Zdziwiłby się może, gdyby dowiedział się, że niezależnie od tego, czym lub kim jest, ona go kocha. Są mężczyźni, którzy zjawiają się tylko raz w życiu kobiety. Takim mężczyzną właśnie był dla niej Aleksander.

Wychyliła głowę za róg domu, żeby zobaczyć, czy nie widać przypadkiem światła w laboratorium. Westchnęła. Każdy dzień spędzony w ciszy będzie jak klin wbijany między nich.

Kiedy się wykąpała i poszła do łóżka, nie mogła zasnąć. Leżała, patrząc w sufit. Marzyła o zakończeniu tego wieczoru w ramionach Aleksandra. Tymczasem była bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Aleksander nie wrócił w niedzielę do domu. Oliwia pracowała, gdyż nie potrafiła się odprężyć ani należycie zająć Richem. Wieczorem położyła się wykończona, ale znów nie mogła zasnąć, nasłuchując szumu silnika Spidera, jednak Aleksander nie wrócił.

W poniedziałek rano padał deszcz, a gdy przestał, spędziła dzień na intensywnej pracy z grupą fachowców od przycinania drzew. Zajęło im to cały dzień, ale Oliwia była szczęśliwa, że ma towarzystwo niefrasobliwych rówieśników. Żartowała z nimi, była z nimi na obiedzie i zrobiło jej się trochę smutno, kiedy odjechali.

Siadła na chwilę na brzegu stawu, żeby odpocząć, nim wróci do domu przygotować kolację. Zdjęła buty i skarpetki i machała nogami w wodzie. Przymknęła oczy, usiłując nie myśleć o sobotnim wieczorze. Gdyby tak nie przycisnęła Aleksandra, może nic by się nie zmieniło, ale wtedy jej wątpliwości zatruwałyby jej uczucie do niego. Na dłuższą metę prawda była lepsza, choć Oliwia niezupełnie wierzyła w to, co jej powiedział. Gdyby nie była taka napastliwa, może nie uciekłyby tak nagle.

Tęskniła za nim okropnie i martwiła się o niego. Podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękami i zaczęła marzyć, że oto ma szklaną kulę, i może wyczarować obraz Aleksandra, żeby zobaczyć, jak się czuje. A jeśli miał znowu atak i nikt nie mógł mu pomóc?

Musi przestać myśleć o najgorszym, bo oszaleje. Najlepiej zająć się czym innym. Zobaczy, co Rich robi w domu, i zabierze się do gotowania. Sięgnęła po buty i skarpetki, gdy kątem oka dojrzała jakiegoś mężczyznę przy furtce.

Serce jej zabiło. Wyprostowała się w oczekiwaniu, lecz gdy przeszedł przez furtkę i zbliżył się, rozpoznała Boyda. Postawiła buty i wciągnęła skarpetki. Ach, żeby mogła go zignorować i żeby znikł!

- Oliwio — pozdrowił ją szybko.
- Co tu robisz? — spytała.
- Mówiłem, że wrócę. Chcę z tobą porozmawiać.
- O czym?
- O Richu. - Rozejrzał się dookoła. - Czy możemy gdzieś usiąść na chwilę?

- Nie. I nie mam czasu, więc się streszczaj.

Boyd spojrzął chłodno na jej drobną sylwetkę.

- Twarda się zrobiłaś, Oliwio.

- Musiałam, żeby przeżyć.

Starając się zlekceważyć jej spojrzenie, skrzyżował ręce na piersiach i stanął w rozkroku.

- Przyjechałem tu, do Charleston, w zeszłym tygodniu i starałem się być miły, a spotkało mnie takie chłodne przyjęcie.

- Na miłość boską, Boyd, czego się spodziewałeś?

- Współpracy. Rozsądnej współpracy.

- Dlaczego?

— Myślałem, że będziesz chciała nadrobić te lata, kiedy mnie nie było, dla dobra Richa. Inne byłoby jego życie, gdyby zajął należne sobie miejsce w rodzinie Willistonów, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

— Takie życie niekoniecznie byłoby lepsze, biorąc pod uwagę to, co wiąże się z nazwiskiem Williston.

- Co masz na myśli?

- To, że same pieniądze, bez innych wartości, nikomu nie dają szczęścia.

- Jakich wartości?

- Nie chcę w to wchodzić, Boyd. Teraz to nie ma żadnego znaczenia.

- Nie ma. Chcę być dla Richa ojcem. Chcę mieć prawnie opiekę nad nim.

Oliwię zatkąło.

— Opiekę? Żartujesz chyba!

— Jestem śmiertelnie poważny. Mam prawie trzydzieści lat. Chcę wiedzieć, jak to jest mieć dziecko. Nie chcę przegapić wspólnego grania w piłkę, biwakowania, no wiesz, tej całej zabawy, jaką ma ojciec z synem.

Oliwia patrzyła zdumiona jego podejściem do ojcowstwa jako nieprzerwanego pasma radości, zabaw i gry w piłkę. Wsadziła stopę w lewy but.

— Jeżeli chcesz wiedzieć, jak to jest, możesz mieć własne dziecko.

— Nie mogę. Zachorowałem po studiach i jestem bezpłodny.

— Co? — spytała z niedowierzaniem.

- Nie mogę mieć więcej dzieci. Rich jest jedynym moim dzieckiem, i tak już będzie.

Wpatrywała się w niego pewna, że kłamie. - To prawda, Oliwio. Kiedy moja żona nie zachodziła w ciążę, zbadałem się i dowiedziałem, że nie produkuję spermy.

— Jesteś żonaty? — Wciągnęła drugi but.

- Tak. Ona bardzo lubi dzieci. Chciałaby, żebyśmy adoptowali Richa.

Oliwia wstała, przerażona.

- Adoptowali?

- Tak. — Znów się rozejrzał, uciekając wzrokiem gdzieś za stawek i krzaki. - Będzie ci łatwiej. Słyszałem, że chcesz jesienią iść na studia. O wiele łatwiej będzie ci się żyło, jak ci go usunę z drogi.

- Nie będziesz usuwał Richa z mojej drogi! — wycodziła szeptem. Jak mógł występować z taką haniebną propozycją i używać takich okrutnych słów. - To jest ostatnia rzecz, jakiej bym chciała! On jest moim synem!

- Tak samo twoim, jak i moim.

- Nie, nie jest. Zrezygnowałeś z niego bardzo dawno. Nie możesz pojawiać się tak znieczeka i zgłaszać się po niego.

- Mam wszelkie prawo, Oliwio. Nie łudź się. A jeśli będziesz robiła trudności, mam podstawy, aby wykazać twoją niekompetencję.

- Moją co?

- Niekompetencję. Ciąganie naszego syna od szkoły do szkoły, z mieszkania do mieszkania, zostawianie z opiekunkami, zapewnienie tylko minimalnego wyżywienia, bicie.

- Bicie? - Oliwia poczuła, że nogi się pod nią uginają.

- Mam dowód - ten siniak, którym mógł się ostatnio pochwalić.

Oliwii przypomniało się zdjęcie, które zrobiła Richowi i Boydowi. Przez myśl jej nie przeszło, że zostanie wykorzystane przeciwko niej.

- Przecież go pobił jakiś chłopak z autobusu!

- Kto tak twierdzi?

- Ja. A Rich potwierdzi. I Aleksander

Chaubere.

Boyd zaśmiał się złośliwie.

- Słyszałem o twoim szefie. Nikt mu nie uwierzy. Wręcz przeciwnie, sędzia może pomyśleć, że wspólnie stosowaliście wobec Richa przemoc, ponieważ wam przeszkadzał.

- Jak możesz nas o coś takiego podejrzewać? - zawołała. - Co ci przyszło do głowy?

- Chcę syna, Oliwio. Albo pójdziesz mi na rękę, albo załatwię to tak, że go już nigdy więcej nie zobaczysz. Sama wybieraj.

- Nie masz prawa tak postąpić! - Zacisnęła ręce w pięści. - Nie masz prawa.

- Zabieram go z sobą do Seattle, na wypadek, gdybyś znów postanowiła uciec i ukryć się, co, nawiasem mówiąc, byłoby sprzeczne z prawem. Dostaniesz wezwanie z sądu.

- Nie zrobisz tego, Boyd! Zawołam policję!

- Proszę bardzo. Pokażę zdjęcie. - Poklepał kieszeń koszuli. — Na twoim miejscu, Oliwio, postarałbym się o adwokata.

Rzuciła się na niego z wściekłością zapominając, że jest drobną kobietą, a on wysokim, niegdyś wysportowanym mężczyzną. Schwycił ją i odepchnął wystarczająco mocno, żeby się przewróciła na ziemię i upadła z łoskotem w kępę irysów.

Stał nad nią rozgorączkowany, z triumfem w błękitnych oczach.

- Nie staraj się mnie powstrzymać, Oliwio. Tak będzie najlepiej dla Richa.

- Dobrze jak cholera, ty draniu - oświadczyła przez zaciśnięte zęby.

Boyd ruszył w kierunku domku-powozowni. Oliwia zerwała się i rozcierając kość ogonową nie mogła powstrzymać łez bezsilności. Choćby ją nie wiem jak straszył, nie odda mu Richa. Nigdy. Jeżeli ustąpi, będzie musiała walczyć z Willistonami i ich pieniędzmi o odzyskanie syna i straci go na zawsze.

- Stój, ty gnojku! — wrzasnęła, kiedy Boyd zaczął otwierać drzwi do powozowni.

Odwrócił się.

- Opanuj się, Oliwio, bo tylko utrudnisz to Richowi.
- Ty utrudniasz.
- Teraz tak ci się wydaje, ale na dłuższą metę...
- Nie będzie żadnej dłuższej mety.

Boyd zrobił się fioletowy. Zauważyła tę oznakę złości, więc tym bardziej fałszywy wydawał się jego uśmiezek.

- Posłuchaj, Oliwio - oświadczył. - Zrobię to, choćbyś krzyczała i kopała. Zrozumiałaś? Sędzia będzie po mojej stronie.

— Jaki sędzia? Znajomy Willistonów?

— Może. Znajomości nigdy nie zawadzą. Powinnaś o tym wiedzieć. - Przekręcił gałkę w drzwiach. — Ja mogę zapewnić Richowi lepszą przyszłość niż ty. - Wszedł do sieni.

Oliwia pobiegła za nim.

— Nie wejdiesz tak sobie, żeby zabrać moje dziecko. Nie pozwolę ci!

— I tak jedzie ze mną. Jeżeli nie będziesz stawiać oporu, wszystko pójdzie łatwiej. Nam wszystkim będzie łatwiej.

— Dopiero się tu zadomowił. Potrzebuje mnie.

— Więc wracaj do Seattle. Nikt cię nie trzyma.

— Nie mogę! Mam tutaj pracę, stypendium od jesieni, przyszłość.

Boyd wzruszył ramionami i zaczął wchodzić po schodach.

—Boyd! - Złapała go za rękaw koszuli. — Nie rób tego! Wydostał się z jej uchwytu.

—Ucisz się, bo to staje się bardzo nieprzyjemne, ostrzegam cię.

— Już jest nieprzyjemne.

Pogroził jej palcem przed nosem.

— Albo namówisz Richa, żeby ze mną poszedł, albo zawołam policję i oskarżę cię o przemoc. Dzisiaj. Rozumiesz?

Zrozumiała doskonale. Znów klan Willistonów chce ją kierować. Wściekłość połączona z bezradnością gotowały się w niej. Nic nie zmieni zamiarów Boyda ani faktu, że Rich był w niebezpieczeństwie. Musi zachować zimną krew. W przeciwnym wypadku Boyd będzie się starał zrobić wrażenie opanowanego, odpowiedzialnego mężczyzny, który przez lata szukał syna i wreszcie znalazł go, żyjącego na skraju nędzy pod wątpliwą opieką nieznaczącą psychicznie matki.

Zagryzła zęby, powstrzymując złość.

— Widzę, że coś ci świta — skomentował Boyd jej milczenie.

- Powiedz mu, że jedzie poznać swoich dziadków i spotkać się z dawnymi kolegami.

— Ty mu powiedz - odpowiedziała beznamiętnym głosem.

—Nie będę go okłamywać.

- Chyba to nie jest konieczne - powiedział Boyd, patrząc gdzieś poza nią. - Cześć, Rich.

Oliwia obróciła się i zobaczyła Richa, stojącego u dołu schodów. Co słyszał z ich kłótni? Zbiegła do niego i objęła go.

- Rich! - zawołała. - Jak długo tu stoisz?

- Wszystko słyszałem — odpowiedział dziwnie bezbarwnym głosem.

- Wszystko?

- Poszedłem zobaczyć, gdzie pracujesz, i słyszałem wszystko, coście mówili.

- Och, Rich!

Boyd stał na szczycie schodów, wciąż czerwony z gniewu, i nie starał się już niczego udawać przed chłopcem.

- No, to wiesz, że wracasz ze mną do Seattle. Dziś wieczorem.

Rich popatrzył na Boyda z goryczą na twarzy, po czym zwrócił się do Oliwii.

- Nie chcę jechać, mamo.

Błagał ją wzrokiem, żeby coś zrobiła, zmieniała coś swym czarodziejskim dotykiem, jak to tylko matki potrafią. Oliwia tak bardzo chciałaby coś zmienić, ale w tej sytuacji była praktycznie bezradna. Stała wyprostowana, mimo że nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

- Nie musisz, Rich. - Popchnęła go w kierunku drzwi, mając nadzieję, że przechytrzy Boyda chociaż na tyle, że zdążą zdobyć ochronę policyjną i poradę prawną. — Biegnij do laboratorium pana Chaubere'a. Tam jest telefon. Zadzwoń pod 911 i powiedz, że jest tu napastnik.

- Oliwio! - ostrzegł Boyd. - Popelniasz wielki błąd!

- Idź, Rich. Biegnij!

- A komu, uważasz, policja uwierzy? — zagrzmiał Boyd, zbiegając po schodach.

Oliwia zatarasowała drzwi.

- Zejdź mi z drogi! - wrzasnął, sięgając jednocześnie do gałki od drzwi.

Oliwia rozłożyła ręce, opierając się z całych sił o futrynę. Będzie musiał ją odczepić od drzwi, żeby przejść.

- Oliwio, odsuń się! - Twarz posiniała mu z wściekłości.

- Nie! Nie dostaniesz Richa.

Schwycił ją za bluzkę i przyciągnął do siebie. Krzyknęła i zaczęła go okładać pięściami. Wściekłość dodawała jej sił, zresztą miała i tak mocne ręce po wielu

latach ciężkiej pracy. Uderzyła go prosto w nos i usłyszała chrupnięcie.

- Och, ty dziwko! — zawołał Boyd, chwytając się lewą ręką za twarz. Krew ściekała mu na wargę.

- Wynoś się! - wrzasnęła, nie zastanawiając się w tym momencie, co zrobiła.

- Pewnie, że się wyniosę! — Popatrzył na nią zza swojej ręki. - Ale jutro rano o dziewiątej wrócę z policją. Niech Rich będzie spakowany. I nie próbuj uciekać. Mój detektyw obserwuje ten dom.

Odsunęła się mając nadzieję, że teraz już sobie pójdzie, Przeszedł obok niej z ponurym wzrokiem i ciężko poczłapał do swego samochodu.

Oliwia pobiegła do domu Chaubere'a sprawdzić, co z Richem. Spotkała go po drodze. Drzwi od laboratorium były zamknięte, więc nie udało mu się nigdzie zadzwonić.

Zapewi go, że wszystko będzie dobrze. Jednak, gdy wrócił do domu i spojrzała na ulicę, zaczęła się zastanawiać, co, do licha, zrobić, żeby jej syn nie wpadł w łapy Willistonów.

Rozdział 21

Przez większą część nocy Oliwia chodziła po saloniku, starając się wymyślić jakiś sposób na wydostanie Richa z posesji Chaubere'a. Przedtem obeszła teren dokładnie i oczywiście zauważyła na rogu ulicy zaparkowany samochód, a w nim mężczyznę obserwującego dom i palącego papierosa. Nie było szansy, żeby przejechać obok niego furgonetką czy nawet przekraść się pieszo, chyba że mężczyzna w końcu zaśnie.

Wróciła do domu i postanowiła zaryzykować i wezwać policję. Jednak telefon był głuchy - ktoś musiał przeciąć kable.

Pozostała tylko jedna możliwość. W nadziei, że ich strażnik zdrzemnie się nad ranem, obudziła Richa o trzeciej, złapała walizki, które wcześniej spakowała, i wymknęła się po schodach. Rich miał kierować, a ona pchać samochód po delikatnie opadającym podjeździe. Gdyby detektyw spał, nie słyszałby chrzęstu żwiru na ścieżce, jak będą wyjeżdżać na Myrtle Street. Gdyby udało się go ominąć, wskoczyć do samochodu i prędko odjechać, byłaby szansa na ucieczkę.

Z największym wysiłkiem pchała teraz samochód, a Rich wspaniale kierował, prościutko i Oliwia wdzięczna była Aleksandrowi, że pozwalał mu prowadzić Spidera. Samochód toczył się wolno, a ona podskoczyła otworzyć bramę. Zauważyła wciąż stojący ten samochód i nagle zagroził jej drogę detektyw.

—Gdzie się wybieramy? — wymamrotał, nie wyjmując peta z ust.

Rich zahamował, samochód zatrzymał się, a Oliwia stanęła, opierając ręce na biodrach.

—Po świeżą gazetkę — odpowiedziała z wisielczym humorem.

- No pewnie. — Odrzucił niedopałek na chodnik. — Czyten dzieciak zawsze prowadzi? To trochę nieodpowiedzialne, pani Travanelle.

Oliwia zignorowała jego uwagę i otworzyła drzwiczki od strony kierowcy. Rich przesunął się, a ona wsiadła, zapuściła silnik i wycofała samochód do garażu.

—I co teraz? — spytał Rich, nie całkiem jeszcze rozbudzony.

- Nie wiem. - Oliwia wzięła torebkę. - Musimy jakoś się wydostać.

Rich wyskoczył za nią.

- Znam drogę, którą moglibyśmy wyjść. Spojrzała zdziwiona.

- Gdzie?

—Przez tylny mur. Potem ścieżką przez ogród pani Foster. Murek jest dosyć wysoki, ale po tych starych ceglach całkiem łatwo się wchodzi.

—Możemy spróbować — stwierdziła Oliwia. —

Chodźmy.

Wyszli przez tylne drzwi z garażu.

- Biegnijmy - zawołał Rich.

—Musimy tu wszystko zostawić.

Poszła za synem przez pokryty rosą trawnik w kierunku muru, odgradzającego posiadłość Chaubere'a od terenu państwa Fosterów.

Zaczynali się już wspinać na murek, gdy Oliwia usłyszała dźwięk odbezpieczanej broni. Spojrzała przez ramię i zobaczyła innego mężczyznę. Był wysoki, chudy, o brzydkiej twarzy i tępym wzroku.

- Wracać do domu - rozkazał, wymachując pistoletem. -I bez żadnych numerów.

- Jeju! - Rich zeskoczył z murku i upadł na ziemię.

- Nie próbujcie więcej takich sztuczek - przestrzegł ich. -Będę za drzwiami.

Oliwia objęła Richa ramieniem i poprowadziła do domu. Strażnik kroczył za nimi, by upewnić się, że weszli do środka. Oliwia wlokła się po schodach zła i zmęczona. Drugi strażnik! Czy Boyd wynajął całą armię do pilnowania ich? Nie miała wyjścia, tylko zostać na terenie. Byli uwięzieni. Za kilka godzin Boyd przyjedzie po Richa i nic na to nie poradzi.

Gdy znaleźli się w mieszkaniu, zagrzała Richowi mleka i posiedziała z nim chwilę w milczeniu, patrząc, jak je pije powoli. Chciała go jakoś pocieszyć, ale nie bardzo wiedziała

jak, skoro wyczerpała wszystkie możliwości ucieczki. Kiedy Rich skończył, poszedł z powrotem do łóżka, a ona usadowiła się na kanapie, żeby czekać na Boyda. Jednak wkrótce powieki jej opadły i zapadła w nicość, póki jej nie obudziło głośnie walenie do drzwi.

Z początku hałas należał do jej straszego snu, w którym ojciec przyszedł w nocy pijany i rąbiąc w drzwi wykrzykiwał przekleństwa, a matka stała przerażona na środku pokoju. Oliwia, przyciśnięta do ściany w przedpokoju, bała się, że zaraz się włamie. Postanowiła pobiec do kuchni i zadzwonić po policję, ale kiedy sięgała po telefon, ten spłaszczyl się i zmienił w fotografię Richa i Boyda przed garażem.

- Rich! — krzyknęła i obudzona siadła na kanapie. Chociaż otworzyła oczy, łomotanie nie ustawało. Obciągnęła zmięty podkoszulek i zwlokła się z kanapy.

- Oliwio — rozległ się znajomy głos. - Jesteś tam?
Ogarnęło ją uczucie ulgi. Otworzyła drzwi i wpadła wprost

w ramiona Aleksandra Chaubere'a.

- Co się dzieje? - spytał, starając się spojrzeć jej w twarz.

Ona jednak wtuliła się mocno w jego ramiona, przyciskając policzek do jego piersi.

- Za parę minut Boyd przyjedzie po Richa. Wynajął ja kichś zbirów, żeby nas tu pilnowali całą noc!

—Unieszkodliwiłem jednego z nich na dole.

—Pobiłeś go?

—Rozbroiłem i zostawiłem związanego w garażu, więc nie będzie ci przeszkadzał.

—Och, Aleks, co ja mam robić?

—Zabierz Richa i chodźcie ze mną. Pójdziemy na policję.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego, zastanawiając się, czy przedstawiciele prawa jej pomogą, czy zaszkodzą, ale jaki miała wybór? Nie chce być ofiarą Boyda, zmuszaną do ucieczki, żeby utrzymać opiekę nad synem.

—Dobrze — odpowiedziała w końcu i poszła do sypialni Richa.

Spojrzała w ciemność. Łóżko było puste. Zaniepokojona

zaświeciła światła w sypialni, otworzyła drzwi do szafy. Ani śladu Richa. Przechodząc przez hol zauważyła, że drzwi do jej sypialni były otwarte, a zasłony od drzwi balkonowych odsunięte. Czyżby Rich wy dostał się z balkonu na parter?

—Oliwio! — zawołał Aleksander, idąc w jej kierunku.
— Co się stało?

—Rich!... - jęknęła. - Zniknęła!

Kilka minut później do drzwi zaczął łomotać Boyd. Oliwia poszła otworzyć, a Aleksander obserwował. Pewien był, że Boydowi udało się jakoś wykraść chłopca, a teraz przyszedł się pochwalić. Widział przez okno ze swego miejsca na kanapie samochód policyjny, który sprowadził Boyd na pomoc.

—Gdzie on jest? — spytała Oliwia, nie dając mu dojść do słowa.

Boyd powiódł wzrokiem od Oliwii do Aleksandra i z powrotem. Nos miał zalepiony plastrem i Aleksander zastanawiał się, co mu się przydarzyło.

—O co pytasz? — spytał Boyd.

—Zabrałeś Richa! Dokąd?

—O czym ty mówisz? Nie zabrałem go. Jest tutaj i wiesz o tym doskonale!

—Nie ma go tutaj!

—Tylko bez sztuczek, ty czarownico!

Spróbował wejść do mieszkania obok Aleksandra, ale ten chwycił Boyda za szyję, odcinając mu niemalże dopływ powietrza.

- Odzywaj się do Oliwii uprzejmie — rozkazał. —

Przeprós.

- Przecież to ona zachowuje się jak dzikuska. Złamała mi nawet nos!

- Przeprós!

Boyd zamrugał, zdumiony stanowczością Aleksandra.

- Przepraszam! — wycharczał. — Daj spokój, Chaubere, udusisz mnie.

- Nie puszczę, póki się nie nauczysz manier.

- Już dobra, dobra!

Aleksander patrzył prosto w oczy Boyda, póki nie wygasły w nich ostatnie iskierki bojowego nastroju. Wtedy dopiero zwolnił uścisk.

- Gdzie jest Rich? - warknął.

- Powiedziałem już, że go nie zabrałem. - Boyd zakaszlał i pomasaował gardło.

Aleksander spojrzał na niego z pogardą. Na myśl o tym, że Oliwia mogła kogoś takiego poślubić, brało go obrzydzenie.

- Musiał uciec! - Oliwia zacisnęła ręce. - Gdzie on może być, na miłość boską!

- Zadzwoń może do pani Foster albo matki Williego Lee. - Aleksander ścisnął jej dłoń, dodając otuchy.

Skinęła głową. Widział łzy płynące po jej twarzy i chciał ją mocno przytulić i obiecać, że zrobi wszystko, co w jego mocy, i na pewno wkrótce Richa odnajdą. Jednak w tej chwili najlepiej będzie, jeżeli Oliwia zmusi się do działania. Sięgnęła po telefon na stoliku obok kanapy, ale zaraz przypomniała sobie coś.

- Telefon jest rozłączony.
- Mam w laboratorium komórkowy.

Wzięła leżący obok notes.

Jeżeli Richa tam nie ma, będziemy musieli go szukać - powiedział Aleksander, zwracając się do Boyda. Dla dobra małego muszą współpracować. — Porozmawiamy z policjantami w drodze do laboratorium. Pan będzie sprawdzał w śródmieściu, a my z Oliwią w okolicy. — Aleksander wyjął z kieszeni kurtki kawałek papieru i długopis, napisał numer telefonu i podał Boydowi. — Jeżeli pan go znajdzie, proszę zadzwonić. Będę miał telefon w samochodzie.

— Dobrze. — Boyd wsadził kartkę do kieszeni spodni.

— Jeżeli pan go nie znajdzie wcześniej, spotkamy się tu w południe. Za trzy godziny od teraz.

- W porządku. - Boyd powoli pokręcił głową. — Ale ja tego nie rozumiem. Dlaczego dzieciak miałby robić taki głupi numer i uciekać? - Spojrzał na Aleksandra. - Czy nie wie, co jest dla niego dobre?

Aleksander wzruszył ramionami i zerknął, co robi Oliwia. - Nie potrafił odpowiedzieć Boydowi Willistonowi. Taki facet nie jest w stanie spojrzeć na świat oczyma dziesięcioletniego chłopca, a jest zbyt samolubny i bez wyobraźni, żeby zajrzeć w czyjeś serce czy umysł.

Oliwia podbiegła do Aleksandra, zgarniając po drodze torebkę ze stołu.

— Chodźmy. Musimy go znaleźć.

Wzruszyło go, że nie pomyślała o poprawieniu włosów ani przebraniu się, tak była przejęta synem. W tym momencie wiedział, że kocha ją również za jej serce i odwagę. Kochał ją jak , nigdy jeszcze żadnej kobiety w życiu.

- Chodź - powiedział, ujmując ją pod łokieć, chociaż miał ochotę ją przytulić i powiedzieć, ile dla niego znaczy. — Porozmawiamy z policją, a później zadzwonimy.

Po wielu godzinach, gdy nad miastem zapadła noc, na ulicach zaświeciły się latarnie, jak błyszczące grzyby wśród mgły nadciągającej znad zatoki.

Oliwia z Aleksandrem byli już wszędzie, we wszystkich miejscach, w jakich Rich bywał z matką. Bezskutecznie. Ani oni, ani policja nie natrafili na żaden ślad.

- Rich! Rich, gdzie jesteś? — wołała Oliwia.

Chodziła wzdłuż betonowego falochronu, wychylała się przez barierkę, pod którą rozbijały się fale. Słyszała je, ale nie widziała ich we mgle. W tym dziwnym, szarym świetle było tylko kilka metrów betonu, nad nim jedno światło i dochodzące z dala żałobne pieśni syreny przeciwmgielnej.

- Gdzie on może być?

Aleksander podszedł, stanął za nią i objął ją.

- Gdziekolwiek jest, Oliwio, ma się nieźle, czuję to.

Zazdrościła mu optymizmu.

- Straszne, gdy pomyślę, że jest w tej mgle sam, przestraszony.

Przycisnął ją mocniej.

- Jak znam Richa, to może nawet mieć w tej mgle świetną zabawę.

Oliwia nie mogła zdobyć się na uśmiech, ale jego słowa pokrzepiły ją. Miał rację. Rich uwielbiał tajemnice, Halloween — święto duchów, burze z piorunami i mgły. Jak Aleksander poznał go tak dobrze w ciągu zaledwie kilku tygodni? Uspokoiła się trochę w jego objęciach.

- Tak się cieszę, że wróciłeś, Aleks - zamruczała cichutko.

— Nie wiem, co bym dzisiaj bez ciebie zrobiła. — Poczowała za sobą jego głębokie westchnienie.

- Żałuję, że nie wróciłem wczoraj - odpowiedział krótko.

- Może nie wydarzyłoby się to wszystko, gdybym tu był.

- Nie wiń siebie.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na jego twarz, ale we mgle i ciemności widziała tylko błyszczące oczy i zarys policzka. Dotknęła go leciutko czubkami palców.

On przygładził delikatnie włosy na jej skroni.

- Nie martw się, *ma petite*. Znajdziemy go.

Drugą noc z kolei Oliwia chodziła po mieszkaniu, dopóki Aleksander nie uparł się, żeby poszła spać. Nikomu, a zwłaszcza Richowi, nie będzie w stanie pomóc, jeśli chociaż trochę się nie prześpi. Gilbert, który wraz z nimi brał udział w poszukiwaniach, położył się w pokoju Richa.

Aleksander zaprowadził Oliwię do sypialni i zatrzymał się w drzwiach.

- Czy kochałaś kiedyś Boyda? - spytał.

- Myślałam, że tak. Ale byłam zbyt młoda, żeby wiedzieć, co to jest miłość.

- A teraz?

- Teraz? — Spojrzała na niego, ale odwróciła wzrok, nie chcąc wyjawić swych uczuć. Uśmiechnęła się, chcąc utrzymać lekki ton rozmowy, i siadła na krzeselku obok łazienki, żeby zdjąć buty. - Teraz rozpoznałabym miłość, gdybym zobaczyła.

- Zawsze myślałem, że miłość się czuje, a nie widzi.

- Czy czułeś kiedyś? — spytała, spoglądając na niego.

Przez trzysta lat musiał być wiele razy zakochany. — Były jakieś wyjątkowe kobiety w twoim życiu?

- Kilka - odpowiedział. - Ale tak naprawdę wyjątkowa tylko jedna.

Poczuła ukłucie zazdrości, że jakaś kobieta zdobyła serce Aleksandra.

- Twoja żona? — spytała.
- Nie. Nigdy nie byłem żonaty.
- Przepraszam — zaczęła, zauważając smutek na jego twarzy — Nie chciałam przywozić przykrych wspomnień.
- Dlaczego uważasz, że to wspomnienie?
- Myślałam, że mówimy o dawnych miłościach.
- Niekoniecznie. — Sięgnął ręką do kłamki. - Słodkich snów, Oliwio - powiedział, zmieniając temat. — Będę w salonie gdybyś mnie potrzebowała.
- Dziękuję. Dobranoc.

Aleksander zamknął drzwi, a jej opadły ramiona. Dlaczego nie powiedziała mu, jak bardzo go teraz potrzebuje, jak bardzo chciałaby teraz leżeć w jego ramionach i czuć się pewnie i bezpiecznie. Potrzebowała pociechy. Zdjęła ubranie i rzuciła się na łóżko.

Wcześniej rano obudził Oliwię kolejny sen o Richu, w którym opowiadała mu o ojcu. We śnie siedzieli na kocu, jedząc drugie śniadanie, tak jak było naprawdę na plantacji Dryera, tyle że teraz mówiła mu, że jego ojcem jest Aleksander Chaubere.

Rich zaczął skakać z radości, ona też i skakała w górę, aż do dębów, ciesząc się jak dziewczynka. Kiedy spojrzała na Richa, zobaczyła, że w wielkich podskokach zbliża się do rzeki pełnej aligatorów. Gdy tylko w nią wskoczy - rozszarpia go na strzępy.

—Rich! - krzyknęła i obudziła się.

Zdała sobie sprawę z tego, że był to sen i aligatory istniały tylko w jej wyobraźni. Miała nadzieję, że nikogo nie obudziła. Usłyszała jednak kroki w holu i po chwili otwarły się drzwi do jej sypialni. Wpadł Aleksander, wciąż ubrany; chyba w ogóle nie spał.

—Oliwio, nic się nie stało?

—Miałam okropny sen — wykrztusiła w końcu, ale gdy to mówiła, jak grom z jasnego nieba uderzyła ją myśl. — Aleksandrze, chyba wiem, gdzie jest Rich!

Rozdział 22

Gdzie? - spytał Aleksander.

— Na plantacji Dryera. - Zsunęła się na brzeg materaca. -Powinnam była wcześniej na to wpaść.

— Dlaczego tak przypuszczasz?

— Jest na odludziu. I kiedy tam byliśmy, powiedział, że można by urządzić tu biwak nad rzeką i nikt z personelu nie wiedziałby o tym.

Aleksander zmarszczył się, rozważając tę możliwość.

— To jest około dziesięciu kilometrów za miastem. Myślisz, że doszedłby tak daleko?

— Gdyby sobie postanowił — odpowiedziała Oliwia — szedłby tak długo, aż by doszedł.

— Więc ubieraj się. Spotkamy się przed domem.

— Dobrze.

Aleksander zawrócił i poszedł do garażu. Wyprowadził Oliwii furgonetkę i, siedząc w samochodzie, zastanawiał się, jak Oliwia wytłumaczy synowi, że chcąc działać zgodnie z prawem, będą, być może, musieli wrócić do Seattle. Tymczasowo. Aleksander przysiągł sobie, że zrobi wszystko, żeby Rich mógł dalej mieszkać z matką.

Wiedział, że trudno będzie namówić Oliwię do korzystania z jego pieniędzy, ale miał nadzieję, że zrobi to dla dobra Richa. Dość się napatrzył na świat i poznał potęgę pieniądza dostatecznie, żeby wiedzieć, że bez pieniędzy walka z Willistonami będzie przegrana, choćby moralnie i etycznie była słuszna. Nie dopuści do tego, by Oliwia przegrała. Nie wyobraża jej sobie bez Richa ani chłopca bez matki. Co gorsza, nie wyobraża sobie gruboskórnego człowieka, jakim był Boyd Williston, wprowadzającego Richa w dorosłe życie.

Otworzyły się drzwi i Aleksander zobaczył idących w jego stronę Oliwię i Gilberta. Wyszedł z samochodu, otworzył Oliwii drzwiczki i ze zdumieniem powitał przyjaciela o tak wczesnej porze. Ledwie wyjechali za bramę, zobaczyli samochód Boyda. Gdy tylko ich zauważył, zapuścił silnik.

- No, świetnie! - skomentowała Oliwia. Jej obawy z powodu Boyda były odzwierciedleniem jej odczuć.

- Mam nadzieję, że pierwsi dotrzemy do Richa - powiedział Aleksander, kierując się w stronę rzeki Ashley.

- Ja też - odpowiedziała Oliwia. Oparła głowę o fotel. - On cię posłucha, Aleksandrze. Wiem, że najbardziej się liczy z twoim zdaniem.

Aleksandra rozpieła dumą, ale jednocześnie i żal. Między nim a Richem nawiązał się szczególny stosunek i czuł, że w przyszłości mógłby mieć dobry wpływ na chłopca, a tymczasem musi go zostawić i nigdy go już nie zobaczy. Nie dawało mu to spokoju, podobnie jak przygnębiające uczucie na myśl o tym, że niedługo będzie się musiał pożegnać również z Oliwią.

Boyd jechał tuż za nimi przez całe dziesięć kilometrów, ale kiedy zobaczył drogowskaz do plantacji Dryera i zorientował się, że tam zmierzają, przyspieszył, wyprzedził ich niebezpiecznie blisko i pomknął przed siebie.

— Kiedyś kogoś zabije — skomentował Aleksander, zwalniając nieco.

— Wszystko po to, żeby być pierwszy. — Oliwia

westchnęła. — Konkurencja jest dla Boyda najważniejsza. Zawsze była.

— A Rich jest nagrodą do wygrania?

- Niestety, tak. I musi wygrać za wszelką cenę, nawet kosztem Richa.

Droga rozwidlała się i Aleksander pojechał w prawo, w stronę plantacji. Bywał tam wiele razy, kiedy stanowiła ona wysepkę kultury, cywilizacji i luksusu wśród nie kończących się pól indyga i ryżu, szałasów z niewolnikami i cuchnących bagien. Teraz stał tu budynek pozbawiony mebli, a zwłaszcza ludzi, którzy ustanowili tu małe państwo feudalne w dziczy Południowej Karoliny. Bez Dryerów i toczącego się tu życia i śmierci, radości i tragedii, dom był pustym pudłem ustawionym na tle, trawników i dębów. Metalowa osłona oddzielała ścieżkę, prowadzącą do głównego domu. Błękitny sedan Boyda zaparkował tuż przy bramie. Musiał pójść dalej pieszo, ale Aleksander nie widział go w mroku wczesnego poranka. Może dotarł już do domu, bo sądząc z prędkości, z jaką ich wyprzedził, miał znacznie lepszy czas. Jeśli znajdzie Richa pierwszy, chłopiec może Bóg wie co zrobić - uciec? skryć się?

Wyszedł z Oliwią z samochodu, a za nimi wyjątkowo milczący Gilbert. Aleksander rozejrzał się. Uchwycił Oliwię pod łokieć, co już stało się niemal rytualnym gestem między nimi. Gilbert szedł z jej drugiej strony i spieszyli w stronę niewidocznego domu, nie odzywając się do siebie, zbyt pochłonięci najgorszymi przypuszczeniami. Raz czy drugi Aleksander przycisnął ramię Oliwii zbyt mocno, gdy myślał o Boydzie, ale ona nawet tego nie zauważyła.

Dom, który zwiedzała tydzień temu, wyglądał zupełnie inaczej niż potwór, jaki teraz wylaniał się z porannych mgieł. Nawet dwustuletnie dęby straciły swą dostojność i sprawiały wrażenie olbrzymich, strasznych łap, wyrastających z ziemi.

Szukała jakiegokolwiek śladu czy poruszającego się cienia, ale nie widziała niczego prócz cichych budynków i opadających gałęzi.

- Mówił coś o biwakowaniu nad rzeką — przypomniała Oliwia, gdy dobiegli na tyły rezydencji koło resztek fundamentów domku kucharza.

Najpierw sprawdzimy dom. Mógł tam szukać schronienia na noc. - Aleksander dotknął jej zimnych palców. -Zacznijmy od piwnicy, a potem pójdziemy na górę.

— Ja sprawdzę od frontu — zaproponował Gilbert.

— Dobrze. Spotkamy się za chwilę - odpowiedział Aleksander. — Zawołaj, jeśli coś znajdziesz.

Podobnie jak w domu Aleksandra, fundamenty domu Dryera umieszczone były częściowo w gruncie, częściowo ponad, z oknami wokół piwnicy. Przeszli pod białymi łukami i szli dalej po kamiennej podłodze. Zaglądali do wszystkich pomieszczeń i spiżarni, gdzie kiedyś ciężko pracowali niewolnicy między nierównymi kamiennymi podłogami a niskimi sufitami.

Nagle Aleksander zatrzymał się, a Oliwia, nie spodziewając się tego, wpadła nań.

— Słyszałaś? - szepnął.

— Nie, co?

Na pewno jego słuch był równie wyostrzony jak wzrok. Popatrzyła na niego.

— Słyszałem jakieś głosy. — Przechylił głowę i pokazał na prawo. - Tam.

— Może to Rich! Chodźmy!

Schwyciła go za rękę, żeby wycofać się tą samą drogą, którą przyszedł, lecz Aleksander skierował się w przeciwną stronę.

— Znam wewnętrzne schody — powiedział. — Chyba że je zamknęli.

— Byłeś tu kiedyś? — spytała. — To znaczy wtedy, dawno?

— Wiele razy. Chodź.

Zaprowadził ją do południowej ściany domu, gdzie ze spiżarni i piwnicy winnej prowadziła na piętro wąska kładka schodowa dla służby. Przejście było zakurzone i pełne pajęczyn, które Aleksander zmiatał ręką. Szli w milczeniu, niepewni, co lub kogo zobaczą. U szczytu schodów Aleksander otwierał drzwi powoli, centymetr po centymetrze, dopóki nie był pewien, że pomieszczenie, do którego weszli, jest puste.

Zagorzałą dyskusję było teraz słyszeć wyraźniej i Oliwia rozpoznała głos Richa. Podeszła cicho do drzwi, prowadzących do reprezentacyjnego salonu we wschodnim skrzydle. W holu pojawił się też Gilbert, który szedł teraz tuż za nimi. Słońce właśnie wschodziło, dając wystarczająco dużo światła, aby rozpoznać dwie sylwetki. Boyd stał przed Richem w lekkim rozkroku, z rękami na biodrach, w agresywnej pozycji. Naprzeciwko niego, plecami do kominka, widać było drobną figurkę Richa.

Oliwia oparła się o drzwi, odczuwając ulgę, że znalazła syna. Nie wchodziła dalej, zaciekawiona i zaniepokojona ich rozmową. Chciała się dowiedzieć, co jej dziecko myślało i dlaczego uciekło. Aleksander stanął za nią, trzymając rękę na jej ramieniu, żeby odczuwała jego wsparcie. Oliwia położyła palec na ustach, gdy Gilbert spojrzał na nią.

- Rich, nie masz wyboru - krzyczał Boyd. - Przestań się opierać i chodź.

- Nie!

- Nie możesz tu zostać.

- Nie wyjadę z Charleston. Mnie się tu podoba.

- W Seattle też ci się spodoba.

- Nienawidzę Seattle!

- Ale będziesz mieszkał ze mną.

- Nie chcę mieszkać z tobą. Chcę mieszkać w domu

pana Chaubere'a. Lubię ten dom!

Oliwia poczuła silniejszy uścisk Aleksandra.

- Rich. — Boyd podszedł do chłopca. — Jesteś moim synem. Chcę się tobą zająć.

- Już dawno byś mnie szukał, gdybyś tego chciał!

- Nie mogłem. Twoja matka utrudniała mi odnalezienie was.

Oliwia wzdygnęła się na to kłamstwo. Nie uciekła ani z Seattle, ani przed Boydem. To dzięki stypendium wyjechała z tamtych okolic, co zbiegło się w czasie z pierwszymi próbami Boyda, aby ich znaleźć. Już chciała się włączyć do rozmowy, gdy Rich krzyknął „kłamiesz” i uciekł od ojca na drugi koniec pokoju, gdzie kolejne drzwi prowadziły do głównego holu. Stał na progu.

- Słyszałem, co mówiłaś mamie. Nie możesz mieć więcej dzieci. Masz tylko mnie.

- To tylko część...

— Więc teraz, jak nie możesz mieć innych, to ja jestem dobry, chociaż w ogóle mnie nie chciałaś.

- Nigdy tego nie powiedziałem. - Boyd przeciągnął ręką po włosach, jakby zaskoczony konfrontacją z dzieckiem, które rozumiało znacznie więcej, niż mógłby wskazywać na to jego wiek.

— Nie musisz. Myślisz, że jestem głupi? A w ogóle kto powiedział, że chcę ciebie za ojca!

— Rich, jak możesz tak mówić? Nie znasz mnie. Wszystko, co mówiła o mnie twoja matka, to najprawdopodobniej kłamstwa! To kombinatorka. Znam takie kobiety.

- Nie! Jest najlepsza! Ona mnie kocha! - Rich otarł dłonią policzek i Oliwia zastanawiała się, czy płacze.

Chciała do niego podbiec, przytulić go i obiecać, że zawsze będzie go chroniła i kochała. Odsunęła się od drzwi, lecz delikatne ręce Aleksandra przytrzymały ją na miejscu. Zrozumiała w tym momencie, że lepiej będzie, gdy Rich bez przeszkód, sam, odbędzie tę rozmowę z ojcem.

Boyd podszedł w jego stronę, ale chłopiec wycofał się za drzwi.

- Nic cię nie obchodzi! - krzyczał Rich. - Chcesz tylko mieć dziecko, żeby się popisywać przed ludźmi. Widziałem takich tatusiów. Chcą, żeby ich synkowie wygrywali w piłkę i mieli dobre stopnie, ale nie poświęcają im czasu. Są zapracowani. Traktują dzieci jak rzeczy, a nie jak ludzi.

— Przestań, Rich, przecież ty tak nie uważasz!

- A właśnie, że tak! - Rich odwrócił się i wskazał na Aleksandra. — Pan Chaubere był bardziej moim ojcem niż ktokolwiek inny!

Boyd obrócił się, ze zdumieniem zauważając milczącą publiczność.

— Jego bym wybrał na ojca! — oświadczył Rich. — Nie ciebie! Boyd spojrział na Aleksandra, wściekły i zdezorientowany.

Nagle, podjąwszy decyzję, że tylko siłą może poradzić sobie z Richem, złapał chłopca za ramię i popchnął przed sobą. Rich zaczął kopać, wrywać się i upadł przed drzwiami.

- Nigdzie z tobą nie jadę! - krzyknął. - Nie jadę!

Nagle zerwał się na równe nogi i uciekł.

- Wracaj tu, gówniarzu! - ryknął Boyd, a Aleksander, Oliwia i Gilbert rzucili się za nim w pogoń.

Rich popędził na następne piętro, gdzie znajdowała się sala balowa i główna sypialnia. Szarpał się trochę z drzwiami do sypialni i w tym momencie dopadł go Boyd. Razem wtoczyli się do sypialni, a tuż za nimi wbiegli Oliwia i Aleksander, którzy zamarli ze zdumienia.

W sypialni stał Jimmy Dan Petersen, pijak, który kiedyś zaatakował Oliwię na ulicy i jeszcze jeden mężczyzna, który przy długim Jimmym wydawał się niski i krępy. U ich stóp leżała ortalionowa torba, jakiej używa się do noszenia sprzętu sportowego. Była niedomknięta i wystawały z niej gałki od drzwi i inne drobne części wyposażenia. Oliwii przypomniało się, że w czasie zwiedzania muzeum przewodnik opowiadał, jak jest systematycznie okradane, a kradziony towar skupują handlarze antyków. Niższy miał wciąż w rękę śrubokręt, lecz Jimmy Dan trzymał pistolet. Jakby rozbawiony jej oburzeniem, roześmiał się szyderczo.

- No, no. — Zakołysał się na piętach. - Znów się spotykamy, laluniu.

Oliwia nawet mu nie odpowiedziała. Słyszając to powitanie Boyd wstając, odwrócił głowę w jej kierunku. Rich też wstał, patrząc na to wszystko przerażonym wzrokiem.

Jimmy Dan znów zaczął:

- Już żeśmy myśleli, że nigdy nie skończycie tego cholerowania, tam na dole. Przez was żeśmy się tutaj zakłopsowali.

- Przed wami dzień pełen interesów, co? - odezwał się Aleksander, wychodząc do przodu, jakby gotów bronić pozostałych.

- Nie tak szybko - ostrzegł Jimmy Dan, celując w pierś Aleksandra. Zmienił się na twarzy. — Hej, myślałem, że cię nieźle pochlastałem wtedy.

- Nie mam nic do ciebie, jeśli teraz dasz nam odejść.

- Dobrze! Nic się nie nauczyłeś? - warknął Jimmy Dan. - Zacznieś coś kombinować, to cię tym razem wykończę, jasne?

- Puść tamtych, Petersen.

- Widzieli moją twarz. Ta laleczka zna nawet moje nazwisko. Myślisz, że znów chcę iść na państwowy wikt? Zwariowałeś chyba!

- Puść tylko chłopaka z ojcem. Oni cię nie znają.

- Mogą mnie rozpoznać u gliniarzy. — Jimmy Dan

wycelował teraz w Boyda. - Nie. Zostają.

Na te słowa Boyd mocniej schwycił Richa i ustawił przed sobą. Zbladł i ręce mu się trzęsły, gdy cofał się, zasłaniając się Richem. Oliwia nie mogła uwierzyć, że zrobił z Richa żywą tarczę. Ryzykował życie syna, by ratować własne!

- Rich! — krzyknęła.

- Stać! - warknął Jimmy Dan, rzucając się do przodu. Później wszystko rozgrywało się przed oczyma Oliwii jak film w zwolnionym tempie. Rich szybkim wykręceniem bioder i kopaniem na boki wytrącił broń Jimmy'emu w chwili, gdy Aleksander rzucił się, by powalić bandytę na ziemię. Silne kopnięcie Richa odrzuciło go wraz z Boydem na podłogę, a padając podcięli Gilberta. Broń wyleciała przez otwarte drzwi sypialni.

Aleksander i Jimmy Dan kotłowali się w drzwiach, biorąc się za gardła. Rich zerwał się i odsunął od Boyda, który wstał i ciężko dysząc, zaczął się kierować w stronę schodów. Oliwia przypomniała sobie o broni i uświadomiła, że ktoś musi się nią zająć, nim Jimmy Dan sięgnie po pistolet. Odwróciła się i w tym momencie zauważyła, jak kompan Jimmy'ego nachyla się i unosi broń eleganckim ruchem, jak z baletu śmierci.

Podbiegł i wycelował, ale celem jego był nie Aleksander, nie Gilbert, ale Boyd, którego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle okien u szczytu schodów. Usłyszała chrzęst spustu, wystrzał i zobaczyła twarz Boyda pełną zdumienia, nim się zachwiał, skulił i upadł, turlając się po schodach, aż znikł z jej pola widzenia.

Oliwia, zelektryzowana tymi wydarzeniami, będąc w szoku, obróciła się i sięgnęła ręką do torby z kradzionym towarem. Wyciągnęła garść gałek od drzwi, przywiązanych do mosiężnego pręta. Skoczyła do krępego typa z bronią i nim się odwrócił, żeby strzelić do Aleksandra, z całej siły uderzyła go mosiężnym urządzeniem w głowę. Z jękiem opadł na kolana, a wtedy uderzyła znowu. Z przerażeniem zobaczyła, że zwałił się na nogi nieprzytomnego teraz Jimmy Dana. Znowu uderzyła człowieka. Najpierw Boyda, a teraz tego typa. Nigdy dotąd to się jej nie zdarzyło.

Gdy stała tak, poruszona widokiem złodzieja leżącego na podłodze, Aleksander złapał broń i skoczył na równe nogi. Popatrzył z troską na Oliwię, lecz nim zdołał cokolwiek powiedzieć, w drzwiach pojawił się Gilbert. Spojrzał na rozłożone na podłodze ciała, a później ze zdumieniem na Oliwię.

— Jak to mówią w barbarzyńskiej Anglii — zażartował

dobre przedstawienie, Oliwio.

Uśmiechnęła się słabo. Nogi jej się trzęsły, gdy przechodziła nad Jimmym i jego kompanem. Była zbyt wstrząśnięta swoim aktywnym udziałem w przemocy, żeby się odezwać.

— Rich! - zawołała, wbiegając do sali balowej. Stał u góry schodów, ale gdy go zawołała, zbiegł na dół i rzucił się w jej ramiona. - Rich, nic ci nie jest?

— Mamusi! — Zapłakał, ściskając ją z całej siły. — Przepraszam! Ale ja nie chciałem z nim jechać.

— Wiem, synku, wiem.

Jedną ręką obejmowała go za ramiona, drugą gładziła po kasztanowych włosach. Czuli teraz, że zawsze będą się kochać i zawsze będą sobie bliscy, nawet jeśli kiedyś będzie ich dzieliło wiele kilometrów. Choć Willistonowie pragnęli im ją zabrać, miłość będzie ich zawsze łączyła, teraz i w przyszłości.

— Och, Rich! Dzięki Bogu, że jesteś bezpieczny!

— W porządku, mamó, naprawdę. — Zerknął za siebie.

— Ale musisz iść na schody. Myślę, że mój oj... że pan Williston nie żyje.

Rozdział 23

Oliwia zbiegła z Richem w dół po schodach. Wokół głowy Boyda pojawiła się szkarłatna kałuża krwi. Leżał nieruchomo, z rękami tak nienaturalnie wygiętymi, że była pewna jego śmierci.

- Nie podchodź, Rich - poprosiła Oliwia, zatrzymując się w połowie schodów, gdy zdała sobie sprawę, że widok jest zbyt makabryczny dla dziecka. — Sama sprawdzę. Zostań tu.

- Wytrzymam to, mamó.

- Niczego sobie nie udowodnisz, oglądając ojca w tym stanie. A możesz później tego żałować.

- Nie będę. Przecież nic dla mnie nie znaczył.

Oliwia odwróciła się i schwyciła go za rękę.

- Cokolwiek by było, Rich, ten człowiek był twoim ojcem. Kiedyś o nim pomyślisz, zapewniam cię. I nie chcę, żebyś miał w pamięci taki jego obraz. Rozumiesz?

Aleksander zszedł za nimi po schodach.

- Posłuchaj mamy, Rich - powiedział. - Ona ma rację.

- Dobrze.

Aleksander położył mu rękę na ramieniu.

- A swoją drogą, Rich, świetnie pracowałeś nogami, kiedy kopnąłeś ten pistolet.

—Zrobiłem tak, jak pan mnie uczył!

—Rzeczywiście. Prawdopodobnie dzięki temu uratowałeś nam życie, synu.

Rich poważnie pokiwał głową, a Aleksander potargał mu włosy. Potem zszedł niżej i stanął obok Oliwii.

—Nie żyje — stwierdziła.

—Tak myślałem.

—Nigdy nie przypuszczałam, że tak się to skończy.
-Popatrzyła na ciało Boyda. - Nie tak.

— Jak się czujesz? — spytał zatroskanym głosem. Podniosła oczy na Aleksandra.

— W porządku. A ty?

—Trochę posiniaczony. Idę do samochodu zadzwonić po policję. Nie ruszaj go. — Wskazał głową w stronę Boyda. —

Gilbert będzie trzymać Petersena i jego przyjaciela na muszce, dopóki nie wrócę.

Oliwia poczuła się nagle niesłychanie zmęczona, a jednocześnie odczuwała ulgę, że niebezpieczeństwo wreszcie minęło.

—Aleksandrze?

—Słucham?

—Dziękuję za pomoc. Wspięła się, żeby go pocałować, i byłaby szczęśliwa, gdyby

musnął jej wargi, ale Aleksander otoczył ją mocno ramionami i otworzył usta. Z westchnieniem objęła go w pasie i przycisnęła tak mocno, jak przed chwilą uścisnął ją Rich. W ich pocałunku była ulga, radość i wzajemny szacunek. Trzymała go tak dłuższą chwilę, aż w końcu Aleksander powoli oderwał się od niej i otworzył oczy. Przejechał kciukiem po jej wardze.

—Zaraz wracam - zamruczał - i wkrótce wszyscy wrócimy do domu.

—Pospiesz się.

Trzymali się jeszcze za ręce, gdy schodził ze schodów. Dopadł wielkimi susami do holu i znikł. Oliwia westchnęła i popatrzyła na syna, który stał na górze schodów i obserwował ich, uśmiechając się od ucha do ucha.

—Idę pomóc panu du Berry - rzucił zarumieniony.

Pobiegł, zostawiając Oliwię stojącą w zadumie nad szczątkami Boyda Willistona III.

Choć Aleksander obiecał, że wkrótce wrócą do domu, o dziesiątej rano wciąż jeszcze byli na plantacji. Przyjechała policja, sędzia śledczy, a później przesłuchiowano wszystkich po kolei, żeby skonfrontować zeznania i zapobiec fałszywym alibi. Następnie przepytowano ich w grupie. Oliwia musiała wiele razy wyjaśniać, dlaczego Boyd planował zabranie jej Richa i jak ją chciał zastraszyć. Była już tak zmęczona, że chciało jej się krzyczeć. Tylko cicha obecność Aleksandra pozwoliła jej być silną i nie rzucić się na oficerów, którzy jej z początku nie wierzyli, i nie rozplakać się, kiedy musiała wyjaśniać, dlaczego nie chciała, aby Willistonowie wychowywali jej syna.

W końcu, o dziwo, przyszedł jej z pomocą Gilbert. Słuchał ostatnich wyjaśnień, niecierpliwie pukając nogą.

— *Alors, messieurs* - oświadczył. - Czy nie macie litości? Czy nie widzicie, że ta kobieta pada ze zmęczenia?

Policjanci popatrzyli na siebie.

— Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zajmowała się poszukiwaniem syna. Czy nie widzicie, że jest na umarłych nogach?

Oliwia spuściła głowę, starając się powstrzymać uśmiech. Gilbert stanął za nią i położył swe wąskie dłonie na jej ramionach.

— Jest zmęczona. Jest głodna i przygnębiona. Nie chciała, żeby stała się krzywdą panu Willistonowi, temu draniowi. Nie możecie stwierdzić, że jest niewinna jego śmierci? Sam ją na siebie sprowadził. Strzelanie zaczęło się dopiero wtedy, gdy zrobił tarczę z chłopca.

— Bardzo wygodnie dla niej — podsumował jeden z policjantów.

— Wydaje się dogodnie, ale jest to synchronizacja, panowie, najwyższego stopnia, *non*? Nic więcej.

— Może tak, a może nie. Nie wiemy jeszcze, czyje ślady znajdziemy na broni.

Inny oficer odsunął kapelusz i podrapał się w głowę.

— Każda ława przysięgłych w stanie Karolina Południowa uznałaby tę wspaniałą damę za niewinną - dodał Gilbert.

Oficer pokręcił głową.

— Dobra - powiedział wstając. - Poprosimy sierżanta, żeby nie pisał żadnych oskarżeń. Jesteście wszyscy wolni, tylko nie wyjeżdżajcie z miasta na wypadek, gdybyśmy musieli jeszcze o coś spytać.

Oliwia ścisnęła palce Gilberta z wdzięcznością. Aleksander objął ją ramieniem i wyprowadził z domu Dryera. Za nimi szedł Rich ze swoją torbą, a pochód zamykał Gilbert. Przeszli obok wozu policyjnego, w którym siedzieli Jimmy Dan i jego kompan, zakuci w kajdanki. Dowlekli się do głównej bramy, za którą stał zaparkowany ich samochód. Drogę ograniczała żółta taśma, tworząca barierę, zamykając wstęp na plantację turystom i ciekawskim. Aleksander uniósł taśmę, żeby mogli wyjść. Później otworzył samochód i usiadł na miejscu kierowcy. Oliwia była mu za to wdzięczna, bo sama już ledwo się poruszała.

— Czy mogę usiąść z przodu z panem Chaubere'em? - spytał Rich, patrząc na matkę.

Było jasne, że chłopiec waha się między lojalnością w stosunku do matki a chęcią jechania z Aleksandrem. Teraz jednak nie było między nimi rywalizacji ani zazdrości. Oliwia cieszyła się, że Rich uwielbia Aleksandra, i że taki człowiek - czy był rzeczywiście człowiekiem, czy nie — tak chętnie zajmuje się jej synem.

— Oczywiście - powiedziała. - Usiądę z tyłu z panem du Berry.

— Cudowna perspektywa. — Gilbert mrugnął.

Aleksander uniósł brew.

— Kiedy ty się w końcu nauczysz prowadzić, Gilbert, i pozwolisz mnie siadać z tyłu z paniami?

— *Jamais, mon ami* — powiedział Gilbert ze śmiechem. — Nigdy!

Oliwia zwróciła się do Gilberta.

— Nie umiesz prowadzić samochodu? To niezwykle w tych czasach.

— Jestem niezwykle człowiekiem - odpowiedział, lekko wzruszając ramionami.

— To samo powiedział o sobie Aleksander.

— Och, Aleksander i ja jesteśmy ulepieni z tej samej gliny.

Oliwia wpatrywała się w niego zastanawiając się, co miał na myśli, ale nie spytała. Dość miała wrażeń na jeden dzień. Później będzie zadawała pytania, jak odpocznie.

Gdy Oliwia i Rich zdrzemnęli się po południu, Aleksander odszukał Gilberta: siedział na balkonie i delektował się brandy. Gilbert uniósł głowę, gdy usłyszał wchodzącego przyjaciela.

— Przyłapałeś mnie na podkradaniu twoich trunków.

Aleksander machnął ręką.

— Wiesz, że ci niczego nie żałuję, Gilbercie. Myślałem tylko, że jesteś w drodze do swojego hotelu.

— Chciałem tu posiedzieć przez chwilę i popatrzeć na ogród. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Jest tu teraz tak zacisznie z tym widokiem.

— Bardzo pięknie, prawda? - Aleksander podszedł do niego i nalał sobie odrobinę koniaku. Trzymając kieliszek oparł się o balustradę i wychylił się, spoglądając na statwę i stawkę. — Kiedy Oliwia skończy ogród, będzie cudowny. Żałuję, że nie zobaczę gotowego dzieła.

Gilbert pokiwał głową.

— Teraz już rozumiem, dlaczego się w niej zakochałeś. Nieczęsto spotyka się takie kobiety.

— Jest wyjątkowa. - Aleksander czuł miłe ciepło w gardle, gdy przelykał brandy. — Dla mnie stanowi zakończenie długich poszukiwań.

— Myślałem, że wyjeżdżasz?

— Tak. Ale wyjeżdżam w przekonaniu, że znalazłem coś takiego jak prawdziwa miłość.

— Powiedziałeś jej to?

— Nie. To tylko skomplikowałoby sprawy, kiedy wyjadę.

— Jaka szkoda! — westchnął Gilbert.

Aleksander wypił jeszcze łyk, żeby rozpuścić twardą kulę w przelyku. Przelknął i wyprostował się.

— Napisałem nowe dokumenty. Złożyłem je u adwokata, ale chcę, żebyś też wiedział.

— O czym ty mówisz, Aleksandrze?

— Zapisałem dom Oliwii. Ona należy do niego, a więc i on powinien należeć do niej. Połowę mojego majątku zostawiam jej, drugą połowę dostaniesz ty.

— Nie przejmuj się mną, Aleksandrze. Ja mam dosyć,

wiesz o tym.

— To moja decyzja.

— Bardzo dobrze. — Gilbert wzruszył ramieniem. —
A co będzie, jeśli nie umrzesz?

— Zaczę od nowa.

— Z niczym?

Aleksander uśmiechnął się smutno.

— To nie będzie takie trudne. Wiesz zresztą, że lubię
ambitne zadania.

Gilbert chodził po balkonie.

— Martwi mnie to. Ty będziesz w Ameryce
Południowej, a ja tutaj. Nie będę wiedział, co się z tobą
dzieje, czy cierpisz, czy umierasz...

— Nie ma innego wyjścia.

— Ale ty i ja... Jesteśmy starymi przyjaciółmi. -
Dotknął ręką piersi. Starymi. Nie mogę sobie wyobrazić
życia bez ciebie.

Popatrzył na Aleksandra bardzo poważnie i ten po raz
pierwszy zdał sobie sprawę, jak olbrzymi wpływ będą miały
jego poczynania na najbliższego przyjaciela. Jednak nie było
już odwrotu.

— Gilbercie — zaczął, stawiając kieliszek na stole. —
Musisz o mnie zapomnieć. Albo umrę na skutek tego
rozległego eksperymentu, albo przeżyję swoje dni jako
śmiertelnik i umrę śmiercią naturalną. W każdym przypadku
nasze drogi rozejdą się, często rozchodzą się na tym świecie
drogi przyjaciół.

- Ależ, Aleksandrze! Jak ja będę żył?

- Tak jak do tej pory. Masz milion przyjaciół, poznasz
milion nowych.

- Ale żaden nie będzie taki jak ty, *mon ami*.

Gilbert odwrócił się nagle plecami. Aleksander pewien
był, że płacze, i nie miał pojęcia, jak zareagować. Płaczący
Gilbert to było coś zaskakującego. Nie bardzo miał ochotę,
żeby wypłakiwał się na jego piersi, ale podszedł i położył
mu rękę na ramieniu.

- Dlaczego nie możesz zostać przynajmniej tak długo,
aż się wyjaśni, co cię czeka?

- Tak długo, jak będę w jej pobliżu, moje ciało będzie
pod jej wpływem i mój stan będzie się pogarszał. Nie
byłbym w porządku wobec niej.

- Myślisz tylko o niej — narzekał Gilbert i wbił wzrok
w Aleksandra. — Nie tylko ona cię kocha.

Aleksander popatrzył na niego, ale nie chciał prosić o
wyjaśnienie, wiedział, kogo Gilbert miał na myśli.

- Pozwól mi jechać z sobą do Ameryki Południowej.
Będę cię pielęgnował, jeśli zachorujesz, albo pomogę ci się
urządzać.

Wiesz, że zupełnie nie masz gustu, Aleksandrze, i jesteś
prawie daltonistą. Jak można w takich warunkach urządzać
dom?

Aleksandra bardzo wzruszyła jego troska.

- Twoje towarzystwo zawsze było i jest mi miłe, ale twoja obecność tutaj będzie konieczna, żeby załatwić moje sprawy.

- A później, jeżeli będziesz mnie potrzebował?

- Mówię ci szczerze, Gilbercie — Aleksander schwycił go za ramiona - że te ataki występują coraz częściej i są coraz ostrzejsze. Nie chcę, żebyś był świadkiem mojej niemocy i mojego końca. Chcę, żebyś mnie zapamiętał na zawsze takiego, jaki jestem teraz.

- Dobrze, mój przyjacielu. Trudno, nie mogę zwalczyć twojej dziwnej determinacji, żeby umrzeć. Ale życie bez ciebie będzie dla mnie jak wyrok więzienia.

Odsunął się od Aleksandra i wyszedł z podniesioną głową, nie oglądając się. Aleksandrowi żal było przyjaciela. Nie zdawał

sobie sprawy z więzów, jakie ich łączyły. Podobna rozmowa z Oliwią przyniesie jeszcze więcej bólu.

Ręce mu się trzęsły, gdy nalewał sobie następny kieliszek. Musi się wzmocnić przed dzisiejszym pożegnaniem z Oliwią i Richem. Teraz, gdy Boyd Williston przestał im zagrażać, nie było potrzeby, by zostawał dłużej, a czas pracował teraz na jego niekorzyść. Im więcej go spędzi z Richem i Oliwią, tym bardziej się do nich przywiąże i tym trudniej mu będzie wyjechać. Pożegna się dzisiaj i wyjedzie do Savannah, gdzie cumuje jego statek. Za kilka dni „Bon Aventure” wyjdzie w morze. Spędzi ten czas na statku, żeby jak najprędzej wyruszyć do Ameryki Południowej.

- Za przygodę - wznosił głośno toast.

Usiłował wyobrazić sobie Rio, podniecającą atmosferę nowego miasta, obcych ludzi i nie znanego języka. Słyszał, że portugalski brzmi bardzo romantycznie. Od wielu lat nie uczył się już żadnego języka. Ale tym razem żądza przygody nie działała na niego tak jak niegdyś. Widział tylko twarz Oliwii i jej niebieskie oczy spoglądające na niego z powagą. Przymknął powieki i poczuł aksamitne miękkie usta, drobne ręce na swojej twarzy, i przypomniał sobie jej ciało, wtulone w niego, dopasowane, jak na miarę.

- Nie! — jęknął i zacisnął pięści tak mocno, że zgniótl trzymany w dłoni kieliszek.

Na przeciętej dłoni pojawiła się jasnoczerwona krew. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że napływa do rany, zaraz zbierze się i popłynie na rękę. Jednak krew znikła, a rana zmieniła się w gładką bliznę, jak pozostała.

- Nie! - znów jęknął, opierając się o balustradę, zrozpaczony. Wciąż nie krwawił. Wciąż był nieśmiertelny. Wybryk natury. A w życiu Oliwii nie może być miejsca dla takiego potwora.

Oliwia i Rich siedli właśnie do lekkiego posiłku - zupy i kanapek, gdy ktoś zapukał do drzwi. Oliwia spojrzała na

Richa i nie byli pewni, czy je otwierać, czy siedzieć cicho. Wspomnienie Boyda jeszcze długo ich nie opuści.

- Ja pójdę - zaoferował się Rich.

Przytrzymała go ręką.

— Nie, zostań tu. Ja otworzę.

Pełna mieszanych uczuć podeszła przez salon do drzwi. Zajrzała przez judasza i odetchnęła z ulgą. Natychmiast otworzyła drzwi Aleksandrowi.

— Cześć — powitała go. —

Wchodź. Przeszedł obok niej i zatrzymał się.

— Znow wam przeszkadzam w kolacji.

- Nie szkodzi.

Nie mogła napatrzeć się na jego zgrabną figurę. Ubrany był w czarne dżinsy i ciemnozieloną koszulę, która podkreślała złocisty odcień jego skóry.

- Nie, przyjdę później.

Rich odwrócił się w jego stronę.

—Chce pan zupy? To jest krem z brokułów. Moja mama robi najlepsze zupy, nawet jeśli są z samych jarzyn.

Oliwia pokręciła głową, śmiejąc się z nieustających wysiłków Richa, żeby ją jak najlepiej zaprezentować Aleksandrowi. Uśmiechnął się do niej, ale w jego oczach czaił się smutek, który widziała już tyle razy. Poczula woń koniaku. Pił? Dlaczego?

Dotknęła jego łokcia.

—Wejdz, proszę. Siądź z nami.

—Pod warunkiem, że usiądziesz, skończysz kolację i nie będziesz się mną zajmować.

- Obiecuję.

- Mam panu przynieść zupy? - spytał Rich, unosząc się z krzesła.

- Nie, dziękuję, Rich. Wygląda wspaniale, ale już jadłem. Rich usiadł na swoim miejscu, a Oliwia odsunęła krzeselko.

- Czy mogę ci coś przynieść, Aleksandrze? Może kawy?

—Nic, Oliwio. Po prostu tu posiedzę, jeśli pozwolisz. Rozmawiali o nieważnych sprawach, o ogrodzie, o tym, co może się stać z Willistonami. Temat ten przestał być groźny. Aleksander pomógł im posprzątać kuchnię, tak jak za pierwszym razem, gdy tu był, co wydawało się wieki temu. Oliwia parzyła kawę, a Rich pokazywał Aleksandrowi plakaty z samochodami w swoim pokoju. Gdy kawa była gotowa, naląła do dwóch filiżanek, kapnęła mleka do filiżanki Aleksandra i zaniósła do pokoju Richa. Siedzieli obaj na łóżku i rozmawiali.

Oliwia zatrzymała się przy drzwiach, trzymając kubki w rękach.

- Chcę, żebyś wiedział, Rich - mówił Aleksander - że byłem bardzo dumny dzisiaj, kiedy powiedziałaś, że

wybrałbyś mnie na ojca.

- Ja mówiłem prawdę.
- Wiem. I ma to dla mnie ogromne znaczenie. - Objął go na chwilę ramieniem w krótkim męskim uścisku. — Nikt jeszcze tak o mnie nie powiedział.

- Dlaczego? Jest pan fajnym facetem.
- Nie znałem zbyt wielu dzieci. Ale gdybym miał syna, to chciałbym, żeby był właśnie taki jak ty. Bardzo mi dziś zaimponowałeś.

Rich opuścił głowę, zawstydzony pochwałą. Aleksander klepnął go w kolano i wstał.

- Mama mówiła ci, że niebawem opuszczę Charleston, prawda?

- Tak, ale niezupełnie rozumiem, dlaczego musi pan wyjechać.

- Planowałem tę podróż na długo przed tym, nim poznałem twoją mamę i ciebie, i muszę ją odbyć. Ale chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- A co?

- Chciałbym, żebyś się zaopiekował moimi modelami.

- Oczywiście, ale...

- Chcę, żebyś je wziął, Rich. Ty je docenisz i będziesz o nie dbał.

- Ale nie będzie pan kiedyś chciał ich z powrotem?

- Może, ale wątpię. Wolę, aby żyły z tobą, a nie czekały w pudle na nieobecnego właściciela.

Rich popatrzył na niego i przeciągnął ręką po głowie.

- A co z moją mamą? Mógłby pan to jakoś załatwić, żebyśmy mogli tu nad garażem mieszkać nawet, jak się nowi wprowadzą do rezydencji?

- Jacy nowi?

- Ludzie, którzy kupią pański dom.

- Nie będzie żadnych nowych. Postanowiłem, że oddam ten dom tobie i twojej mamie.

- Co? - Oliwia zakrztusiła się, omal nie wylewając kawy.

Zwrócił się do niej.

- Ty i ta posiadłość pasujecie do siebie. Chciałbym, abyś ją miała.

- Ależ, Aleksandrze.

- Miło będzie pomyśleć, że w moim starym domu mieszkają ludzie, którzy o niego dbają. W twoich rękach rezydencja Chaubere'ów może się znów stać chlubą Charleston. Poza tym będę przynajmniej spokojny, że ty i Rich do końca życia macie gdzie mieszkać.

- Ależ to niezwykła szczodrość! Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Nie mów nic. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, Oliwio, prawda?

- Tak, byliśmy.

Ręce jej się trzęsły, gdy to mówiła.

- To jest wystarczające podziękowanie. Dobrych

przyjaciół rzadko się spotyka. Bardzo rzadko. — Zwrócił się znów do Richa. — Więc nie musisz się martwić o mamę. Możecie teraz żyć spokojnie, prawda?

- Jasne! - odrzyknął radośnie Rich, ale jego entuzjazm opadł. — Tylko bez pana nie będzie już tak samo.

Oliwia spojrzała na Aleksandra, gdyż jej serce krzyczało to samo.

- Będzie dobrze, zobaczysz.

- Ale...

- Wyjeżdżam dziś wieczorem. Chciałem wam tylko powiedzieć do widzenia. Miałem wielkie szczęście, że was poznałem.

Oliwia zagryzła usta i powstrzymywała łzy, a Rich patrzył na Aleksandra wilgotnymi oczyma.

- Dzisiaj? - zawołał, zdumiony. - Nie, panie Chaubere!

-A co z moimi lekcjami szermierki? A mój francuski i karate?

- Rich!

Aleksander nachylił się i przyciągnął chłopca do siebie. Rich zarzucił mu chude rączki na szyję i skrył twarz w jego koszuli. Na widok Richa w objęciach dorosłego mężczyzny w oczach Oliwii pojawiły się łzy. Chłopiec nigdy nie znał ojca, nigdy nie doświadczył takiej bliskości mężczyzny, a ledwie się to zaczęło, już musiało się skończyć. Dlaczego życie jest takie niesprawiedliwe dla niektórych dzieci?

- Muszę iść, Rich — wyjaśnił łagodnie Aleksander. — Obiecuję, że będziesz dbał o mamę.

- Będę. - Głos małego był ledwo słyszalny. - Ale jak pan może nas zostawiać? Myślałem, że pan ją lubi. Widziałem, że pan ją całował, jakby to było naprawdę.

- Było. I bardzo lubię twoją mamę - odpowiedział, gładząc chłopca po głowie. - Ale przyszedł czas, że muszę wyjechać. Muszę. - Westchnął ciężko. - W porządku już?

Mały pokiwał głową i starał się ukryć łzy, ale Oliwia widziała jego zaczerwienione oczy i mokre policzki. Chaubere trzymał ręce na jego ramionach.

- Czy potrafisz powiedzieć do widzenia po francusku, jak cię nauczyłem?

Rich otarł oczy i spojrzał w górę.

- *A bientôt.*

- To znaczy do zobaczenia wkrótce, a nie żegnaj.

- Wiem.

- Rich — westchnął Aleksander ze smutkiem.

- Tylko to powiem. *A bientôt.* - Wyciągnął rękę i zmusił się do dziarskiego uśmiechu, który rozdzierało serce Oliwii.

- *Adieu, Richard.* - Aleksander uśmiechnął się do niego; Obrócił się i wyszedł z pokoju, przechodząc obok Oliwii i nie patrząc w jej stronę.

- Nic ci nie jest? — spytała syna.

- Nie. Czy możesz zamknąć moje drzwi?

- Jasne.

Przełożyła drugą filiżankę do lewej ręki, cicho zamknęła drzwi prawą i poszła za Aleksandrem. Czy dla niej nie ma żadnych słów na pożegnanie? Żadnego uścisku? Postawiła nietknięte kawy na kuchennym stoliku i pospieszyła za nim.

— Aleksandrze! - zawołała.

Rozdział 24

Czy masz zamiar odejść z mojego życia, tak po prostu?

Aleksander stanął, trzymając rękę na klamce. Nie odwrócił się jednak.

- Oliwio, nie mogę teraz mówić.

Poznała po głosie, że był bardzo przygnębiony. Stała na środku pokoju, nie wiedząc, co zrobić, bardzo poruszona jego trudnym pożegnaniem z Richem.

- Proszę - powiedziała - nie wyjeżdżaj bez pożegnania ze mną.

- Nie. - Otworzył drzwi, wciąż nie patrząc w jej stronę.

-Spotkajmy się koło lilii o jedenastej, dobrze?

- Dobrze.

Aleksander znikł w mroku schodów, a Oliwia podbiegła do okna i patrzyła, jak idzie poprzez ogród z opuszczoną głową. Potem znikł z jej pola widzenia i poczuła się bezgranicznie samotna.

Teraz będzie tak przez całe życie. Jak Aleksander Chaubere opuści Charleston, samotność będzie jej dokuczała znacznie bardziej niż dotychczas. Ponieważ nigdy przedtem nie kochała mężczyzny tak naprawdę, była w stanie znieść swe samotne życie. Jednak po zakosztowaniu, choć w niewielkim stopniu, życia z Aleksandrem, nigdy już nie zadowoli się samotnością.

Weszła do pokoju Richa i ze zdumieniem i ulgą zobaczyła, że śpi. Ostatnie wydarzenia musiały go naprawdę wykończyć. Pocałowała wystający spod kołdry policzek, szczęśliwa, że mały śpi we własnym łóżku, cały i zdrowy, i Boyd nie zagraża ich przyszłości. Szkoda tylko, że nigdy nie

będzie miał prawdziwego ojca, co odbije się na całym jego życiu. Otuliła go, zgasiła lampkę nocną i wyszła z pokoju.

Dla zabicia czasu wzięła długą kąpiel, żeby zmyć z siebie ostatnie dwa dni. Starła się nie rozplakać. Skoro Aleksander uznał swój wyjazd za konieczny, uszanuje jego wybór i nie będzie objawiać swojego bezgranicznego żalu.

Wysuszyła włosy, posmarowała ciało balsamem i ubrała się w bawełnianą lawendową sukienkę z ciemniejszymi fioletowymi wykończeniem. Wykrzywiła się do siebie w lustrze, a potem położyła na policzki trochę rózu, chociaż było jasne, że żadne kosmetyki nie ukryją rozpacz, malującej się na jej twarzy.

Uporządkowała łazienkę i gdy włożyła sandały, była już prawie jedenasta. Napisała karteczkę, że poszła do ogrodu porozmawiać z Aleksandrem, na wypadek gdyby Rich się obudził.

Na dworze poczuła nocne powietrze na odsłoniętych ramionach, ale było zaledwie kilka stopni chłodniej niż w domu. Przeszła wśród oleandrów do ścieżki wokół rezydencji. Idąc układała sobie mowę do Aleksandra. Powie mu, jak dobrze jej się dla niego pracowało, jakie to wspaniałomyślne, że ofiarował jej dom i jaka jest wdzięczna za zajmowanie się Richem. Nie powie ani słowa o tym, że zmienił jej opinię o mężczyznach, że nie jest już zgorzkniała i że bardzo chciałaby go mocno objąć i być tak obok niego już na zawsze, niezależnie od tego, kim lub czym jest. Pomyślała, że nie odważy się tego powiedzieć, bo wtedy z pewnością wybuchnie płaczem.

Gdy doszła pod wierzbę, Aleksandra jeszcze nie było. Oparła się o pień drzewa i patrzyła w noc. Przez mgielkę wierzbowych gałęzi widziała błyszczącą tafłę stawu i spokojny profil Wenus. Daleko za nią i azaliami wznosił się żelazny płot, dalej była ulica. Na chodniku stała jakaś para i trzymając się za ręce patrzyła, jaka zmiana nastąpiła w posiadłości Chaubere'a, tak jak to robili ostatnio inni ludzie. Pewna, że oni jej nie mogą widzieć, przyglądała się im i przypominała sobie, jak cudownie było iść ramię w ramię z Aleksandrem. Zobaczyła, jak się przelotnie pocałowali i odeszli, a ona poczuła się jeszcze bardziej opuszczona.

Po chwili usłyszała delikatny brzęk za sobą, jakby szkła o szkło i zobaczyła nurkującego pod gałęziami Aleksandra, ze zwiniętym pod pachą kocem, trzymającego w ręku karafkę i dwa kieliszki. Zatrzymał się, gdy zobaczył, że odsunęła się od drzewa. Ona patrzyła, niezdolna wypowiedzieć żadnych słów, które ugrzęzły jej w gardle. Zresztą żadne nie oddadzą jej uczuć, skoro widzi go po raz ostatni.

Jego również ogarnęło podobne uczucie. Przez chwilę stał, nic nie mówiąc, i patrzył na nią. W końcu podał jej koc.

- Gdybyś mogła go rozłożyć, Oliwio - powiedział - to ja naleję koniak.

- Jasne.

Rozłożyła koc na mięciutkim mchu, a Aleksander nalał dwa kieliszki i oparł karafkę o kępkę niebieskich orlików.

Podał jej kieliszek. Wzniósł swój i popatrzył jej głęboko w oczy.

- Za ciebie, Oliwio Travanelle.

Starła się, żeby kąci jej warg nie zdrząły. Przełknęła ślinę i powoli wyciągnęła rękę, aż stuknęli się kieliszkami.

- I za ciebie, Aleksandrze Chaubere — szepnęła.

Uniosła kieliszek do ust i wypła łyk. Jego spojrzenie otaczało ją ciepłem, jakie poczuła też w przelyku od swojego trunku.

- Jaki łagodny.

- Moje osobiste zapasy, przechowywane na specjalne okazje.

Skinęła głową i wypła drugi łyk.

- Siadaj - powiedział, zapraszając ją na koc eleganckim ruchem ręki.

Miał na sobie białą koszulę z szerokimi rękawami, czarne; bryczesy i wysokie czarne buty — tak samo był ubrany, gdy go ujrzała po raz pierwszy. Uśmiechnęła się i szybko usiadła, żeby ukryć swój wyraz twarzy.

- Dlaczego się uśmiechasz? — spytał sadowiac się obok niej.

- Bo w tym stroju wyglądasz jak pirat.

- A gdybym był piratem? Nie bałabyś się?

- Nie.

- A druga sprawa, o której rozmawialiśmy w szpitalu, fakt, że moje ciało się nie starzeje — nie przeraża cię?

- Z początku byłam przerażona, ale teraz już nie.

- Dlaczego?

- Dlatego...

Znów wypła łycezek, niepewna, jak dalej prowadzić tę rozmowę. Marzyła, żeby mu powiedzieć, że się nie boi, ponieważ go kocha. Ale nie był to czas na wyznania. Westchnęła i spojrzała na niego.

- Nie dałeś mi żadnych powodów, żeby się ciebie bać.

- A czy wierzysz, gdy twierdę, że jestem nieśmiertelny?

-Nie miałam powodu, żeby wątpić w twoje słowa.

Oliwia napawała się widokiem jego ciemnych oczu i cu downie męskich ust, z szerszą dolną wargą.

- Stałaś się ostatnio podejrzanie wyrozumiała - zauważył z lekkim uśmiechem.

- Nauczyłam się być otwarta na nowe możliwości, myślenie innymi kategoriami. Tobie to zawdzięczam. — Popatrzył na swój kieliszek i lekko nim zawirował. - Na swój sposób stałam się lepszą osobą, dzięki znajomości z tobą i chcę ci za to podziękować.

- Między nami podziękowania nie są potrzebne, Oliwio — mruknął. — Wnieśliśmy w swoje życie tyle dobra. Korzyści były wzajemne, wierz mi.

- Nie wiem, co takiego zrobiłam dla ciebie, Aleksandrze, poza tym, że zakłóciłam ci twój ustalony tryb życia.

- Właśnie to - odparł. - To największy dar, Oliwio. Ty i

Rich pozwoliliście mi zasmakować prawdziwego życia.

- Czy nigdy nie prowadziłeś normalnego życia?

- Nigdy nie miałem rodziny. Nie znałem radości z posiadania syna, z odnajdywania w jego wzroku podziwu i przywiązania. A ty mnie przyjęłaś z otwartym sercem, oferując szczerą przyjaźń. Cenię to, Oliwio. Wierz mi, bardzo wysoko to sobie cenię.

- Na pewno znałeś wiele kobiet, które cię kochały.

- Często kochały nie mnie, ale to, co posiadałem. Jeszcze niedawno prowadziłem tryb życia, który przyciągał ludzi ceniących przede wszystkim dobra materialne. Dla nich nie miało znaczenia, jakim byłem człowiekiem.

- Czy prowadziłeś kiedyś normalne życie, życie zwykłego śmiertelnika?

- Tak. Ale okres, który spędziłem jako śmiertelny, był tak dawno temu, że wydaje mi się snem, który trudno sobie przypomnieć.

Patrzyła na niego ze zdumieniem, uświadamiając sobie jednocześnie, że rozmawia z osobą urodzoną wkrótce po tym, jak pierwsi osadnicy wylądowali u wybrzeży Ameryki.

- Jak to się stało, że zostałeś nieśmiertelny?

- Byłem alchemikiem i mieszkałem w Paryżu. Wielu moich współbraci prowadziło eksperymenty w poszukiwaniu nieśmiertelności. Ja opracowałem wyciąg z Wiecznej Lillii, który podawany szczurom, znacznie przedłużał ich życie. Następnie próbowałem na zającach i świniach. A kiedy postanowiłem wypróbować go na ludziach, ze względów etycznych mogłem wybrać tylko siebie.

Oliwia słuchając go przyglądała się jego twarzy i miała ochotę pogłaskać go po policzku, odgarnąć włosy z czoła, scałować wszystkie kłopoty. Ale nie była to noc na pieszczoty. Była to noc, żeby wycofać się z godnością i nietkniętym sercem.

- A co się stało, kiedy wypiteś ten eliksir?

- Zorientowałem się, że nie krwawię. Urazy fizyczne nie miały na mnie wpływu. Wkrótce straciłem apetyt, nie rosła mi broda, a moje męskie organy przestały funkcjonować normalnie.

Męskie organy przestały funkcjonować? Mówił coś o stanie hibernacji swego ciała podczas ich kłótni w szpitalu. A ona już podejrzewała, że z powodu jakiejś ułomności tak często odsuwał się od niej, jakby nie odczuwał pożądania. Nigdy nie miała okazji o tym porozmawiać. A więc to problem medyczny.

Oliwia oderwała myśli od kochania się z Aleksandrem, gdyż były one niesłuchanie bolesne.

—Kiedy zorientowałeś się, że twój eksperyment z nieśmiertelnością się powiódł?

—Minęło kilka miesięcy i moje funkcje cielesne znalazły się jakby w martwym punkcie. Po pewnym czasie zauważyłem, że moi przyjaciele siwieją, tyją, robią im się zmarszczki. W końcu niektórzy zaczęli umierać, a ja wciąż

byłem młody i zdrowy. Z początku wydawało się, że jest to dar niebios. Po jakimś czasie zorientowałem się, że stworzyłem własne piekło.

— Dlaczego tak mówisz? — spytała Oliwia. — Chyba świadomość, że nie umrzesz, daje cudowną ulgę. Wszyscy się martwią, że umrą, a ty nie musisz.

Aleksander łyknął koniaku i popatrzył na staw migoczący poprzez gałązki wierzby. Potrząsnął głową smutno i znów się napił. Oliwia zaczęła zastanawiać się nad negatywną stroną nieśmiertelności. Wstrzymała się jednak z pytaniami, czekając, aż sam zdecyduje się kontynuować. Po chwili zwrócił się do niej.

—Przez wieki musiałem patrzeć, jak kolejno umierają moi najbliżsi przyjaciele. Musiałem się przeprowadzać z miejsca na miejsce, żeby ludzie się nie zorientowali, że się nie starzeję. Nie miałem przywileju posiadania starych przyjaciół, krewnych ani żony. A potem spaliło się moje laboratorium. Potworny pożar. Wszystkie moje zwierzęta... - Potrząsnął głową na to wspomnienie. - Nic mi nie zostało. A recepta na eliksir nieśmiertelności zginęła na zawsze. Wyjechałem więc z Paryża, wyszedłem w morze, pływałem, a po kilku latach osiadłem tutaj. Takie było moje życie, Oliwio. Oczywiście, że było pełne przygód. Zdobywałem i traciłem fortuny. Przeczytałem tony książek i objechałem kulę ziemską tyle razy, że już nie zliczę. Ale to wszystko nie zaspokoilo mojego serca. Lata, które przeżyłem na ziemi, tak się dały we znaki mojemu sercu, że nie miało już chęci na samotne życie.

— I co zrobiłeś?

— Zdecydowałem, że lepsza śmierć niż życie bez miłości.

— Przecież ty nie możesz umrzeć.

— Myślę, że mogę. - Odłożył kieliszek i przeciągnął dłonią po włosach. - I myślę, że umieram. Te epizody, których byłeś świadkiem, są prawdopodobnie dowodem mojej zbliżającej się śmiertelności.

— Ty umierasz? Ale przecież jesteś nieśmiertelny!

— Już nie. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat pracowałem nad strukturą molekularną Wiecznej Lili i znalazłem sposób, aby wpływać na ogniwa jej DNA tak, aby odwrócić jej działanie na moje ciało.

— Tak, ażeby się zabić? — spytała.

— Nie jestem pewien, jak długotrwały efekt będzie miało na mnie to antidotum. Wiem tylko, że się powoli zmieniam i niektóre moje procesy życiowe znów się rozpoczynają, powodując jednocześnie potworny ból. Dlatego postanowiłem opuścić Charleston. Nie chcę, żeby ktokolwiek z was był świadkiem mojego ostatniego kroku w mroczny świat alchemii. Ani Gilbert, ani Rich, a przede wszystkim - nie ty. Widziałem u innych, co może uczynić lilia, jeśli coś się nie powiedzie.

— Ale nie pytałeś nas o zdanie.
— Nie. Żałuję, ale nie mogę wam zaoferować wyboru.
— Wstał. - Muszę sam przebyć tę drogę.
— Nie! — Oliwia zerwała się i stanęła obok niego. —
To niesprawiedliwe.
— To nie jest kwestia sprawiedliwości.
— A jeżeli my chcemy z tobą być, niezależnie od
twojego stanu?
— Nie mogę się na to zgodzić. Co będzie, jeżeli będę
zupełnie niesprawny? Zostaniesz przy mnie z poczucia
obowiązku, spędzając resztę życia na pielęgnowaniu
człowieka, który będzie tylko bezmyślnym kawałem ciała.
Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo to przeżywałem, kiedy
nie byłem w stanie się z tobą kochać? A gdybym tak nie
mógł z tobą nawet rozmawiać? Nie skazę cię na takie życie.

- A więc to jest pożegnanie? - spytała. - To już
wszystko?

Czy napiszesz chociaż do nas?

Pokręcił głową przecząco.

- Nie. Uważam, że lepiej to od razu przeciąć i nie
ciągnąć dalej.

- Dlaczego?! — zawołała.

- Oliwio. - Położył ciepłe ręce na jej ramionach. —
Musisz o mnie zapomnieć. Tak będzie lepiej.

- Nigdy cię nie zapomnę - oświadczyła, patrząc na
niego poprzez łzy. - Nie chcę cię zapomnieć. Kocham cię!

Przypatrywał jej się w ciszy, ściskając jej ręce, jakby to
wyznanie mogło poprzez palce dojść do jego serca.

- Oliwio — zamruczał z westchnieniem, delikatnie ją
odsuwając.

- Nie! - krzyknęła. - Nie możesz tego zrobić. Nie
możesz mnie tak zostawić, Aleksandrze! Już nie potrafię żyć
bez ciebie.

- Proszę, nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.

Puścił jej ręce, ale ona zarzuciła mu je na szyję.

- Nie zostawiaj mnie! - Przycisnęła policzek do jego
brody, zapominając o swym postanowieniu, że będzie nad
sobą panować. - Wiem, że mnie kochasz, Aleksandrze!
Jestem tego pewna.

Poczuła jego dotyk i gorący oddech na ramieniu.

- Masz rację, Oliwio, kocham cię — szepnęła. - Kocham
cię bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Przymknęła oczy, przeżywając te słowa, kiedy ją objął.
Całował jej ramiona, szyję, w końcu usta. Ich wargi spotkały
się, spragnione, a ona wsunęła rękę w jego włosy i pieściła
jego głowę. Łzy kapały z jej oczu - łzy radości, że
odwzajemnia jej uczucie, i łzy rozpacz, że zdecydował się
odejść.

- I dlatego właśnie - powiedział, przytulając ją mocno -
muszę cię opuścić.

- Więc kochaj się ze mną — szepnęła w jego usta. —

Przeżyjmy to razem.

- Nie wiem, czy to byłoby rozsądne. Twoje przyszłe życie i dni, które mnie pozostały, byłyby nie do zniesienia.
- Nie martwmy się o to zawczasu.

Patrzyła na niego z niepokojem, czy i teraz wycofa się z tego nieuniknionego, do czego prowadziło ich przeznaczenie od chwili, gdy się po raz pierwszy ujrzeni. Jego ciemne oczy patrzyły poważnie, szukając na jej twarzy choć cienia wątpliwości. Nie znalazły, bo nie miała żadnych skrupułów, żeby mu się teraz oddać.

—Nie jestem pewien, co się może wydarzyć — wykrztusił w końcu.

—W porządku — odpowiedziała, sięgając do guzików jego koszuli. - Spróbujmy, Aleks. Kocham cię.

Uniósł palcem jej brodę.

—Więc zróbmy to właściwie — powiedział — i chodźmy do mojego łóżka.

—Nie - sprzeciwiła się. - Zostańmy tu, w ogrodzie. Tylko ty i ja w tym pięknym miejscu, gdzie najwyżej księżyc nas może zobaczyć.

Oczy mu błyszczały, gdy podniósł głowę, aby spojrzeć na srebrny rogalik wysoko w górze.

— *Trh bien* - powiedział, pochylając się do pocałunku.

Otoczyła go ramionami, przywarła do niego i zatonała w silnych, kochających objęciach.

Rozdział 25

Od tej chwili nie odezwali się do siebie ani słowem. Wszystko, co mieli sobie do przekazania, komunikowali wargami, dłońmi, westchnieniami i pieszczotami - najbogatszym językiem, nie wymagającym użycia głosu. Stali nad kocem, gdy powoli rozpiął i zsunął z niej sukienkę. Ona odwzajemniła się zdjęciem mu koszuli, ciepłej, z jego zapachem. Rzuciła ją na ziemię. On odpiął jej staniczek i zsunął ramiączka. Następne w kolejności poszły figi i sandałki. Później Aleksander chwycił ją za ręce i unosił je w górę i na boki, jakby prowadził ją do tańca. Nie zrobił jednak żadnego kroku do tyłu ani do przodu, tylko po prostu wpatrywał się w nią. Nie odczuwała żadnego wstydu ze swej nagości w ogrodzie, bo cały wszechświat składał się teraz dla niej z mężczyzny, stojącego przed nią.

Popatrzyła na twarz Aleksandra i zobaczyła, że coś się tli w jego oczach, gdy ogarnia ją wzrokiem. Poczowała na skórze przechodzące między nimi niezwykle wibracje. Chciała mu powiedzieć, że nawet jeżeli mu się nie uda, będzie i tak szczęśliwa, leżąc w jego ramionach, i zadowolona ze

wszystkiego, co razem przeżyją. Milczała jednak, objęła go tylko mocno w pasie, tuż nad spodniami. Jej ręce na tle jego złocistego, umięśnionego brzucha wydawały się delikatne i blade. Przyciągnęła go do siebie, a ich nagie ciała w zetknięciu z sobą wydawały się iskrzyć.

Jego ręce przesuwaly się po jej plecach, wplatały we włosy, przybliżały usta do jego ust na długi, wstrząsający pocałunek. Dotknęli się koniuszkami nosów i poczuła ogarniającą ją falę ogromnego pragnienia pod wpływem tego dziwnego kontaktu z jego ostrym nosem. Później całował jej brodę, uszy, powieki, wtulał twarz w jej loki, wdychał zapach włosów, jakby to był najbardziej oszałamiający zapach na ziemi. Nie mogła uwierzyć, że obywał się bez miłości przez wieki. Jego ruchy były przemyślane, wyważone. Lata w jej życiu bez fizycznej miłości stanowiły zaledwie momenty w porównaniu z czasem, jaki on przeżył samotnie, a jednak to ona z trudem mogła się opanować. Chciała położyć się na kocu, żeby przydusił ją cudowny ciężar ciała Aleksandra. Chciała być jego, choćby tylko na tę jedną, jedyną noc.

Całowała jego brodę, szyję, piersi, brzuch, obejmowała dłońmi jego tors. Powoli, najwolniej jak mogła, posuwała się w dół jego ciała, aż uklękła przed nim i patrzyła na materiał jego bryczesów. Rękami, znacznie spokojniejszymi niż jej serce, sięgnęła do guzików przy jego spodniach. Jednak nim odpięła pierwszy, ręce Aleksandra ujęły jej dłonie i delikatnie je odsunęły. Siadła na piętach i spojrzała w górę. Dlaczego ją powstrzymał? Czy nie był gotowy? Czy uważał, że jest zbyt bezwstydna?

Patrzył na nią oświetlony bladym światłem księżyca prześwitującym przez wierzbowe gałęzie. Wiedziała, że nigdy nie zapomni tego widoku - ciemnych włosów opadających na nagie ramiona i wznoszącej się i opadającej w głębokim oddechu piersi. Jego blizny w blasku księżyca wyglądały jak srebrne nitki. W końcu ściągnął jeden but, potem drugi. Nie spuszczać z niej wzroku, rozpiął bryczesy i zsunął je.

Na ten widok ciało Oliwii rozpałiło się. Teraz już nic nie brakowało Aleksandrowi Chaubere, nie było się czym martwić i nie było potrzeby robienia ofiary z jej miłości. Jej usta same się rozchyliły, brodawki stwardniały, piersi nabrzmiały. Coś głęboko w niej poruszyło się do życia z taką intensywnością, że omal nie zamknęła oczu. Powstrzymała się jednak, nie chciała nawet mrugnąć, żeby nie uronić niczego z tego widoku. Aleksander był taki piękny, cały. Nie mogła się doczekać, kiedy poczuje go w sobie.

—Wejdz we mnie - szepnęła. — Aleksandrze, chodź.

- To za wcześnie... dla ciebie - powiedział ochryple.

—Nie. Jest dawno po czasie, dla nas obojga.

Patrzyli sobie w oczy, głęboko, widząc znacznie więcej niż ich obecne tu ziemskie ciała. Nachylał się powoli, coraz bliżej, wreszcie ich usta spotkały się. Wygięła się, aż zetknęły się ich języki, piersi, biodra. Poczwała obok siebie

coś twardego i ciepłego i jęknęła. Ten dźwięk podziałał na niego błyskawicznie. Znalazł się natychmiast między jej nogami, przyciskając ją do najbardziej intymnych partii. Uniosła się trochę i wsunął się w nią.

Aleksandrowi zabrakło na sekundę tchu i przytrzymał jej twarz w rękach, żeby móc na nią popatrzeć, wzruszony uczuciami, jakie połączyły ich serca i ciała.

Oliwia zatraciła się w tej cudownej jedności. Przesuwała ręce po jego plecach, przyciskając jego twarde pośladki.

- Aleks! — Jęknęła, otwierając się, spragniona, jak nigdy jeszcze dotąd.

Gdy go przyjmowała, Aleksander głośno westchnął. Dźwięk jego głosu przeszył ją, rozpalając w środku ogień. On wchodził w nią coraz głębiej, coraz mocniej, coraz szybciej, aż ich pospieszne oddechy zlały się w akompaniament do tańca tak starego jak świat.

Oliwia trzymała go w ramionach, z przytulonym policzkiem, starając się wpasować w jego rytm. Nigdy nie zaznała takiego uczucia spełnienia, połączenia z inną ludzką istotą i odnalezienia swego miejsca we wszechświecie. Po latach spędzonych w ciemności jej serce znalazło światło. Aleksander był dla jej serca światłem, pokarmem, miejscem, z którego jej samotna dusza mogła czerpać siłę. Teraz, w tym ustronnym, tajemnym miejscu pod wierzbą, czuła, jak rozkwita cudownymi kolorami. Ogień, który czuli w sobie, eksplodował i czerwone, żółte i złote płomienie ogarniały jej całe ciało, przechodząc przez jej stopy i nogi, biodra, piersi i ramiona, aż do gardła, aż wszystkie te kolory złożyły się na krzyk niewyobrażalnej ulgi i spełnienia jednocześnie.

— Popatrz mi w oczy. - Aleksander westchnął. — Oliwio, spójrz na mnie!

Jego głos wyrwał ją z głębin, gdzie połączona była z Aleksandrem w pulsującym gorącym miejscu. Otworzyła oczy i napotkała jego przeszywające spojrzenie.

Popatrzyła i wzrokiem przelała w niego całą swą miłość, jak on przekazywał jej swoją i pograżyli się znów w tym misterium bez początku i końca, jak pory roku przechodzące wciąż jedna w drugą, pełne życia, śmierci i znów życia.

Oliwia przewróciła się na drugi bok, westchnęła z zadowoleniem i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ciepłego ciała Aleksandra.

Leżeli pod wierzbą godzinami, kochając się od czasu do czasu, aż drżąc, przywarli do siebie w milczeniu. Teraz jej ręka natrafiła na chłodny materiał i miękką poduszkę. Poduszkę? Siadła nagle, zupełnie rozbudzona, w swym własnym łóżku — sama.

— Aleks! - zawołała cicho.

Niebo nad balkonem było jeszcze ciemne, ale księżyc już znikł. Zaświeciła lampę, szukając śladów jego obecności. Wskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki, modląc się, żeby go tam znaleźć. Łazienka była pusta i cicha, zaszeleściły tylko przy otwieraniu drzwi gałązki paprotki.

Spojrzała znów na puste łóżko.

— Aleks? - Zapłakała.

Jak mógł ją tak zostawić, żeby obudziła się bez niego? Dlaczego nie zaniechał swojego planu wyjazdu po tej zdumiewającej wspólnej nocy? Mógł przecież zaufać jej miłości, uwierzyć, że przeprowadzi ich przez wszystko, cokolwiek się wydarzy!

Czuła się podle zdradzona.

Aleksandrze? — zawołała cichutko.

W głębi serca wiedziała, że wyjechał już do Savannah, gdzie czekał jego statek, albo jest już na morzu. Nagle zauważyła kwiat na nocnym stoliku po pustej stronie łóżka. Przysunęła się bliżej i zobaczyła, że jest to gałązka Wiecznej Lili, owinięta w papierek i położona na jakiejś karteczce. Uniosła gałązkę uważając, żeby nie dotknąć zdrewniałej łożyczki ani czerwonego kwiatu. Doszedł ją słodki zapach goździków i imbiru, gdy sięgała po kartkę. „Twój na zawsze” — napisał Aleksander, podpisując na dole pierwszą literę imienia trzema ruchami pióra.

Popatrzyła na te pożegnalne słowa i łzy zasnuły jej wzrok. Stała długo, przeżywając na nowo chwile spędzone z Aleksandrem, aż myślała, że serce jej pęknie. Nagle skupiła uwagę na lili i spojrzała na wszystko inaczej.

Nie podda się. Wieczna Lilia nigdy nie przekwita i taka będzie jej miłość do Aleksandra, czy jest normalnym mężczyzną, czy nie. Jej miejsce jest przy nim, lato czy zima, życie czy śmierć. Jeżeli jeszcze nie wyruszył w swoją podróż, to zmusi go, żeby pojął, że świat bez nich razem jest gorszy niż jakiegokolwiek wyobrażalne piekło i że chce dzielić z nim życie na przekór wszystkiemu.

Wrzuciła coś na siebie i popędziła do pokoju Richa.

- Rich, obudź się! - zawołała, pukając do drzwi. — Obudź się, jedziemy do Savannah!

Po dwugodzinnej podróży Oliwia i Rich dotarli do Savannah, gdy zaczynało świtać i niebo nad zatoką robiło się lekko różowe.

- Niebo w różowym kolorze, czyli uwaga na morze — powiedział Rich, nadgryzając kanapkę, którą mu matka przed chwilą kupiła.

Oliwia starała się zignorować tę przestrożę. Dość miała zmartwień w związku z Aleksandrem, żeby jeszcze dopuszczać możliwość tragedii na morzu.

- Pomóż mi szukać statku pana Chaubere'a - poprosiła syna, mając nadzieję, że jeszcze nie wypłynął. Skręciła i jechała teraz prosto w stronę nadbrzeża. — Wypatruj

masztów, czegoś, co wygląda jak wysoki statek.

- Okay - odpowiedział, wychylając się przez okno.

Po niemalże godzinie jeżdżenia i wypytywania, kogo się tylko udało znaleźć o tej wczesnej porze, zlokalizowali dok, gdzie cumował „Bon Aventure”.

— Tam jest Spider! — wykrzyknął Rich, wskazując na boczną alejkę.

— A tu jest Gilbert - zauważyła Oliwia. Niewysoki mężczyzna kierował się do kawiarni na rogu ulicy. Opuściła szybę i pomachała. — Panie du Berry! — zawołała, zawracając samochód na opustoszałej ulicy.

Słyszając swe nazwisko, Gilbert stanął tuż przy krawężniku. Oliwia podjechała i zatrzymała się przy nim,

— Gdzie on jest? — spytała.

— Aleksander? — upewnił się Gilbert. Oczy miał równie czerwone i zażawione, jak zapewne ona.

— Tak. Gdzie on jest?

— Już rozwinął żagle. - Gilbert obrócił się za siebie i wskazał głową na zatokę. - Może uda ci się zobaczyć na horyzoncie, jeśli się pospieszysz.

Oliwia złapała kluczyki.

— Chodź, Rich! - zawołała.

Wyskoczyła z samochodu, zatrzasnąwszy drzwi, a mały obszedł dookoła, żeby do nich dołączyć. Gilbert poprowadził ich między dwoma budynkami, poprzez rampę, a dalej przejściem prowadzącym na molo.

— *Voilà!*- powiedział, wskazując ciemny punkt na horyzoncie. - Nasz przyjaciel, Aleksander Chaubere, odpływa właśnie z naszego życia.

Punkcik robił się coraz mniejszy, przybliżając się do płonącej kuli wstającego słońca. Spóźniła się. Już nie przekona Aleksandra, żeby został.

— Czy on ci nie powiedział, że wyjeżdża? — spytał uprzejmie Gilbert.

— Powiedział. Chciałam tylko jeszcze raz spróbować przekonać go, by tego nie robił.

— Czasem nie można Aleksandra przekonać. Zmarznięta i zmartwiona, Oliwia masowała ramiona.

- Czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby się z nim skontaktować? Radio? Albo straż przybrzeżna? Nie moglibyśmy wynająć motorówki, żeby go dogonić?

- Aleksander nie życzyłby sobie tego. - Gilbert dotknął jej ramienia. — Musisz się z tym pogodzić, Oliwio.

- Mówiłam mu, że niezależnie od tego, w jakim stanie będzie, nie opuścimy go. Ale nie chciał niczego słuchać.

- On jest bardzo ambitny, Oliwio. Okazywanie słabości, zwłaszcza przed tobą, byłoby dla niego bardzo trudne.

- A wyjazd nie był bardzo trudny?

- Wybrał mniejsze źdźbło - oświadczył całkiem poważnie Gilbert.

Rich zerknął na niego z ukosa, trochę zmieszany, trochę uśmiechnięty.

Oliwii przypomniały się chwile, gdy Gilbert rozmawiał z Aleksandrem i też robił takie śmieszne błędy. Zwiesiła głowę, ale starała się nie płakać. Rich przysunął się do niej.

- W porządku, mam - powiedział, obejmując ją. - On wróci. Ja po prostu czuję, że wróci.

Oliwia spojrzała na punkcik na horyzoncie żałując, że nie ma takiej naiwnej wiary jak Rich. Ale zbyt wiele już widziała i przeżyła, żeby mieć jakąkolwiek nadzieję na powrót Aleksandra. Być może płynie na spotkanie potwornej, potępieńczej śmierci, jak przegrany wojownik na statku wikingów.

Stali na moło w porannym chłodzie, póki statek Aleksandra nie znikł im zupełnie z oczu. Wtedy Gilbert zaprosił Oliwię na kawę, a Richa na gorącą czekoladę.

- Muszę znaleźć kogoś, kto odwiezie samochód Aleksandra z powrotem do garażu - wyjaśnił. - Jestem pewien, że ktoś z przyjemnością to zrobi.

- Ja bym zrobił - wtrącił się Rich - gdybym był troszkę starszy. Już prowadziłem Spidera, wie pan?

Gilbert popatrzył na niego i uśmiechnął się.

- Naprawdę?

Rich z dumą pokiwał głową.

-Od garażu na ulicę i z powrotem. Pan Chaubere powie dział, że mam wrodzone zdolności. - Podązał za Gilbertem, gdy schodzili z mola. — Jak urosnę, będę miał taki samochód.

- Oczywiście, że tak - odparł Gilbert. - Dokładnie taki sam model.

- No jasne. Rocznik 73.

- Ten sam samochód, mówiąc ściśle.

Oliwia zatrzymała się na środku ulicy, gdy dotarli do niej jego słowa.

- Co mówiłeś, du Berry?

- Aleksander postanowił ofiarować Richowi Spidera.

- Co? — zdumiał się Rich i zrobił wielkie oczy.

- Pomyślał, że byłbyś zadowolony, gdybyś dostał Spidera na szesnaste urodziny.

- Naprawdę? - Obrócił się do matki. — Mogę, mam?

- Nie wiem, to zupełne zaskoczenie, Rich, będzie z tym wiele problemów. Prawo własności, rejestracja, nauka jazdy i...

- Całą papierkową robotą ja się zajmę, madame - mruknął Gilbert. - To moja specjalność.

Rich zaczął skakać i pisać z radości. Oliwia nie była w stanie w pełni podzielać jego uczuć. Oboje odnieśli korzyści ze znajomości z Aleksandrem. Rich dostał samochód, a ona dom i połowę majątku w formie funduszu powierniczego, którego wielkości nawet nie znała. Wszystkie te dary były nieoczekiwanie szczodre, ale nie

wystarczały do szczęścia. Jedyne, czego Oliwia chciała od Aleksandra Chaubere'a, to jego miłości.

- Chodź - powiedział Gilbert, ujmując ją pod łokieć. - Mam wrażenie, że dobrze ci zrobi filiżanka kawy.

Dała się zaprowadzić do kawiarni po drugiej stronie ulicy, chociaż zupełnie nie odczuwała głodu ani pragnienia.

Długo będzie trwało, zanim wróci do normalnego życia.

Po kilku dniach Oliwia wynajęła firmę do przygotowania ziemi pod frontowy trawnik i obłożyła darnią przestrzeń między oleandrami a ścieżką. Zmiany były tak uderzające, że coraz więcej ludzi zatrzymywało się i podziwiała postępy w pracach za starym żelaznym płotem. Sporo osób miało ochotę z nią pogadać, jeśli pracowała gdzieś niedaleko płotu, a pani Foster wpadała często z kwiatkami czy ciasteczkami na dłuższą pogawędkę. Mijały tygodnie i Oliwia zaczynała się coraz bardziej czuć członkiem tej społeczności, co bardzo jej odpowiadało.

Nie zaczęła jeszcze prac nad remontem rezydencji i, prawdę rzekłszy, nadal nie czuła się jej właścicielką. Nawet tam nie weszła od wyjazdu Aleksandra. Wspomnienia wciąż jeszcze były zbyt bolesne. Może zresztą nigdy nie wyblakną na tyle, żeby mogła mieszkać w tym domu. Mieszkanie nad garażami było zupełnie wystarczające dla niej i dla Richa.

Choć dzięki Aleksandrowi nie musiała się już martwić o pieniądze, pracowała dalej w ogrodzie zgodnie z planem tak, żeby skończyć przed jesienią i rozpoczęciem zajęć na uczelni. Zamówiła już sobie pomoc domową, która miała gotować i pilnować Richa, gdy jej nie będzie.

Gdy zachodziło słońce, a ona jeszcze pracowała, zauważyła Gilberta, który wpadł z wizytą, jak to ostatnio często robił. Miał zwyczaj przychodzić w czasie obiadu, żeby z nimi posiedzieć albo ugotować im coś dobrego, chociaż sam jadł bardzo mało. Podejrzewała, że Gilbert i Aleksander mieli podobnie tajemniczą przeszłość i Gilbert prawdopodobnie też był nieśmiertelny. Nigdy go jednak o to nie spytała, a on sam nic na ten temat nie mówił.

- *Bonsoir, madame* — zawołał, machając ręką.

- Gilbert, *comment allez-vous?* — odpowiedziała, odgarniając z czoła burzę rudych loków. Ćwiczyła francuski, polubiła ten język słuchając codziennych lekcji Gilberta z Richem.

- *Ca va*— odpowiedział. — Przyniosłem przepyszne krewetki. Mam wam ugotować?

- Mógłbyś? - Była wdzięczna mu i za gotowanie, i za towarzystwo. — Byłoby wspaniale.

- *Tres bien!*— Ruszyli razem w stronę domku. - Myślałem Oliwio o przyjęciu.

- O przyjęciu?

- Kiedy skończysz ogród. - Wykonał wytworny, staroświecki ukłon. - Zaprosimy całe miasto. Wszyscy wiedzą, nad czym tu pracujesz. Kiedy skończysz?

- Nie wiem. Pewnie to potrwa do połowy lata.

- A więc lipiec! - Rozpromienił się.
- Ale Gilbercie, to wymaga wielu przygotowań. Nie mam czasu...

- Nie martw się. Jestem ekspertem w tych sprawach. Wszystkim się zajmę.

Nim odpowiedziała, przez oleandry wpadli Rich i Willie Lee tuż za nim.

- Cześć! - zawołał Rich.

Gilbert uśmiechnął się i skinął chłopcom głową. Oliwia zauważyła nie znaną czapkę, którą Rich miał na głowie, daszkiem do tyłu. Dopiero po chwili zorientowała się po emblemacie drużyny Charlotte Hornets, że to była czapka, którą kilka miesięcy temu zabrały mu chłopaki ze szkolnego autobusu.

- Zaczekaj no!

Rich zatrzymał

się.

- Skąd masz tę czapkę? - spytała, podchodząc bliżej.

- To? - Rich dodknął swego nakrycia głowy.

- Tak, to.

- To jest moja. Odzyskałem ją.

- Od Eddiego?

Rich pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Bez walki?

Rich i Willie wymienili spojrzenia i Oliwia zaczęła się zastanawiać, co kombinują. Rich spojrzał na matkę.

- No, bez bicia, mamo.

Willie Lee przytaknął z przejęciem.

- Myślałem, że go spiorą, proszę pani, ale on po prostu podszedł do Eddiego i kazał, żeby mu oddał jego czapkę. Właśnie tak.

- Naprawdę? - Oliwia patrzyła na syna zdumiona.

- Tak. Myślałem cały czas o tym, czego mnie uczył pan Chaubere: udawać, że się nie boję. No i zrobiłem tak.

- Brawo, Rich! - wykrzyknął Gilbert. - Rośnie następca Chaubere'a. *C'est bon!*

Przez chwilę Oliwia patrzyła na chłopca, dumna z jego odwagi, zastanawiając się nad wpływem, jaki Aleksander wciąż miał na ich życie.

- Dobra, chłopaki, przyjdźcie do domu za godzinę. Pan du Berry dziś gotuje.

- Ekstra! - ucieszył się Willie Lee.

Oliwia popatrzyła za nimi. Choć jej życie, odkąd osiadła w Charleston, stało się pełniejsze i bogatsze, wciąż odczuwała dojmującą pustkę w sercu. Może kiedyś przeboleje utratę Aleksandra, ale on pozostanie zawsze jej częścią. Chodziło o to, żeby zachować wspomnienia, ale i wyzbyć się smutku. Uda jej się to. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. Następny dzień, następna noc. Wytrzyma.

Epilog

Lipiec. Rezydencja Chaubere'a

Cudowne przyjęcie, Oliwio! Po prostu wspaniałe!
-stwierdziła pani Foster, popijając poncz koło figury Wenus.
-Takie przyjęcia wydawał wiele lat temu mój ojciec.
Popatrz, jak się wszyscy świetnie bawią!

Oliwia podziękowała jej za słowa uznania i ruszyła dalej w tłum. Zdumiała ją liczba gości, którzy przyszli, żeby uczcić zakończenie prac w ogrodach rezydencji Chaubere'a. Zebrało się około stu osób, znajomych i sąsiadów, o szóstej, a teraz, choć już zapadał wieczór, prawie nikt nie zbierał się jeszcze do wyjścia.

- Widzieliście te róże z tyłu? - usłyszała prezesa Towarzystwa Ogrodniczego, rozmawiającego z gośćmi.

- Te Don Juany? Cudowne!

- A drzewko migdałowe? - dodała jego żona. — Nigdy nie widziałam piękniejszego okazu!

Oliwia szła dalej, pękając z dumy. Dochodziły ją strzępki rozmów, jak fragmenty snu. Uśmiechała się do znajomych, odpowiadała na pytania, ale czuła się dziwnie, jakby obok tych uroczystości.

Zbliżała się wolno w kierunku domu. Wzdłuż ścieżki ustawiono stoły z przekąskami, słodyczami i winem. Goście rozmawiali, jedli, śmiali się, a z frontowego ganku dochodziły dźwięki muzyki. Sherry pomogła jej wynajść zespół z Atlanty, którego słuchali kiedyś u Harry'ego i tak im się podobał. Sherry i Ed, ochroniarz z baru, stali obok stawu, popijając wino i rozmawiając z dawną opiekunką Richa, panią Denning, i wszystkimi, którzy tędy przechodzili na tył ogrodu.

Rich z kolegami pojawiali się nagle tu i ówdzie między dorosłymi, łapiąc coś do jedzenia, ale ostrożnie, żeby nie zadeptać roślin. Gilbert trzymał w górze półmisek, zdradzając subtelności receptury grupce zachwyconych pań. Oliwia uśmiechnęła się. Cieszyła się, że ma tyłu przyjaciół i takich serdecznych sąsiadów.

Przy jednym ze stołów naląła sobie kieliszek Caberneta i usłyszała przy tej okazji fragment rozmowy dwóch panów.

—Mówię ci, Dole, nigdy czegoś takiego nie widziałem. To prawdziwe dzieło sztuki! Musi mieć co najmniej dwieście lat!

—Mówisz, że przy nabrzeżu Griffitha?

—W każdym razie stał tam dzisiaj. - Mężczyzna przerwał na chwilę. - Musisz zobaczyć, zanim wypłynie z portu. Zupełnie jak z filmu. Tylko patrzeć, jak Errol Flyn

zejdzie po trapie.

Odstawiając butelkę z winem, Oliwia zastanawiała się, o czym dokładnie mówili, ale nim zdołała spytać, gdzieś znikli. Głupio byłoby ich gonić i wypytywać o statek, który mógł należeć do kogokolwiek.

Jednak wiadomość o statku popsowała jej humor. Poczwała, że dłużej nie zniesie już tego tłumu i rozlegających się wokół wybuchów śmiechu. Wzięła swój kieliszek, okrążyła dom i weszła do niego tylnymi schodami wiedząc, że tam znajdzie spokój, gdyż rezydencja nie została udostępniona gościom. Udała się na pierwsze piętro, gdzie Aleksander spędzał większość czasu. Zajrzała do opustoszałej sypialni i poszła dalej, do sali balowej. Nic się nie zmieniło przez te pięć miesięcy. Pokój wypełniały docierające tu słabe dźwięki muzyki. Oliwia, bliska płaczu, zatrzymała się na środku pokoju, starając się uspokoić.

—Aleks! — szepnęła, ocierając łzę z policzka i patrząc na ozdobny plafon. — Aleks, tęsknię za tobą!

Przymknęła oczy i zaczęła tańczyć, sama w sali balowej, dając się unieść wspomnieniom. Kiedy orkiestra przestała grać, stanęła na balkonie i ze ściśniętym sercem zaczęła obserwować z góry przyjęcie. Przeszła wzdłuż balustrady i zauważyła, że coś na niej leży. Gdy zbliżyła się, zobaczyła gałązkę Wiecznej Lili, zawiniętą w lnianą serwetkę. Zdumiona Oliwia obróciła się, szukając na balkonie sylwetki mężczyzny, jedyne, który zostawiłby taki znak. Ale nie było nikogo.

Przechyliła się przez balustradę balkonu, wypatrując w zmroku, ale nie zobaczyła znajomych szerokich pleców i kasztanowych włosów Aleksandra Chaubere'a. Przeszła na północną stronę balkonu. Musi tu być! Aleksander Chaubere wrócił! To na pewno „Bon Aventure” przycumował dziś w porcie.

Zatrzymała się, słysząc znajomą piosenkę.

Pewnego dnia pojawi się...

Jak mogła mieć taką złudną nadzieję. Aleksander nie przyjechał. Przecież byłaby chyba pierwszą osobą, z którą by się skontaktował. Gałązka lilii, zabrana pewnie z jej sypialni, była czymś okrutnym żartem. Tylko skąd mógłby ktokolwiek wiedzieć, jakie ma znaczenie dla niej? Dla nich?

Słuchała piosenki o domku zbudowanym dla dwojga zakochanych. Nie, nie ruszy się z tego domu. To było wszystko, co jej pozostało po Aleksandrze. Nigdy też nie wyjedzie z Charleston. Jej serce należy do tego miasta, tak samo jak do Aleksandra, gdziekolwiek jest, żywy czy umarły.

Ona potrafi docenić wartość miłości — jedynej cennej rzeczy na tym świecie. Czekala wiele lat, wierząc, że pewnego dnia pojawi się ten właściwy mężczyzna, a kiedy go znalazła, miała nadzieję, że jej życie odmieni się. Cóż, poznała prawdę. Życie rzadko układało się tak, jak człowiek by sobie tego życzył. Miała tylko wspomnienia i męczyznę ze swoich marzeń.

—...*śnię o mężczyźnie, którego kocham...*

- Ta piosenka działa na ciebie, prawda? - usłyszała za sobą znajomy głos.

Odwróciła się z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, nie wierząc ani swoim uszom, ani oczom. Stał przed nią Aleksander Chaubere, żywy i cały, w pełni sił. Nie była w stanie się poruszyć, bojąc się, że to tylko sen, lecz ciemna sylwetka rysowała się wyraźnie na tle wieczornego nieba.

Czy to naprawdę on, czy wyobraźnia stworzyła go na jej pociechę?

- To ja poprosiłem zespół, żeby to zagrał.

- Aleks?

Sylwetka ożyła i powoli wyciągnęła ręce w jej stronę. Oderwała się od barierki i wpadła w jego ramiona.

- Aleks!

Wróciłeś!

Objął ją mocno.

- Kiedy widziałem po raz pierwszy, jak słuchałaś tej piosenki, byłaś bliska płaczu. Przypuszczałem, że wspominasz jakąś dawną miłość.

- Wtedy nie wiedziałam nic o miłości - szepnęła, rozkoszując się ciepłem jego ciała.

- Ale chciałaś mężczyzny.

- Mężczyzny, którego mogłabym kochać.

- Byłem, zazdrosny-

Patrzyła na niego, wciąż nie wierząc, że stoi przed nią we własnej osobie.

- To była miłość do mężczyzny z mojej wyobraźni.

Aleksander wpił w nią wzrok.

- A czy wciąż marzysz o mężczyźnie, którego mogłabyś kochać? - Uniósł brew. - Prawdziwym mężczyźnie?

Odsunęła się, patrząc na niego pytająco.

- Jesteś mężczyzną? - spytała. - Śmiertelnym?

- Tak. - Roześmiał się.

- Skąd wiesz?

- Mogę jeść. Rośnie mi broda. Męcę się. Krwawię! -Przyciągnął ją do siebie i objął w pasie. - Wszelkie oznaki nieśmiertelności zniknęły, nawet w mojej krwi!

Drżącą ręką pogładziła jego policzek, na którym poczuła jednodniowy zarost.

- Ale jak? Jak to się stało?

- Było to związane z tobą — odpowiedział. — Z

chwilą gdy

wkroczyłaś w moje życie, rozpoczęła się w moim ciele reakcja chemiczna, przy współudziale napoju z Wiecznej Lili.

- Jak ja to zrobiłam? — spytała, przekrzywiając głowę.

- Ma to związek z chemią naszych organizmów, które tak bardzo sobie odpowiadają, i z naszymi wzajemnymi uczuciami.

- Dlaczego?

- Weź na przykład rośliny. Ciągłe ci ktoś mówi, że

masz rękę do kwiatów i dlatego wspaniale rosną.

- Rosną, bo dbam o nie.

- Robisz znacznie więcej. Dotykasz ich, rozmawiasz z nimi, szanujesz je, i ich organizmy na to reagują.

Czytała, że według najnowszych badań rośliny, które rosną w hałasie i niezdrowej atmosferze, w dymie papierosowym, przestają się rozwijać. Wiedziała, że można wpływać na rośliny choćby poprzez myślenie o nich, ale nigdy nie przenosiła tych teorii na organizm ludzki.

- Nie odczuwałaś jakichś dziwnych wibracji między nami? - spytał.

- Tak, ale myślałam, że tylko ja tak reaguję.

- Ja też to czuję. Moja skóra prawie syczy, gdy cię dotykam. - Pocałował ją. - Nigdy nie doświadczyłem niczego podobnego przez trzysta lat.

- Więc uważasz, że mamy niezwykle wpływ na siebie?

- Jestem pewien. Tylko osoba taka jak ty, miłośniczka roślin, o czystym sercu, była w stanie spotęgować działanie napoju z Wiecznej Lili.

- Więc gdybym ja się nie pojawiła, byłbyś wciąż nieśmiertelny?

- Albo martwy. - Uśmiechnął się. - Stan zakochania powoduje powstanie pewnych związków chemicznych w mózgu, Oliwio. Nie wiedziałaś o tym? Wyzwała się substancja, dzięki której zakochani czują się cudownie, radośnie, zdolni do wszystkiego. To nie miłość powoduje, że czują się lżejsi od powietrza, tylko prosta reakcja chemiczna.

- Nie bardzo mi się to podoba - zauważyła z uśmiechem.

—Odbierasz cały urok naszemu romansowi.

Zachichotał.

- To niesłychane, że dwoje ludzi może na siebie tak reagować. - Przesunął ręce na jej pośladki i przycisnął mocno. - Ty masz na mnie wielki wpływ, wiesz o tym. - Jej ciało wstrząsnęło się od jego zmysłowości. Nigdy nie zapomni nocy z tym mężczyzną. — Wiedziałem, że jakoś na mnie działasz, ale wyciągnąłem fałszywe wnioski - ciągnął. - Myślałem, że mnie uśmiercasz.

- Co? — zdumiała się.

- Sądziłem, że twoja obecność wprawdzie zmienia mnie w śmiertelnika, ale jednocześnie prowadzi do destrukcji. Niektóre ataki były tak silne, że wątpiłem, czy je przeżyję.

- Więc im byliśmy sobie bliżsi, tym bliższy byłeś śmierci, czy tak uważałeś?

- Tak. Od chwili gdy w październiku wypłem pierwszą dawkę eliksiru z Wiecznej Lili, pobierałem sobie próbki krwi. Liczba krwinek „nieśmiertelnych” zaczęła drastycznie się zmniejszać, odkąd pojawiłaś się w moim życiu. Ale moje ataki stawały się coraz groźniejsze. Później nastąpił ten najgorszy, po balu w Towarzystwie Ogrodniczym. Wiedziałem, że muszę opuścić Charleston, bo moja śmierć

to kwestia tygodni, jeśli nie dni.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Nie mogłem. Nie mógłbym znieść twojej litości.
- A co się stało, kiedy wyjechałeś?
- Wkrótce zorientowałem się, że to, co brałem za zbliżającą się śmierć, było po prostu przywracaniem moich funkcji życiowych po setkach lat hibernacji.
- Ale nie było cię prawie pięć miesięcy. Dlaczego aż tak długo?
- Musiałem być pewien. - Przyciągnął ją jeszcze bliżej i przycisnął jej głowę do swego serca, gładząc ją po włosach. — Musiałem być zupełnie pewien, nim cię poproszę, żebyś mnie kochała.
- Mogłeś mnie o to poprosić w lutym, Aleksandrze.
- Poglaskała jego plecy. — Wiesz o tym, prawda?

- Tak, ale to nie byłoby uczciwe. — Nachylił się i pocałował ją. - Oliwio, daj mi jeszcze szansę. Chcę spędzić resztę mojego życia — resztę — z tobą. Chcę, żebyśmy mieli rodzinę, dużo dzieci, psy, koty, wokół ruch, hałas, wszystko! Chcę, żebyśmy mieli dom rodzinny tutaj, od dzisiaj, jeśli mnie zechcesz.

— Myślisz, że chciałabym kogokolwiek innego?

— Więc wyjdiesz za mnie?

Popatrzyła mu w oczy całkiem pewna swych uczuć.

- Tak - odpowiedziała. - Im wcześniej, tym lepiej.

Znow ją pocałował, a gdy śmiejąc się, wydostawała się z jego objęć, drzwi od balkonu otwarły się. Zobaczyła wpatrzonego w nich Gilberta.

- Aleksandrze! — zawołał. — To ty!

— Wróciłem, przyjacielu.

- Najświętsza Panienko! - Gilbert promieniał radością.

Podbiegł i objął Aleksandra.

- Aleksander! *Mon Dieu!*

Aleksander poklepał go po plecach i odsunął od siebie.

Gilbert mierzył go wzrokiem od stóp do głów.

— Wyglądasz jak okaz zdrowia. Dobrze się czujesz?

— Jak nigdy. Później ci wszystko opowiem. —

Aleksander objął Oliwię i zwrócił się do Gilberta. — Przybyłem z powodu brzydkich plotek, du Berry.

Gilbert, zaniepokojony, powiódł wzrokiem od Aleksandra do Oliwii i z powrotem.

- Jakich plotek?

- Że jakiś rozpustnik urządza przyjęcie w moim ogrodzie. Myślałem, że postawiłem sprawę jasno, jeśli idzie o przyjęcia.

- Ależ, Aleksandrze! - bełkotał Gilbert. - Myślałem, że nie żyjesz, to znaczy, uważaliśmy...

— Dobrze, zapomnijmy o tym — powiedział twardo Aleksander. Szturchnął Oliwię, żeby się przyłączyła do tego żartu.

— Ech? — Gilbert popatrzył, zmieszany, urażony.

Wtedy Aleksander objął go ramieniem, przyciskając do piersi.

—Od teraz możesz urządzać tyle przyjęć, ile chcesz, przyjacielu - powiedział, śmiejąc się. - Jeśli tylko Oliwia wyrazi na to zgodę.

— Aleksandrze! — Gilbert cofnął się i spojrzał, jakby ich widział po raz pierwszy. — Ty i Oliwia chcecie się związać sznurem?

-Nie. - Roześmiał się.

-Nie? - Gilbert jeszcze się cofnął, nic już nie rozumiejąc.

-Związać węzłem! - poprawił Aleksander, potrząsając głową.

Oliwia roześmiała się. Wybuchnęła kaskadą perlistego śmiechu: z radości, że Aleksander wrócił, że już nie cierpi, i z powodu rozkosznych pomyłek językowych Gilberta. Nie śmiała się tak od lat, od czasu, gdy była dzieckiem. Aleksander i Gilbert dołączyli do niej i zaśmiewali się w trójkę. Serce Oliwii przepelniała miłość do nich obu i świadomość, że przed nią całe życie takiej radości.